



UUK

JERZY PIECHOCKI

SEKRETARZ PIŁATA



Hegezynos stał na tarasie. Pod stopami miał Jerozolimę. Sześćcienne domki i białe pałace wyglądały z tej wysokości jak pudełka ułożone jedno na drugim, wbite w żółtawy pył oraz w zielen gajów. Trzy serpentyny dróg zbiegające z Góry Oliwnej do potoku Cedron, by przekroczyć go i dotrzeć do miasta, znaczyły ruchome cętki, które rosły w oczach, gdy wychylił się przez balustradę i spojrzął w dół, na portyki Świątyni.

Ludzie zebrali się podobni do olbrzymiego roju much — czy też pszczoł — huczący śmiechem, śpiewem i krzykami. Szum szedł od miasta ku górze Moria i schodami ku Świątyni Salomona, łącząc się z głosami spod portyków, by dotrzeć wreszcie, w wysublimowanej już przez przestrzeń formie jednostajnego szumu, do uszu Hegezynosa.

Szli znad Jordanu, z Perei i Galilei, z miast fenickich Tyru i Gazy, szli z diaspor aleksandryjskiej i antiocheńskiej, z zasięgu wzroku Wielkiej Diany Efeskiej, a nawet z Rzymu — z orszakiem bankiera Agrykoli, wyzwolenca rodem z Jerycho, który zrobił w stolicy świata karierę na dostawach dla dworu cesarskiego, teraz zaś niósł Świątyni jako wotum złoty świecznik siedmioramienny.

Szli z Ekbatany przez granicę partyjską i z Armenii, szli przez góry Zagros, zewsząd, gdzie tylko Pan wzięwszy ich w garść jak piasek rozrzucił lub jak owe gwiazdy, które ukazał Abrahamowi, bodajże tu właśnie, na górze Moria po dokonaniu bezkrwawej ofiary Izaaka, obiecując, że będzie ich tyleż właśnie, ile gwiazd. Szli na święto do Jerozolimy, wołając: „Bądź błogosławiony, Panie, i w tym roku, podobnie jak co rok, przez swój lud, żeś go wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli”. Wołali także po drogach: „Hosanna” i śpiewali: „Wszystkie narody klaskajcie rękoma, wykrzykujcie Bogu głosem wesela”, która to pieśń pochwycona pod portykami, rozszerzając się, zmieniła rzekomy rój pszczoł czy much w chór — nie tak melodyjny wprawdzie i mniej rytmiczny — pomyślał

Hegezynos — jak nasze Bakchylidesa czy Stesichora, niemniej jednak bardziej żywiołowy niż tamte precyzyjne, wyszkolone chóry. Wtem zagłuszył wszystko podwójny ryk. To garnizon Antonia trąbami drugiej straży dziennej dał Jerozolimie znak zmiany warty przed północno-zachodnim skrzydłem Świątyni. Głos komendy wdarł się w wycie trąb niczym walnięcie pałkami w bębny. W tym zaś momencie przed bramę pretorium zajechał kurier z Cezarei, a uderzenia kopyt, choć przygłuszone, dały się jednak słyszeć, tworząc z poprzednimi dźwiękami osobliwy kontrapunkt. Hegezynos wybiegł z tarasu, by po chwili podnieść ręce i klasnąć.

— Poczta? — przyłożył do oka polerowany szmaragd.

Stał przed nim urzędnik drugiego stopnia, Trasyllus, przywołany kłaśnięciem.

— Tylko prywatna — odpowiedział specyficznym tonem urzędników w legaturach: swobodnym, a jednocześnie unizonym — w tym dwa listy do żony przyjaciela cesarskiego. Jeden do ciebie z Cezarei, z pieśniami Horacjusza.

— Informacje?

— Brak w zasadzie. Właściwie tylko plotki. Jedna od kuriera i druga z komendatury więzienia. Obie równie błahe. Pierwsza, to że ów Jezus nazywający siebie bar Nash — Synem Człowieczym, jeden z tych fanatyków będących, jak sądzę, czcicielami Sabazjosa, tyle że na swój, żydowski, to znaczy śmiertelnie poważny sposób. . .

— Wiem, znam treść tych meldunków. Wciąż za Nim chodzą?

— Tłum Go nie opuszcza. Właśnie przekroczył Jordan w okolicy Jerycha i kieruje się w stronę Jerozolimy. Prawdopodobnie zmierza tu na Paschę.

— To właśnie jest ta wiadomość?

— Rzekłeś, a druga, że Syn Ojca, bar Abba, ten sam terrorysta i morderca Barucha, którego raczyłeś osobiście przesłuchać, zamierzał przegryźć sobie żyły na wiadomość, że przyjaciel cesarski skazał go na krzyż, co jednak nie przeszkodzi w zaprowadzeniu go na Wzgórze Czaszki Trupiej i to jeszcze, jak sądzę, przed świętem, bowiem odratowany czuje się zupełnie nieźle.

— Na mieście wciąż spokojnie?

— Bez zmian.

— Każ przygotować lektykę. Jadę do pałacu Heroda. Złożę raport przyjacielowi cesarskiemu.

Brama otworzyła się. Krzyk nie oliwionych zawiasów był niby ptak tłukący się o biel ścian i o niebo rozpięte nad tą częścią ziemi jak jaskrawy żółty parasol. Usłyszał zgrzytnięcie czterech par kaligów o żwir i miarowy stuk takichże samych kaligów żołnierzy, wchodzących szeregiem na schody i schodzących po nich, niczym aniołowie — użył Hegezynos w myślach bluźnierczego dla Żydów porównania — na drabinie Jakuba, tyle że aniołowie rzymskiego pokoju, mający pod opieką dojście do cytadeli: Antonia górowała nad Świątynią tak, jak ona sama górowała nad miastem, wyrastała z jej narożnika potężnym, groźnym bastionem.

Gorąco owinęło mu nos i krtań jak gdyby szmatą unurzaną w zjełczałej oliwie pieczonych placków, których zapach niósł się od miasta i od portyków okalających Dom Pański na zewnątrz. Hegezynos schodził wzdłuż szpaleru żołnierzy na plac, gdzie czekała już lektyka. Za sobą miał teraz bramę i portyk królewski a w nim — pomiędzy każdą z owych słynnych stu sześćdziesięciu dwu kolumn — masę chałatów brązowych, złotych, granatowych, gładkich i pasiastych poruszających się jak ciasto w jakiejś olbrzymiej dzieży, co podnosiło się i opadało, spływając na plac przed Świątynią. Krzyk bramy sprawił, że znieruchomiły rzędy głów i oczu skierowanych na niego. Każde z tych oczu i ust mówiło mu: „przekłęty!”

Idąc nie mógł pozbyć się wrażenia, że zbudzona z drzemki owym krzykiem zawiasów nienawiść czołga się ku niemu, czujna, niekiedy trwożna, należąca bowiem do podbitego narodu, niemniej jednak nieprzejednana. Zbyt wiele narosło urazów i obelg.

Uprzytomnił sobie, że jeszcze nie minął miesiąc, jak pośliznął się naraz — nie na tym wprawdzie placu, pośpieszył dodać w myślach, lecz w uliczce bocznej, ciemnej — Baruch bar Symeon, zięć samego bankiera Agrykoli, człowiek o dużym majątku i wpływach. Pośliznął się wprawdzie tak, jak zdarzyć się to może każdemu przechodniowi, mało obeznanemu z niedogodnościami drogi, zwłaszcza wyboistej i zarzuconej skórkami owoców, który wstałby zaraz, jednak Baruch bar Symeon nie wstał. Nie próbował nawet oprzeć się o mur.

Zobaczył w myślach salę w pretorium — zwanym inaczej Antonia — salę wychodzącą na taras, ten właśnie, z którego jeszcze przed chwilą patrzył na Jerozolimę. Zobaczył siebie leżącego na sofie naprzeciw przedsionka, z którego wchodzi przesłuchiwani świadkowie zajścia wraz z eskortą. Oparty o sofę siedzi na posadzce tłumacz Aramejczyk — wąty, niepozorny chłopiec — i szybko zapisuje zeznania na woskowej tabliczce. Widzi równocześnie, że eskorta lektyki i tragarze, dotychczas zbici w dwie odrębne grupki, na jego widok stają w szyku.

DOWÓDCA STRAŻY W DZIELNICY MIASTA, GDZIE POPEŁNIONO MORDERSTWO, KTÓREGO IMIENIA HEGEZYNOS JUŻ TERAZ NIE PAMIĘTA:

— Nie wstał, jak sądzę, z tej przyczyny, że upadłszy na plecy, wbić sobie musiał jeszcze głębiej nóż, jaki mu potem sam własnoręcznie wyjąłem.

ŚWIADEK PIERWSZY, KTÓREGO WYGLĄD MYLI SIĘ JUŻ HEGEZYNOSOWI ZE ŚWIADKAMI DRUGIM I TRZECIM:

— Pośliżnięcie się Barucha wydało mi się niewinnym potknięciem.

HEGEZYNOS z ironią, która zdaje się do świadka nie docierać:

— Toteż dopiero po godzinie pośpieszyłeś z pomocą. Doprawdy śpieszyłeś się! Warto by cię nagrodzić!

ŚWIADEK DRUGI, KTÓRY WSZELAKO MOŻE BYĆ TAKŻE ŚWIADKIEM PIERWSZYM LUB TRZECIM:

— Baruch bar Symeon? Wszyscy w mieście szanowali go, wręcz czcili jako tego, kto bogactwo zdobywał drogą najbardziej ze wszystkich legalną. Czy nie legalną drogą jest bowiem. . .

HEGEZYNOS *zastanawiając się, czy użyte słowo w pełnym łacińskim brzmieniu — „collaboratio”, miało tu oznaczać celową, bezczelną złośliwość wobec człowieka znanego niegdyś z bliskich kontaktów z Rzymianami — do świadka dziewiątego, któremu potknięcie się Barucha wydało się również niewinne:*

— Czy kiedy widzisz ten nóż, kojarzy ci się w dalszym ciągu upadek Barucha bar Symeona ze skórką, jak powiedziałeś, figi?

ŚWIADEK DZIEWIĄTY *rozdzierając chałat i podnosząc obie ręce do nieba:*

— Kojarzy mi się, i owszem, tym razem jednak z tą bandą przeklętą, która spokoju nie daje nam, wiernym cesarskim poddanym!

Oburzenie ich, wszystkich trzydziestu dwóch, tylu ich bowiem przesłuchał tego dnia, było głośne, nie widzieli jednak mordercy i nie mogą pomóc władzom. Żałują. Hegezynos dostrzega w ich wzroku osobliwą triumfującą radość. I oto, podchodząc do lektyki, przypomina sobie Barucha bar Symeona, jak ten, grzmocąc się w owłosioną czarnymi kłakami pierś, śmiał się:

— Hegezynosie, jeszcze ze dwa lata pociągnę tu, w Jerozolimie, a potem zwinę cały ten kram i przeniosę się do Aleksandrii. Tam dopiero można zbić majątek!

Przy czym zaś, śmiejąc się, obnażał zęby tym bardziej białe, że odcinały się od śniadej cery i czarnej brody bez jednego siwego włosa. Rechotał, ten zaś śmiech wydobywając się z potężnych płuc, huczał wplatając się teraz w zgrzyt zawiasów bramy garnizonu Antonii, krążący po cichym dotąd placu i czy to upał sprawił, że serce Hegezynosa poczęło bić mocniej, niczym właśnie — to porównanie przemknęło mu przez głowę — młot Wulkana, gdy ten w swej upalnej kuźni wali w kowadło: ha, ha, ha, ha? Natychmiast przypomniał sobie: te zęby widział obnażone raz jeszcze, wtedy to właśnie, gdy ściągnięto płaszcz z twarzy Barucha, podając zarazem na tacy nóż zwyczajny, ordynarny, wykuty w kuźni podrzędnego zapewne jakiegoś wulkana, o ostrzu jednakże cienkim i z rowkiem na spływanie krwi — taki właśnie, jaki w rękawach chałatów noszą sztyletnicy, a po rzymsku siccarci, znani też jako gorliwcy, czyli, po żydowsku z kolei, zeloci.

Pomyślał, że ma rację prokurator Poncjusz, inaczej się o Judei nie wyrażając, jak „kraj przeklęty, niewdzięczny i niebezpieczny”. Jezus bar Nash przekroczył Jordan na wysokości Jerycha i zbliża się do Jerozolimy. Jest więc oddalony o dwa dni drogi od miasta, podczas gdy bar Abba pojutrze, a już najdalej za pięć dni potwierdzi raz jeszcze grozę nazwy Golgota, Wzgórza Czaszki — przekładając to słowo semickie na grekę — przez co padnie postrach na całe stronnictwo siccarich. W atmosferze Jerozolimy wyczuwa jednak coś złego, co trudno byłoby nazwać nastrojem buntu czy nawet tylko niezadowolenia, co jednak określał w myślach jako niepokój przed nadejściem. Czego nadejściem jednak?

Nie było powodu, by spodziewać się wydarzeń bardziej kłopotliwych niż zazwyczaj w czasie Świąt Paschy czy zgoła groźnych, a więc takich, które mogłyby wzbudzić szczególną czujność namiestnictwa Judei, zwłaszcza zaś jego — Hegezynosa, sekretarza prokuratora i urzędnika odpowiedzialnego za pokój rzymski, a jednak spokój był pozorny. Tłumy zalegały portyki i plac; były jak gdyby czymś podrażnione — nie strachem bynajmniej ani tym bardziej paniką, lecz właśnie owym nieokreślonym uczuciem niepokoju przed czymś, co nadejdzie, co już się wyczuwa, nie wiedząc nawet, co by to być miało.

Dyskretnie wytarł dłonie o tunikę, spotniałe naraz — skutkiem jedynie upału, jak starał się sobie wmówić. Wszedł na plac, zbyt może tylko niedbałym, a więc trochę podrygującym krokiem, słysząc za sobą zgrzyt kaligów czterech żołnierzy, z których dwóch wysunęło się naprzód, podczas gdy czterej wartownicy zatrzasnęli bramę garnizonu, tak iż jej zgrzyt ponownie zakołował nad placem — i teraz wydało mu się, że plac najeżył się głowami nawet tych, którzy dotąd leżeli obojętnie, i że te głowy są jak las powstałych nagle pięści. Spokojnie tylko — pomyślał, dotykając palcami pancerza ukrytego pod toga, co mógł uczynić bez wzbudzenia podejrzeń o strach, wsiadał bowiem właśnie do lektyki, którą uniosło czterech tragarzy nie w stronę Bramy Owczej, czyli w kierunku owej uliczki, gdzie tak nieszczęśliwemu poślizgnięciu się uległ Baruch bar Symeon, lecz w kierunku wprost przeciwnym, w ulicę wprawdzie szeroką, obecnie jednak zatłoczoną. Naraz stracił pewność, czy ów niepokój przed czymś, co nie dawało się określić, rzeczywiście przenikał tłum, czy po prostu był w nim samym, jako uczucie niepewności, tym bardziej nie do zniesienia, że ciągle, a już wręcz przytłaczające, gdy tylko wyjdzie się za mury pałacu Heroda lub Antonii i wejdzie w ulice Jerozolimy.

Lektyka zaczęła teraz przeciskać się powoli i Hegezynos pomyślał, że utknie na dobre. Tragarze i żołnierze szli jak duże opancerzone w blachy żółwie.

— Wsparcia, o panie!

Ujrzał w otworze, umyślnie wyciętym w zasłonie, tak jednak, by nie był on widoczny z zewnątrz, jedną z owych ludzkich ohyd, na twarzy której jakby się rozlała kolonia koralowców, jakie zaś spotkać można w każdym prawie zakątku świata, tu zaś na Wschodzie i w afrykańskich koloniach Rzymu szczególnie, jakby już sam klimat i brud sprzyjały tworzeniu się nędzy, tym bardziej rzucającej się w oczy skutkiem tysiąca chorób skóry oraz oczu, chorób nie spotykanych ani w Grecji, ani w Italii, ani nawet w siedlisku wszystkich ludów świata — w Rzymie. Nędzy groźnej, bowiem żadnej, jak podejrzewać to już zaczął w porcie Cezarei, odwetu na owym gigantycznym polipie czerpiącym swoje siły żywotne z niezliczonego mnóstwa swych prowincji — na Rzymie.

Żebraczka przysunęła się do samej lektyki, żołnierz odrzucił ją kopnięciem. Kropla — powiedział w myślach Hegezynos — w morzu owej niewiadomej, która zaczęła wciągać go w siebie niczym bagnisko zatapiające stopniowo, łagodnie. Czyżby i mnie miała zatopić, jak tylu innych przede mną?

Lektyka stanęła. Ataraxia — pomyślał — upragniony stan sennego spokoju, który osiągnąć chce tu departament prowincji Syrii i Azji, którego zaś nigdy chyba nie osiągnie. Zestawianie planów i mrzonek urzędników w dalekim Rzymie z rzeczywistością tu, na Wschodzie, nie deformowaną przez zbyt optymistyczny styl oficjalnych raportów, jakie w imieniu prokuratora wysyłał do stolicy świata, mogło by być dla kpiarza zabawne. Nie był usposobiony do kpin. Pracował tu zaledwie kilka lat, a już nie ulegało dlań wątpliwości, że Piłat był ostatnią osobą, którą należało przysłać na stanowisko prokuratora Judei. Tu potrzebny był ktoś giętki jak sprężyna, cierpliwy i subtelnie wyczuwający nastroje swoich wrogów: króla Judei, obu arcykapłanów, niezłomnie prawych peruszim, gawiedzi miejskiej i chłopów z Galilei, sztyletników, na koniec własnych urzędników i żołnierzy — innymi słowy wszystkich, z którymi się stykał — a najważniejsze, ktoś z dużym poczuciem taktu. Jeśli nawet można było dopatrzeć się w Piłacie cech tamtych, to tej ostatniej z pewnością nie posiadał.

Na Hermesa! — pomyślał — tu w ogóle nie powinni przysyłać rdzennych Rzymian, chyba w ostateczności, do tłumienia powstań! Zastanawiało go, w jaki sposób może wytrzymać tu Piłat w ogniu nieustannych konfliktów z Żydami? Chyba trzymany w sztucznej wytrwałości przez nienawiść, jaką żywili obaj wraz z ministrem Sejanem do tego niespokojnego narodu, tak odrębnego od wszystkich, które spotykało się na Wschodzie, a zarazem tak pełnego owej specyfiki Azji, jaką wciąż zgłębiał, jakiej jednak wciąż nie potrafił zrozumieć.

Patrząc przez wycięty w zasłonie otwór, dojrzał nagle, jak żołnierz, idący wprost na linii jego wzroku, sięgnął za pas, wyjmując stamtąd zwitek niewielki, podłużny i podał go dyskretnie tragarzowi. Ten zaś — znów owym niedbałym, jakby przypadkowym ruchem — uchyliwszy nieco zasłonę, rzucił zwitek na kolana Hegezynosa. Zasłona spadła. Hegezynos oddzielony od spojrzeń ulicy rozwinął go i przeczytał zdanie źle napisane po grecku: „Faroras spotkał się dziś rano z Herodiadą. "Sprawa Apollo",„

W tym momencie lektyka zakołysała się. Tragarze popędzili w lukę utworzoną batogami żołnierzy. Hegezynos nagle wytracony z rozważań o spisku, którego fazę miał oto na owym zwitku przed sobą, pomyślał sobie naraz o sytuacji podobnej, nie jego samego jednak dotyczącej, lecz Epifanesa, swojego poprzednika na stanowisku sekretarza Piłata i szefa policji rzymskiej na Judeę, gdy ten przebywał tę samą i równie tłumną jak dzisiaj ulicę, też bodaj w czasie poprzedzającym, jakieś święto. Ścisłej zaś, o owym momencie, gdy papirusowy zwitek przedostał się z tłumu — tak jak przed chwilą właśnie — do żołnierza czy też już może od tragarza do Epifanesa. Moment ten zapewne podchwycił czyjś wzrok, gdy bowiem wreszcie lektyka dotarła do pierwszego skrzyżowania ulic, padł na nią — z dachu któregoś z owych białych domów bez okien — kamień czy też złom muru, wgniatając dach lektyki do środka, zarazem wgniatając — jak to wyjaśnił osobisty lekarz Poncjusza — w mózg Epifanesa potrzaskane miejscami kości czaszki. Na

skutek tego sekretarz Piłata miał żyć wprawdzie, jednakże życiem pozornym czy ściślej — bezświadomym, powtarzając w równych odstępach czasu wciąż jedno — chyba nie tyle słowo, co raczej dźwięk „ont”, nie przynależny do żadnego języka, podobny do jęku. Cały więc węzeł intryg, tajemnic i szantaży, będących metodą wzajemnych stosunków pomiędzy prokuratorem a Judejczykami, nie mówiąc już o wiedzy szkolnej czy filozoficznej, a także — rzecz jasna — o tym, co mógł zawierać zwitek przekazany wówczas z tłumu żołnierzowi — rozplynął się naraz jakby w jakiejś nocy bez żadnego świetlnego punktu — w nicości, w niepamięci, w czymś, czego właściwie nie można nazwać, co zaś wyrażało się w owym „ont”, dającym świadectwo kruchości osoby ludzkiej, powtarzanym, nie wiadomo dlaczego, z regularnością pisku kół toczącego się wozu, aż do chwili, kiedy z Epifanesa wyjdzie i ta ostatnia resztką życia.

Byłoby — rozmyślał Hegezynos — osobliwym zbiegiem okoliczności, gdyby słowa na owym zwitku miały treść tę samą, którą ja sam odczytałem przed chwilą, o spotkaniu Farorasa z Herodiadą, która to treść nie powinna była w żadnym wypadku dostać się do wiadomości Rzymian, do wiadomości wówczas więc Epifanesa, jego samego zaś — Hegezynosa — obecnie.

Zwitek przekazano mi niedostrzegalnie dla wielu, lecz — przeraził się — czy z pewnością dla wszystkich oczu w tłumie zalegającym ulicę?

Ten list pochodził od CIII, to było jasne, podczas gdy tamten zginął w tłoku, jaki się naraz wytworzył wśród zamieszania, gdy lektyka wypuszczona z rąk tragarzy ugrzęzła nagle pod ciężarem, przewrócona na bok przez tłum miotający się w przerażeniu, i gdy w końcu wypłuła z siebie ciało Epifanesa zaplątanego w jej zasłony. Na wszelki wypadek zniknęło raz na zawsze owych ośmiu ludzi: żołnierzy i tragarzy, z których dwóch miało w palcach zwitek, kto wie, czy nie przekazany z rozmyślną niezręcznością — co też przecież trzeba było brać w rachubę — podchwyconą natychmiast przez czyjeś czujne oczy.

Teraz więc idą obok lektyki Hegezynosa jacyś inni — z tamtymi, rzecz jasna, nic nie mający wspólnego, nie Judejczycy — Samarytanie. Powinni więc — rozważał — być wierni, zwłaszcza że zmienia się ich co tydzień. Ciekawe tylko — komu wierni? Ciekawe także, czy zdają sobie sprawę, że ich także niechybnie by zabito, gdyby i na lektykę Hegezynosa spaść miał jakiś kamień czy odłamek muru? Warto by to wiedzieć, choćby po to, by czuć się pewniej. Nigdy nie będzie tego wiedział. Do Rzymian nie powinna się więc dostać ta wiadomość o spotkaniu Farorasa z Herodiadą. Tak zapewne można by twierdzić utożsamiając Epifanesa, następnie zaś jego, Hegezynosa, z Rzymianami, a więc poniekąd i z samym Poncjuszem. A jednak był tu pewien element szczególny. Co do Epifanesa, wiedzieć tego wprawdzie nie można, ale co się tyczy jego, Hegezynosa, to zarówno treść zwitka dopiero co mu dostarczonego, jak i treść innych, dotyczących spotkań Farorasa z Herodiadą w sprawie zwanej „Apollo”, nie zostanie Piłatowi udostępniona, lecz zachowa się ją na wyłączny użytek. . . Użytek? — powtórzył w myślach.

To niewłaściwe słowo. Raczej rzec by trzeba: bezużytek, bowiem wiadomość o F. i H. w sprawie „A” złożona zostanie do najbardziej sekretnego, równocześnie zaś najbardziej pewnego schowka, jakim mógł rozporządzać, a jakim mogła być tylko jego własna pamięć. Jej waga bowiem polegać miała — dla niego przynajmniej — właśnie na bezużyteczności, z którą wysłannik Partów — zgoła tego nawet nie podejrzewając, jak i nikt chyba w całym imperium rzymskim! — mógł spokojnie spotykać się z żoną króla Galilei wbrew interesom, a nawet z przypuszczalną szkodą dla cesarstwa, czyli bez jakiegokolwiek przeciwdziałania ze strony Hegezyna. Co więcej: wbrew wiedzy Poncjusza Piłata, prokuratora Judei.

O tym jednak — natychmiast podszeptął mu niepokój — nie mógł wiedzieć posiadacz czujnych oczu w tłumie czy też miotacz kamieni z dachu domu, czy wreszcie rozkazodawca ich obu. Czy też może przeciwnie właśnie: wiedział? Gdyby mieć pewność — pomyślał — kto naprawdę kryje się za wypadkiem Epifanesa: Partowie, Herodiada czy sam Piłat?

Ożyły mu w pamięci port i miasto Cezarea, do której przybiła wojenna pentera idąca z Syrakuz przez Kretę i Cypr, panorama budynków nadbrzeżnych i bulwarów z gmachami giełdy, a także ludzie biegnący na spotkanie okrętu, ich wrzask w kilkunastu językach, wśród których przeważa aramejski, dopiero potem — i to znacznie rzadziej — grecki, nie mówiąc już o łacinie, którą słyszy się tak omal rzadko, jak języki egipski czy też perski, choć większość z tych ludzi zachwalających swój towar to przecież poddani Rzymu. Równocześnie zaś ożywają w pamięci uczucia, jakich doznawał wówczas i jeszcze wcześniej, gdy w Syrakuzach wchodził po trapie na ów kolos rzymskiej floty wojennej z pięcioma rzędami wiosł poruszających się równomiernie, wraz z niestrudzonym śpiewem niewolników, przez całą drogę wzdłuż morza zwanego Śródziemnym lub Naszym. Czuł pod palcami nominację na urząd w Judei wszytą na przedzie tuniki i odebraną w stolicy świata, w którejś z niezliczonych ciemnowych cesarskich kancelarii tak podobnych do siebie, wypełnionych pięcioma szeregami niewolników ciemności i stłamszonego smrodu całych pokoleń — niewolników równie zgarbionych, jak ci pod pokładem pentery, lecz w przeciwieństwie do nich milczących z reguły: skrybów.

Uczucia te zaś sprowadzają się w gruncie rzeczy do satysfakcji, że oto pierwszy krok został uczyniony. Był to krok, ku któremu przygotowywał się od trzech lat, czyli od chwili, gdy Demetrios, zwany Epikurejczykiem, został wybrany na urząd archonta Abdery na skutek gorliwej propagandy połączonej z festynem ludowym i uroczystym wystawieniem komedii Menandra „Menechmoi” o bliźniakach, którzy nic o sobie wzajemnie nie wiedzą, toteż rzucają dwukrotnie srebrne pieniądze w tłum i obiecują miastu pomyślność, gdy tylko obywatele wybiorą archontem Demetriososa. To było już, oczywiście, wstawką, jaką dopisał do tekstu Menandra sam Demetrios, krzywiąc się z niesmakiem, że tak tanimi środkami zdobywać musi u ludu popularność.

Ujrzał siebie z Demetriosem w noc pożegnalną poprzedzającą wyjazd z Abdery do Aten, stamtąd zaś do stolicy świata. Ojciec śpieszył się na uroczyste Dionizja, toteż rzucił synowi na pożegnanie słowa będące właściwie kwestią wypowiedzaną przez sługę jednego z bliźniaków:

— Któż to tam idzie ulicą, na Zeusa? Menechmos, pan mój, czy zgoła kto inny? A teraz hajre — bądź zdrow, Hegezynosie! — i to było wszystko.

Ton ich jednak był tak szczególny, że utkwiły Hegezynosowi w pamięci i myślał o nich, zabiegając w stolicy świata o jakieś okno prowadzące z dostojnictw municypalnych w labirynt urzędów i funkcji państwowych, chociażby nawet prowincjonalnych. Co do wagi tych zabiegów nie miał wątpliwości. Gdyby przyniosły sukces, zmieniłyby jego sytuację, a poniekąd także i Demetriosą, przenosząc ich od świata rządzonych, jakimi wciąż nie przestawali być Grecy, w świat rządzących, chociaż w tym drugim świecie coraz częściej spotykało się wyzwolenców, byłych niewolników czy przyjezdnych z prowincji, a więc Greków, Żydów, Syryjczyków, Egipcjan lub Hiszpanów zrzymiałych tylko, więc nierzadko latynizujących także swoje palestyńskie czy galijskie imiona — i to od pamiętnego czynu Juliusza Cezara, który pierwszy wprowadził synów niewolników i wyzwolenców do senatu — coraz mniej natomiast rdzennych Rzymian czy choćby Italików, zbyt na ogół nieokrzesanych i prostych, by mogli wejść na stałe i, co ważniejsze, wejść naprawdę do świata rządzących, nie zaś rządzonych.

Teraz więc okno otworzyło się w Judei. Pytanie tylko, czy skutkiem działania bogini Tyche, a więc trafu, czy też raczej skutkiem planowego działania Demetriosą Epikurejczyka, który upodobał sobie dla syna właśnie Judeę?

W pierwszym wypadku Hegezynos musiałby przypuścić, że nieszcześnie, jakimu uległ Epifanes, otworzyło po prostu wolne miejsce w urzędzie departamentu prowincji Syrii i Azji. Wystarczyło wcisnąć się nań, równie dobrze, jak na pierwszą z brzegu inną wolną posadę w jakimkolwiek innym departamencie — Germanii, Galii czy Kapadocji. W drugim, że dopóki nie otworzyłyby się wolny urząd w Judei — i tylko w tej spośród wszystkich części rzymskiego cesarstwa — on, Hegezynos, do dnia dzisiejszego, być może, wycierałby ściany domów urzędników i wpływowych Rzymianek.

Ustają miarowe kroki żołnierzy i kołysanie lektyki. Czuje, jak tragarze spuszcza ją z ramion, i myśli równocześnie, że list, jaki otrzymał od Abderyty, osiadłego w Rzymie i znającego na wylot stosunki, mógłby potwierdzić tezę, że Demetrios zupełnie świadomie i planowo usytuować go chciał w Judei właśnie.

List ten bowiem — o ile pamiętał — nosił treść: „Ojciec przysłał ci pieniądze. Tym razem jednak na grę w kości. H. będzie pojutrze na zwykłym przyjęciu u K. Spróbuj z nim szczęścia”.

K. — rzecz jasna — była to Kalwia. Wiadomość zaś, że zjawi się u niej Hyakinthos, jeden z sekretarzy pierwszego ministra Sejana, była dla Hegezynosa dużym zaskoczeniem. Wsnuć mógł z niej wniosek, że Kalwia idzie w górę na

gieldzie stołecznych kurtyzan, a po drugie, że trafia mu się okazja, której nie powinien przeoczyć.

„Któż więc tam idzie ulicą, na Zeusa? Menechmos, pan mój?” — ten wiersz musiał mieć jakieś znaczenie. Wówczas, w domu Kalwii rzuciwszy ostatnią sestercję, wyszedł w noc, chłodną o tej porze roku, poprzedzany przez chłopca niosącego latarnię. Kto właściwie — rozważał — grał i przegrał z Hyakinthosem, wygrywając zarazem urząd: on, Hegezynos, czy też jego ojciec, Demetrios?

Już więc wówczas na trapie pentery, gdy wychodził na brzeg Cezarei, wydało mu się, że skoro Abderyta, jego ziomek, doradził mu grę właśnie z Hyakinthosem, musiał wiedzieć już o wypadku Epifanesa. Równocześnie jednak sam Hyakinthos był zapewne uprzedzony o istnieniu i zabiegach Hegezynosa. Dlaczego jednak właśnie Hyakinthos, a nie żaden inny z sekretarzy Sejana? I dlaczego właśnie po wypadku Epifanesa, a nie po odejściu ze służby lub przeniesieniu jakiegokolwiek innego urzędnika w Germanii czy w Galii? Uświadomił sobie, że Hyakinthos był sekretarzem Sejana do spraw Syrii i Judei. Przetrawianie tej myśli zajęło mu całą podróż. Potem jednak zadał sobie pytanie, czy wytrawny gracz Demetrios Epikurejczyk nie miał na uwadze jakiegoś szczegółu, który mógł, wykorzystany umiejętnie, uczynić karierę syna szybką, trwałą i efektowną? Pod warunkiem rozumu i taktu, jaki by musiał wykazać ze swej strony sam Hegezynos, to jasne. Czyżby warunek ten był powodem, dla którego Demetrios nie uznał za wskazane wtajemniczyć go w swoje zamierzenia? Innymi więc słowy: zrobi Hegezynos karierę, jeśli wykryje lub wyczuje plany Demetriosa względem siebie.

Patrząc na miasto i port Cezarei, gdy krążownik dobijał do mola, powiedział sobie, że je wykryje niezależnie od tego, czy są faktem realnym, czy tworem jego wyobraźni.

Wykrył je. Tak mu się wydało, gdy po raz pierwszy otrzymał wiadomość o spotkaniu Herodiady z Farorasem w sprawie nazywanej „Apollo”.

Sprawy tej Demetrios nie mógł znać, jednak nieomylną, grecką intuicją wiedziony mógł wyczuć to, co Hegezynos stwierdził raz jeszcze — dzisiaj, gdy jego lektyka przeciskała się przez tłum paschalny: skoro Judea jest rzeczywiście tak niespokojnym krajem, za jaki uchodzi wśród Greków w Rzymie, znających dobrze sytuację prowincji, to niemożliwe, by tej sytuacji nie starali się wykorzystać Partowie, czyniąc z niej kanał, którym przecieka partyjskość pod jakąkolwiek postacią: pism, posągów i zabobonów, a także — co ważniejsze — broni, szpiegów i wichrzycieli. Kanał wciąż tajny w przeciwieństwie do kanału jawnego, doskonale znanego wszystkim: Armenii, przez to jednak tym ważniejszy, otwierający więcej możliwości dla kogoś, komu bogowie dali energię i spryt.

Wysiada z lektyki. Wtedy, w Cezarei nie wiedział jeszcze, w jaki sposób wypełni plan Demetriosa, a przynajmniej jego następną fazę: przejścia od świata rządzących do rządców świata. Teraz już wie. Ma dwadzieścia siedem lat — to jeszcze bardzo mało — i jest potomkiem Kodrydów, więc dalekim krewnym Pla-

tona z małej wprawdzie, rzuconej do Tracji, gałązki rodu. Dziś Kodrydzi poczytują sobie za zaszczyt, że mogą nosić złoty pierścień rycerzy rzymskich, ale kiedyś rządzą Atenami. Mają za sobą już to, czego jeszcze nie mają Rzymianie. Poncjusz — rozmyśla — Septymiusze, Tulliusze, ci wojownicy o swobodnych, rażących manierach, hałaśliwi i butni mają prawdziwy dar zrażania do siebie wszystkich bezmyślnie i bezcelowo, choć nie są nawet specjalnie okrutni. Są niedojrzali i bez doświadczenia, jakie mają tylko stare kultury i narody. Są jak młody osiłek, który próbuje swej mocy na każdym spotkanym na drodze płocie. On, Grek, wsączy się w szeregi tych barbarzyńców, jak to uprzednio uczynił już Demetrios, wsączy się następnie w ich umysły, jak tyłu już przed nim znakomitych jego rodaków: Zenon z Kitionu, Menander, Safona. Wsączy się, wszelako... „Któż to tam idzie ulicą, na Zeusa? Menechmos, pan mój, czy zgoła kto inny?” Czy można, czy należy przestać być sobą, Grekiem?

* * *

Poncjusz Piłat siedział w krześle, miał za sobą nieprzespaną noc. Jego chuda, zgryźliwa twarz wydawała się jeszcze bardziej żółta i zwiędła. Jak większość ludzi złośliwych i agresywnych, był tchórzem ukrywającym starannie swoje słabe strony w nadziei, że nikt ich nie dostrzeże, ale Hegezynos znał się na ludziach. Wiedział, że Piłat znów przeżywa jeden ze swoich nastrojów lęku, jakie go nawiedzają od czasów upadku Sejana. Boi się śmierci i wciąż go nawiedza ten sam sen: Umarł już, ale tam nie ma ani pałacu Plutona, ani Styksu. Nie ma nic: nieokreślona przestrzeń, szara jak dym i bezkresna; idzie przez nią on, Poncjusz Piłat, i jest mu zimno. Postrzega raptem, że to po prostu mgła, a on nigdzie nie idzie, tylko w niej wisi, poruszając nogami przez nieskończoność czasu, jak mucha schwytna na jakiś dziwny lep.

— Jestem niewinny! — krzyczy.

Hegezynos nie jest pewny, czy Piłat miewa ten sen naprawdę, czy go wymyślił w nadziei, że wieść o śnie dotrze do Rzymu i cesarz zostawi go w spokoju, jako człowieka bez wątpienia chorego, równocześnie trudno mieć wątpiwości, że równowaga nerwowa Piłata została zachwiana.

— Są listy z Rzymu? — skrzypi Piłat swoim nieprzyjemnym, kwaskowatym głosem, rozciągając policzki w szyderyczym uśmieszku.

Uśmiech ten jednak przecina policzek żałośnie jak blizna. Piłat wciąż oczekuje listu z Rzymu, w którym cesarz poradziłby mu samobójstwo: „My, Gajusz Tyberiusz Cezar Augustus Princeps Senatus et Imperator miłemu przyjacielowi naszemu Poncjuszowi...”

— Nie. W dalszym ciągu brak.

— Szkoda — mówi Piłat fałszywie. — Oczekiwałem elegii Tibulla.

— Jak noc? — pytanie to zadaje Hegezynos tonem troski.

— Dziękuję — wzdycha Piłat — miałem sen.

— Znów ten sam? — dziwi się Hegezynos, myśląc równocześnie, że Piłat, jakkolwiek by się przedstawiała prawda ze snem, jest już zupełnie skończony i rozgrywka z nim powinna pójść łatwo.

— Niestety — mówi Piłat, myśląc jednocześnie: fałszywy ton wyczuwam w głosie tego Greka. Czy naprawdę nie było listów z Rzymu? Sprawdzę to.

Badają się wzrokiem jak dwaj gladiatorzy mający stoczyć z sobą walkę na arenie. Walkę na śmierć i życie.

— Kazałem śledzić Jezusa bar Nash — mówi Hegezynos — tego wieszczka z Galilei.

Ale Piłata to nie interesuje. I on ma intuicję wyostrzoną wypadkami w Rzymie. Coś ma w zanadru ten podstępny i niebezpieczny człowiek. Poleciał Trasyllowski szpiegować Hegezynosa, teraz jednak przychodzi mu na myśl możliwość, której nie dostrzegł, że oto ci dwaj Grecy porozumieli się z sobą za jego plecami, a jeśli tak — warto by wysunąć jeszcze kogoś, kto śledziłby Trasyllosa. Piłat szuka w pamięci znajomych twarzy i nazwisk.

— Że też nikomu dziś nie można ufać — mruczy.

Jego wyobraźnia stworzyła naraz w podnieceniu obraz wielkiej równiny podobnej do tej, jaką widuje we śnie, tym razem jednak nie pustej, lecz wypełnionej czymś w rodzaju drzew. Nie, to nie drzewa — to jakby worki maszerujące ku niemu niczym szeregi morskich bałwanów. W taki sposób właśnie — myśli — otoczono naraz Cezara.

W jego dłoni wyrasta miecz, tnie worek czołgający się już u jego stóp, który opada bezwładnie i sflaczały, wszelako na jego miejsce przychodzi drugi, trzeci, czwarty, piąty — Piłat tnie je i liczy: szósty, siódmy, ósmy. Czuje znużenie, a worki idą, otaczają go, podchodzą coraz bliżej niczym spiskowcy w sali senatu. Nie ma już sił, worki zlewają mu się w jakąś bezkształtną, amebowatą chmurę, z której zaraz wyłoni się Brutus, która ryczy:

— Salve Iuli, salve imperator, salve Auguste Caesar Tiberi!

Nie jest Piłatem, prokuratorem Rzymu na Judeę. Nie jest Cezarem w Idy marcowe. Odkrywa naraz, kim jest: Tyberiuszem. Samotnik z Capri to on. Ściął Sejana, ściął Hyakintha, każe ściąć Hegezynosa, Trasyllosa i Antypasa, swoich wrogów, ale przekłęty krzyk: „Salve Iuli, salve imperator” jest jak woda, co się przedarła przez śluzy i pędząc zatapia jego, Poncjusza Piłata Tyberiusza Cezara, kładzie mu się na pierś, jak but Brutusa.

Otwiera usta, ale zamiast wykorzystać tę chwilę, by po raz ostatni chwycić powietrze w płuca, sam krzyczy:

— Salve Iuli, salve Auguste, salve imperator Tiberi!

Hegezynos wyczuwa, że Piłat prawdopodobnie go przejrzał, a jeśli tak, może by od niechcienia wspomnieć o możliwości kontaktów partyjskich z Herodiadą ja-

ko o rzeczy mało ważnej. Z drugiej strony, jeśli by jednak nie miało to rozwiązać, lecz przeciwnie — pogłębić jeszcze podejrzenia Piłata, wskazałoby mu to ślad, który zamierzał przed nim ukryć, przynajmniej do czasu przyjazdu Marcellusa. Trzeba przyspieszyć ten przyjazd — pomyślał. Może nawet zbyt długo zwlekałem, czekając, aż sprawa „Apollo” dojrzeje całkowicie.

PIŁAT:

— Jezus bar Nash nie wydaje mi się postacią ważną.

Myśląc równocześnie:

Może jednak podejrzenie Trasyllosa o zdradę było przedwczesne? Przekazał mi przecież wiadomość o liście do Damaszku, prawdopodobnie do Marcellusa. Ciekawe, jaką ma sprawę sekretarz prokuratora Judei i szef policji do sekretarza legata Syrii? Zdobył wiadomość, którą chce sprzedać temu ostatniemu za moimi plecami, to jasne.

HEGEZYNOS:

— Król Antypas wysłał dziś rano tajny list do Rzymu.

PIŁAT:

— Ty, oczywiście, znów się nie postarałeś, by kopia listu znalazła się w pretorium?

W myślach:

A jednak Grek coś knuje. W przeciwnym razie nie powiedziałby tak nagle o liście Antypasa, a jeśli tak, to wiadomość, jaką chce sprzedać Marcellusowi musi być wagi nieporównanie większej niż intrygi Antypasa. Coś się szykuje, o czym legat Syrii będzie wiedział wcześniej niż bezpośredni zarządca Judei, co spowoduje ostateczny kres jego urzędowania, jeśli nie życia. Mojego życia. Wreszcie przypomniał sobie o mnie w Rzymie. Jestem zniszczony. Przegrany ostatecznie. Czy to możliwe, by było aż tak źle?

HEGEZYNOS:

— Antypas wykrył człowieka, który sporządzał nam kopie. Znaleźć drugiego nie było sprawą łatwą, jednak znalazłem go.

PIŁAT:

— Masz więc kopię?

HEGEZYNOS:

— Zostawiam ci ją, przyjacielu cesarski.

Listy Antypasa było to coś oczywistego, coś jak noce, powodzie czy upały, dręczące wprawdzie, lecz nie do uniknięcia. Ten człowiek uczynił z nich sens życia i Piłat przywykł do tego. Powtarzały się z regularnością spadających kropel i nie sądził, by mógł się kiedyś im przeciwstawić. Pisać kontrdoniesienia? Nie miał na to czasu. W listach króla Galilei prawda mieszała się z bzdurą, kłamstwa przejrzyste i naiwne z pozorami słuszności. Antypas zresztą nie troszczył się o prawdę. Jego wywiad był nieudolny i musiał to jakoś sztukować, a może to była

metoda, w myśl której nawet kłamstwo ustawicznie powtarzane przybierać mogło pozór prawdy? co więcej — stawać się oczywistością?

Piłatowi nie znany był jednak wypadek, by listy Antypasa budziły jakikolwiek oddźwięk. Były jak kamienie rzucane do rzeki, jednak znajomość stosunków urzędowych nauczyła go ostrożności. Wiedział, że listy te składane są porządnie w zamknięciu i starannie ponumerowane. Któregoś dnia, być może, ktoś zechce z nich zrobić użytek. Z tym musiał liczyć się od początku swojej kariery w Judei.

Ciekawe — pomyślał — czy ten królik zdołał utracić Waleriusza Gratusa? Jeśli tak, jego imponująca praca miałaby jakiś sens: byłaby jak kropla cierpliwie drążąca skałę. Na miejsce utraconego przychodzi jednak zawsze nowy urzędnik — i całą pracę trzeba zaczynać od początku. A może naiwnie wyobraża sobie, że w ten sposób rozkruszy skałę Rzymu?

HEGEZYNOS w myślach:

Chyba Marcellus nie poczyta propozycji przyjazdu do Jerozolimy za bezczelną. Gdybym ja pojechał do Damaszku, Piłat natychmiast powzięłby podejrzenia.

Słownie:

— Mam nadzieję, że wasza dostojność jest ze mnie zadowolony.

PIŁAT w myślach:

Jeśli przekazuje mu wiadomość listownie, to tylko szyfrem. Od trzech lat nie był w Damaszku, a Marcellus jest zbyt ostrożny, by posługiwać się pośrednikami. Pytanie jednak, czy przekazuje, czy dopiero zamierza przekazywać? Chyba to drugie. Trasyllus doniósł tylko o jednym liście. Sprawa więc byłaby dopiero w stadium początkowym.

Słownie:

— Rzeczywiście, widzę, że starasz się, jak możesz.

HEGEZYNOS:

— Czy wasza dostojność każe zarządzić w tej sprawie jakieś przeciwdziałanie?

PIŁAT — czytając list — w myślach:

Dziwnie dobrą mój przyjaciel Antypas wykazuje orientację w sprawach fiskalnych. Czyżby wśród księgowych zdobył sobie kogoś zaufanego? To mogłoby się okazać niebezpieczne.

Słownie:

— Zastanowię się. To byłoby wszystko na dziś. Możesz teraz złożyć wizytę mojej żonie.

HEGEZYNOS w myślach:

Nie, na szczęście złe odniosłem wrażenie. Ten stary matole wciąż nie orientuje się w niczym i niczego się nie domyśla. Menechmos, pan mój?

Słownie:

— Niech bogini Tyche czuwa nad waszą dostojnością.

Wizyty jednak żonie Piłata nie złożył. Aspazja nie zamierzała go przyjąć. Wyczuwał już od dawna, niechęć, z jaką Rzymianka traktowała Greków zbyt układnych, jak na jej prostolinijną umysłowość, której sympatie i niechęć objawiały się z istic rzymską otwartością. Barbarzyńską i naiwną — myślał pogardliwie Hegezynos. Wciąż jesteśmy dla nich — rozważał z goryczą — czymś w rodzaju wyzwoleńców dopuszczonych do łask, których się wprawdzie ceni, dopóki są potrzebni, którym się jednak daje odczuć wyższość.

Zwłaszcza tu, w prowincjach, wszystko nabierało innych proporcji niż w Rzymie, stawało się jakby wypaczone. Intryganctwo i snobizm przestawały być wadą. Stawały się chorobą, czymś monstualnym jak egzema lub liszaj. Czy to odmienny klimat sprawia, czy obyczaje tak odmiennie od naszych, czy po prostu fakt, że jest nas zaledwie kilku Rzymian, w tym tylko dwoje autentycznych, odciętych od Rzymu, i otacza nas prawdziwy mur wrogości i podejrzeń? Jesteśmy wyspą — mówił w myślach — a to potrafi wypaczyć każdy charakter. Wyspą ludzi nie znoszących się wzajemnie. Podbite prowincje wysysają zwycięzcę — to było dlań oczywiste. Niełatwo być panem świata — to demoralizuje i osłabia.

Rozwinął zwój pieśni Horacjusza, które zabrał z sobą, chcąc pokazać Aspazji. Czytając poezję odpoczywał i udawało mu się zapomnieć o wszystkim. „Uciekła mi bogini — czytał — uciekła mi bogini miłości. Na Cypr uciekła. Czy wróci?” Sam Horacjusz — pomyślał — też nie był przecież Rzymianinem, lecz synem wyzwolenca — jakiegoś Żyda czy mieszkańca Babilonii, a jednak podkreślał on swą rzymskość z dumą nie mniejszą od dumy Grakchów czy Kuriacjuszów.

Ujrzał siebie idącego przez Forum wzdłuż owych kolumn ni to korynekich, ni rzymskich rodzimych, w jakimś odrębnym szczególnym stylu, jak i podpierrane przez nie budowle pełne bogactwa, marmurów i greckiej lekkości, zarazem spokojne, godne, w czymś podobne do małej świątynki Westy — bynajmniej nie wyglądem, raczej nastrojem, w którym greckość, żydowskość, syryjskość i stara rzymskość nie tworzyły walczących z sobą elementów, lecz harmonię. Obce sobie pierwiastki stopiły się w jedność. Szedł między szeregami zdobywców świata patrzących nań z góry z charakterystyczną żołnierską surowością, jakże komiczną w połączeniu z grecczyzną, słabą wprawdzie, jednakże pracowicie ćwiczoną!

Ujrzał siebie następnie już tu, w Jerozolimie przed Piłatem. Piłat otwiera usta i Hegezynos widzi ich wewnątrz podobne do wnętrza muszli. Piłat jest jeszcze u szczytu powodzenia, dopiero za kilkanaście miesięcy zginie Sejan. To nie ten sam Poncjusz, który siedzi teraz w fotelu nawiedzany przez zmyślone czy rzeczywiste senne zmory, ten natomiast, który nie wahał się prowokować Żydów, ryzykując otwarty bunt, arogancki i władczy wobec zależnych od siebie i upokarzający ich ze złośliwą satysfakcją zwycięzcy.

— Hegezynosie — szydzi Piłat — pozwoliłeś umknąć terroryście bar Abba, czy też nie?

— Pozwoliłem, przyjacielu cesarski — przyznaje się, klęcząc, Hegezynos.

— Pomimo, że dałem ci do dyspozycji wszystkie środki potrzebne do zatrzymania tego bandyty? Miałeś ponadto pieniądze.

W tym momencie spada mu z kolan pieniędzy i toczy się, zakreślając spirale wzdłuż sali.

— Znów mi się wymknął — mówi bezczelnie Piłat — podnieś z łaski swojej.

Ujmuje w palce kielich, popija zeń i wylewa sobie wino na piersi, rozmazuje je, śmiejąc się głupawo.

Hegezynos pomimo ponizenia przygląda mu się, jak cała ogłada spada z tego żołdaka, obnażając prawdę.

— Ecce romanitas, oto ich rzymskość — szepcze i chyba nie potrafi ukryć politowania, skoro Piłat wyczuwa je. Jest zażenowany, ale przez to tym bardziej prostacki. Klepie po tyłku tancerza, przerywając jego kunsztowny piruet, i naraz ryczy, jak za dawnych czasów, gdy był kapitanem legionu w Kapadocji i prowadził żołnierzy do szturm:

— Prędeż podnoś, bo cię wyślę z powrotem do Rzymu. Takich, jak ty czeka tam już wielu na twoje miejsce, by mi spaskudzić opinię w Judei! Partaczem może być każdy!

Mirtowy wieniec przekrzywił mu się na głowie, płaszcz spadł. Hegezynos podnosi pieniądze, po czym drachma ponownie spada i Hegezynos szuka jej znów na czworakach pomiędzy nóżkami sofy, wiedząc, że siedzi przed nim pan świata, który może z nim uczynić, co zechce. Subtelniejsza od męża Aspazja ma twarz jak wykutą z kamienia, bez cienia uśmiechu. Hegezynos w tym momencie jest jej za to wdzięczny, jednocześnie zaś, gdy czołga się po posadzce, by po chwili znów popędzić w pogoń za drachmą, spotyka jej wzrok. Nie ma złudzeń. Rzymianka uważa go za istotę bezwzględnie od siebie niższą, wzrok jej jednak jest pełen współczucia wtedy jeszcze, gdy Hegezynos spełnia ostatnie żądanie znudzonego wreszcie swym błazeństwem prokuratora:

— Pij do dna, Greku!

Przemierzał salę ze zwojem Horacjusza, wchłaniając w siebie słoneczną jasność rytmu jego wierszy: początek trzeciej księgi o brzmieniu majestatycznym. Wiersze były niczym brązowe tarcze, w które poeta uderzał słowami dźwięcznymi jak miecze lub jak krok maszerujących żołnierzy. Czytając strofy, znane w świecie jako ody rzymskie, czuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć. Co jest Rzymem? — pomyślał — co jest naprawdę Rzymem? Rzym miał dwie twarze jak bóg Janus, tamtą — żołdacką, prymitywną i tę trwalszą od spiżu, którą wykładał Syrorzymianin Horacjusz. Ze strof wierszy płynęła ku niemu duma. Horacy był jak Tyrteusz, który zagrzewał serca idących do walki i pozwalał im walkę wygrywać. Duma ta zmuszała jego, Hegezynosa, by cenił swój pierścień ekwity, choćby kupiony przez Demetriosą Epikurejczyka, równie jak godności strategów czy polemarchów Abdery sprawowanych niegdyś przez wspólnych przodków ich obu. Był Rzymianinem i elementem rzymskiego świata, a jednocześnie Grekiem,

którego język jest w tym świecie mową ludzi wykształconych. Rzymskość i greckość zaczęła mu się zlewać w bliźniacze maski obu Menechmów. Którąś z obu masek musiał wybrać. Nagle wydał się sobie cudzoziemcem tu, w Judei, w Rzymie, teraz nawet w Abderze. Gdy Piłat rzucał mu pieniążek, czuł się Grekiem, czytając Horacjusza, chłonąc tę wielką sztukę jest znów Rzymianinem, a jednak greckość jest w nim, dwie dusze, dwa przeciwstawne sobie żywioły. Czy można być jednocześnie Grekiem i Rzymianinem?

* * *

Człowiek zwany czterdziestym pierwszym szedł wzdłuż rzeki drogą z Jerycho do Betanii, czując za plecami oddechy rzeszy. Jeśliby je zebrać razem — pomyślał — zaprawdę mógłby utworzyć się podmuch przestawiający góry. To jakoś w tym rodzaju wyraził się ów Jezus Syn Człowieczy, według niektórych Mesjasz.

Człowiek zwany czterdziestym pierwszym zna Wschód i Judeę, jak linie własnej dłoni. Wydaje mu się, że zna również siebie, zwłaszcza od czasu, gdy on, Żyd zrodzony w koszarach dla niewolników Wielkiej Diany Efeskiej uprawiających jej pola, napluł na swą żydowskość, by stać się niewolnikiem Romy, bogini potężniejszej, która odebrała mu imię, znacząc go numerem, jakim znaczyło się Żydów wysyłanych potajemnie do Judei, gdzie rozpoczął działanie Athrongas zwany Nieuchwytnym lub Synem Śmierci, lub wreszcie Najgorliwszym, o ile godzi się stopniować gorliwość rozwścieczonych w swym uporze sztyletników. Grupa ludzi bez imion, do której należał, wysłana została, by wreszcie otoczyć Nieuchwytnego i oddać go na stracenie legionistom prokuratora, wówczas jeszcze nie Poncjusza, lecz Waleriusza Gratusa. Przed wysłaniem zamknięto ich w budynkach przypominających wprawdzie tamte, efeskie koszary, lecz już bez kajdan na nogach. Nie zakładano ich przywiezionym tu ze wszystkich części świata numerom, które spełniać musiały trzy warunki: brak mianowicie piętna niewolniczego wypalonego na skórze, znak przymierza pomiędzy Abrahamem i Panem i po trzeciej doskonałą — jak na amhaarecim przynajmniej — znajomość języka i obyczajów. Nie mówiąc o gotowości, by swą ciężką niewolę zamienić na wolność wobec prawa.

Te wszystkie warunki spełniał, więc został poddany ćwiczeniom. Jego nowi pogromcy, Grecy lub Żydzi zgreczeni, dokładnie więc znający grecką filozofię i obyczaje, twierdzili żartem, że są to ćwiczenia, jakie przepisał swoim uczniom wielki Pitagoras, twierząc, że człowiek uczy się mówić w dwa lata, uczyć się milczeć zaś powinien całe życie. Równocześnie stosowano ćwiczenia podobne misteriom Apollina w Delos, zmierzają bowiem do poznania samego siebie przez każdego z numerowanych, szczególnie zaś własnej pogardy śmierci, przytomności umysłu i odwagi.

Athrongas więc został ukrzyżowany podobnie jak inny sztyletnik Teodas. Człowiek zwany czterdziestym pierwszym zna bliżej tę sprawę, podobnie jak zna ją człowiek zwany ósmym, ten sam, który nie zdążył potem wydać policji bar Abby sam przezeń usunięty. Bar Abba wówczas zbiegł, zostawiwszy jednakże swój ślad człowiekowi zwanemu trzynastym, którego oto człowiek czterdziesty pierwszy widzi, jak idzie nieomal ramię w ramię z człowiekiem zwanym sześćdziesiątym ósmym, jednym z najbliższych uczniów Jezusa bar Nash z Nazaretu, w celu zapewne dyskretnej kontroli pracy sześćdziesiątego ósmego.

Obaj — rzecz jasna — nawet się nie domyślają obecności zwierzchnika, który ma oto sytuację jasną jak na dłoni. Maszał Jezusa o przenoszeniu gór pobudził jego wyobraźnię. Gdyby jednak on sam znalazł w sobie dość wiary, by stać się przenosicielem gór oker harim, przeniósłby górę Syon, na której Pan objawił się Mojżeszowi, na wielką równinę efeską. Oddał się marzeniu o tym, jak niewolnicy Wielkiej Diany — Żydzi, Grecy, Kapadocy, Dakowie wdrapują się na tę górę i tam znajdują wyzwolenie. Podnoszą dłonie i wołają: „Witaj, jesteś jak Mojżesz”. Nie ma już panów ani niewolników, ani skrzywdzonych, ani tych, którzy upokarzają i krzywdzą. Wszyscy są wolni w świetle nauki o zrównaniu wobec Jedynego Jahwe. Znikają rządcy świata — Rzymianie, a także sztyletnicy walczący terrorem o wolność Izraela, więc siłą rzeczy i. renegaci, tacy jak on — zdrajca własnego narodu. Wszyscy są braćmi — nareszcie byłby oczyszczony! Wydało mu się, że Jezus bar Nash przemawiał wtedy specjalnie do niego tak, jakby go dobrze znał i przejrzał jego najbardziej ukryte pragnienia. Być wolny — pomyślał — wreszcie rzucić z siebie to wszystko!

Z tyłu za sobą usłyszał rozmowę. Natychmiast zwolnił kroku. Trzej ludzie kłócili się na odwieczny temat, kim jest Mesjasz.

— „Przyjdzie król ze Wschodu i ciebie, Rzymie, obali. Rzuci cię na kolana, wszetecznico. Postawi but na twym łonie.” Ktoś cytował przepowiednię Sybilli krążącą w odpisach po wszystkich miastach cesarstwa.

— Partowie mówią, że to Mitras — odpowiedział czyjś głos sceptyczny, powściągliwy.

— To kłamstwo — zawołał głos pierwszy — wiadomo, że to Mesjasz.

— Może On? — wtrącił się zaraz z wyraźną drwiną głos, przeciągający słowa w sposób sztuczny, namaszczony. XLI poznał po nosowym, uroczystym brzmieniu, że należeć musi do uczonego w Piśmie peruszi.

GŁOS PIERWSZY:

— Dlaczego nie? Gdy tylko stanie w Jerozolimie, ogłosi się królem.

GŁOS TRZECI:

— Prawdziwy Mesjasz przybędzie na wozie ognistym, tym samym, na którym został wzięty do nieba Eliasz.

GŁOS DRUGI *drwiąco*:

— Samo oczekiwanie na Mesjasza widocznie nie wystarcza. Od dziś czekajmy jeszcze na wóz.

GŁOS TRZECI *ostro*:

— Wy, Żydogrecy, Manahenie, nie wierzycie już w przyjście Mesjasza!

GŁOS MANAHENA:

— Byłem w Rzymie. Widziałem rzymskie legiony, ich maszyny oblężnicze, balisty i katapulty, wszystkie owe aries i testudines — barany i żółwie, ich szyk prosty i oskrzydający. To wystarczy. Trzeba być głupcem wierząc, że sztyletem da się zabić Rzym.

GŁOS PIERWSZY:

— Słyszysz, rabbi Joelu? Oni już nie wierzą w Mesjasza. Wnukowie Makabeuszy boją się powstania, ale ten za którym idziemy, je wznieci, zarazem wyrzuci z Judei wszystko, co obce.

GŁOS RABBI JOELA *zgryźliwie*:

— Gromadząc wokół siebie celników i publiczne dziewczki? Ciekawe! Co do mnie, wolałbym, by świątynia Jerozolimska się rozpadła, niż by taki miał się okazać zbawcą Izraela.

GŁOS MANAHENA:

— Jeśli powstaną zamieszki, na co zdaje się, znów się zanosi, twoje słowa mogą okazać się wypowiedziane w złą godzinę. Swoją drogą wiele dałbym za to, żeby wiedzieć, co się kryje za wzmożoną ostatnio gorliwością sztyletników?

GŁOS PIERWSZY:

— Myślisz o śmierci Barucha?

GŁOS MANAHENA:

— Właśnie. Jeśli Piłat zechce, zastosuje represje, a to bywa początkiem rozruchów.

To nikt naślany przez uczonych peruszim — pomyślał XLI. — To również żaden z owych gorliwców, którzy chcą zbawić mieczem Izrael, toteż nie znajdzie poparcia u zelotów. Z tego wynika, że jest zupełnie sam i zapewne wszyscy by chcieli Go zgubić. Człowiek zwany czterdziestym pierwszym ma w tych sprawach doświadczenie i wie, że jeśli zbyt wielu ludziom zależy na tym, by kogoś zgubić, a ów człowiek nie ma za sobą nikogo — musi zginąć, to żelazne prawo konieczności.

Intuicja mówiła, że Jezus bar Nash nie ogłosi się królem jako nowy, tyle że potężniejszy przywódca zelotów na miejsce Athrongasa, Teodasa, a ostatnio bar Abby, co by mogło uratować Go chociaż na przeciąg dwóch lat, zanim LXVIII — Judejczyk, co poznać po akcencie — nie przekazałby Go którejś nocy policji Hegezynosa, jak przekazani zostali tamci. Wprawdzie Jezus bar Nash jakby nie znał powagi sytuacji, idzie wprost do Jerozolimy, ale tego XLI już nie rozumie. W ogóle nie jest w stanie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Postanowił w każdym bądź razie ostrzec Jezusa bar Nash przed człowiekiem zwanym sześćdziesią-

tym ósmym, Kariotczykiem noszącym — o ile sobie przypomina — imię Judasz. Zrobi to jutro kierowany głęboką sympatią, jaką wzbudził w nim ten dziwny Człowiek, najdalej zaś pojutrze, w każdym bądź razie przed wejściem do Jerozolimy. Nie wydaje mu się, by przez to naraził na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo Romy.

W tym momencie ktoś go potrącił. Spojrzał: tuż obok niego przeszedł wytworny pan, ufryzowany według ostatniej greckiej mody w Aleksandrii, z przepaską na czole. Widywałem go — pomyślał — w Jerozolimie. Miał dobrą pamięć i już po chwili wiedział: to był Manahen, jeden z dworaków króla Antypasa.

Zaczynały zarysowywać się białe domki. Dochodzili do Domu Smutku, do Betanii. Mieszkańcy wyszli naprzeciw i ustawili się wzdłuż drogi, wprowadzając Jezusa bar Nash do miasta. Otoczyli Go i szedł wśród nich, odpowiadając na powitania. Jego szczupła ascetyczna twarz, wyrazista i wbijająca się w pamięć, górowała nad tłumem. Podnosił na powitanie dłonie.

— Szalóm — mówił — szalóm.

Ocierał pot z czoła, na którym lepił się kurz. Ktoś z tłumu podbiegł i dał Mu gałązkę oliwki. Rzucano kwiaty.

— Witaj, Mesjaszu — wołano — witaj, Królu Żydowski, niech będzie pamiętny ten dzień w naszym mieście!

* * *

Według mniemania Piłata, człowiek zwany czterdziestym pierwszym najbardziej nadawał się do zadania, jakie wyznaczył mu, wprawdzie dopiero w myślach, rozważając ostrożnie wszystkie kandydatury, jakie mogłyby wchodzić w rachubę. Jeśli zaś zdecydował się na ten wybór, to dlatego, że XLI potrafił swą intuicją wchodzić w cudze umysły w sposób dotąd bezbłędny. Ten dar od bogów pozwalał dotąd uniknąć pośliznięcia się czy choćby tylko zachwiania na owej jakby wąskiej kładce tańczącej nad przepaścią, na jakiej ustawicznie XLI spotykał się ze swymi przeciwnikami i to tak wybitnymi, jak najwyżsi przywódcy sztyletników.

To wystarczyło, by uznać XLI za najzdolniejszego pośród numerowanych. Przechadzając się nerwowo po atrium, w tym samym czasie, gdy jego sekretarz zagłębiał się w czytaniu Horacjusza, Piłat postanowił wezwać XLI z pominięciem wszelkiej drogi służbowej.

Zatrzymał się przed popiersiem Gajusza Tyberiusza Cezara Augusta. Rysy twarzy cesarza wydały mu się podobne do jego własnej twarzy. Przez chwilę obaj — cesarz i namiestnik — patrzyli na siebie zmrużonymi oczami z zawziętością właściwą synom wilczyca.

Ten renegat — pomyślał Gajusz Tyberiusz Poncjusz Piłat — powinien wyczuć intencje swego pana. Nie wypowiem ani jednego słowa, które można by rozumieć jako wyraźny rozkaz. To by mnie poniżało wobec tego niewolnika i barbarzyńcy,

a równocześnie poniżałoby Rzym. Tak jednak przeprowadzę rozmowę, by tamten, o ile jest rzeczywiście tak inteligentny, jak się wydaje, wyczuł najgłębsze moje pragnienia.

Czy jednak — rozmyślał jeszcze, starając się przezornie przewidzieć wszelkie następstwa tego właśnie wyboru — XLI po tym odkryciu nie zechce zaszkodzić swemu zwierzchnikowi i pokrzyżować jego planów? Mógłby to uczynić w dwóch tylko wypadkach, gdyby ogarnęły go skrupuły sumienia lub gdyby zechciał dopuścić się zdrady.

Pierwszego wypadku nie brał Piłat w rachubę. Uważał ludzi za istoty nędzne i złe z natury. Wyrobiło to w nim nieufność potęgującą się w miarę wieści o spisku Sejana i trudnym losie potężnych tak jeszcze do niedawna jego faworytów. Wyczuwał niechęć swoich współpracowników i sprawiała mu ona osobliwą, przewrotną przyjemność. Być może demoralizował ich przez to, jednak niechęć ta potwierdzała w jego mniemaniu opinię, jaką wyrobił sobie o istocie człowieka. Gardził nim.

Przesiadując samotnie godzinami w atrium w fotelu snuł swoje gorzkie myśli. Czuł się wtedy bezpieczny i coraz bardziej pogrążał się w swojej samotności. Niebo było dla niego puste. Nie wierzył w bogów i w miłosierdzie żydowskiego niewidzialnego Boga ani w jakąkolwiek prawdę. Czuł pustkę. Nieraz myślał o samobójstwie. Teraz jednak po śmierci Sejana postanowił żyć za wszelką cenę.

To, że XLI może go zdradzić i wydać jego plany, było dlań zupełnie oczywiste, omal pewne. Pod warunkiem, że mu się to opłaci. Sam kapryśny i nieobliczalny wierzył, że człowiek rządzi się wyłącznie poczuciem własnej korzyści i strachem. Co może przynieść korzyść XLI, a czego może się on obawiać? — rozważał.

Jak każdy, kto czuje podświadomy szacunek dla tych, którzy mają nad nim przewagę, Piłat dopatrywał się w ludziach wierności na skutek oportunistów. We własnym interesie XLI leży służenie prokuratorowi Judei, jak długo ten pozostaje przy władzy. Zdrada byłaby pozbawieniem się oparcia, jakie dla wszystkich numerowanych stanowili Rzymianie reprezentowani tu przez niego. Wydałaby go w ręce sztyletników, gdyby, uciekając przed zemstą Piłata, zamierzał do nich z kolei przyłgnąć. Piłat nie sądził, by chcieli mu przebaczyć śmierć Athrongasa, Teodasa i innych. Wyczuwał jednak, że to rozumowanie oparte jest na zbyt kruchych podstawach. Gdyby XLI domyślił się, jak wątpliwa jest obecnie pozycja prokuratora, chciałby zapewne go opuścić. Każdy może wydawać się lepszym partnerem niż Piłat — samotny człowiek, który przegrał stawkę swojego życia. Trzeba go kupić — pomyślał — zawzięcie drażnić nickszemność tego człowieka, którego jutro rzuci sobie do stóp, kupi go, grając na jego ambicji i strachu.

Nalał sobie wina do krateru. Wychylił do dna. Spostrzegł, że drżą mu ręce. Rzucił krater do wody. Strzeliła w górę. Piłat wpatrzył się w kręgi biegnące do marmurowych ścianek i wracające z powrotem.

* * *

Człowiek zwany czterdziestym pierwszym szedł pod murem ulicy w Betanii. Dwaj ludzie zmierzając do Bramy Jerozolimskiej minęli ją, wchodząc w uliczki przedmieścia jeszcze bardziej wąskie, kręte i cuchnące niż te wewnątrz murów. Zatrzymali się przed jednym z glinianych domków otoczonych murem, tak podobnych do siebie, jak podobne są sześciany równej objętości i jednakowego brązowego koloru.

Pierwszego nie znał. Drugim był LXVIII noszący obecnie imię Judasza Kariotczyka. Szedł za nimi od chwili, gdy ci dwaj spotkali się z sobą. Człowiek zwany sześćdziesiątym ósmym miał widocznie w takich dyskretnych spotkaniach rutynę. Ten drugi jednak zachowywał się niezręcznie.

Obaj weszli do domku. XLI stanął przed nim podobny do kota, który patrzy z dołu na ptaka, po czym wdrapał się na mur i zniknął po drugiej stronie.

* * *

W tym samym czasie w Jerozolimie: bankiet w willi, gdzie zatrzymał się na czas swego pobytu bankier wyzwoleniec Agrykola. Płoną świeczniki, ustawione rzędami wzdłuż ścian. W głównej sali spoczywają zwyczajem greckim podparci łokciami na sofach król Antypas i prokurator Judei, arcykapłan świątyni Ananiasz, jego zięć Józef Kajfasz oraz bankier Agrykola — ludzie związani z sobą interesami handlowymi, sięgającymi po Hiszpanię i Chiny — którzy spotykali się tu w najściślejszej tajemnicy, by nie drażnić ludu i uczonych peruszim.

Biesiadujący przybrani są w wieńce. Niewolnicy w opaskach na biodrach nalewają im do kraterów wina i skrapiają ich wodą z perskiej róży. Pośrodku sali akrobatka wygina ciało w kunsztowne skłony i szpagaty. Przedrzeźnia ją pokraczny karzeł imieniem Sokrates, należący do orszaku Agrykoli. Przewraca się na brzuch i macha nogami jak żaba. Bije się w boki krótkimi rączkami.

Druga sala łączy się z pierwszą. Na jednej z sof leżą Hegezynos oraz sekretarz legata Syrii, Marcellus, który właśnie przybył z Damaszku.

MARCELLUS:

— Możesz mieć do mnie zupełne zaufanie. Jeśli Poncjusz upadnie i ja zostanę prokuratorem Judei, wówczas z pewnością moje miejsce przy Witeliuszu zwolni się dla ciebie. Jesteś przecież Rzymianinem i ekwitą?

HEGEZYNOS:

— Sądzę, że sprawa jest zupełnie pewna, byle pozwolić jej dojrzeć.

MARCELLUS:

— Wyrzucasz kości?

HEGEZYNOS:

— A więc dobrze: Antypas szykuje powstanie.

MARCELLUS:

— Najwierniejszy poddany Rzymu? Bzdura!

HEGEZYNOS:

— Bynajmniej. Herodiada spotkała się znów z pewnym Partem. Tematem rozmowy były dostawy broni. Mam wiadomości, że spotkania takie odbywają się co najmniej od trzech lat. Jerozolima jest arsenałem i zarazem partyjskim skarbcem. W razie zamieszek wszystkie dzielnice miasta znajdują się natychmiast pod bronią, a zeloci rozprawdzą ją po innych częściach kraju. Legat ma pełne prawo złożyć zażalenie i spowodować usunięcie dotychczasowego prokuratora Judei za nieudolność.

MARCELLUS:

— Imię tego Parta?

HEGEZYNOS:

— Nie powiem.

Trasyllós, leżący na sąsiedniej sofie, niedostrzegalnie dla obu wyciąga rękę po krater z winem, tak jednak, że przysuwa się do nich zupełnie blisko.

MARCELLUS:

— Imię Parta, inaczej to wszystko będzie gołosłowne!

HEGEZYNOS:

— Faroras. Zjawia się tu co pewien czas. Moi numerowani nie spuszcza go z oka. Osobiście jestem pewny, że przemyt broni i ludzi odbywa się drogą z Armenii. Granica z Partami za bardzo jest strzeżona.

SOKRATES *piejąc jak kogut*:

— Wy tu wszyscy, dostojni panowie, siedząc na prowincji, nie znacie plotek ze stolicy. O kim mówi się w Rzymie głośno? O kim się woła? Nie wiecie?

Gdy nikt z siedzących nie odpowiedział, błazen zwrócił się niby przypadkiem w stronę Piłata:

— Przecież to jasne. *Salve Imperator!* Głośno woła się o cesarze. O kim mówi się szeptem? . . . O Sejanie! O kim się nie mówi? . . . O przyjaciółach cesarza.

Po czym zmieniając ton na sekretny, poufaty, z dłonią przy ustach:

— Ostatnio w Rzymie panuje epidemia. . .

Pauza. Karzeł fiknął koziołka i naraz zapiał falsetem:

— Chorują sami przyjaciele cesarza i Sejana!

Piłat milczał. Reszta gości patrzyła dyskretnie na człowieka noszącego wysoki tytuł dworski przyjaciela cesarskiego, ale i śmierć w błazeńskim tytule *amicus Caesaris et Seiani*. Spoglądali po sobie porozumiewawczo.

Ananiasz uśmiechnął się leciutko kącikami warg. Zobaczył siebie w uroczystych ciężkich szatach najwyższego kapłana Jehowy, ze złotą czapką na głowie ozdobioną diademem, klęczącego przed tym oto człowiekiem w sali garnizonu Antonia. Po kunsztownej, wijącej się w lokach brodzie płyną łzy. Obok niego klęczy stary rabbi Gamaliel, najwybitniejszy z żyjących mędrców Izraela. Książę

Sydkiasz, sędzia Synhedrionu, potomek królów Dawida i Salomona drepcze krok w krok za Piłatem zgięty w kornej postawie, próbując wcisnąć mu w rękę petycję siedemdziesięciu najwybitniejszych mężów Izraela wykaligrafowaną starannie na papirusie bezbłędną, wykwinną łaciną i z zachowaniem wszelkiej tytułatury. Piłat, udając, że tego nie widzi, odwraca się plecami od Sydkiasza, za każdym razem, gdy ten do niego podchodzi. Widowisko jest żenujące, jednak Piłat napawa się nim z bezmyślnym, bezcelowym okrucieństwem.

Za murami pretorium huczy Jerozolima. Na murach i przy bramie pretorium stoją opancerzeni żołnierze z drugiego legionu syryjskiego w ostrym pogotowiu, z podpaskami hełmów zapiętymi na brodach. Wszedł już w bramy miasta ósmy legion z Damaszku, podchodził pod Jerycho trzeci azjatycki.

Ananiasz klęcząc myślał, że być może w tej chwili sędzia Synhedrionu, kapłan Eleazar, klęczy przed główną radą sztyletników i błaga, by nie wywoływali powstania w tak wyjątkowo niekorzystnym momencie i nie szli na rękę Piłatowi. Oni wszyscy — cały Synhedrion, nie pamiętając różnic, jakie dzielą stronnictwa uczonych peruszim i kapłanów — zdecydowali się jednomyślnie wziąć dziś na siebie poniżenie Izraela. Byle dotrzeć do końca — pomyślał. Byle nie dać się sprowokować.

Piłat z rozmachem kopnął otwartą skrzynkę. Zwoje praw z pieczęciami senatu i ludu rzymskiego rozsypały się.

— A ja jestem Poncjusz Piłat — powiedział spokojnie — ekwita rzymski, poza tym wasz namiestnik i mam do dyspozycji dwa legiony. Trzeci aleksandryjski ruszył z Egiptu na manewry do Damaszku. W razie najmniejszych rozruchów zboczy do Jerozolimy. Powołujecie się na przywileje gwarantujące wyjątkowe prawa dla waszej religii zawsze wtedy, gdy chcecie sprzeciwić się władzom. A mnie się podoba wprowadzić tu dziś święte orły, jutro wybiję monetę z boskim wizerunkiem cesarza, a pojutrze każę wnieść do Świątyni ośłą głowę i czcić jawnie, nie zaś potajemnie jak dotąd.

Ananiaszowi zatrząsnęły się ręce. Zagryzł wargi.

— Wasza dostojność raczy wziąć pod uwagę, że według praw przekazanych naszym ojcom przez Jehowę, nie wolno czcić żadnych innych bogów. Toteż uważamy, że nawet obraz lub rzeźba będąca podobizną człowieka lub stworzenia jest bluźnierstwem. Wdzieraniem się w prawa Stwórcy.

— Jestem Rzymianinem — warknął Piłat — i pluję na wasze prawa, a za mną stoi minister Sejan. Ciekaw jestem, co mi kto zrobi, gdy raz wreszcie znikną z powierzchni ziemi wasza Świątynia, wasz Jehowa i wy sami?

— Wasza dostojność był łaskaw zapomnieć. . . — ciągnął Ananiasz. Rozmowa toczyła się po łacinie, więc użył formy „oblitus est”.

— Obliviscit — poprawił go Piłat, stojąc w rozkroku i patrząc nań z góry.

— Obliviscit — zgodził się arcykapłan pokornie — zapomniałeś panie, że zanim jeszcze wilczyca wykarmiła braci Remusa i Romulusa, ba! — zanim szla-

chetny Eneasz opuszczał płonąca Troję, mieliśmy swoje prawa, proroków i królów.

— Ta wasza wściekła nienawiść do legionów. . . — powiedział Piłat jak gdyby w zamyśleniu.

— Myli się wasza dostojałość — żywo zaprotestował Ananiasz — nasze prawa uznają, że władza pochodzi od Boga. Wszelka władza — podkreślił z naciskiem. — Gotowi jesteście nadal spełniać wszystkie powinności. . .

Książę Sydkiasz dotknął zwojem petycji rękawa Piłata. Ten odwrócił się.

— Gotowi jesteście? — zasycał przez ramię nienawistnie. — Ach, gotowi jesteście?

Strzelił w palce. Niewolnik podbiegł, niosąc krater z winem. Piłat przechylił głowę i zaczął płukać gardło, równocześnie dając znak, by Ananiasz mówił dalej. Miarowe gulgotanie zagłuszyło słowa najwyższego kapłana:

— Byliśmy dotąd najspokojniejszym krajem prowincji. Pozwól nam dalej żyć w pokoju. Dlaczego chcesz obrazić to, co dla nas jest najcenniejsze?

Piłat wypluł wino. Szerokim łukiem chlusnęło na podłogę, tuż pod nogi kłęczących dostojników.

Boże Abrahama — pomyślał Ananiasz — daj nam cierpliwość. Jeśli teraz stracimy ją i odejdziemy, ten parweniusz osiągnie to, czego chce.

Nie panując już nad gestami, chwycił oburącz brodę. Wyrwał dwie kępy siwych włosów. Rozdarł na piersiach haftowaną złotem białą szatę.

— Jeśli nie cofniesz tego rozkazu — krzyknął z rozpaczą — poleje się krew. Nie będziemy mogli utrzymać dłużej Żydów. Czy wiesz, co się dzieje na ulicach Jerozolimy? Czy wiesz, co czynisz, wprowadzając do świętego miasta złote orły? Tuż pod bokiem Świątyni Pańskiej? Dlaczego to robisz? Tak bezmyślnie? Tak niepotrzebnie?

Upadł na twarz, a z nim razem Gamaliel. Leżąc u nóg Piłata, próbowali chwycić go za nogi.

W nagłej ciszy usłyszeli na placu galop koni. Pędził patrol jazdy numidyjskiej. Ktoś krzyknął.

Ananiasz zaczął bić głową o kamień posadzki. Naraz Piłat uśmiechnął się do brodusznia, chłopięco. Bystre, brązowe oczka błysnęły. Pochylił się nad arcykapłanem i dotknął jego ramienia.

— Przecież jestem żołnierzem — powiedział — dowodziłem kohortą nad Dunajem. Nie macie żadnych szans.

Sokrates wypiął brzuch i pochylając swój graniasty łeb, zagwizdał melodię popularnego kupletu, który już dotarł z Aleksandrii do wszystkich większych miast cesarstwa śpiewany przez słynnego aktora Frontona: „Używaj, brachu, życia, bo jutro może zgnijesz, krewni podzielać cały twój majątek”.

Arcykapłan Ananiasz zmrużył oczy, aż stały się podobne do szparek. A jednak lepiej było powiedzieć „oblitus est”. Zwrotu „obliviscit” używa się, owszem, lecz w gminnej łacinie legionów.

Słyszac znaną melodię, Hegezynos pomyślał, że skoro Agrykola pozwolił Sokratesowi publicznie kpić z Piłata, musi być on w Rzymie człowiekiem skończonym, a jeśli tak, jest już najwyższy czas, by podzielić się spadkiem.

* * *

W kilka minut później na przedmieściu Betsaidy za bramą jerozolimską.

Wnętrze glinianego sześcianu wychodzące bezpośrednio na kwadrat półka, które można nazwać ogrodem. We wnętrzu trzech ludzie rozmawiają ze sobą. Przyczepiony do wewnętrznej strony muru stoi człowiek zwany czterdziestym pierwszym podobny do ogromnego pająka, który rozkrzyżował na ścianie swoje odnóża.

GŁOS PIERWSZY, KTÓRY SŁYSZAŁ W DRODZE DO BETSAIDY, NALEŻĄCY DO RABBI JOELA:

— Jest tu ktoś, Judaszu, kto widywał cię wśród sztyletników.

JUDASZ:

— Ten Człowiek. . .

GŁOS TEGO, KTO PRZYPROWADZIŁ JUDASZA:

— To już słyszeliśmy, jednak jest tu ktoś, kto widywał cię także w szkole numerowanych.

To XIII — pomyślał człowiek zwany czterdziestym pierwszym. To on był z LXVIII w szkole dla numerowanych. Posyłałem go do sztyletników, a teraz dał się wciągnąć do pracy dla uczonych w Piśmie peruszim. Jeśli LXVIII to uczyni, będzie musiał zginąć, podobnie jak tamten XIII. Po przybyciu do Jerozolimy trzeba będzie natychmiast wydać odpowiednie polecenia.

GŁOS TEGO, KTO PRZYPROWADZIŁ JUDASZA:

— Jesteś Mu wdzięczny, mówisz, ale jadłeś z Nim, chodziłeś i dzieliłeś noclegi nie tylko przez wdzięczność. Także po to, by donosić o Nim Rzymianom i na ich rozkaz wydać Go policji Hegezynosa. Nam Go wydasz. W przeciwnym razie wiedz, co cię czeka. Baruch bar Symeon był bogaczem, a jednak dosięgnęli go sztyletnicy.

JUDASZ:

— Jestem małym człowiekiem, na którego słowa nikt nie zwraca uwagi, jednak nie chciałbym, by Mu się stało coś złego.

JOEL:

— Sanhedryn nie ma prawa zabijać. Chcemy tylko uwięzić Go na czas Paschy, by nie wywołał rozruchów wśród gawiedzi ten twój Mesjasz dla prostaków i grzeszników.

JUDASZ:

— Nikt nie jest tak grzeszny, by w niego rzucać kamieniem, ani tak doskonały, by rzucać kamieniem w drugiego. To On pierwszy powiedział i tego Mu nie zapomnę. Wiem, że jestem może tchórzem, ale to naprawdę jest Mesjasz. Gdy słuchałem Go, wydawało mi się, że ubiera w słowa moje własne myśli, których ja sam nie potrafię wypowiedzieć. Stawałem się mądrzejszy niż kiedykolwiek przedtem. Czy mam twoje uroczyste zapewnienie, rabbi, że nie stanie Mu się nic złego i po święcie Paschy naprawdę Go wypuścicie?

JOEL:

— Już ci raz powiedziałem. Czy zresztą słowo dane zwykłemu amhaarecowi może do czegokolwiek zobowiązywać uczonego w Piśmie? Ale bądź pewien, że wypuścimy po świętach tego twojego Mesjasza.

W godzinę później człowiek zwany czterdziestym pierwszym otrzymał rozkaz Piłata, po czym noc spędził w drodze do Jerozolimy. Późnym świtem stanął przed prokuratorem i otrzymał zadanie, którego się spodziewał. Rozkaz bowiem stawienia się przed Piłatem z pominięciem całej hierarchii służbowej świadczył, że sprawa posiadać musiała wagę wprost wyjątkową dla rzymskiego pokoju w Judei. W chwilę potem zawstydził się jednak swojej naiwności. Nawet jeśli zdarzały się sprawy nazywane wyjątkowymi, nigdy nie mogły naruszyć drabiny służbowej, w której on, setnik numerowanych, podlegał Trasyllosowi, ten zaś Hegezynosowi, którego bezpośrednim zwierzchnikiem był Piłat podległy z kolei legatowi Syrii mianowanemu już przez Augusta, senat i lud rzymski. Sprawa więc musiała dotyczyć prokuratora osobiście.

Z pominięciem całej drogi służbowej — powtórzył w myślach zdanie przekazane sobie w Betsaidzie. Droga ta była podzielona tylko na dwa odcinki. Nie mogło być wątpliwości, o który z nich chodziło: jeśli o Trasyllosa, posłaniec nie przybyłby od prokuratora, ale od jego sekretarza. Przyjawszy to za pewnik, postanowił pójść dalej: jaką sprawę mógłby mieć doń w związku z Hegezynosem Piłat?

Ustalił to, zanim jeszcze przybył do pałacu Heroda, gdzie musiał czekać w atrium na chwilę przebudzenia się prokuratora. Szybkość, z jaką oficer straży wprowadził go, oddając tam w ręce niewolnika, utwierdziła go jeszcze w przekonaniu, że sprawa jest wagi szczególnej. Ustaliwszy jednak sam jej charakter, pomylił się co do sposobu, w jaki wskaże mu ją Piłat.

Nie docenił go — przyznawał to potem w myślach, gdy wyszedłszy z pałacu zastanawiał się nad dwuznacznymi, cienkimi niedomówieniami Piłata, w których nic nie zostało rozkazane wprost, a jednak otrzymał wyraźny rozkaz. Nie docenił zaś, ponieważ przewidywał jeden z dwóch wariantów rozmowy.

W wariacie pierwszym, rozmowa z nim — przynajmniej ten najistotniejszy jej fragment — przebiegałaby, jak przypuszczał, mniej więcej następująco:

PIŁAT:

— Żal mi cię, XLI! Osobiście zawsze doceniałem twoje chęci, i to o wiele bardziej niż zdolności, a jednak Barach bar Symeon zginął, ty zaś, setnik numerowanych, nie chciałeś, jak twierdzi szlachetny Hegezynos, nie potrafiłeś zaś, jak ja sądzę, zapobiec temu przykremu wydarzeniu. Ta zaś różnica zdań wydaje mi się istotna. Jeśli nie potrafiłeś — wystarczy cię zdegradować, uprzednio tylko z lekka oćwiczyszy. Jeśli jednak ma rację mój sekretarz — oćwiczenie zmienić by się musiało, niezależnie od degradacji, we flagellację zastosowaną z całą surowością, jeśli nie w powieszenie na krzyżu za opieszałość równoznaczną omal ze współdziałaniem z mordercą.

Wówczas to XLI, w scenie odegranej w sposób mniej lub bardziej doskonały, powinien rzucić się na ziemię i rozdzierając chałat błagać nie o przebaczenie, lecz o szansę, jedną chociażby, która by pozwoliła rozwiać zarówno podejrzenia Piłata o brak zdolności, jak i sąd Hegezynosa o brak chęci w służbie Imperium. Do prośby tej upoważniałoby go długotrwałe wierne i niezawodne służenie, zwłaszcza zaś szereg ostatnich sukcesów.

Wówczas to według wszelkiego prawdopodobieństwa

PIŁAT:

— Tylko przez wzgląd na to wezwałem cię, umiejąc jako prawdziwy Rzymianin docenić zasługi, by ci dać taką szansę, lecz nie w terminie późniejszym niż — powiedzmy — miesięcznym.

Słowo „prawdziwy” poprzedzające słowo „Rzymianin” zostałyby, oczywiście podkreślone. XLI był pewny, że ten zwrot padnie w rozmowie. Dawałby mu przez to Piłat do zrozumienia, że szacunek dla krwi rzymskiej, tak usilnie wpajany w szkole numerowanych, w tym szczególnym wypadku nie miałby zastosowania, ponieważ Hegezynos prawdziwym Rzymianinem nie jest, co najwyżej — uzurpatorem dopuszczonym z łaski cesarskiej do rzymskiego tytułu, natomiast nie do krwi, w której musieliby uczestniczyć przodkowie rzymscy, nie zaś greccy.

On więc, człowiek XLI, powinien w ciągu miesiąca wykryć — co bynajmniej nietrudne — jakiegokolwiek terrorystę sztyletnika, którego następnie skazałoby się za zabójstwo. Równocześnie jednak musiałyby się zdarzyć jeśli już nie potknięcie się takie, jak w wypadku Barucha bar Symeona, to choćby uderzenie co najmniej tak skuteczne, jak w wypadku Epifanesa. Jakiego typu zaś ludzi użyłby do tego XLI — numerowanych czy wynajętych zbrodniarzy, czy wreszcie sztyletników skłoniwszy ich do zamachu na wysokiego urzędnika rzymskiego — byłoby to wyłącznie jego sprawą.

W wariacie drugim, który równoległe z pierwszym przewidywał — rozmowa z Piłatem zmierzając do tego samego celu, miałaby przebieg nieco inny. Oto Piłat, podkreśliwszy pewne jego zasługi, oświadczyłby wprost:

— Jesteśmy na tropie spisku, jaki prowadzi ze sztyletnikami. . . odpowiedzialny tu za pax romana mój sekretarz.

Nie — powiedział w myślach XLI, to jednak byłoby zbyt , proste, wręcz prostackie. Z kim można prowadzić spisek tak, by było to groźne dla rzymskiego pokoju i zarazem kompromitujące Hegezynosa, a wreszcie wiarygodne?

PIŁAT:

— Spisku z królem Judei. . .

Znów źle. Antypas uchodzi za przyjaciela Rzymu, jak wytłumaczyć skrybom w kancelariach, że Hegezynos, spiskując z nim, działał na zgubę Rzymu? Poza tym Antypas to podrzędna figura. Tu musi wchodzić w grę potężny wróg zewnętrzny. A więc jeszcze raz, powtórka!

PIŁAT:

— Jestem na tropie spisku, jaki mój sekretarz prowadzi od dawna z Partami. Dowody jednak, jakie posiadam, są jeszcze niewystarczające, przeto polecam ci je znaleźć. . .

(Brzmi dobrze, jedynie słowo „znaleźć” niewłaściwe).

— Polecam ci je zdobyć i przedstawić bezpośrednio mnie samemu.

Tu by paść mogło jakieś nazwisko lub fakt, który powinien naprowadzić XLI na trop kontaktów Hegezynosa z Partami istniejących lub tylko wymyślonych przez Piłata.

Równocześnie zaś przewidywał dwa rodzaje zachęty. Pierwszym byłaby sprawa Barucha bar Symeona i rzekomego niedbalstwa, czyli więc groźba flagellacji, jeśli nie powieszenia, drugim — jakaś nagroda, której wysokości na razie nie przewidywał.

Bardziej prawdopodobny wydał mu się pierwszy wariant z uwagi na brutalność Rzymian graniczącą z prostodusznością, którą zdążył już poznać, która zaś nie miała w sobie nic z pragnienia zachowania pozorów, jakie poznał u Greków, czy z dwulicowością Wschodu. Pomylił się, nie przypuszczając, że Piłat potrafi połączyć w jedno rzymską brutalność z grecką przebiegłością. Rzeczywista bowiem rozmowa, jaka odbyła się, gdy Piłat po kąpieli ukazał się wreszcie w atrium, miała przebieg następujący:

PIŁAT *po uprzednim wykazaniu nieudolności numerowanych w sprawie morderstwa Barucha, któremu nie umiano zapobiec, a w związku z tym groźnych następstw dla ich setnika — dokładnie tak, jak to przewidywał XLI:*

— Ten więc wypadek przyjaciela Rzymu zaniepokoił nas do tego stopnia, że postanowiliśmy wzmocnić strażę wokół własnej osoby oraz osoby szlachetnego Hegezynosa, by uchronić go przed zamachem gorliwych, tak jednak, by nie krępowało to w niczym jego ruchów.

XLI *w myślach:*

Pomyliłem się. Chodzi na razie tylko o dyskretną kontrolę.

Zarazem zgodnie z ułożonym planem, padając na twarz i wyrażając pragnienie zadośćuczynienia za swą nieudolność:

— Otoczę szlachetnego Hegezynosa najlepszymi moimi ludźmi.

PIŁAT *polerując pilnikiem paznokcie, następnie malując go pędzelkiem na rubinowo, pozornie całkowicie zaprzętnięty tą czynnością:*

— Gdyby natomiast nawet i w tym wypadku sztyletnicy lub wywiadowcy Partów dosięgnęli jednak szlachetnego Hegezynosa, i to chociażby nawet w ciągu dwóch tygodni od naszej rozmowy, trudno byłoby winić za to ciebie wobec ogromu środków, jakie przedsięweźmiesz, podobnie jak trudno było winić setnika numerowanych w wypadku — jakże godnym ubolewania! — szlachetnego Epifanesa. . .

XLI *przekonany, że nadszedł moment zbadania drugiego rodzaju zachęty, jaki skłonny byłby wskazać mu Piłat:*

— Czy wówczas szlachetny Trasyllós zająłby miejsce szlachetnego Hegezynosa?

Biorąc za odpowiedź twierdzącą milczenie Pilata i jego dokładne, zbyt nawet precyzyjne malowanie podłużnego pasma pośrodku paznokcia dużego palca prawej ręki:

— Wówczas zaś, gdyby, rzecz jasna, otworzyło się wolne miejsce w urzędzie pretorium?

PIŁAT *odkładając pędzelek i sposobem rzymskim patrząc prosto w oczy rozmówcy swymi przenikliwymi, brązowymi oczami:*

— Być może, dostałoby się tobie.

Wychodząc z pałacu Heroda, człowiek zwany czterdziestym pierwszym miał już jasne rozeznanie sytuacji: oto Piłat posiada dowody lub przynajmniej poważne podejrzenia, że jego sekretarz chce pozbawić go urzędu prokuratora Judei. Nauczono go cenić bardziej inteligencję niż uczciwość. Uczciwość jest jak uczucie. Może być przydatna, ale nie we wszystkich wypadkach. Potrafi płać niespodzianki i być nieobliczalna. Inteligencja — a ściślej chłodne wyrachowanie — umie liczyć i robić bilanse ewentualnych zysków i strat. Inteligencja mówiła mu, że Piłat lada chwila może odejść. Przez moment zastanowił się, czy nie powiedzieć o wszystkim Hegezynosowi, ale poczuł naraz, że ma dość spraw Piłata i Rzymu, spraw, które były mu obce, których nienawidził on, renegat — dość tego pasma zła, podstępów i śmierci, które ciągnęło się za nim niczym łańcuch rodzący wciąż nowe ogniwa od chwili, gdy wysłał na śmierć człowieka Żyda, z którym wiązało go wszystko: krew, wiara, ziemia i niebo, a dzieliło jedno tylko: rzymski żołądek. To było to, czego na pewno Piłat nie brał w rachubę.

Nie zrobię tego — pomyślał. Niech będzie tak, że wreszcie kiedyś czegoś nie zrobię. Zatrzymał roznosiciela wody. Wypił kubek, następnie zwilżył róg chałata i otarł sobie twarz lśniąca od potu. Nie, nawet za cenę miejsca po Trasyllósie!

Wiedział jednak, że niepodobna zostawić tego tak po prostu, zdać na bieg czasu. Musi dokonać wyboru. Jakiegokolwiek by jednak dokonał — czy nie postąpi jak wróg samego siebie?

Zobaczył skulone ciało leżące w wąskiej uliczce, ale tym razem to był on sam. Wzdrygnął się.

Jak Baruch — pomyślał. Nie chce.

Był zmęczony.

* * *

Wołając szalóm i zsypując na jego głowę błogosławieństwa z rękawów swych chałatów, falujących przy pożegnalnych gestach w górę i w dół jak kolorowe wstęgi, zbierali się do wyjścia.

— Będiesz już wiedział, co czynić — nie z tym człowiekiem, o nie — to zbyt mało znacząca figura, lecz z jego Mistrzem, który dziś stanął w Betfage, a jutro w Jerozolimie będzie panem umysłów i czynów tych wszystkich, którzy obsiedli tu — spójrz! — krużganki Świątyni i tłoczą się na ulicach, nie mówiąc o mieszkańcach dzielnicy wyrobników i nędzarzy.

— Będzie? — powiedziałaś, Szawle? — zawołał drugi spośród uczonych doktorów, którzy tego dnia przybyli do Hegezynosza.

Szczupły chłopiec, zgreczony Aramejczyk, tłumaczył ich słowa i zapisywał szybko stylonem na woskowanej tabliczce.

— Źle się wyraziłem, rabbi? — spytał ten pierwszy.

— Źle. Należało użyć formy „byłby” lub „mógłby być”, nie zaś „będzie”, skoro szlachetny Hegezynos powiadomiony został o celach, jakie postawił sobie ten Człowiek.

Ten pierwszy podjął spór. Słowotwórcze subtelności form „byłby” lub „mógłby być” w odniesieniu do języków hebrajskiego i aramejskiego wkrótce przekształciły się w spór nad analogią i anomalią odwieczny, nigdy nie rozwiązany i żywy nie tylko wśród zasuszonych filologów w bibliotekach Aleksandrii i Pergamonu, lecz — jak się okazuje — i tu, wśród tutejszych uczonych mężów, tak samo czcigodnych i oschłych jak tamci i tak samo, jak tamci, zapalczywych.

Tyle lat tu już jestem — pomyślał — a wciąż nie znam tego kraju. Wciąż na nowo ukazuje mi swoją twarz, a raczej nieokreśloną ilość twarzy, która im dłużej się w nie wpatrywać — rośnie.

Pergameński spór, tu w Jerozolimie prowadzony bynajmniej nie przez zgreczonych Żydów ze środowiska Antypasa, lecz przeciwnie, przez konserwatystów, i to zapewne skrajnych, sądząc z ich zachowania się, ubioru, a wreszcie przynależności do niezłomnie prawych peruszim, tak go zaskoczył, że go nie przerwał, choć językoznawcze subtelności hebrajszczyzny były dlań niedostępne.

Tymczasem obaj uczeni zapomnieli o swojej misji, o Hegezynosie i Jezusie bar Nash. Wciągnął ich spór. Hegezynos patrząc na ich, rozwiane wśród gwałtownej gestykulacji, brody pomyślał, że mimo całego podobieństwa do uczonych,

mężów, z którymi dotąd się stykał, ci tutaj różnią się jednak czymś od tamtych. Istoty tej różnicy na razie nie chwycił. Po chwili jednak już ją znał. Spór bowiem z czysto filologicznych subtelności przeszedł na zagadnienia Prawa oraz kwestię czystości przed Panem, na różnice mianowicie — jak pouczył go szeptem Aramejczyk — w interpretacji przepisów pomiędzy szkołami doktorów Hillela i Szammaja.

— Jeśli zerwiesz kłos w szabbat — pytał tymczasem pierwszy rabbi, ten młodszy zwany Szawłem — będzie to pracą?

Obaj ugrzęźli w tym zagadnieniu tak, jakby stali nie tu, w pretorium, lecz na skrzyżowaniu ulicy lub przechadzali się pod portykami Świątyni. Roznamiętnił ich spór niezależny od czasu i przestrzeni, prowadzony jakby w jakiejś ogromnej szklanej amforze, skąd postrzegać mogli wprowadzić świat, a jednak nie docierał on do nich.

Różnica więc dotyczyła nie sposobu dyskusji wspólnego wszystkim mędrcom, lecz przedmiotu. Wydało mu się, że ci dwaj, mówiąc o samej istocie Tego, który rządzi światem i o samej istocie nieskończoności oraz spraw wiecznych, w jakie wplątana jest dola człowieka, byli jak dzieci, które się bawią perłami, rzucając je w siebie tak, jak gdyby to były kamienie: używali pojęć wyblakłych i słów nieporadnych, jakże pomniejszających to, o czym mówili. Dziwną siłę posiadały jednak te wschodnie, obce pojęcia żydowskie i przykuwały jego uwagę. Był w nich niepokój, którego przedtem nie znał. Wrócił pamięcią do uczonych filologów, jakich spotykał w gramatikonach Abdery i Rzymu. Wydawało mu się, że wobec sporów dwóch rabbim tamci nie bawią się wprowadzić perłami, lecz czy posiadają coś więcej niż kamyki?

— Trasylllosie — powiedział po łacinie, podejrzewał bowiem, że któryś z uczonych peruszim mógłby rozumieć po grecku — to, co oni mówią o swoim Zakonie i o swoim Niewidzialnym Bogu, przypomina mi parodię, w której aktorzy kołyszając się lub jękając przesadnie przedrzeźniają czyjś chód i wymowę. Widzowie wtedy poznają go z ich sztuki. Gdyby jednak znalazł się ktoś, kto by potrafił przedstawić ów Zakon nie przez parodię, lecz choćby poprzez tragedię, świat mógłby ujrzeć misterium niezapomniane. Do tego potrzeba jednak tragika jeszcze większego niż Eurypides. Wydaje mi się, kiedy słucham tych ludzi, że sam temat przerasta nasze mity.

— Co sądzicie o Mojrze? — zwrócił się do obu doktorów, przerywając im odwieczny spór szkół Szammaia oraz Hillela o ablucjach naczyń: czy garnek myć należy trzymając za ucho, czy za dno?

Nie było obawy. Chyba żaden nie znał greki. Uważali, że obce zwyczaje i języki nie są potrzebne ludziom takim jak oni, znającym Zakon Pański. Wręcz są szkodliwe, odciągają bowiem umysł od tego, co istotne.

— A co jest istotne? — spytał Hegezynos.

— Pan właśnie — przetłumaczył mu Aramejczyk ich odpowiedź — który rozumem swym ogarnia wszystko, jest więc w każdej rzeczy wszechogarniającym Duchem.

— A więc to pneuma — boski ogień, który przenika świat zgodnie z nauką Zenona z Kitionu. Jesteście stoikami.

— Nieprawda — odpowiedział drugi mędrzec, starzec o wyglądzie majestatycznym i surowym, wychudzony postami i ascezą. — Pan nie jest bezosobowym ogniem. Jest świadomym Rozumem i Wolą.

— Los człowieka więc. . .

— Jest w ręku Pana, ale nie tak, jak uczycie wy, Grecy, że człowiek jest sam swoim losem albo, jak uczą Babilończycy patrząc w gwiazdy, że życiem rządzi ślepe przeznaczenie i wszystkie czyny dobre i złe zostały przewidziane. Człowiek nie jest jak sznur z wypalonymi oczyma złapany w klatkę, który obija się o ściany i nie zna prawdy o sobie ani o tym, co się z nim dzieje. Pan nie zawsze objawia swoje zamiary, lecz człowiekiem rządzi — w tym miejscu użył po raz pierwszy greckiego pojęcia „hejmarmene”, które obiegało cały Wschód, Grecję i Italię, jakby chciał przez to dać do zrozumienia Grekowi swoją wobec niego odrębność — nie hejmarmene więc ani własna pycha, lecz miłość Pana do człowieka i pragnienie jego zbawienia.

— Czyli więc Edyp oślepił się nie po to, by wypełniona została wola przeznaczeń, lecz by został zbawiony przez Pana?

— Nie wiem, obcy człowieku, kim jest Edyp. Pan posłał Izrael do Ziemi Obiecanej, aby spełniły się Jego wyroki. Napisane jest: zbawienie świata wyjdzie z Izraela.

— Co rozumiesz przez zbawienie? Szczęście? Czym jest szczęście? Czy to ataraxia — senny spokój, czy eudajmonia — pełnia rozwoju? A może euforia, radość żywiołowa, w której fanatikoi — czciciele Sabazjosa — zadają sobie na piersiach rany? Czy hedone, zmysłowa przyjemność? Co powiesz, mędrce żydowski?

Podjął odwieczny spór szkół filozoficznych w Akademii Ateńskiej, Koryncie i Abderze.

— Wolność od grzechu i czystość. Dlatego sprzeczamy się o każde źdźbło na drodze i o każdy pyłek zdmuchnięty w szabbat. Ty tego nie rozumiesz, Greku, ale łączyć się z Panem może tylko człowiek czysty. Wtedy osiąga spokój ducha.

— Wy więc jesteście szczęśliwi, czy tak?

— Jesteśmy.

— Ponieważ czyści?

— Zadajesz dziwne pytanie. Nikt nie jest całkiem czysty przed Panem.

— Ale czystszy jesteśmy od amhaarecim — dodał — my uczeni, którzy znamy i przestrzegamy Prawo.

Chciał również dodać: „I od pogan”. Powstrzymał się. Niezłomnie prawym, którzy go tu wysłali z Szawłem, młodym, lecz pełnym zapału i wiary doktorem, zależy na zlikwidowaniu raz wreszcie i w sposób ostateczny sprawy tego Jezusa Cieśli, czego nie sposób dokonać jednak bez Rzymian.

Dzięki Ci, Panie — rzekł w myślach — za to, żeś nie stworzył mnie żadnym z nich obu, których dusze pogańskie, więc skarłałe i nędzne, ogarnięte zostaną na wieki ogniami potępienia, ani też żadnym z tej ciemnej gawiedzi — amhaarecim otaczających fałszywego proroka Jezusa, żeś mnie natomiast stworzył takim, jaki jestem — człowiekiem uczonym w Piśmie, czystym i doskonałym. Przestrzegam wszystkich ustanowionych przez Torę przepisów, toteż owszem, jestem szczęśliwy. A jednak ma rację ten pies, pytając, czy można być czystym przed Panem? Czy w ogóle jest to możliwe?

Hegezynos słuchał z uwagą, starając się przyswoić obcy sobie sposób rozumowania. Ci dwaj nie wydawali mu się nawet w swych błahych sporach o abluccje i szabbaty kimś komicznym, jak Trasyllowski, który kpił z nich, kiwając do Hegezynosa głową porozumiewawczo. Było w nich coś ogromnie mocnego. Nie mówili: „sądźmy” lub „wydaje nam się”, lecz po prostu: „Pan posłał Izrael do Ziemi Obiecanej, by spełniły się Jego wyroki” — kategorycznie i jako prawdę oczywistą, z przekonaniem, którego on sam, wychowany sceptycznie, nie miał w odniesieniu do żadnej ze spraw.

Nieprawda — myślał Szaweł. Chociaż to, co mówi rabbi Joel, jest słuszne. Nie można być szczęśliwym, nie będąc czystym przed Panem. Gdy jednak Grek zadał pytanie o ich osobiste szczęście, rabbi Joel pośpieszył się z odpowiedzią za nich obu. On, Szaweł, widocznie nie jest czysty. W przeciwnym razie skąd by się brał niepokój, jaki ogarnia jego duszę? Wydaje mu się, że Judea jest klatką, w której obja się jak szczur, jednak nie ten z wypalonymi ślepiami. Przeciwnie — wzrok ma bystry, dostrzega to, czego może by widzieć nie należało: świat mianowicie poza Izraelem. Czy naprawdę — zastanawia się podczas długiego ślęczenia nad zwojami Tory — tylko Izrael przeznaczony został przez Pana do zbawienia? Nie twierdzi tego ani Mojżesz, ani żaden z innych proroków, a jednak sąd ten coraz częściej występuje w środowisku uczonych w Piśmie peruszim. Jak jednak pogodzić ten fakt z Jego ojcostwem ogarniającym wszystkie narody? Nie ulegało dlań wątpliwości, że świat uczonych peruszim kurczył się, a wraz z nim kurczył się świat Izraela, stawał się dziwnie oschły, małostkowy. On, Szaweł, był taki sam jak oni, a jednak to właśnie przejmowało go niepokojem.

Rabbi Joel zwany Postnikiem nienawidził Jezusa bar Nash, jak nienawidził każdego, kto w sprawach zasadniczych był odmiennego niż on zdania. Jego uparty starczy umysł doktrynera gotów był uznać za głupca i ślepcę lub zgoła zbrodniarza każdego, kto podałby w wątpliwość wyznawany przez niego pogląd.

— W sprawach zasadniczych — mówił pod portykami Świątyni do takich samych jak on doktorów, zebranych na uczoną dysputę — nie wolno nam ustę-

pować. Gdzie jest granica pomiędzy zasadą a szczegółem? Każdy szczegół, jeśli spojrzeć nań pod odpowiednim kątem, może się stać zasadą, której należy przestrzegać dla niej samej. Na szczegółach stoi Prawo, na Prawie zaś stoi Izrael: jeśli niezłomnie prawa przestanie przestrzegać ablucji, amhaarec przestanie obrzezywać synów, a jego wnuk odda cześć Sabazjosowi aleksandryjskiemu. Pozostają więc tylko szczegóły szczegółów, a więc spór szkół Szammaja i Hillela o interpretację niektórych przepisów.

Spostrzegł jednak, że nawet w tych spornych przecież szczegółach, dostępnych jedynie subtelnym umysłem uczonych w Piśmie rabbim, coraz częściej drażnią go oponenti. Jego przeczulonej ambicji zdawało się, że każdy przeciw-argument godzi osobiście w niego samego. W tej chwili również nie cierpiał Szawła niechęcią bezsilną, więc rozpaczliwą: ten młody pyszałek, ten ignorant nie ma żadnego słabego miejsca, w które można by go ukłuć. Z drugiej strony nie wypadło, i to wobec Greków, przekształcać uczonego sporu w wymianę uszczypliwości. Po namiętnych, zawiłych dysputach pod portykami wracał do domu i leżąc osłabły i rozgoryczony, jeszcze raz dyskutował w myślach, przytaczał argumenty, ośmieszał tych, którzy przez swój upór chcieli go poniżyć, aż wreszcie wycieńczony zasypiał, by następnego dnia znów spotkać się z innymi rabbim i jeszcze raz spróbować okazać swą wyższość. Ostatnio jednak nie chodził pod portyki. Zbyt wiele sił tracił w uczonych sporach. Czemu nie ześlesz na nich ognia, o Panie! — wołał w myślach. — Wprawdzie są to uczeni w Piśmie, ale przecież bluźniercy. Żaden z nich nie pości tak żarliwie jak ja ani nie wydaje tyle pieniędzy na jałmużny. Niedoskonałość, płytkość, miałość umysłów i serc innych rabbim wydawały mu się oczywistością. Toteż tym większa przejmowała go gorycz, że tamci mogą mieć większe niż on wpływy w Synhedrionie — wpływy jakże nie zasłużone — a wtedy jeszcze bardziej umartwiał ciało. Prawie przestał już jeść i wlokąc się wzdłuż portyków przerażał ludzi swą namiętą świętością. Uczeni doktorzy schodzili mu z drogi, gdy szedł wpatrzony nieruchomym wzrokiem przed siebie, mamrocząc na przemian błogosławieństwa, cytaty z Tory, klątwy i prorocstwa. Prości ludzie całowali krańce jego wystrzępionej, ubogiej szaty, a on kładł im ręce na głowach. Mówił im, co to znaczy być świętym, że jest to zasługą całego Izraela przed Panem. Święty jest pomostem pomiędzy ludem wybranym a zamierzeniami Pana wobec świata, toteż w tajemniczy sposób uosabia się w nim wszystko, co jest w ludzkości wielkiego. Nikt nie ośmielał się podważać słuszności jego słów, przynajmniej tak długo, dopóki nie pojawił się ów Jezus Cieśla i nie nazwał jego, rabbi Joela, grobem pobielanym wobec rzeszy chichoczących prostaków.

Rabbi Joel nie wie, jak doszedł do domu. Odprowadzany przez dwóch chłopców z chederu, rzucając przekleństwa i dygocząc leżał w domu, w chłodzie, i pielęgnowany troskliwie przeżywał upokorzenie, jakiego nigdy dotąd nie doznał.

Nienawidził pogan. Ich bezczelna, bluźniercza obecność obrażała Jehowę. Jak wiele grzechu i zła jest na świecie — rozmyślał, skoro nieczyści Rzymianie, Gre-

cy i Syryjczycy mogą egzystować, a nawet swobodnie chodzić po Jerozolimie, a amhaarec Jezus śmie lżyć świętego za to, że nie czyni swoich postów potajemnie, lecz je okazuje ku zbudowaniu ludzkości. Chwilami podziwiał dobroć Boga, ten podziw jednak zawierał dezaprobatę. Pan, który znosi ich obecność, musi mieć w tym swój cel, czy jednak zawsze to, co czyni, jest dobre? Odżegnywał się od tej bluźnierczej wątpliwości. Powracała jednak w innej nieco postaci: gdybyś ty, rabbi Joelu, był Panem, czy nie wypaliłbyś ogniem grzechu ze świata, jak już raz zalałeś go wodami potopu?

To potworne, prawdziwie szatańskie bluźnierstwo, jakie stworzyła jego własna myśl, rzuciło go w środku bezsennych nocy z łoża, skąd usunąć kazał posciel, na ziemię. Leżąc, tłukł głową o cegły i wołał w duchu: Widocznie nie jestem czysty, skoro przystąpił do mnie książę szatanów i każe mi się z Tobą równać!

Postanowił zmniejszyć ilość pitej wody, a także ilość oddechów, a jednak wstrętne myśli nie ustępowały: przyznaj — mówiła mu, że jednak mam trochę racji. Świat jest zbyt grzeszny, by mógł istnieć. Zniszcz go poprzez powszechne spalanie.

Przez trzy dni leżał wstrząsany dreszczami, miotając się na swoim barłogu. Wydawało mu się, że nienawiścią, jaka narosła w nim do Jezusa bar Nash, mógłby spalić Jerozolimę, wstrząsnąć światem. Osłabiony gorączką i głodem widział siebie jako proroka Eliasza wstępującego na wozie ognistym do nieba, Jezusa bar Nash zaś wleczonego końmi po placu przed Świątynią. Nagle Jezus odwrócił ku niemu twarz i obaj spojrzeli sobie w oczy.

— Jesteś Eliaszem? — spytał rabbi Joel w ten sam kpiący sposób, w jaki zapytał o to Jezusa wobec tłumu, teraz jednak pewny swojej przewagi, ponieważ Eliaszem jest on sam, po czym wóz pomknął do nieba, przed tron Adonai, po zasłużoną chwałę rabbi Joela.

Oślepiło go słońce. Po obu stronach tronu stały w siedmiu szeregach chóry Serafinów ze skrzydłami o złotych piórach. Serafini byli jak wielkie ważki szubujące pod kopułą Świątyni przypominającą niebo w czasie nocy i osiadali wokół Arki Przymierza, której tajemnica została oto przed rabbim Joelem wyświetlona: Jeremiasz nie ukrył, jej bynajmniej, lecz zaniósł prosto do nieba. Nie tyle zaś Jeremiasz, co on, rabbi Joel, będący zarazem Eliaszem, przyniósł ją tu na znak przymierza z Panem. Kapłani chodzili wokół niej, dmąc w złote trąby podobnie jak pod murami Jerycho.

— Spójrz w twarz Adonai — usłyszał czyjś głos. Podniósł głowę. Na tronie siedział Jezus bar Nash i patrzył mu prosto w oczy.

Wyjąc czołgał się po glinianej posadzce, nie mając siły, by wstać:

— Czemu mnie opuściłeś, Panie? Co uczyniłem, że odszedłeś ode mnie?

Dwaj chłopcy z chederu stali nad nim, nacierając mu ciało octem.

Następnego dnia położył się na noszach i kazał się zanieść pod portyk Salomona tak, aby wszyscy przechodząc widzieli go, na złość Jezusowi bar Nash.

Tego dnia nie wziął do ust pokarmu ani wody i wyschły, szerniały, podobny do trupa, wołał:

— Biada Izraelowi, który pozwala chodzić po ziemi bluźniercom i jawnie nie przestrzegać Prawa! Biada tym, którzy znieważają świętych!

Zatrzymywali się przed nim uczeni w Piśmie, niektórzy podobnie jak on osłabli i wyschli, niektórzy silni i zdrowi. Podejrzewał ich, że poszczą tylko na pokaz, po kryjomu odbijając sobie post w trójnasób. Pogardzał nimi z wyżyn swej doskonałości, ale już przestał ich nienawidzić, podobnie jak saduceuszy i pogan. Całą nienawiść przelał na Jezusa bar Nash, a tamci stali mu się obojętni. Użyje ich jako narzędzi do zniszczenia owego bluźniercy, i to będzie jego ostatnim celem, a potem odejdzie w wielką Niewiadomą. Oczekiwał jej dotąd z upragnieniem, licząc dni życia, które wydawały się zbyt długie. Czemu jednak teraz bał się?

— Czy będę zbawiony, Panie? — szeptał rażony blaskiem słońca, nie pozwalając przenieść się w cień. — co mam jeszcze czynić, aby podobać się Tobie?

Przez całe życie był gorący w słowach, za nimi jednak kryła się tajemnica, z której nie zwierzał się nikomu. Czuł pustkę, uczucie zimna. Zimno to tkwiło w nim głęboko: było obojętnością, nienawiścią lub pogardą wobec ludzi, z którymi się stykał. Teraz zaś doszło uczucie zwątpienia. Może ma rację Jezus bar Nash, że jestem grobem — przyszło mu naraz na myśl.

Od czasu tego spotkania z Jezusem tracił niekiedy pewność, że to, co dotychczas czyni, jest właśnie tym, co podoba się Panu. Czy naprawdę wystarczy przestrzegać przepisów Prawa, by być czystym? Wizja Jezusa na tronie Adonai rosła pod powiekami, gdy tylko zamknął oczy. Czyżby w jego słowach była prawda, której on, rabbi Joel, nie rozumiał?

Po chwili jednak już znów wracała nienawiść. Rabbi czuł zbliżającą się śmierć i czekał na nią. Powtarzał sobie jednak, że nie umrze, zanim nie zobaczy śmierci tego bluźniercy, Jezusa.

W tym stanie ducha zastał go rabbi Gamaliel, najwyższy sędzia Izraela, szanowany przez cały Synhedrion za wielki rozum i prawość charakteru.

— Tobie jednemu coś powiem — wychrypiął Joel — bo już nie mogę dłużej żyć z tym ciężarem gnioącym mi piersi. Co to znaczy zbawić się, rabbi Gamalielu?

— Któż jak nie ty, ozdoba niezłomnie prawych. . .

— Wiem. Powtarzam to sobie ustawicznie. Pomimo to boję się, że Pan mnie potępi. Patrzyłem w twarz Adonai. Miał twarz Jezusa Cieśli, a ja byłem fałszywym Eliaszem.

— To nie Pan potępi człowieka. Człowiek sam się potępi przed Panem.

— Czemu zesłałeś na mnie to cierpienie?

— Do mnie mówisz?

— Do Pana, Gamalielu. Jeśli nie miałbym być zbawiony, jaki byłby sens moich ablucji i postów?

— Skoro mnie pytasz, powiem ci: źle, rabbi, czynią targujący się o zbawienie z Panem.

— Nie zrozumiałeś mnie, jak zresztą nikt w całym Synhedrionie. Jest, obawiam się, tylko jeden, kto mnie zrozumiał, więcej: przebił wzrokiem, przez co niech będzie przeklęty. Ja przez posty i ablucje chciałem być doskonały, ponadludzki, najczystszy.

— Jesteś?

Rabbi Joel nie odpowiedział wówczas na to pytanie. W chwilę potem nadeszła błogosławiona drzemka, a wraz z nią zapomnienie. Teraz pytanie to odżyło w nim pod wpływem pytania Hegezynosy. Pomyślał, że chyba niepotrzebnie zabiegał na tajnym posiedzeniu stronnictwa niezłomnie prawych w Synhedrionie o misję przedłożenia Rzymianom niebezpieczeństwa, jakie za sobą niesie istnienie Jezusa bar Nash. Drażniła go rozmowa z tymi ludźmi.

Szaweł zastanawiał się nad źródłem swego niepokoju. Oczywiście, można tłumaczyć go przemęczeniem. To byłoby jednak zbyt łatwe, choć pozornie najbardziej chyba trafne. Nikt z doktorów z młodego pokolenia nie wkładał tyle wysiłku w studia, nie wahając się drażyć umysłem zawilej mądrości Pisma aż do późnych godzin nocnych. Poza tym bowiem nie miał powodów do niepokoju. Ma zapewnione w przyszłości miejsce w Synhedrionie i urząd — być może najwyższego sędziego Izraela.

— Z tą gorliwością, uczciwością i pragnieniem prawdy będziesz, Szawle, największym mężem wśród Żydów — mówił mu jego nauczyciel, rabbi Gamaliel, porównywany z powodu swej łagodności do wielkiego rabbi Hillela.

Każdy na jego miejscu zadowolony byłby się tym, ale on, Szaweł, nie potrafił. Co to jest piekło i grzech? — rozmyślał w czasie dysput, ale każde z rozwiązań podsuwanych przez rabbim wydawało mu się zbyt ogólnikowe. Wiara Jozuego zburzyła mury Jerycho, nadzieja pozwala ludowi wybranemu przetrwać najgorsze okresy w swej historii: niewolę Babilońską, ucisk Seleukidów i chciwość Rzymian. Czymże są jednak wiara i nadzieja bez tego ognia w człowieku, który nadaje sens wszystkiemu, co bez niego byłoby jakby grą cieni żyjących życiem pozornym?

Wydało mu się, że rozumie pobudki, jakimi kieruje się Jezus bar Nash nie odpędzając od siebie celnika Lewi i innych grzeszników i przyjmując posiłek od nieczystych. Większość niezłomnie prawych to potępia, widząc w tym niebezpieczny precedens dla czystości Tory, czy jednak Pan nie obejmuje swoją miłością i nieczystych pogan? Czyżbyśmy zagubili właściwy sens Prawa?

A jednak ma rację dostojny rabbi Joel i frakcja niezłomnie prawych w Synhedrionie, uznając te hasła za zbyt niebezpieczne, by można je tolerować w Izraelu bez obawy rozszerzania się myśli wywrotowych. Jeśli nawet ja, uczonego doktor, a w przyszłości rabbi, mogę dopuszczać do siebie takie myśli, jakże ten Jezus musi mieć w głowach amhaarecim — ludziom prostym i niewykształconym.

Wydało mu się, że był o krok od niebezpieczeństwa, i przeraziło go to. Nie może być wyboru pomiędzy Torą, niezłomnie prawymi peruszim a naukami Jezusa bar Nash. Wybór ten już się dokonał. Było nim całe jego dotychczasowe życie i studia w środowisku, z którym czuł się związany więzami krwi, umysłem, wszystkim. Postanowił tym goręcej walczyć z Nazarejczykiem, by w tej walce odkupić moment swojej słabości. Zaraz, jutro uda się na pustynię, w podróż lub gdziekolwiek, by przemyśleć wszystko od początku.

Kiedy wreszcie odeszli, Hegezynos zarządził przesłuchanie Jakuba — jednego z dwóch Boanerges, Synów Gromu, nazwanych tak przez Jezusa bar Nash. Szpicle niezłomnie prawych wytropili go, gdy przemykał się ulicami Jerozolimy w stronę dzielnicy wyrobników i nędzarzy, następnie oddali w ręce numerowanych.

— Coś się za tym kryje — powiedział do Trasyllosa — że uczonym peruszim tak bardzo zależy ostatnio na śmierci tego Jezusa.

— Kążesz Go aresztować?

— Nie mam podstaw. Zresztą tego samego zdania jest przyjaciel cesarski.

Trasyllos opuścił salę, schodząc do podziemi pretorium, i Hegezynos rozpoczął przesłuchanie, mając za pośrednika tłumacza.

Jakub zwany Synem Gromu nie wyglądał na przyjaciela Człowieka, o którym mówiło się w całej Galilei. Na Hegezynosie zrobił wrażenie zastraszonego prostaka, który chytryością chce pokryć lęk i brak pewności siebie. Ubrany nędznie, krzykliwym, z chłopska rozmazany głosem zaczął natychmiast lamentować i wołać z mieszaniną nieśmiałości i buty o niewinności swojego Mistrza. Mistrz kazał przecież oddawać cesarzowi, co cesarskie. Zapach ryb i czosnku wypełnił salę przesłuchań. Było jasne — ten człowiek był rybakiem i typowym amhaarenci z Galilei.

— Co robisz w Jerozolimie? Opuściłeś swojego Mistrza, by przygotować Mu tu przyjęcie? — Hegezynos rozpoczął przesłuchanie.

— Mistrza każdy przyjmie do swojego domu — ostrożnie odpowiedział przesłuchiwany.

— Znasz niejakiego Szymona Garbarza?

— Znam Szymona, którego nazywamy Kefas — Skałą. Jest przy Mistrzu.

— Nie o Kefasa pytam, o Garbarza.

— Wielu garbarzy jest w Jerozolimie.

— Pytam, czy znasz Szymona Garbarza?

— Nie zrozumiałem, panie.

— Słudzy niezłomnie prawych twierdzą, że stukąłeś do drzwi domu Szymona Garbarza, żeby tam znaleźć kwaterę dla swojego Mistrza.

— Jeśli tak, to pewnie mają rację, panie.

— Przyznajesz się?

— Nie, ale oni widocznie lepiej wiedzą.

— Po co stukaleś do domu Szymona Garbarza?

— To był dom Szymona Garbarza?

Każę go wychłostać — pomyślał Hegezynos — ale ci prostacy są twardzi. Nic nie powie. Co zresztą ma do powiedzenia? Czy to ważne, gdzie zatrzyma się w Jerozolimie Jezus bar Nash i kim jest Szymon Garbarz?

Jakub postanowił niczego nie powiedzieć, co mogłoby być wykorzystane przeciwko Mistrzowi i trwać w tej roli do końca chociażby nawet kosztem biczowania, o którym słyszał, że jest o wiele gorsze niż żydowskie.

— Czy to prawda — zadał znów pytanie Hegezynos — że twój Mistrz twierdzi, iż wszyscy ludzie są sobie równi, czyli więc ja, obywatel rzymski i ekwita, jestem równy tobie, nędzarzu? Niewolnik i zwyciężony równy jest panu i zwycięzcy?

— Mistrz uczy — powiedział ostrożnie Jakub — że Mesjasz przychodzi do wszystkich.

Hegezynos przypomniał sobie, jak dwaj uczeni mężowie cytowali mu słowa Jezusa o bogaczach, których zbawienie porównywał do powrozu — kamilos czy do wielbłąda — kamelos przechodzącego z trudem przez ucho igielne.

— Może takie myśli — mówił wówczas zapalczywym głosem ten starszy, ascetyczny — trafiają się i w Rzymie. My tego nie wiemy. Tu jednak amhaarecim nikt nie daje chleba ani igrzysk. Co będzie, jeśli te myśli zaczną rozchodzić się wśród tłumu? Przerzucą się na całą prowincję Syrię, potem być może — na Cylicję, Kapadocję, Egipt? Ten Człowiek twierdzi, że my, uczeni rabbim, jesteśmy równi amhaarecim, a może nawet gorsi od nich. To podważa hierarchię. Wystarczy iskra, a możecie mieć kłopoty tu, na Wschodzie, większe niż wszystkie wojenne klęski!

Hegezynosa ogarnęło naraz znużenie. Nie miałyby sensu zatrzymywać tego człowieka. To oczywiste, że był on zaledwie postacią drugorzędną. Prawdziwym mózgiem fermentu w Galilei jest ów Nazareńczyk, który stanie pojutrze w stolicy.

— Możesz odejść — mówi. Ruch dłoni wyraża zniechęcenie.

Amhaarec zgina się do ziemi i wybiega. Hegezynos długo patrzy za nim z ironicznym uśmieszkiem, który powoli znika z kącików ust.

* * *

Jakub Syn Gromu wyczuwał napięcie — mieszaninę lęku i nadziei. Na ulicach rozmawiano o Mesjaszu. Mężczyźni przechadzali się leniwie i, żując w ustach długie słomki, zatrzymywali się po dwóch, potem po kilku. Przechodzący obok Jakuba brzuchaty godny kupiec, mijając kogoś — nie pozdrowił go tradycyjnym szalom, lecz powiedział:

— Mesjasz przyjdzie już lada dzień.

Wtem zniżył głos do szeptu. Obok nich przeszedł człowiek o rozbieganych, bystrych oczach z trzcina w ręku, jaką nosiła policja króla Antypasa.

— Czy jest nim w końcu ten Jezus bar Nash, czy kto inny? — dobiegł go głos z grupki mężczyzn stojących pozornie niedbale. W ich oczach dostrzegł jednak rozgorączkowanie. Widać było, że starają się opanować gwałtowność swoich ruchów. Od stu lat oczekiwali Mesjasza, nigdy chyba jednak z takim napięciem — choć właściwie nie działo się nic szczególnego, co mogłoby budzić niepokój. Usłyszał za sobą czyjś śmiech.

Szerokim łukiem obszedł plac przed garnizonem Antonii. Przyjrzał się żołnierzom. Nieduże sztywne figurki. Słońce odbijało się w ich tarczach i hełmach. Byli jak błędne ogniki, wciąż spacerując w górę i w dół równym odmierzonym krokiem. Szedł w kierunku portyków, mijając leżących na ziemi pielgrzymów i namaszczonych brodatych chawerim z filakteriami przypiętymi do czoła, ze zwojami pism w ręku, wykonujących okrągłe, wyuczone gesty błogosławieństw. Jakub schylił się i pocałował żółte frędzle chałatu jakiegoś starego peruszi, który przystanął i, mruczając błogosławieństwa, uniósł rękę nad jego głowę, po czym zwrócił się znów do towarzysza i obaj zagłębili się w przerwaną uczoną dysputę, w której Jakub usłyszał imię Izajasza.

Minął obszar przedświątynny należący do dziedzica pogan. Dobiegał stamtąd szum podobny do pszczelego roju, nawoływania i lamenty. Tak samo jak każdego innego dnia handlowano tu zwierzyną ofiarną i wymieniano pieniądze w kantorach. Dziedzinec, zwany wrzodem na obliczu Jerozolimy, żył swoim własnym, skomplikowanym życiem, którego Jakub, rybak z Galilei, obawiał się i nie rozumiał. Szumowiny wielkiego miasta obrały sobie to miejsce za punkt zborny. Rzadko zapuszczała się tu policja miejska, a już nigdy o zmroku. Uprzedzano go o tym. Ktoś rzucił w niego pecyną ulepioną z oślich odchodów. Obejrzał się. Ulicznik uciekał chichocząc i zniknął wśród kantorów otaczających dziedzinec, przedtem jednak pogroził Jakubowi pięściami.

Przyszło mu na myśl, że ludzie w tym mieście kochają się dziś i nienawidzą, kłócą się z sobą i śpią, jak zawsze. Wydało mu się to dziwne. Doznawał uczucia podobnego jak przed burzą na jeziorze Genezaret. Tak samo jak zawsze szumią przybrzeżne trzciny i tak samo drga gorącym ziemia, woda tylko zaczyna się marszczyć i ryby stają się bardziej trwożliwe. Wyobraził sobie nastrój owej chwili, o jakiej mówili wielcy prorocy Izraela, gdy słońce zacznie gasnąć, do ludzi zaś dotrą pierwsze wieści o ponownym pojawieniu się na ziemi Mesjasza. Anioł zadmie w trąbę i, tak jak niegdyś mury Jerycha, otworzą się mury wszystkich miast i groby. Niepokój na ulicach, jaki zaczynał wyczuwać także w sobie, wydał mu się podobny do oczekiwania na rozprawę sądową, przed którą jednak miałby stanąć nie tylko on sam, Jakub Boanerges, czy każdy z tych ludzi mijających go na ulicach, lecz cała Jerozolima, cała Judea, cały świat — i to właśnie było takie niepokojące.

Szedł, ciągnąc za sobą pył, wąskimi, spadzistymi uliczkami. Ta część miasta leżała już daleko od Świątyni, od pałaców Heroda, Ananiasza, Antypasa, od will bogaczy, które obsiadły wzgórze jak białe podłużne klocki otoczone krzewami, przęcącymi się w szeregach jak żołnierze. Szedł wzdłuż ruder bez okien, pomalowanych niegdyś na biało, teraz już zbrązowiałych i zgeszczonych jedna przy drugiej. Dotarł do Bramy Gnojnnej, gdzie utworzył się zator. Pastuch — po ubiorze sądząc Zajordańczyk — poganiał trzodę. Każda z owiec przechodziła obok kantoru, gdzie rzymski celnik pobierał opłatę, gniojąc w palcach miedziane drachmy. Ludzie w chustach narzuconych na głowy tłoczyli się razem ze stadem, patrząc na celnika z ostentacyjną pogardą. Ktoś splunął, wprawdzie nie wprost pod nogi poborcy, tak jednak, że wszyscy mogli dostrzec, jak bardzo przechodzień go lekceważy. Po obu stronach bramy Jakub dostrzegł dwóch syryjskich żołnierzy w mundurach rzymskich legionów z opaskami hełmów opuszczonymi na brody. Było zupełnie prawdopodobne, że w tłumie kręciło się sporo policjantów Antypasa oraz numerowanych, toteż przechodzący strzegli się nieprzyjaznych okrzyków i gestów. W razie awantury można było trafić pod rzymski rzemień zakończony żelazną gałką — słynne potworne flagellum. Wymieniano jednak w tłumie tonem spokojnym, pozornie obojętnym, uwagi na temat renegatów i nieczystych wieprzy, ciemniejących kraj gorzej niż poganie, ssących soki z żywego ciała Izraela i wyniszczających go jak ropnie. Uwagi te były bezosobowe do chwili, gdy pastuch z Perei rzucił wyraźnie pod adresem celnika wyzwisko dawane płatnym dziewczkom. Natychmiast posypały się głośnie drwiny prostackie, ciężkawe, grubo ciosane — jak oni sami, ci wszyscy, którzy szli Bramą Gnojną: rzemieślnicy i drobni handlarze, amhaarecim, o zmierzwionych brodach i ciężkim kroku ludzi zmęczonych. Ktoś gwizdnął.

Celnik, przywykły do podobnych sytuacji, patrzył z góry i prowokująco, z uśmiechem przylepionym do warg. Codzienne zyski i poniżenia wyrobiły w nim coś w rodzaju pancerza trudnej do przekłucia niewrażliwości oraz gniewu.

Taki był Mateusz Lewi — pomyślał Jakub Syn Gromu — zanim znalazł go Mistrz. Pamiętał pierwsze spotkanie z tym człowieczkiem o rozbieganych lisich oczkach i latających rękach, który zdumiony nie wierzył własnym uszom, gdy odezwał się do niego ów słynny Jezus Nazareńczyk. Zerknął podejrzliwie, spodziewając się obelgi lub drwiny ukrytej pod pozorami życzliwości. Uczniowie i tłum zaszemrali podnieceni niezwykłym zdarzeniem. Jezus prosił, by Mateusz zechciał Mu pomóc. Jest zmęczony i w obcym mieście, toteż każdy człowiek doświadczony i rozumny może Mu być pomocny swoją radą. On i Jego uczniowie mają niewiele pieniędzy, a chcieliby się zaopatrzyć w żywność na drogę.

Mateusz słuchał w oszołomieniu. W tak uprzejmy, ujmujący sposób nie mówili do niego ani Żydzi, którzy nim pogardzali, ani jego panowie: rzymogrecy poganie, z którymi uprawiał ową — jakże pogardliwie z łacińska wymawianą —

collaboratio, ani współtowarzysze tacy sami jak on — renegaci i sykofanci przepełnieni upokorzeniem i złością, przeto warczący na siebie gburowato i złośliwie, dopatrując się w innych celnikach, szpiclach i katach zwierciadła i źródła swoich własnych poniżeń.

Naraz zerwał się z miejsca. Wybiegł przed kantor. Latającymi dłońmi zaczął rozsypywać mieszek z pieniędzmi. Drżała mu bródka.

Jezus jednak prosił o radę, nie o pieniądze. Człowiek o lisich oczkach zaczął ponownie wiązać mieszek.

— Więc nie chcesz, Mistrzu!

Wyglądał żałośnie i bezradnie z ramieniem przekrzywionym, w pasiastym chałacie — jak dziwny ptak, któremu złamano skrzydło.

— Pójdź za mną — powiedział Jezus bar Nash. [Wszystkie słowa, jakie Chrystus Pan wypowiada, pochodzą z Ewangelii w tłumaczeniu ks. Seweryna Kowalskiego.]

— Co przez to rozumiesz? — nastroszył się Mateusz. W jego pokornych, przebiegłych oczkach czaiła się otchłań samotności i rozpacz. Uśmiechnął się. Był to uśmiech gorzki i trochę cyniczny.

— Jakże nędzna jest moja dusza, Rabbi!

— Pójdź za mną — powtórzył Nazareńczyk. Wówczas Mateusz Lewi rzucił się nagle do Jego nóg, chwycił rąbek chałata i pocałował, jak to jest w zwyczaju wobec uczonych chawerim, potem rozsypał mieszek i zaczął rzucać w tłum uzbierane pieniądze: miedziane drachmy palestyńskie, rzymskie srebrniki, złote partyjskie krążki. Miotał się brzydki, spotniały z wrażenia, jakby w gwałtownych gestach chciał zrzucić swoje dziś i swoje wczoraj, niczym stary zużyty chałat.

Ktoś w tłumie zachichotał.

— To celnik, Panie — szepnął do ucha Mistrzowi on, Jakub Syn Gromu — a my jesteśmy uczciwymi rybakami.

Nazareńczyk spojrzał mu prosto w oczy. To spojrzenie przeniknęło Jakuba. Wydało mu się, że Cieśla chce mu przekazać prawdę szczególnej wagi.

Po chwili zaś, gdy szemranie uczniów i tłumu zaczęło rosnać, powiedział to, co raz jeszcze z naciskiem powtórzył potem na uczcie, jaką wyprawił Mateusz:

— Nie trzeba lekarza zdrowym, lecz chorym. Idźcie i nauczcie się, co znaczy: Miłosierdzia chcę, a nie ofiary.

— Leczysz celników? — krzyknęli z tłumu dwaj studenci Tory przygarbieni od ślęczenia nad księgami, uśmiechając się ironicznie.

— Nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, lecz grzeszników.

Celnik tymczasem wmieszał się w grupę uczniów. Stał obok Judasza Kariotczyka i próbował go zagadnąć. Judasz wzruszył ramionami i odwrócił głowę. Jezus bar Nash otoczył celnika ramieniem. Jakub był pewny, że uczynił to dlatego, by oburzyć na siebie tłum. Wciąż w nim było coś drażniącego, co wykraczało poza utarte zwyczaje i poglądy, narzucało inne, zmuszało do myśli fermentujących

potem jak wino. Zmuszał ludzi do niepokoju, do szukania sensu swych postępków i myśli.

Tymczasem w tłumie słyhać już było syki i gwizdy. Spora gromada ludzi oddzieliła się od rzeszy i, gestykułując z oburzeniem, odeszła na bok. Było jasne, że Jezus stracił popularność.

— Szuka przyjaźni tych, którzy ciemieją Izrael — usłyszał Jakub syk jakiegoś starego faryzeusza, wysuwającego w jego stronę spod pochylonych ramion głowę osadzoną na wąskiej, chwiejnej szyi. Jak żółw.

— To jednak nie Mesjasz. Prawdziwy Mesjasz porazi ogniem celników, grzeszników i pogan.

Jakubowi zdawało się, że ostatnie zdanie wypowiedziane zostało głosem Judasza Kariotczyka. Było to jednak chyba złudzenie.

Jezus bar Nash przystanął. Rzucił w tłum pytanie, kierując je do tego, kto przed chwilą tak dobitnie wyraził swoje zgorszenie. Użył przy tym szczególnego porównania. Czemu to ów zgorszony zwraca uwagę na źdźbło słomy w cysternie sąsiada, a nie dostrzega próchniejących belek we własnej studni?

Niektórzy roześmieli się. Ktoś zawołał: — Idź, obejrzyj sobie swoją studnię! Słowo „ain” — studnia (a może to znaczyło — oko) biegło wśród rzeszy, równocześnie jednak pod nogi Cieśli padł kamień i tłum rozpierchł się, rzucając przekleństwa. Przystanął w pewnym oddaleniu.

— Grzesznik! — usłyszał Jakub. — Przyjaciel nieczystych.

Została niewielka grupa uczniów i kilku chorych, którzy szli za Jezusem bar Nash.

— Czemu ich tak wciąż drażnisz, Panie, i robisz sobie przez to wrogów? — zapytał.

Padł drugi kamień.

Szmon Kefas pogroził pięścią rzeszy. Schylił się.

— Odstępcy — wrzasnął — nie warci jesteście tego kamienia!

Jezus bar Nash powstrzymał go ruchem dłoni:

— Jak chcecie, aby wam ludzie czynili, tak wy im czyńcie.

— Wydaj nam tego grzesznika, a wrócimy do ciebie! — krzyknęto w tłumie.

— Ja odejdę — powiedział Mateusz.

— Chodźmy stąd — wezwał Szymon Kefas.

Mała grupka zaczęła się z wolna oddalać. Biegły za nią wycia i gwizdy. Rzesza, przed chwilą oddana Jezusowi, teraz huczała oburzeniem, zaczepna i wroga.

— Fałszywy Mesjasz! — usłyszał Jakub — zostawia nas wszystkich dla jednego celnika!

Minawszy bramę, zagłębił się w gmatwaninie wąskich przejść, które dla człowieka z prowincji stanowiły prawdziwy labirynt. Poprzednim razem szedł tu, pytając o drogę — i to go wówczas zgubiło, gdy wreszcie powolnie myślący, acz dokładni szpicle niezłomnie prawych skojarzyli go sobie z Jezusem.

Stanął przed jedną z owych ruder tak podobnych do siebie w zaułku cuchnącym i nędznym. Chmara półnagich dzieci rozbiegła się jak rój much na widok obcego, by za chwilę skupić się przy nim, oglądając go sprytnymi oczyma uliczników — dzieci nędzy, które wszystko już wiedzą omal od urodzenia. Skierował się ku drzwiom wiszącym na jednym zawiasie, omijając zręcznie kałuże i strugi błota wyciekające tu spod każdego progu, ośli nawóz, sterty szmat i śmieci. Oparty o ścianę domu siedział jakiś człowiek i brudną wodą przemywał sobie oczy.

— Dom Szymona Garbarza? — chciał upewnić się Jakub. Tamten, nie spojrzawszy na pytającego, wskazał palcem gliniany, dość schludny dom naprzeciw.

Nagrzany słońcem piasek poruszył się i wypełził z niego skorpion. Chmara dzieciaków natychmiast rzuciła się nań z wrzaskiem. Ominął je i wszedł po dwóch schodkach. Pchnął drzwi. Owionął go zaduch smażonej oliwy.

— Ty jesteś Szymon Garbarz? — spytał mężczyzny, który wyszedł mu naprzeciw, wylewnym gestem witając gościa.

— Rzekłeś. Przychodzisz od Mistrza?

— Tyś powiedział. Jeszcze wczoraj szedłem do ciebie, ale zatrzymali mnie śludzy peruszim. Trzeba dla Mistrza znaleźć inne schronienie. W Betsaidzie słyszeliśmy o twoich kłopotach z rabbi Nachumem.

— To prawda. Rabbi Nachum, który dzierżawi nam swoje garbarnie, wypowiedział mi nagle dzierżawę. Nie mam gdzie wyprawiać swoich skór. Ciekaw jestem, jak długo wyżyję bez pracy?

Jakub Boanerges rozpruł wewnętrzną kieszeń chałata i wyciągnął zaszyte w nim dwa srebrniki, których nie znaleźli śludzy niezłomnie prawych.

— To pieniądze — powiedział — które zebrali dla ciebie bracia. Powinieneś przeżyć za nie przez kilka tygodni zanim nie znajdziesz u kogo innego dzierżawy.

Szymon podrzucił monety na dłoni.

— To jeszcze nie wszystko. Nachum wyrzucił mnie w szabbat z synagogi.

Nie będziesz znieważał — mówi Pismo — brata swego. Ale znieważać można nie tylko uderzeniem. O wiele bardziej znieważać można słowem. Tak właśnie, jak znieważył go w szabbat Nachum bar Gorja, przewodniczący synagogi, nazywając nasieniem niewolniczym. Uderzył go, zgoła nie podnosząc kija, tak jednak, że Szymon poczuł się naraz, jakby napluto mu w twarz, podczas gdy chłopcy z chederu śmiali się, nie głośno wprawdzie, jakby przystało prostytutkom, lecz ironicznie, wyniośle.

Nasienie niewolnicze — powtórzył w myślach. Być może, rabbim mają swoje powody, by nienawidzić Jezusa nazywającego siebie Synem Człowieczym. Być może nawet prawo, by wyrzucić z synagog Jego zwolenników uznanych przez siebie za nieczystych, lecz On naucza, że ludzie są braćmi, i nic nie znaczy dla Niego fakt, że on, Szymon Garbarz, w młodości był niewolnikiem u rabbi Nachuma bar Gorja. Naucza, że Królestwo znajdzie łatwiej ten, kto nie troszczy się

o dobra ziemskie, znikome i względne, dlatego bogacz trudniej trafi do rajy niż biedak.

— Poczekaj tu — powiedział do Jakuba — ja zawiadomię Macieja, brata żony, i Gedeona.

Pobiegł uliczką i skręcił w któreś z wąskich przejść, po czym wszedł w czarną czeluść piwnicy po oślizłych wąskich stopniach, korytarzem z czerwonych cegieł, gdzie wiecznie panował półmrok i zatechła woń jakby więzienia połączona z mdłym smrodem skór. Korytarz skręcał i raptem pokazały się światelka lamp rzucających na ściany koła, w których grzały się muchy, i ukazując postacie jakby z szeolu wykonujące ruchy pośpieszne niczym taniec szaleńców, ciągnąc za sobą płaty skór, mocząc je w basenach, nie bacząc na muchy, które osiadły w kąciakach ich oczu i na wargach. Byli jak osły spracowane i obojętne, przywykłe do codziennego popędzania: niewolnicy i dzierżawcy Nachuma bar Goria.

Powiedziane jest — rozmyślał — nie będziesz znieważał.

Powiedziane też jest, że jeśli kupisz niewolnika Hebrajczyka, sześć lat służyć ci będzie, a siódmego roku wyjdzie wolny darmo. Toteż Szymon wyszedł z domu Nachuma, rabbi jednak potrafi liczyć jak lichwiarz. Dzierżawa, jaką płaci mu Szymon, o wiele przewyższa sumę, jaką Nachum wydawał na utrzymanie niewolnika, podnosząc zarazem obrót garbarni, skoro wolny dzierżawca ma większe możliwości zamówień. Większość z nich zleca mu rządca Nachuma. Teraz chodzi więc prawdopodobnie o to, by poprzez zręczny szantaż podnieść jeszcze wysokość dzierżawy i procentów za każdą sztukę wygarbowanej skóry.

Idąc wzdłuż koi oddzielonych od siebie niskimi ściankami, które jeśliby spojrzeć na nie z wysoka, przypominałyby plaster miodu i komórki budowane przez pszczoły, szukał Macieja.

— Jesteś — szepcze, gdy mały szczupły człowiek zbliża się do niego. — Bądź u mnie po zachodzie słońca. Powiedz też Gedeonowi, że przyszedł Jakub, uczeń Mistrza.

Siedzą więc pięcioro wokół stołu. Jakub z sakw wyjmuje placki i oliwę. Rachelą dzieli je. Wstają. Szymon zaczyna codzienną modlitwę przed posiłkiem przepisaną przez Zakon:

— „Bądź pozdrowiony Panie, Boże nasz, Królu świata, który sprawiasz, że ziemia wydaje chleb”.

Wie, że grzechem byłoby jej zaniechać, ale wie również, że gdyby to uczynił, rabbi Nachum miałby rację: amhaarecim żyją jak zwierzęta, gdzie jest ich godność, czyli godność Szymona Garbarza, jego żony, Racheli, Macieja, Gedeona i Galilejczyka Jakuba? A wtedy musiałby przyznać sam przed sobą to, przed czym buntuje się cała jego istota: amhaarecim nie są takimi samymi Żydami jak dostojni rabbim. Są rodzajem istot poślednich, niezdolnych w pełni do odczuwania obecności Jehowy. Po stokroć ma rację Jezus bar Nash głosząc, że czystość

serca, a nie uczoność, jawne posty i znajomość Tory decydują o zbawieniu przed Panem!

— Na mieście mówi się, że jutro przyjdzie Mesjasz — powiedział naraz Gedeon — i ukoronuje się na króla.

Jakub Syn Gromu patrzył na ich twarze. Odkrywał w nich to samo napięcie, jakie odczuwał na ulicach miasta.

— Jeśli tylko da znak — powiedział znów Gedeon — jesteście gotowi. Powtórz Mu, że w naszej dzielnicy, w garbarniach i w kuźniach pochowane są miecze. Zbierzemy się, pójdziemy w nocy pod Antonię, zaskoczemy straż, a jutro będziemy panami Jerozolimy.

Jakub nie odpowiedział. Ten człowiek — rozmyślał — nie wygląda na sztylnika, a jednak gdyby Mistrz miał pójść za jego radą, musiałyby się to skończyć współpracą ze stronnictwem terrorystów, tego zaś On sobie nie życzy. Zakomunikował to Jakubowi wyraźnie i niedwuznacznie.

— Mistrz uważa — odrzekł ostrożnie — że wojna niczego nie rozwiązuje.

Gedeon uderzył pięścią w stół szczególnie wzburzony. Z trudnością wyrażał swoje myśli, było jasne jednak, że nie zgadza się z poglądem Mistrza. Czekał na to powstanie, być może jako na szansę życia. Teraz był rozczarowany.

Skrzypnęły drzwi. Wszyscy odwrócili głowy. Do środka wsunął się Aron, młody, zgarbiony student Tory, ze zwojem pod pachą. Szybko ścieśnili się, robiąc mu miejsce. Nie cierpieli z całego serca tych pewnych siebie uczonych w Piśmie nazywających siebie odłączonymi — peruszim lub przyjaciółmi — chawerim, lub wreszcie nauczycielami — rabbim, bez których jednak nie sposób zachować czystości i podobać się Panu — oni jedni bowiem znali wszystkie przepisy i potrafili je interpretować. Ten rabbi jednak był inny — nie pogardzał nimi i nie kąpił wyniośle. Pochlebiało im, że lubi z nimi rozmawiać i ceni ich zdanie, a co więcej — twierdzi podobnie jak Jezus bar Nash, że Pan nie czyni różnicy pomiędzy uczonymi rabbim a prostakami amhaarecim. Może dlatego pomimo całej uczoności nie mógł skończyć studiów nad Torą, a jego chałat był połatany i spłowiały. Szukanowany przez wpływowych rabbim zbliżył się do „ludzi ziemi” i do nauki Jezusa bar Nash, toteż ofiary, jakie otrzymywał, musiały być skąpe, skoro rzucił się na jęczmienny placek, podsunięty mu gościnnie przez Rachelę, o wiele gwałtowniej, niż to czynili powściągliwi zazwyczaj i wybredni chawerim, nie zwracając uwagi na tłuszcz, który spływał mu po brodzie na chałat. Sami wiedzieli dobrze, czym jest głód, więc odwrócili oczy.

Jego przyjście natychmiast ożywiło rozmowę o Mesjaszu, jedno z tych nie kończących się rozważań, jakie prowadzili na ulicach, bazarach i w gospodach.

— Czy Macedończycy — krzyczał teraz Gedeon — nie byli małym narodem, a ich król podbił połowę świata? A Rzymianie?

Aron wpatrzył się w fanatyczne, zamyślane oczy tego człowieka. Rozumiał, że jest on na skraju buntu. Jezus bar Nash pozwolił mu nie szukać pomocy w każ-

dej życiowej sprawie u obłudnych i chciwych rabbim, gromił bogaczy i pyszną samowolę możnych. Teraz Gedeon czeka na władzę nad światem. Czy jednak o to chodziło Jezusowi bar Nash? Czy jest On świadom sił, jakie rozpętał mimo woli? Nie — sił, które raczej były już i czekały tylko na Jego przyjście?

— A co ty powiesz na to, rabbi? Jesteś uczony.

Oczekiwali od niego, że rozstrzygnie ich spór i wszystkich przekona. Powie im, że ich gliniane rudery zmienią się w pałace możnych, a Jerozolima w Rzym — stolicę światowego imperium, a może nawet znikną choroby i cierpienia, bo cóż jest niemożliwego przed Panem? Spotykał ich zawód, a jednak zawsze musiał zabierać głos. Ciekawe — rozmyślał — czy to, co mówię, ma wpływ na czyjekolwiek poglądy? Czy też wszyscy rozchodzą się utwierdzeni tylko we własnych przekonaniach? Wodził palcem po brodzie w zamyśleniu.

— Wśród uczonych w Piśmie — zaczął wreszcie — i nawet wśród ludzi ziemi zaczęli pojawiać się tacy, którzy czekają, że Mesjasz odkupi świat od zła, dając mu drogę pokoju.

Słyszał swoje słowa i nie wiedział, czy nie wypadają zbyt martwo, zbyt uczenie. Wciąż nie potrafił pozbyć się tego szczególnego nauczycielskiego tonu, jakim przesiąkł przebywając wśród peruszim, przybierał go zaś wbrew woli, z nawyku środowiska, wobec amhaarecim. Jest dużo racji — pomyślał — w tym, co się o nas mówi: nie potrafimy znaleźć języka, który by nas łączył z ludem Izraela. Istniejemy sami dla siebie. Z naszej własnej winy ten Cieśla z Nazaretu udowadnia, że jesteśmy niepotrzebni, oderwani od życia i być może od Jehowy. Nie ma w nas zapалу ani wiary. Jest pycha. Trzeba znów znaleźć drogę do tych ludzi. Gdzie jej szukać?

Natychmiast zaczęły padać pytania: Więc kim w końcu ma być Mesjasz? Wodzem czy odkupicielem? Prorokiem? A jak można zmazać grzech wobec Pana? Jak człowiek ma się zbawić? Przez dobre uczynki? Czy przez studia?

Zapomnieli o Rzymianach i o swoich osobistych kłopotach. Pytanie, kim ma być Mesjasz, stało się znów najważniejsze. Czym jednak człowiek zgrzeszył? Pychą? Nieposłuszeństwem? Czy żądza wiedzy podoba się Panu? Czy Pan może potępić człowieka, skoro Jego miłosierdzie jest nieskończone, czy też człowiek sam się potępia, świadomie przeciwstawiając się Bogu? Co jest istotą grzechu?

Amhaarecim rozprawiali nad tymi kwestiami z takim samym zapalem i stawali te same pytania, co młodzi namiętni studenci Talmudu i Tory, dyskutując godzinami pod portykami Świątyni. Namiętność poznania i niedosyt prawdy przenikały serca wyrobników, rzemieślników, kupców czy kapłanów. Co im odpowiem? — rozmyślał Aron. Dręczyła go bolesna świadomość niewiedzy, a ci ludzie w niego wierzyli. Potrafimy wzbudzać ich posłuszeństwo i szacunek, nawet kierować nimi, a jednak jedna haggada Jezusa bar Nash potrafiłaby im więcej powiedzieć niż nasze godzinne dysputy, w których kręcimy się jak w labiryncie.

Gdyby nawet istniała prawda — przypomniał sobie naraz aksjomat niejakiego Gorgiasza z Leontinoi, Greka, jaki rzucali im w dyskusjach pachnący olejkami, sceptyczni Żydogrecy z orszaku Antypasa — byłaby niepoznawalna, a jeśli nawet poznawalna — nie można by było jej przekazać i zrozumieć. Czym jest prawda? Co znaczy poznać cokolwiek? Jaka pewność, że poznaje się istotę, nie pozór? Świat poznawany jest przez umysł, a więc ducha, ale duch poznaje materię, czyli coś różnego od siebie. Coś z gruntu różnego? Czy po prostu szczebel drabiny wiodącej od Najczystsze­go Ducha-Absolutu ku materii i od materii ku Absolutowi?

Przyszło mu na myśl, że o tej porze we wszystkich szkołach przyjaciół mądrości pogańskich i żydowskich dyskutuje się tezy Żydogreka Filona z Aleksandrii, tego, który ogłosił istnienie Logosu — pierwiastka łączącego Najczystsze­go Ducha z materią, wiążąc — ku zgorszeniu konserwatywnych rabbim — tradycyjną naukę żydowską o istocie aktu stworzenia z nauką pogańską, grecką.

Świadomość tego dała mu poczucie wspólnoty z tymi wszystkimi, którzy w Aleksandrii i w Efezie, w Koryncie, w Pergamonie, w Rzymie i w Atenach, a także tu, w Jerozolimie pod portykami Świątyni Salomona zastanawiają się teraz nad istota owiej klamry spinającej Absolut ze światem materialnym. Czy jest ona natury całkowicie materialnej, czy całkowicie duchowej, czy też duchowej na poły? Istnieje tylko w Bogu, czy też w Bogu i w świecie? Kształtuje świat bezpośrednio, czy za pośrednictwem emanowanych z siebie idei? Jest bezosobowym pojęciem, czy przeciwnie — osobą, aniołem, duchem?

W ascetycznych gminach, w pustyniach Syryjskiej i Judzkiej, pod Damaszkim i Chiribet Qumran, gdzie nie przyjmuje się ani pogan, ani kalek, żyją Żydzi nazywający siebie Synami Świata lub Mędrkami, lub Ubogimi. Osiągnąć chcą duchowe oczyszczenie przez codzienną pracę rąk i modlitwę, będące sensem, zarazem najwyższym celem ich życia. Może to oni posiadli prawdę o świecie, której szukają tamci? A może Jezus bar Nash, który przyjmuje do swojej rzeszy każdego, kto tylko zechce weń uwierzyć niezależnie od tego, czy jest poganinem, czy Żydem, kaleką, czy człowiekiem zdrowym? Prawdę o Bogu zdobywa się działaniem, czy myślą? Ucieczką od zła tego świata w zamknięte osady w pustyni? Czy działaniem przemieniającym świat? Wyrzeczeniem się bogactw i władzy? Może ekstazą?

— Uwolni nas od Rzymian? — spytała Rachel. To było pytanie, na którym zaczynały się i kończyły dyskusje o Mesjaszu.

— Sądzę — powiedział z namysłem Jakub Boanerges — że On chce uwolnić nas od nas samych. Najpierw przemienić umysły, tak jak chorobę się leczy znalazłszy przyczynę, dopiero potem. . .

— Zdobywać Antonię?

— Nie, przypuszczam, że Jemu nie chodzi o Antonię.

Naraz wtrącił się Szymon. Był wczoraj w gospodzie, gdzie rozmawiano o Mesjaszu. Wieczorem, gdy zostali sami zaufani bywalcy, gospodarz kazał zamknąć

drzwi i zasłonić małe zakratowane okienko wychodzące na wewnętrzne podwórze. Na jego twarzy pojawił się wyraz wzruszenia. Szepnął gościom, że Mesjasz prawdopodobnie nie ukoronuje się na króla Izraela. Mesjasz zginie, bo niepodobna zbawić świata bez cierpienia. Ono przypadnie Mesjaszowi w udziale po to, aby każdy znalazł drogę do zbawienia, ale najpierw podniesie się na świecie wielki krzyk zła niczym ogromny śpiew synagogalny i ten krzyk uderzy w pierś Mesjasza.

Mówił to namiętnie, lecz omal bezgłośnie, podnosząc do góry dłonie o rozstawionych palcach. Małą ciemną piwnicę cuchnącą moszczem winnym przeniknął nastrój czegoś wielkiego. Czuli, że tajemnica zjawiała się pośród nich i oni mają być jej świadkami. Zapalił się w nich żar. Poruszył ich do głębi, zaś ten wieczór przy zamkniętych drzwiach i przy kopających lampach oliwnych, wychwytyjących z mroku zarysy ich twarzy i czerwone cegły ścian, był dla nich jakby zapowiedzią czegoś, co ma dopiero nadejść, lecz jest już w drodze.

— Prorok Izajasz — szepnął gospodarz — mówił o cierpieniu i o chwale Mesjasza.

Jego zdaniem, należy mówić o tym ostrożnie, zwłaszcza teraz, gdy Jezus bar Nash tak bardzo naraził się uczonym w Piśmie peruszim. Ukrywają oni słowa Izajasza albo też fałszywie je tłumaczą, boją się, by amhaareciim nie dawali poparcia tym wszystkim, którzy znaleźli się w niełasce u chawerim.

Ktoś wspomniał Oniasza Sprawiedliwego, ukamienowanego na rozkaz uczonych rabbim. Padło imię Jana zwanego Chrzczącym, który nawoływał do pokuty i zginął w lochach króla Antypasa.

Zapadła cisza, poczuli naraz lęk.

* * *

Hegezynos po wypuszczeniu Jakuba zastanawiał się, ile racji było w słowach obu niezłomnie prawych, że podniecenie, jakie wywołuje fałszywy Mesjasz, Jezus, przekształcić się może już nie tylko w otwarty bunt Żydów przeciwko władzy cesarskiej, lecz w bunt amhaarecim przeciwko każdej władzy. W tej sytuacji niezłomnie prawi czuli się w obowiązku uprzedzić, że nie będą mogli wziąć odpowiedzialności za to, co się stanie, jeśli utracą — zachowywaną wciąż jeszcze — kontrolę nad umysłami amhaarecim. Wprawdzie ten Człowiek mówi o odrodzeniu moralnym, posiadają jednak zupełnie pewne dane, że pretenduje do korony Izraela jako potomek królewskiego rodu Dawida, którym jest rzeczywiście, pomimo swego skromnego zajęcia uprawianego dotąd w Nazarecie. Tego samego zdania jest bankier Agrykola doskonale wprowadzony w stosunki palestyńskie, lecz całkowicie bezstronny, przebywa tu bowiem od niedawna. I on sądzi, że wystąpienia Jezusa bar Nash podważają dotychczas uznane autorytety i poglądy, które są podstawą ładu i pokoju rzymskiego w Judei.

A więc to tak! — pomyślał Hegezynos, a więc uczeni rabbim chcą mi przez to dać do zrozumienia, że w wypadku gdyby w pretorium inaczej oceniono działalność Jezusa bar Nash, niezłomnie prawi będą usiłowali uzasadnić swoje zdanie w Rzymie za pośrednictwem Agrykoli. To zadecydowało. Wypuszczając wolno Jakuba Boanerges był pewien, że niezłomnie prawi uznają ten gest za zlekceważenie ich argumentów. W ciągu najbliższych dni popłyną z Cezarei do Syrakuz listy ze skargami uczonych peruszim, które poprze zapewne własnym odręcznym pismem wpływowy w Rzymie dostawca dworu, a wówczas kariera Poncjusza w Judei zostanie poważnie zachwiana, jako człowieka odpowiedzialnego za lekkomyślne, wręcz przestępcze wyhodowanie w Judei niebezpieczeństwa.

Przyszło mu na myśl, że obecnie Piłat powinien bać się nade wszystko rozruchów czy w ogóle zdarzeń, które by mogły zwrócić uwagę urzędników i sykofantów cesarskich na ów zapadły, zapomniany kąt imperium — Judeę. Nie wykluczone więc, że teraz, gdy wypuścił Jakuba Boanerges, niezłomnie prawi zechcą sprowokować zamieszki, jakkolwiek by się jednak rozegrały wypadki, on, Hegezynos, umiał się zabezpieczyć.

Wstał z sofy, podążył do tajnej skrytki w ścianie. Wyciągnął kasetę, która nosiła nalepkę: „Jezus bar Nash”. Zwoje i woskowe tabliczki leżały ułożone metodycznie: odpisy raportów Hegezynosa do Piłata i odpowiedzi oraz pisemne rozporządzenia prokuratora Judei. Nie było ich wiele. Jezus bar Nash był wciąż w Palestynie postacią liczącą się bez porównania mniej niż bar Abba. Przynajmniej w rozumieniu Piłata. Mylnie — rzecz jasna — jak się okazuje.

Przeglądał swoje raporty w kolejności ich napisania. Pierwszy był krótki:

„W Galilei pojawił się Człowiek imieniem Jezus Cieśła, syn cieśli Józefa. Gromadzą się wokół Niego małe grupki ludzi. Zapewne jeden z filozofujących”.

Umyślnie, jak pamięta, użył tu formy imiesłowu philosophountois, a więc nie philosophois czy sophistois — ale właśnie jeden z tych mędrkujących, których ludzie czasami słuchają. Tylu ich zresztą chodzi po drogach!

Następny raport posiadał już ton inny. Był zresztą znacznie późniejszy:

„Zgodnie z doniesieniami numerowanych, szczególnie zaś LXVIII przebywającego stale w pobliżu Jezusa z Galilei, o którym donosiłem już Waszej Dostojności, niektórzy Żydzi uważają Go za przyszłego króla. Człowiek ten głosi haggady, których sens jest, moim zdaniem, dwuznaczny. Na przykład, pewien bogacz zajęty uciechami życia nie zwraca uwagi na leżącego pod jego domem chorego nędzarza. Po śmierci dostaje się do szeolu, tak bowiem Żydzi nazywają hades. Biedak natomiast, który wiele wycierpiał, dostaje się do raj, skąd stara się pomóc tamtemu, nie bacząc na doznaną niegdyś od niego obojętność.

Doniesienie to przekazane zostało drogą służbową setnikowi numerowanych, następnie szlachetnemu Trasyllowskiemu, którego raport do mnie w tej sprawie załączam. Zwracam uwagę Waszej Dostojności na użyte w nim w odniesieniu do rzeczonoego Jezusa wyrażenie "żydowski Spartakus". Załączam również przedsta-

wiony mi raport setnika numerowanych. Pozwalam sobie zwrócić uwagę Waszej Dostojności na zawarte w nim zdania następujące, które cytuję dosłownie:

"LXVIII doniósł mi następnie o swojej przypadkowej rozmowie z niewolnikiem przy żarnach, którego spotkał, gdy ze swym Mistrzem mijali pewną wieś. Niewolnik oświadczyć miał, że jest zwolennikiem Jezusa bar Nash. Słyszał wyżej cytowaną haggadę o bogaczu i Łazarzu. Powiedział następnie słowa, które podaje LXVIII:

— Niewolnicy i panowie, wszyscy będą braćmi."

Koniec cytatu z raportu setnika numerowanych. Zwracam uwagę Waszej Dostojności, że nie padło zdanie, którego by należało oczekiwać:

"Gdy Jezus bar Nash ukoronuje się na króla, ja, jego zwolennik, zostanę panem, a pan mój będzie meł w żarnach. "

Toteż zakomunikowałem szlachetnemu Trasyllowskiemu, że jego wyrażenie "żydowski Spartakus" uważam za nietrafne. Według mojej oceny Człowiek ten jest niebezpieczniejszy niż Spartakus, pomimo że, w odróżnieniu od tamtego, nie nawołuje do buntu. Tamten bowiem usiłował w sposób jak najbardziej, co należy podkreślić, zbrodniczy zamienić dotychczasowych panów w niewolników, niewolników zaś w panów. Ten głosi — według mojego rozumienia haggady — tylko pozornie to samo. Bogacz wpada do szeolu nie za bogactwo, ale za obojętność. Biedak zdolny jest do współczucia, dlatego jest na Olimpie. Sens haggady prowadzi do stwierdzenia, jakie poczynił cytowany w raporcie setnika niewolnik, co w sposób niezwykle bystry wykrył i podał LXVIII — w wyniku czego jednak podważone zostają nie tylko obowiązujące pojęcia i dobre obyczaje, lecz sama zasada, na jakiej opiera się równowaga świata: podział na panów i niewolników. Zasięgu tych niesłychanych poglądów nie da się jeszcze ustalić. Polecilem wypłacić LXVIII nagrodę w wysokości trzech srebrnych staterów. Nie uważam tej sumy za wygórowaną. Jest rzeczą pewną, że wyżej wymienione idee rozprzestrzenią się mogą doprowadzić do ciężkiego kryzysu stosunków w prowincji".

Odpowiedź Piłata:

„Bzdura! Rozbiór filologiczny tekstu haggady nieprawidłowy. Autor raportu zapewne nie słyszał o cynikach. Wolny jest ten, kto nie ma żadnych bogactw i może robić to, co mu się podoba — tak ja rozumiem sens haggady. Co w tym niesłychanego? Zbyteczna nadgorliwość”.

Dopisek własną ręką Piłata:

„Zaleca się zwrócić większą uwagę na posunięcia sztyletników oraz Antypasa”.

Dopisek drugi:

„Nagrody nie akceptuję. Nagradzający, jeśli chce, może wypłacić ją z własnej kieszeni albo zwrócić pieniądze do kasy państwowej”.

Oraz podpis:

„P. P. AMICUS CAESARIS”.

Zobaczył siebie — małą figurkę idącą ulicami Abdery, gdy nagle zza rogu ulicy wyszedł człowiek w łachmanach i boso, z torbą żebraczą przewieszoną przez plecy, kudłaty.

— Ruszcie się, mieszcuchy! — wrzasnął wyszedłszy na rynek — chodźcie tu do mnie, a dam wam prawo do oplucia wszystkich posągów w tym mieście, by okazać jak bardzo obojętna, wręcz pogardy godna, jest wszelka norma postępowania inna niż ta, którą ja sam kształtuję. Odrzućcie więc bogactwa, urzędy, karierę, by osiągnąć pełnię wolności. To da każdemu możliwość sławienia lub obszczenia bogów, jakich zechce. Ale ty, oczywiście, pantoflarzu, nie pójdziesz. Szkoda ci będzie zostawić tę chlamidę, chimation i sandały. Szkoda ci domu, niewolników i dziwki, którą utrzymujesz, a która kpi z ciebie. Więc zostań niewolnikiem swych nałogów, słabostek i bogactw!

Stał na rynku przed posągiem Ateny, rozkraczył się i, śpiewając na głos zwrotkę plugawej piosenki, podkasał chlamidę. Poważni obywatele miasta odwrócili głowy. Zaczęto wołać na straż miejską. Kudłacz w łachmanach, słysząc kroki żołnierzy, zostawił w spokoju posąg i szybko pobiegł ulicą. Naraz zatrzymał się, pogroził miastu pięściami :

— Sięgnąć do ostatnich granic wolności! Do absurdu! Precz z moralnością, precz z państwem! Niech żyje anarchia!

Hegezynos pobiegł za nim wraz z innymi chłopcami, których pełno naraz wyległo na rynek. Rzucił kamieniami i wołał:

— Pies, kynos, kynos!

Wzruszył ramionami. Tu, w tej przesiąkniętej prawdziwą Tajemnicą Judei, trzeba myśleć innymi kategoriami niż w Grecji, nad Dunajem czy w stolicy świata. Wszystko tu wygląda inaczej i nie wytrzymuje żadnych porównań. Zamknął kasetę. Był w niej dowód nie do odparcia. Cała odpowiedzialność za możliwe rozruchy spadnie teraz na barki Piłata.

Przyszło mu do głowy, że warto by się upewnić, jak zareaguje na nie Antypas: być może poprze je zapasami swojej broni. Należało tylko zrećcać całą sprawę: pchnąć giętkość grecką i dwulicowość Wschodu przeciw rzymskiemu prostactwu i sile. Przebiegł w myślach dworaków Antypasa. Sam król jest człowiekiem barbarzyńskim, o czym świadczy nieszczęsna historia z Janem i z jego głową pokazywaną na misie — doprawdy w stylu podrzędnych satrapów i prostackich tyranów, którzy ledwie otarli się o grecką kulturę. Większość dworaków Antypasa pozostała wciąż ludźmi pustyni, na pół Arabami. Grecki strój i kaleczone wyrazy czyniły w oczach Hegezynosa ich lewentyjskość jeszcze bardziej widoczną, obcą i nieprzeniknioną. Pozostawał jednak książę Manahen, nie Grek wprawdzie, lecz w każdym razie człowiek wykształcony i wychowany w Aleksandrii, drugim obok Rzymu centrum świata, nie zaś tu, w tej dziwacznej, prowincjonalnej Judei — człowiek wykwiśnięty, wielki esteta, rozumny i bystry. Z nim człowiek pokroju Hegezynosa najchętniej może rozmawiać nawet o sprawach naj-

bardziej delikatnej natury. Hegezynos ceni ludzi rozumnych, choćby byli nawet wrogami i ma do nich zaufanie. Manahen jest jego wrogiem, ponieważ Antypas jest wrogiem Piłata. To wygląda logicznie, a jednak jest nieprawdą. On i Manahen są sojusznikami, co ten ostatni powinien wyczuć w rozmowie.

Łatwo mu będzie, rozmawiając z księciem, wtrącać cytaty z Horacjusza, być może nawet przerywać rozmowę wspólnym czytaniem pieśni, szczególnie strof o wiosnie italskiej znanej im obu, jakże różnej od wiosny palestyńskiej, i o świętach w Rzymie, jakże różnych od Paschy! Ale Manahena widziano z Jezusem bar Nash w Betsaidzie i mógł nie wrócić jeszcze do Jerozolimy. Nie rozumiał, czego ten światowiec i intelektualista, ozdoba dworu Antypasa, szuka w towarzystwie Jezusa Cieśli i Jego prostodusznych zwolenników. Istnieje jednak możliwość, że, jak to czyni wielu, wyprzedził Jezusa w drodze do Jerozolimy znudzony kłótniami zapalczywych fanatyków niezłomnie prawych, którzy idą za Prorokiem, by Go wciągać w dyskusje i próbować ośmieszyć wobec tłumu? Warto to sprawdzić.

— Pójdiesz — rozkazuje w chwilę potem jednemu z numerowanych — do pałacu Antypasa, tak jednak, by nie zwracać na siebie zbyt dużej uwagi. Spytasz, czy wrócił książę Manahen. Jeśli tak, powtórzysz mu, że ody Horacjusza, o które się dopytywał, nadeszły niedawno z Cezarei i chętnie mu je osobiście pokażę.

* * *

Stał przed słupem, do którego przywiązano skazańca. Tamten odwrócił głowę i spojrzął swojemu katu prosto w oczy.

Dziesiątki ludzi robi to samo — myślał, ściskając z wściekłością flagellum: krótki kij z rzemieniami, do których przytwierdzono ołowiane ciężarki w kształcie haczyków rozdzierających ciało. — Dziesiątki ludzi wysyła innych na śmierć, zadaje im śmierć, mija ich śmierć obojętnie.

Widział przed sobą twarz tamtego. Człowieczek stał przed nim drżący, jego tłusta, spotniała twarz dygotała. Wszyscy skazańcy przekupują strażników. Pomyślał, że i tamten też chciał go przekupić, wtykając w dłoń coś twardego, zawiniętego w brudną chustkę.

— Weź, będziesz miał na prezent dla dziewczyny, weź! — skomlał, jakby jego ratunek zależał od tego, czy legionista weźmie jego węzełek.

Odwrócił się. Za nim biegł krzyk podobny do wycia psa. W klatkach za żelaznymi prętami stali skazańcy. Niektórzy zębami chwyтали kraty, inni trzęśli nimi zwisając na rękach. Czyżby się łudzili, że zdołają się stąd wyłamać? Dławił go zaduch lochu, zgniłej słomy i nędzy. Słyszał jęki i śmiech, jak w szeolu.

Nie miał pojęcia, co zrobił ten człowiek. Być może był mordercą. W tej chwili to go nie obchodziło. Wiedział, że gdy tylko uderzy pierwszy raz, dokona całej egzekucji. Tamten zawisnie na rękach, jak worek, a potem ciało zacznie mu od-

padać od kości jakby był trędowatym albo trupem rozkładającym się w gorącej, dusznej atmosferze dnia.

Był w trzydziestu dwóch bitwach, widział rozkładające się trupy, ale to nie było to samo. Ten człowiek był bezbronny — a to nie była byle jaka chłosta: to flagellacja, to tortura. Cała rzecz polegała na tym, by zdobyć się na odwagę i nie zadać pierwszego smagnięcia, jak to sobie postanowił jeszcze przed egzekucją. Teraz nie myślał o tym, co go czeka, gdy odmówi wykonania rozkazu. Kazano mu zadawać tortury. W imię czego? Nie wierzył, by sprawiedliwość potrzebowała męczarni tej dygoczącej przy palu istoty, ani też, że to, co mu kazano uczynić, było wymierneniem sprawiedliwości. Nie ma sprawiedliwości bez miłosierdzia — powtarzał w myślach słowa swojego rodaka z Samarii, który w garnizonie, w tajemnicy przed innymi kolegami, powtarzał mu szeptem nauki dziwnego Człowieka, Żyda, który chodzi po Galilei. Patrzyli na siebie wzrokiem jakby nieobecny ogarnięci naraz przez ideę, która wstrząsnęła ich życiem, a potem długo w noc nie mogli obaj zasnąć. Pełniąc służbę unikali swego wzroku. Od tego czasu zaczęło go parzyć flagellum. Czuł, że dłużej nie potrafi tego znieść. Czemu Bóg — rozmyślał — pozwala na bezmiar zła i bólu bezsensownego, ponieważ i tak niczego nie zmienia? A jednak nie potrafili by chyba wierzyć w Boga, którego każde działanie nie miałyby swojego celu, podobnie jak nie uwierzyłyby w Boga, który by nie był miłosierny.

— Bij! — usłyszał komendę dziesiątnika.

Podniósł flagellum. Pomyślał, że oto nadeszła chwila próby czy też wyboru. Nie miał żadnych zobowiązań wobec tego człowieka ani wobec Tamtego z Galilei. Wydało mu się jednak, że gdyby to uczynił, w jakiś nieokreślony sposób zdradziłby Go i zdradziłby to wszystko, co zaczęło się stawać treścią jego życia. Czym jest akt odwagi? Skokiem jakby na drugi brzeg? Przemianą?

Nagle rzucił na ziemię flagellum i zaczął je deptać. To nie była litość. Wydało mu się, że to on sam teraz klęczy przy palu. Gotów był wziąć flagellację na siebie.

Żołnierze i skazaniec patrzyli na niego ze zdumieniem.

— Amici! — krzyknął.

Dziesiątnik skinął. Dwóch żołnierzy chwyciło go z obu stron za ręce. Trzeci wepchnął mu szmatę w usta.

* * *

Manahen starał się przeniknąć rozmówcę. To, że Piłat dąży do rozruchów w Judei, nie było pewne, nawet mało prawdopodobne. Przypomniał sobie swoją ostatnią rozmowę z Antypasem. Odbywała się ona w tym samym ogrodzie, nawet dokładnie pod tym samym posągami Sylena ukrywanym starannie przed oczami Żydów. Król wyraził wówczas przypuszczenie, że Piłat, chcąc uratować

siebie wobec pogromu przyjaciół Sejana, chwyci się środków ostatecznych, ponieważ nic nie ma do stracenia. Ciekawe, że ten sam pogląd wyłuszcza mu teraz szef policji rzymskiej na Judeę niewątpliwie poinformowany z pierwszej ręki. Czy jednak można mu wierzyć?

Odpowiedział ostrożnie, że cieszy go zaufanie Hegezynosa. Ten odparł, że jest ono zrozumiałe. Do kogo mógłby mieć zaufanie urzędnik, któremu leży na sercu dobro cesarstwa, jeśli nie do najwierniejszego przyjaciela Rzymian, który już nieraz ostrzegał departament prowincji Syrii przed szaleństwami Piłata? Dotychczas rzucali uprzejmymi słowami tak, jak wytrawni gracze podają sobie piłki w początkowej fazie gry, chcąc wybać przeciwnika. Teraz gra zaczynała się zaostrzać.

— Odkryliśmy — powiedział Hegezynos — nowy szyfr, którym król przesyła depesze do Rzymu.

Procedura była względnie prosta. Wszystkie listy wysypane z Judei przychwytywali ludzie Trasyllosa. Chodziło o to, by poczta rzymska miała kontrolę nad kłębowskiem nie zawsze jasnych interesów prywatnych i politycznych, które wciąż odżywały na podobieństwo tysiącglowej hydry. Należało mieć dużą rutynę, aby się w nich nie zgubić. Antypas jednak wpadł na pomysł przesyłania swoich depesz szyfrem, który następnie odcyfrowywał jego człowiek w Rzymie, adresat — pewien wysoko postawiony, uwikłany w długach senator, któremu zaszkodzić nie mógł nawet Sejan. Odcyfrowane przekazywał następnie departamentowi do spraw prowincji Syrii, czym zapewne reperował swój budżet.

Szyfr ten co pewien czas się zmieniał. Nigdy jednak nie wpadał w ręce Trasyllosa.. Antypas przesyłał go jakimś nieznanym kanałem — zapewne przez osoby, które wyjeżdżały do Italii. Szły nim, być może, także inne listy, których treści Piłat nigdy nie poznał. By odkryć klucz, należało więc mieć swojego człowieka wśród skrybów Antypasa. Jak dotąd nie było z tym kłopotu. Skrybowie byli przekupni. Koło zamykało się. Macki absurdu pełzły po Judei, sięgały przez Damaszek i Cezareę do Rzymu. To była Palestyna: mieszanina naiwności, korupcji i podstępu.

Manahen pomyślał, że list do Rzymu, który właśnie pisze się w kancelarii, trzeba przepisać stosując jakiś nowy szyfr, a co najważniejsze — wydostać od Hegezynosa imię skryby, który zdradził szyfr Rzymianom oraz wysokość sumy, którą mu zapłacono. Skoro Hegezynos posunął się tak daleko, by udowodnić Antypasowi szczerą swoich zamiarów, było jasne, że posunie się jeszcze dalej. Tak się też stało.

— To niejaki Jonasz zanotowany w naszej ewidencji jako numer sto szesnasty. Wysokości sumy nie znam. Przekupywaniem miejscowych urzędników zajmuje się Trasyllus. Przypuszczam jednak, że wynosi więcej niż dziesięć srebrnych staterów.

Trzeba mu dać dwukrotnie więcej — pomyślał Manahen, by przed czasem nie doniósł Trasyllosowi o zmianie szyfru, następnie przepędzić na cztery wiatry

lub ukryć w podziemiach pałacu i zmienić szyfr ponownie. Na razie wyśle się przez specjalnego gońca wiadomość, o której nie powinien wiedzieć Piłat, że Baruch bar Symeon prowadził tajne transakcje pieniężne z przyjacielem cesarskim. Wiadomość może być bez znaczenia, lecz może także okazać się cenna. Goniec przy okazji zawiezie nowy szyfr. Sprawa Barucha nie jest całkiem jasna. Motywy czyjejś śmierci mogą być bardziej skomplikowane, niż to się na pozór wydaje.

Równie niejasny był powód zjawienia się szefa policji rzymskiej. Niewykluczone, że Grek chciał unieszkodliwić Piłata i zapobiec buntowi w Judei. Mógł jednak także nosić się z zamiarem unieszkodliwienia Piłata poprzez wywołanie tego buntu, kiedy to musiałaby wzrosnąć jego własna pozycja — urzędnika czuwającego nad pokojem rzymskim.

— W sytuacji Piłata, chcąc wywołać bunt — powiedział Hegezynos — nie wolno już tak jak niegdyś wprowadzać do miasta orłów rzymskich. Te czasy się skończyły. Nie wolno wywoływać wrażeń, że rani się uczucia Żydów brutalnie i bezcelowo. Teraz powinien zostać zraniony nasz, rzymski honor. Gdyby ktoś z Żydów zechciał napluć na orła. . .

— Zamkniętego w murach Antonii? Nonsens. Pytanie, jak by się tam dostał?

— Napluć na orła, powiedziałem przenośnią. Żywe rzymskie orły spacerują po ulicach Jerozolimy w lektykach. Gdyby napluto na któregoś z nich, mogłoby wywołać to represje, w ich zaś następstwie bunt.

— Napluć na Piłata?

— Napluć albo zrzucić coś. Powiedzmy kamień. Przecież Piłat nie może planować zamachu na samego siebie — przemknęło przez myśl Manahena. Albo więc Hegezynos sam czegoś się obawia, albo zależy mu na śmierci Piłata i, w wyniku tego, na rozruchach w Judei, albo wreszcie w grę wchodzi jedno i drugie. Sytuacja stała się nareszcie zupełnie jasna: szef policji rzymskiej potrzebuje pomocy króla Judei przeciw ich wspólnemu — jak się okazuje — wrogowi, ale król nie może tej pomocy udzielić.

— Zapewniam cię, Hegezynosie, że król Antypas dołoży wszelkich starań, by powstrzymać sztyletników, gdyby chcieli doprowadzić Judeę do buntu. Nawet gdyby miały spaść represje skutkiem zniewagi lub śmierci któregoś z orłów Rzymu.

Hegezynos wsłuchuje się w ton głosu rozmówcy. Brzmi on stanowczo, bynajmniej nie po palestyńsku. Raczej po rzymsku i zdradza długie lata pobytu w stolicy świata. To, co mówi Manahen, jest jasne i nie pozostawia wątpliwości. Czemu jednak bunt nie może wybuchnąć, działanie sztyletników ma ustać, a Judea ma być — przynajmniej w ciągu najbliższego czasu — tak lojalna, jak dawno już nie była?

Znów wydało mu się, że znalazł ślad ten sam, na który wkraczał tylokrotnie: Partowie. Widocznie gdzieś w Ekbatanie, Ktezyfonie, Atraksacie czy Suzie postanowiono, że powstanie w Judei i Galilei — w tym arsenale Partów — nie

wybuchnie, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Od czego to zależy? Na to pytanie nie odpowiedziałby mu ani Poncjusz, ani Antypas, ani zapewne sam legat Syrii. Mógłby mu dać odpowiedź centralny wywiad i departament prowincji wschodnich w Rzymie, o ile nawet tam znają zamiary Partów.

Zaczął zapadać zmierzch. Niewolnicy z chustami zarzuconymi na głowy wnieśli latarnie. Hegezynos patrzył w ich światło na posąg Sylena — zielony lśniący stalagmit. Lubieżna twarz przybrała wyraz jeszcze bardziej szydery, gdy padły na nią z dołu cienie. Niknął, a zaraz potem wynurzał się z ciemności chwytany przez kręgi kołyszących się w dłoniach świateł. Sprawiało to wrażenie, jakby bożek chował się za listowiem i potem wystawiał zeń głowę. Spojrzał na niebo. O tej porze wiosenny zapach kwiatów niósł się, zatapiając sobą Jerozolimę, Górę Oliwną i Antonię rysującą się w górze, rozkraczoną nad mrowiskiem miasta. Sylen i ona byli tu czymś obcym: osobliwą parą przyniesioną przez wiatr epoki, krzewami, których nasiona padły tu na grunt, nie mogąc jednak zapuścić korzeni.

Skądś szedł śpiew. Monotonna, melodyczna recytacja:

*„Wyrośnie różdżka z pnia Jessego,
wypuści się odrośl z jego korzenia.
I spocznie na niej Duch Jahwe,
duch mądrości i rozumu,
duch rady i męstwa,
duch wiedzy i bojaźni Jahwe.
Upodoba sobie w bojaźni Jahwe”.*

Podczas gdy drugi głos odpowiadał pierwszemu:

*„Nie będzie sądził z pozorów
ni wyrokował według pogłosek;
raczej rozsądzi biednych sprawiedliwie
i pokornym w kraju wyda słuszny wyrok.
Różgą ust swoich uderzy gwałtownika,
tchnieniem warg swoich uśmierci bezbożnego.
Sprawiedliwość będzie mu pasem na biodrach,
a wierność przepasaniami łądzwi.
Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem,
pantera z kozłębem razem leżeć będzie,
cielę i lew paść się będą spodem
i mały chłopiec będzie je poganiał”.*

Śpiew urwał się, potem podjęto go jednostajnie, jednakże z osobliwym wyczuciem rytmu:

*„Owego dnia to się stanie:
Korzeń Jessego stać będzie
na znak dla narodów.
Do niego ludy przyjdą z modlitwą,
i sławne będzie miejsce jego spoczynku”.*

Głosy znowu umilkły. Tym razem ostatecznie. Teraz cisza wydawała się jeszcze głębsza.

— To o Mesjaszu — przerwał ją naraz Manahen — to Izajasz.

Że też wszystko w tym kraju przesiąknięte być musi religią — pomyślał Hegezynos — jak gdyby ten ich niewidzialny Bóg, który porozrzucił świecące kamienie galaktyk, naprawdę upodobał sobie ten kraj smutny i dziki, tchnąwszy w dusze tych ludzi tak wiele poezji.

Manahenowi wydało się, że cała Palestyna, cały świat jest wielką świątynią Adonai. Odczuł Go naraz swoistą, niewyraźną rozkoszą umysłu, której by nie mógł porównać do żadnej z rozkoszy zmysłowych — intensywniejszych, lecz daleko bardziej prostackich w porównaniu do spokoju, jaki go nagle ogarnął. Ten, kogo nazywał Panem, pozwalał na siebie patrzeć poprzez noc jerozolimską i strofy Horacjusza, które czytali razem z Hegezynosem, poprzez ich rozmowę i splot wydarzeń w Judei, które już jutro uniesie z sobą historia.

Z zamyślenia wyrwał go głos Hegezynosa:

— Zastanawiałem się, jadąc tutaj, dlaczego właściwie interesuje cię Jezus bar Nash?

Po raz drugi w czasie tej rozmowy Manahen postanowił być szczery: wysłał go Antypas. Jak Hegezynos wie, krążą pogłoski, jakoby Jezus bar Nash był nowym wcieleniem Jana zwanego Chrzcącym. Sekretarz Piłata zna zabobonność — no i, powiedzmy, ostrożność Heroda Antypasa? To wystarczy. Nie potrzeba nic więcej mówić. Dość, że Manahen spotkał tego Człowieka. Widział Go z bliska tak, jak niegdyś widział Jana. Z czystym sumieniem mógł donieść królowi, że to nie jest Jan ani zbiegły z więzienia, ani zmartwychwstały. Jest mniej gwałtowny od tamtego, a jednak jest w Nim więcej tej zdumiewającej mocy duchowej, jaką fascynował ludzi Jan. Jest w Nim coś niepojętego, nadludzkiego, podczas gdy Jan był tylko wielkim żarliwcem. Równocześnie jednak — jak gdyby przecząc temu określeniu — jest bezpośredni i tak w swoich odruchach ludzki, że wydaje się jakoby miał dwie twarze: wielkość i zwyczajność, które u kogo innego sprawiałyby może wrażenie kontrastów. U Niego są czymś zupełnie naturalnym.

Stanął mu w pamięci obraz ludzkiej istoty pełzającej z drewnianą kołatką. Łachmany odsłaniały ohydne czerwone wrzody, które wydzielały materię gęstniejącą w brązową skorupę. Przechodzący pluli i rzucali w niego kamieniami, obchodząc go z daleka. Manahen odwrócił oczy. Chory jęczał:

— Jezusie, Synu Dawida. . .

Zepchnięty jednak na skraj drogi położył się, nakrywając głowę płaszczem. Przechodziła obok niego ciżba, tłocząc się wokół Jezusa bar Nash, który właśnie nadchodził. Cuchnęło czosnkiem, zjełczałym tłuszczem, stęchłym brudem. Pomyślał, że król Antypas wymaga od niego zbyt wiele. Przecisnął się ku skrajowi drogi, by zatrzymać się i gdy tłum przejdzie, poczekać na lektykę i wrócić do najbliższego miasta. Dławiła go chmura kurzu podnoszonego przez setki nóg. Zaklął dosadnie po grecku.

Zobaczył wysokiego, szczupłego Człowieka w chałacie z szarej wełny, jaki noszą chłopci. Przewieszzone na ukos przez ramię wisały sakwy. Otoczony przez brodatych mężczyzn o wyglądzie chłopów skierował się wprost do Manahena. Minął go jednak i podszedł do trędowatego — dotknął jego głowy i coś mu szybko powiedział. Tamten zerwał się i, gdy Jezus odszedł nieco dalej, zaczął krzyczeć, oglądając sobie ręce i rozdzierając na piersiach łachmany. W Manahena uderzyła fala ludzi, którzy pędzili teraz w stronę trędowatego. Krzyk tłumu zagłuszał jego słowa, gesty jednak były wymowniejsze od słów. Trędowaty pokazywał na piersi, ręce i nogi. Manahen zniesiony przez ciżbę stał teraz blisko niego, usiłując odsunąć się z uczuciem grozy. Jednak ciało tamtego było czyste: zniknęły z niego wrzody podobne do płonących, rozsypanych po całym ciele węgli. On sam trzymał jeszcze w ręku kołatkę. Prawdopodobnie zapomniał o niej i grzechotała, gdy w podnieceniu wymachiwał rękami. Trząsał się. Po brodzie płynęły mu łzy.

Ktoś z tłumu zawołał:

— Uczyń jeszcze jedno uzdrowienie, Mesjaszu!

Podniosły się szemrania i wrzaski. Manahen usłyszał o kilka kroków od siebie głosy towarzyszących Jezusowi mężczyznom o wyglądzie chłopów:

— Mistrz powiedział mu, żeby tego nie rozgłaszał. Wyglądało to tak, jakby Jezus nie uważał uzdrowienia tego człowieka za godne tak wielkiej uwagi. Manahenowi wydało się, że rozumie Jego pobudki. Pomyślał, że cokolwiek by się sądziło o słynnych w Galilei uzdrowieniach Jezusa bar Nash, było w nich coś z popisu — i tego właśnie chciał On uniknąć. Wyglądało na to, że wbrew złośliwym opiniom rozpowszechnianym w Jerozolimie, nie miał On w sobie nic z wędrownego cudotwórcy, produkującego się jak kuglarz.

Pomyślał również, że do każdego ze świętych miejsc Wschodu i Grecji, do miejsc kultu Asklepiosa i Apollina ciągną co dzień tłumy paralityków, trędowatych, neurasteników, ułomnych. Jedni zapewne znajdują uzdrowienie, bowiem składają wota, drudzy odchodzą pełni zawodu lub jeszcze większej nadziei, temu człowiekowi jednak wyraźnie nie chodziło o zdrowie ciała. Zdrowie lub chorobę traktował nie jako cel, lecz jako środek. Do czego środek jednak? Co jest w człowieku, co warto obudzić, oczyściwszy mu ciało lub wpędziwszy w niedolę jak Hioba?

— Bądź pozdrowiony, Mesjaszu, Królu Żydowski, Uzdrawicielu, Rabbi! — krzyczał entuzjastycznie tłum. Manahen widział, jak tłoczono się, by całować Jego chałat. Całowano również łachmany trędowatego.

— Ukaż nam znowu cud.

Byli jak dzieci, które dopominają się o nową zabawkę.

— Pokaż cud — wołano coraz gwałtowniej.

Nagle nastrój tłumy się zmienił. Entuzjazm przeszedł w zniecierpliwienie. Ktoś zaśmiał się histerycznym chichotem.

— Uczniowie fałszywego Mesjasza przekupują oszustów i żebraków, by udawali uzdrowionych.

Manahen obejrzał się za tym, kto krzyknął, ale nie mógł dostrzec go wśród mnóstwa podnieconych twarzy.

— Udowodnij, Jezusie bar Nash, że nie jest prawdą, co ci zarzuca ten człowiek! — wołano wśród tłumy.

Ktoś krzyknął przenikliwie. To zdaje się, trędowaty. Bito go teraz, ciągnąc przed jednego z uczonych chawerim. Czcigodny rabbi nagle znalazł się w tłumie, mówiąc coś do otaczających go. Manahen odróżnił słowa: „mocą Beliala”.

— Pokaż cud, Jezusie bar Nash! — już teraz zewsząd słyszał wołania, szepty i przekleństwa. Ludzie stojący wokół uczonego rabbi przeklinali Jezusa bar Nash. Uczony rabbi, śmiejąc się na całe gardło, przyłożył ręce do ust i krzyknął:

— Fałszywy proroku, udowodnij, że mocą Boga czynisz swoje sztuczki, a nie mocą księcia szatanów!

— Udowodnij! — zawyła rzesza.

Manahen znalazł się jakby pośród burzy. Rozwiane chałaty i brody, wzniesione pięści, przekleństwa i gwizdy — wszystko to zmieszało się w wir namiętności i żądzy czegoś niezwykłego. Podniecona ciekawość tłumy domagała się zaspokojenia. Oczekiwanie było pełne napięcia i gniewu, który stopniowo zamieniał się we wściekłość. Zawiedziony tłum, nie widząc cudu, tupął i wył. Tuż obok siebie usłyszał uderzenia i wrzaski bólu. To zwolennicy Jezusa bar Nash zaczęli pewnie bić się z szydrcami lub też wykryto złodzieja, którego tłum rozdzierał na strzępy, wyładowując na nim swoje rozgoryczenie. Manahen widział opadające pięści i laski. Ktoś go potracił. Ludzie odskakiwali w bok. Środkiem drogi pełzył na czworakach i kulejąc rząd kalek, sparaliżowanych, owrzodzonych, ślepców i obłąkańców chichoczących i spętanych łańcuchami. Dziwną tę gromadę popędzało, niby stado owiec, kilku spośród tłumy, grzmocąc nieszczęśników kijami, ci zaś biegnąc krzyczeli:

— Uzdrów i nas, uzdrów, Jezusie bar Nash!

Cienkie głosy kastratów, ochryple, niewyraźne bełkotanie trędowatych i sparaliżowanych, przenikliwe zawrozczenia ślepców zmieszały się z histerycznym wrzaskiem tłuszczy w krzyk jakichś piekielnych, na pół rzeczywistych mar, które otoczyły Jezusa bar Nash groźnym, falującym kręgiem nienawiści i ekstazy.

- Uzdrów ich — wył tłum — uzdrów ich, Mesjaszu, Synu Dawida!
- Pozdrowiony bądź Cudotwórco, Synu Boży, niech będzie błogosławiona ziemia, która cię wydała!
- Uzdrów ich natychmiast, synu Beliala, bo Cię ukamienujemy!
- Ukamienować czarownika!
- To Mesjasz!

Poczuł mdłości. Widział z daleka Jezusa bar Nash, który patrzył na tłum spokojnie, nieustępliwie, potem odwrócił się. Zaczął iść szybko, jak gdyby uciekał zgarbiony, z głową wtuloną w ramiona, jak gdyby bał się uderzenia kamieniem. Tłum sunął jego śladem, szumiąc jak morska piana. Kilkunastu mężczyzn o wyglądzie chłopów, a także jakieś kobiety chwycili się za ręce i otoczyli Mistrza. Manahen poczuł litość dla tego zaszczutego Człowieka, równocześnie zaś Jego samotność wzbudziła w nim szczególne uczucie szacunku. Zdumiony spostrzegł, że goni Go razem z tłumem, chcąc jeszcze raz spojrzeć Mu w twarz. Twarzy jednak nie dojrzał. Jezus bar Nash zakrył głowę chustą i biegł przed siebie.

Niewolnicy wnieśli do ogrodu sofy i dwa niskie trójnożne stoliki. Obaj panowie położyli się przy nich, zwyczajem greckim. Niewolnik zasiadł w kucki na macie, położył sobie na kolanach bębenek, w który zaczął uderzać, wygrywając jednostajną rytmiczną melodię. Zapalono długie trociczki z Cejlonu. Duszący wonny dym otoczył głowy leżących, wzbijając się ku wierzchołkom krzewów. Manahen podniósł krater z winem. To samo uczynił Hegezynos.

— Innym razem — rzekł Manahen — odczytał myśli swoich wrogów, którzy chcieli ukamienować jakąś dziewczynę. To rzecz znana. Wieści o tym chodzą po całym kraju.

— Więc dlatego zostałeś przy Nim? — spytał Hegezynos.

— Bynajmniej. W tym jest bezsprzecznie jakaś tajemnica, którą może warto by zgłębić, zostałem jednak przy Nim dopiero później. Powód leżał gdzie indziej. Usłyszałem jedną z haggad, które tak często powtarza, chcąc zapewne, by słuchający wbili je sobie w pamięć. Miałem podobny wypadek w Italii. To było wtedy, gdy Antypas jechał do Rzymu i nie znał jeszcze Herodiady. Wysłał mnie z Neapolu przodem konno do stolicy świata, bym zapowiedział jego przybycie. Tak jak wszyscy mali królowie na Wschodzie jest bardzo czuły na punkcie prestiżu. Nie dał mi nawet orszaku, chcąc sam wystąpić jak najokazalej. Wówczas jeszcze w Kampanii, a szczególnie wzdłuż rzekł Liri trafiały się zbrojne bandy. Miąłem już górę Petrella i jechałem do Pontecorvo — droga była wąska wśród gór i zięjących zewsząd przepaści. Jest to okolica dzika i ponura, pełna skał i końskich szkieletów ogryzionych przez wilki; chciałem przejechać ją możliwie najszybciej. Usłyszałem jęki. W kotlinie obok drogi leżał nagi, pokrwawiony człowiek i wzywał pomocy. Przez chwilę pomyślałem nawet, żeby zsiąść z konia i zabrać go do gospody, która gdzieś powinna być blisko, ale zaczynał się zmierzch. O tej porze w górach Lepińskich dość wcześnie wstaje mgła, a mnie Antypas nakazał

pośpiech. Właściwie nie wiem, dlaczego go minąłem. Zresztą wkrótce zupełnie zapomniałem o nim. Dopiero teraz, gdy ten Człowiek opowiedział swoją haggadę, wszystko ożyło mi w pamięci tak, jakby mówił o mnie samym, a przecież nie mógł znać tego wypadku. Nie zna go nikt oprócz mnie i ciebie i tamtego człowieka, który na pewno już nie żyje. Nie mógł mieć mnie na myśli, właśnie mnie — był to po prostu podobny wypadek — a jednak od tego czasu zamykam oczy i widzę pod powiekami pustą drogę w górach do Pontecorvo, te same szare, ciężkie kłocę skał. Droga zakręca nagle i leży nagi człowiek. Podnosi do mnie zakrwawioną twarz i krzyczy, jak strasznie krzyczy. . .

Manahen ścisnął palcami skronie. Jego szczupła twarz okolona małą wschodnią bródką przybrała wyraz cierpienia. Zamknął oczy. Skóra napięta na policzkach i na chrząstce nosa miała żółtawy, niezdrowy odcień.

Jak on się dręczy — pomyślał Hegezynos.

Manahen podniósł powieki. W jego oczach był bezmiar cierpienia. Ścisnął mocniej skronie, krzyknął:

— Podjeżdżam bliżej, a wówczas widzę, że jego twarz jest moją własną twarzą. . .

Bębenek zagrzecotał, jakby ktoś równomiernie uderzał językiem o podniebienie. Manahen zakrył twarz.

— Czasami moją i równocześnie Jezusa bar Nash — powiedział szeptem — i to mi także nie daje spokoju. Nie wiem, kim jest ten Człowiek: Mesjaszem, Synem Bożym, Eliaszem, jak niektórzy twierdzą, czy nowym prorokiem. Wiem tylko, że poprzez Niego dotknął mnie palec Pana, jak dotknął Hioba, i nie znajduję spokoju, ani dla siebie miejsca, dopóki nie znajdę oczyszczenia.

— Jak myślisz — spytał nagle, w jego oczach pokazała się trwoga — czy tam mogły być wilki wtedy, gdy zeszła mgła?

Uderzył głową o brązowy stolik; bił weń nie odrywając palców od skroni, aż na czole pokazała się smuga krwi.

— Szedłem z Nim od Jordanu — powiedział nagle ze szczególnym wyrazem radosnego skupienia na twarzy, którego Hegezynos nie znał — i odłączyłem się dopiero w Betfage, żeby sprzedać mój pałac, uwolnić niewolników, rozdać pieniądze i iść za Nim, jak ci brodaci amhaarecim. To nie było przypadkiem, że usłyszałem tę haggadę. On chce, żebym powtarzał dalej Jego haggadę i będę ją powtarzał. Pojadę do Grecji i do Italii, stanę na drodze do Pontecorvo. Jeszcze tylko kilka dni służby Antypasowi, a potem wolność, Hegezynosie, wolność. . .

Tonem zwierzania:

— Wydaje mi się, że jest we mnie dwóch Manahenów. Ten drugi pozostanie, jak zużyta szata.

Nagle odzyskując styl bycia dworaka i światowca, wkładając do ust winogrono:

— Wybacz xejne, gościu — jeśli cię nudzę osobistymi sprawami.

Wbiegła harfistka. Hegezynosowi wydało się, że cała ta rozmowa była snem. Zobaczył nagle coś nieprzeczuwalnego, ale to nie było realne, jak nierealna była Jerozolima i pośrodku niej posąg Sylena. Wciąż nie potrafił przywyknąć do tego, że kontrasty otwierały się przed nim, jak rozpadliny podczas trzęsienia ziemi i równie szybko się zamykały, tworząc powierzchnię pozornego bezruchu. Gdzie ja jestem? — pomyślał. Co to za świat?

* * *

W tym samym czasie w pałacu Heroda Wielkiego, w atrium. Prokurator Judei Poncjusz Piłat siedzi w fotelu naprzeciw popiersia cesarza. Wzdłuż ścian na słupkach ustawiono inne popiersia: żony Piłata Aspazji, legata Syrii Witeliusza oraz Anaksymandra, Klejtomachosa i Pyrrona — filozofów sceptycznych, a także geniuszy domowych. Wchodzi posłaniec:

— Domine! — list z fortu Antonia.

Poncjusz odbiera zwitek i czyta:

„Jego dostojności, Poncjuszowi Piłatowi pozdrowienia od Trasyllosa, urzędnika drugiego stopnia. Urzędnik pierwszego stopnia, Hegezynos, udał się lektyką do pałacu Antypasa”.

* * *

W tym samym czasie w ogrodzie Getsemani pod Jerozolimą, nie dochodząc do potoku Cedron. Kilkudziesięciu ludzi, w kilku grupach, otacza Człowieka o ruchach spokojnych i zamyślonej, rozumnej twarzy. W jednej z grup siedzi w szarym chałacie młody rybak z Galilei, którego nazywają Janem Synem Gromu.

GŁOS Z RZESZY:

— Jutro Mistrz wejdzie do Jerozolimy. Jestem pewien, że przyjmą Go tam dobrze. Ciekawe, czy twój brat Jakub znalazł Mu w mieście dobry nocleg?

GŁOS KOBIECY:

— Trzeba policzyć pieniądze, jakie wpłynęły z ofiar braci i rozdać je tym, którzy najbardziej potrzebują pomocy.

Z grupy występuje mężczyzna, jego rysy twarzy giną w cieniu. Z wyglądu sądząc, jest to kupiec lub może drobny właściciel ziemski.

— Janie — mówi — idę za Mistrzem od Jerycho. Zmarł mi syn i nie mam na świecie nikogo. Uwierzyłem w Jego Królestwo. Chcę ci coś powiedzieć, bo jesteś Jego najbliższym uczniem. Chcę oddać dom i majątek na potrzeby braci.

— Cały?

— Połowę.

GŁOS Z RZESZY:

— Tylko w połowie będziesz zbawiony.

Jan Boanerges podnosi spokojnym ruchem dłoń:

— A tyś ile dał?

GŁOS Z RZESZY:

— Cały.

DRUGI GŁOS Z RZESZY *ze śmiechem*:

— Dwa bochny chleba i trzy ryby. Ofiarodawca hojny z ciebie!

JAN BOANERGES:

— Co więcej warte: dom, czy dwa bochny?

GŁOS Z RZESZY:

— Dom, ale dałem tylko to, co miałem.

JAN BOANERGES:

— Wydaje mi się, że rzeczą Pana jest sądzić, czy dom jest wart więcej, czy mniej niż dwa bochny.

TEN, KTÓRY WYSTĄPIŁ I STOI TERAZ PODRAŻNIONY:

— Daję cały majątek.

JAN BOANERGES:

— Nie. Zbawiony być możesz, mniemam, nie ofiarowując nawet drachmy, ale jeśli jutro, gdy dokładnie przemyślisz tę sprawę, przyjdiesz do Mistrza i powtórzysz to, co powiedziałeś teraz, myślę, że przyjmie twoją ofiarę.

* * *

W tym samym czasie na przedmieściu Jerozolimy niedaleko Bramy Owczej. Willa otoczona murem należąca do arcykapłana Józefa Kajfasza. Wokół muru wąska, ciemnawa uliczka i rudery. Człowiek zwany jedenastym i człowiek zwany sto pierwszym czekają od kilku godzin na kogoś, kto wszedł do pałacu i powinien wyjść tym samym bocznym wejściem. Człowiek zwany czterdziestym czwartym stoi obok w zasięgu głosu tamtych z woskowaną tabliczką i stylonem w ręku. XI:

— Trzeba dać szybko znać, co się tu szykuje, na wypadek gdybyśmy się go nie doczekali.

CI:

— Czy jest sens? Kajfasz został już skompromitowany. Możemy o tym zaświadczyć wszyscy trzej. Co może robić w jego willi Faroras? Moim zdaniem warto jeszcze poczekać, może jednak Faroras stąd wyjdzie, a wtedy XLIV zawiezie Marcellusowi wiadomość dokąd poszedł.

XI:

— Sprawa, jak mówił Marcellus, ma być wyjątkowo pilna.

CI:

— Zaryzykuję. Niech XLIV zostanie tu do rana. Dopiero wtedy wyślę go do Damaszku.

XI:

— Na twoją odpowiedzialność.

CI *do człowieka zwanego czterdziestym czwartym*:

— Zapisaleś, kto wszedł do willi?

XLIV:

— Wszystko w porządku. Zapisalem.

* * *

W chwilę później w ogrodzie Getsemani. Grupa ludzi siedzących najbliżej Mistrza rozdziela pomiędzy pozostałe grupy placki pszenne i ryby. Ten, który siedzi pomiędzy nimi, czyni to samo. Jest tak samo jak oni amhaarecem — człowiekiem ziemi. Jego chałat jest zniszczony i miejscami poprzecierany, a jednak jest w tym Człowieku coś nieuchwytnie innego, co drażni ludzi lub ich onieśmiela, budząc tym większy gniew, gdy podnosi głos i wyrzuca im błędy. Dotyczy to zwłaszcza uczonych peruszim. Wydaje im się wtedy, że ma rację, ale pycha nie znosi prawdy.

A jednak to odstępcą — myśli człowiek zwany sześćdziesiątym ósmym i — jak powiedział rabbi Joel wtedy, w domu na przedmieściu Betsaidy — fałszywy prorok. Staje mu w pamięci ta rozmowa.

— Powiedz, Judaszu, czy zerwanie kłosa w szabbat jest pracą?

— Nie wiem, rabbi. Nigdy nie zrywałem kłosów w szabbat.

— A jednak twój Mistrz je zrywa, przez co staje się nieczysty i ty razem z Nim. Żądamy od ciebie, abyś dyskretnie zawiadomił nas, kiedy twój Mistrz będzie sam, bez rzeszy i wskazał Go policji Antypasa. To przecież tak niewiele. Zrozum nas, Judaszu: nie chcemy, żeby człowiek działał jak ślepe narzędzie. Jak widzisz, mamy sposoby, abyś uczynił to, czego się po tobie spodziewamy, ale chcemy też, abyś uczynił to sam, dobrowolnie, z wewnętrznej potrzeby. Tylko człowiek przekonany o słuszności swojej sprawy może wykonać coś dobrze, niezależnie od tego, co by wykonywał, a nam chodzi o to, by ten Mesjasz amhaarecim i kalek nie spostrzegł się, że wpada w pułapkę. Poza tym chodzi nam, ludziom strzegącym czystości Izraela, byś i ty pozostał czysty. Czy zresztą człowiek działający wbrew sobie, nie czyni tak właśnie jak ten, według słów twego Mistrza, co służy Bogu, zarazem będąc czcicielem syryjskiego bożka Mammona? Jesteś przecież prawowiernym Żydem. Zastanów się, gdzie jest twój Bóg, Judaszu?

Przydzielono mu funkcję śledzenia Jezusa bar Nash, a jednak coraz częściej wypadł z tej roli. Jego raporty do setnika numerowanych były coraz rzadsze i coraz bardziej banalne. Pisał ostatnio o faktach głośnych we wszystkich piwiarniach. A jednak rację ma rabbi Joel — rozmyślał — że trudno jest działać wbrew sobie. Nigdy nikogo nie kochał. Zbyt dużo otrzymał kopniaków, by jego skóra nie miała stwardnieć. Na pewno nie kocha również tego Człowieka. Co zresztą znaczy

kochać? Oddać się czemuś zupełnie? Jeśli by nawet to uczynił, byle kaprys setnika rzucić go może w przeciwny kraniec Palestyny do zupełnie innych zadań. Wprawdzie Jezus bar Nash, gdy zostanie Mesjaszem, będzie miał władzę większą niż sam prokurator, czy jednak wówczas nie ostrzeże Go ktoś przed właściwą rolą człowieka zwanego sześćdziesiątym ósmym?

Im dłużej przebywał przy Jezusie, tym bardziej wzrastał jego niepokój. Starał się go w sobie zdusić. Co mi ostatecznie mogą zrobić — rozmyślał — ci tępogłowi i ociężali rybacy? Mistrz nie pozwolił mnie zabić, a do uderzeń i drwin on, Judasz, niegdyś niewolnik w nędznej miejscinie Karioth, zdążył się przyzwyczaić.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że ów niepokój nie jest lękiem przed śmiercią czy pobiciem, lecz przed tym, że Jezus bar Nash oddali go od siebie, a on nie będzie miał już doń powrotu — i to wydało mu się najważniejsze. Czy oszalałem? — pytał. Co mnie wiąże z tym Cieślą? Co się stało, że wszedł we mnie i nie potrafiłbym się już z Nim rozstać?

Nadszedł dzień, który nazwał w myślach przełomowym. Rzesza zebrała się, jak zawsze. Jezus siedział z podkurczonymi nogami. Mówił o przebaczeniu. Tyle razy powtarzał te myśli, ubierając je wciąż w inne słowa. Siedemdziesiąt siedem razy przebaczyć. Przebaczyć drugiemu nieskończoną ilość razy, kiedy to serce człowieka staje się wielkim gorejącym krzakiem miłości takim, z którego przemawiał do Mojżesza sam Pan.

Było cicho, tylko ten Jego głos niezapomniany, jedyny na świecie w monotonej tonacji opowiadacza haggad, krążył nad tłumem. Naraz ktoś krzyknął. To jakiś stary człowiek pełzł do Mesjasza, przedzierając się przez gąszcz słuchających, i pokornym gestem Żyda, który wita nauczyciela, pocałował zakurzony chałat Jezusa bar Nash.

Judaszowi wydało się, że to on sam krzyknął. Wstrząsnęła nim nagła myśl, że gdyby nawet Jezus bar Nash dowiedział się całej prawdy o nim, gotów byłby mu ją wybaczyć. Gotów byłby wszystko wybaczyć siedem razy po dziesięć i jeszcze siedem, i jeszcze drugie tyle, gdyby Judasz tego zapragnął, choćby uczynił zło przenoszące swoim ogromem wieżę Babel zwaną Esagila.

Postanowił, że będzie z Nim zawsze w pomyślności i w nieszczęściu. Chciał jak ów stary człowiek pocałować skraj chałatu Jezusa bar Nash. Wydał się sobie wolny i oczyszczony. Kłósów jednak nie zrywa się w szabbat i ze słów rabbi Joela wynika, że Jezus bar Nash jest odszczepieńcem, zdrajcą Zakonu. Judasz jest Żydem. Zawsze starał się przestrzegać przepisów i zachowywać czystość.

— Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną, a to znaczy: będziesz służył prawdzie i tylko prawdzie — powiedział rabbi Joel. — Nie chcemy, by człowiek działał, jak ślepe narzędzie. Tylko ktoś przekonany o słuszności swojej sprawy może wykonać ją dobrze. Gdzie jest twój Bóg, Judaszu?

Wciąż słyszy w sobie ten głos starczy, sugestywny, natrętny — i równocześnie inny — spokojny, monotony głos opowiadacza haggad. Spośród tych głosów

musi jeden wybrać, drugi zdradzić. Wybór nie jest tylko sprawą przymusu. Joel zmusił go do wyboru, ale dokonać go musi teraz sam i odpowiedzialność wziąć na siebie. Wybór jest sprawą woli. A jego wola czym jest? Wiarą w prawdę?

— Przecież niezłomnie prawi to Zakon, a czystość Zakonu to rozkaz Pana, a więc sam Pan. — Kusił uczony rabbi.

A może On nie jest Mesjaszem? Jest, czy nie jest? Spośród tych dwóch twierdzeń jedno musi być fałszywe. Które? Być może on, Judasz, za mało w Niego wierzy. Być może trzeba wierzyć silniej, zupełnie. Pozwolić Mu wejść w swój umysł, jak pozwala choćby Jan, drugi spośród Synów Gromu, ale czy każdy to potrafi? Oni wszyscy są w Nim. . . — szuka w myślach odpowiedniego wyrażenia, znajduje je. . . — zatopieni, ale nawet Szymon Kefas zastanawia się czasem, czy Mistrz dobrze robi, nie przyjmując korony Izraela?

* * *

Nieco później pod Bramą Owczą na przedmieściu Jerozolimy. Z furtki w murze otaczającym willę Kajfasza wychodzi człowiek, za którym natychmiast, choć w oddaleniu, podążają trzej oczekujący go numerowani. Naraz ostatni spośród idących rzuca się na tego, który idzie pośrodku. Uderzenie i krzyk: „szalóm”. Wówczas człowiek, który wyszedł z willi Kajfasza odwraca się i biegnie z powrotem. W tejże chwili otwiera się furka w murze. Wyskakują z niej czterej ludzie i wciągają leżącego już bez ruchu człowieka zwanego czterdziestym czwartym oraz broniącego się, lecz już słabo, człowieka zwanego jedenastym do ogrodu przy willi Kajfasza, po czym furka zatrzaskuje się.

CI podchodzi do człowieka, który wyszedł z pałacu.

— Jak zawsze doskonale wszystko urządziłeś, dostojny Farorasie — mówi. Faroras z akcentem, w którym wprawne ucho poznałoby armeński lub nawet perski osad na języku aramejskim rozkazuje:

— Natychmiast, jeszcze dziś w nocy, wyjedziesz do Damaszku.

CI:

— Co mam donieść o tobie Marcellusowi?

FARORAS:

— Że opuściłem Jerozolimę, udając się w stronę Bosry, tamtych zaś dwóch zostawiłem przy mnie.

Ciszej, tonem ironicznym, poufałym:

— To zaś, że zginą w drodze i znajdą ich gdzieś pod Bosrą w stanie innym niż ten, jakiego skłonny byłby, zdaje się, oczekiwać Marcellus, będzie już zrzędzeniem bogów, przeciw którym nawet Rzymianie nic nie mogą działać, a bogowie ostatnio dla sług Rzymu bywają niełaskawi.

Rozstają się. Faroras idzie w stronę Bramy Owczej, ten drugi znika gdzieś w zaułkach przedmieścia. Z ruder okalających mur ogrodu Kajfasza wychodzi

jakiś człowiek. Rozgląda się ostrożnie, następnie, sunąc wzdłuż ścian jak cień, podąża za Farorasem.

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie na ulicach Jerozolimy. Niesionego w lektyce dostojnika usypia kołysanie. Czuje błogość po wypitym winie. Oto szczęście — rozważa — stan, w którym wszystko staje się obojętne, niczego się nie pragnie, zapadając w sen podobny do śmierci. Nie można jej uniknąć, ale nie warto się jej bać, psując sobie przyjemność życia będącą najwyższym dobrem i celem życia człowieka. Tak przynajmniej naucza Epikur.

Przypomniał sobie decyzję Manahena sprzedania pałacu i wmieszania się w grono amhaarecim otaczających Jezusa. Pomimo wszystkich cech wspólnych łączących go z Manahenem odkrywa, że jest jednak coś, co bardzo ich różni. Jest to różnica usposobień, czy poglądów? Można pozbyć się majątku, by nareszcie osiągnąć wyzwolenie z pragnień. Czynią to cynicy — uczniowie Kratesa z Mallos i stoicy — uczniowie Zenona z Kitionu, który nauczał w Atenach w portyku malowanym — i to on, Hegezynos, rozumie. Tam, skąd przybywa, w Grecji i w Rzymie, brodaci stoicy wołali na skrzyżowaniach ulic, że człowiek dopiero wtedy jest wolny, gdy swoje pragnienia sprowadzi do najniezbędniejszych potrzeb. Wszystko inne jest albo szkodliwe, albo adiaphora — obojętne: można coś mieć i równie dobrze się tego pozbyć, nie przywiązując do niczego wagi.

Adiaphora! — prawdziwy filozof jest obojętny i ten stan ducha jest najważniejszy, ba, jest prawdziwym dobrem, jaki osiągnąć może człowiek pozbywszy się miłości i nienawiści, radości, smutku, gniewu, wiary w bogów i w autorytety — będąc jak kamień wypolerowany ze wszystkich stron przez wodę, której nurt, przetaczając się przez życie jednostek, płynie w nieskończoność. Czym jest więc w niej życie człowieka? Epizodem wobec oczyszczeń spalających świat w cyklach kosmicznych katastrof, a potem wszystko zaczyna się od nowa w takiej samej jak niegdyś postaci. Wszystko, co dzieje się, było już i jeszcze będzie nieskończoną ilość razy. Czy więc warto ubiegać się o cokolwiek? Adiaphora — wszystko, co czynimy, zostało już ustalone w najdrobniejszych szczegółach i przewidziane przez przeznaczenie — hejmarmene, siłę nieświadomą, ślepa jak orkan? — ktoś może to wiedzieć? A może wszystko opiera się na przypadku? — i czy w ogóle człowiek może poznać swoją prawdziwą sytuację? Wolność, wybór — czy nie jest jednym ze złudzeń? Wszystko jest złudzeniem, czymś podobnym do mary sennej: sprawiedliwość, rozum ludzki i bogowie. Pozbyć się złudzeń i żyć we Wszechogarniającym zwiątpieniu. Nauka i teoria stoików zlewały się z nauką o przyjemności życia i z wywodami sceptyków, tworząc w umysłach eklektyczną całość. Powód jednak, jaki przytoczył Manahen, był szczególny. Manahen jest człowiekiem serca, nie zaś kalkulującym chłodno człowiekiem rozumu. Nie przytoczył

w rozmowie żadnego z argumentów Zenona ani nawet pocziwego Tulliusza Cicerona o tym, co jest użyteczne, a co uczciwe.

Serce, czy intelekt? Któreś z nich ma zapewne rację? Może oba tylko każde w inny sposób? — ale dziwna jest Judea i ten Jezus — coś jak zwrot aramejski, który wpada nagłym niezrozumiałym zgrzytem w grecką frazę zdania. A może my jesteśmy zbyt sceptyczni, by pojąć jego sens? Przecież ten obrabowany nie był pewnie nawet Żydem.

Wciągnął w płuca chłodne powietrze nocy. Myślą cofnął się do Abdery. Odżywa we własnej pamięci takim, jakim był wtedy, gdy po raz pierwszy znalazł się w ogrodzie Epikurejskim za pałacem Demetriosa — szczupłym, nawet wątłym szesnastolatkiem z ledwie wysypującym się zarostem i ze szczególnym zamiłowaniem do rozważań nad istotą szczęścia.

Przechadza się po trawniku puszystym jak owcze runo, wzdłuż drzewek oliwkowych i strumienia spływającego wzdłuż kamieni rzuconych tu, pozornie przez samą naturę, a w rzeczywistości na rozkaz Demetriosa, by szum potoku mieszał się sielankowo z szumem listowia, ten zaś — ze szmerem rozmów beztroskich, pogodnych, dowcipnych.

Na marmurowych słupkach stoją posąжки Demokryta, nauczając lub zgoła błogosławiąc trzodę swoich wyznawców. Przy czym słowo „trzoda” nie jest tu przenośnią, skoro tak właśnie głosi napis na marmurowej płycie przywiezionej nie z Penthelikonu, to bowiem nie stanowiłoby w Abderze tak wielkiej rzadkości, lecz aż z Sycylii i z napisem łacińskim wżerającym się w subtelne złote żyłki kamienia: PORCI SUMUS — widzi Hegezynos ten napis przy czym zaś widok białych, jakby fosforyzujących w mroku pudełek domów i serpentyn ulic wijących się pod ciężkim butem Antonii zamazuje mu się, a raczej narasta nań — cofając się w czasie — widok inny: postaci krążących w chlamidach niczym białe widma, wywabione przez Odyseusza z otchłani, w wieńcach, z kitharami, których struny wydają dźwięk subtelny, lekki — EPIKUREI, litery złote niegdyś, teraz już zmatowiały. Widzi siebie również w wieńcu, jak krąży po trawie pomiędzy dwoma posągami. Dwaj pasterze trzody spoglądają na siebie ze swych cokołów. Jeden wyjaśnił mechanizm świata — podzielił go na ruchliwe atomy wymijające się niczym rydwany w odwiecznej parenklisis. Drugi uczył, jak z tego korzystać, by wiedzieć, czym jest przyjemność dająca szczęście, sens życia.

Hegezynos pochylił się, by odczytać napis na tablicy przymocowanej do posągu Epikura. Poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

— Szczęśliwy jesteś? — usłyszał pytanie.

Przed nim stał człowiek niski, opasły, z chlamidą rozchełstaną na bezwłosych piersiach. Był jak różowy, jowialny bożek Bachus. W dłoni trzymał zresztą konew wina. Nagie ramiona spinały bransolety — wylewało się spod nich ciało. Śmiał się całą szerokością ust, spojrzenie jednak — na co natychmiast Hegezynos zwrócił uwagę — miało wyraz podobny do tego, jaki widział kiedyś u starego psa, którego

trzeba było dobić, który zaś nagle zrozumiał, że jest niepotrzebny. Była w nim otchłań lęku.

— Jesteś szczęśliwy? — powtórzył pytanie.

— Nie wiem — odpowiedział Hegezynos. — Mój ojciec, Demetrios, wprowadzając mnie, powiedział, że znajdę samych przyjaciół. Ten ogród jest podobno jak złoty wiek — żyje się tu bez przymusu, bez trosk, bez praw, które ograniczają wolność jednostki.

— Otoczony murem — przerwał mu nagle człowieczek, podnosząc w górę palec — murem, powtarzam. Złoty wiek otoczony murem.

Hegezynos patrzył na niego zdumiony.

— Tak jest — zachichotał człowieczek — w którąkolwiek stronę się udasz, trafisz w końcu na mur porządny, kamienny i szczelny. Tu się żyje w ukryciu, mój przyjacielu, tu nie ma senatorów, dekurionów, namiestników. Tu dopiero każdy odzyskuje swoją twarz, jak za dotknięciem różdżki niejakiej Cyrce. Czytałeś „Odyseję”?

Przechylił konew. Rozległo się miarowe gulgotanie. Człowieczek chwycił Hegezynosa pod ramię i, zataczając się, szarpał nim.

— Pytasz, kim jestem? — chociaż Hegezynos nie pytał o nic. — Twój szanowny ojciec zapomniał uprzedzić cię, że tu wstęp mają w zasadzie tylko ludzie wolni i na tyle bogaci, by opłacić potrzeby ogrodu, niemałe — wierz mi. Niewolnicy sprowadzani są tu tylko dla zabawy, o czym zresztą przekonasz się z czasem. Ja wprawdzie jestem wolny, ale goły, zupełnie splukany, toteż muszę ich bawić, a za to mam prawo korzystać z każdej przyjemności, a nawet mówić w oczy każdemu ojcu miasta: „ty świnio”. Co złego powiedziałem? — Spojrzał na Hegezynosa niewinnie. — Podziwiam twego ojca i ani na chwilę nie zapomniałem, że jesteś jego synem.

Położył palec na ustach, nagle zmieniając ton:

— Chciałeś odczytać ten napis. Pomogę ci. Znam wszystkie napisy w tym ogrodzie. Ten na cokole Demokryta brzmi: „Czyń tak, by ci było przyjemnie”, na cokole Epikura zaś: „Nie psuj przyjemności innym”.

Znowu zmienił ton na poufny, mentorski:

— Pośpiesz się. Bogowie, nawet jeśli istnieją, w co wątpię, nie zajmują się ludzkimi sprawami, a życie jest paskudnie krótkie. Pamiętasz Achillesa? Odyseusz wywołał go z kraju cieni. Wyszedł Achilles, błędna, zwiewna mara. „Wolę być parobkiem w kraju żywych — powiedział — niż królem w kraju cieni.” A przecież zrodziła go bogini. Szarpała Hegezynosem:

— Chodź ze mną. Oprowadzę cię po ogrodzie. To jeden z moich obowiązków wobec nowicjuszy. Nudno tu zresztą.

Nagle przymrużając oko, wprost do ucha Hegezynosa, szeptem:

— Poza tym to kłamstwo. Nie ma krainy cieni. Ludzie rozsypują się z ciałem i duszą. O tak, po prostu, jak garść piasku. Z patosem:

— Może to i lepiej. A zresztą, co to wiadomo? Wierzę Homerowi.
 Po czym znów poważnie, uroczyście, z nutą smutku:
 — Królem w kraju cieni. Jestem szczęśliwy. . . Bezwstydnie, zadowolony, że udało mu się Hegezynosowi zaciekać:
 — Że żyję tu na ziemi jako zwyczajny domowy pasożyt. Tonem zwierzenia, tuż do ucha Hegezynosowi, szeptem:
 — Kopia mnie w tyłek i piorą mnie po mordzie.
 Z godnością, głośno:
 — Ale nie codziennie.
 Obok nich przeszli dwaj starsi panowie objęci w pół. Rozmawiali o tym, czy lęku przed śmiercią można się w ogóle pozbyć.
 — Gdy jesteśmy, śmierci jeszcze nie ma, gdy jest śmierć, nie ma już nas — powiedział jeden z nich, uśmiechając się owym lekkim epikurejskim uśmiechem wytwornej kpiny ze świata, podczas gdy drugi z pijackim uporem dowodził, że nie pomoże tu żadne filozofowanie i lęku przed śmiercią można się pozbyć jedynie poprzez samobójstwo. Szczęśliwy jest ten, kto zabiera z sobą do grobu większą ilość przyjemności niż zgryzot. Czy jednak jest to możliwe?
 Obaj zagłębili się w subtelne rozróżnienia obu odmian szczęścia: radosnego samopoczucia — eudaimonii, i obojętnego spokoju — ataraxii. Drugi ze starców, ten bardziej pijany twierdził, że trzeba sobie wyszukiwać przyjemności i że one są celem życia, podczas gdy pierwszy, którego głos przypominał Hegezynosowi głos jego ojca, Demetriosa, oponował tonem łagodnej, wykwintnej perswazji. Według niego nie należy unikać przyjemności, ale nie należy się też za nią uganiać, skoro celem życia jest boska obojętność i ona dopiero jest prawdziwą radością.
 — Którą daje dopiero zaspokojenie pragnień — zatriumfował ten drugi.
 Niedaleko od nich przeszedł szczupły efeb o trefionych włosach i ruchach miękkich, płynnych. Dwaj panowie pochylili ku sobie głowy i zaszepotali. Hegezynos usłyszał imię: Trasylos, i chichot.
 Pasożyt wspiął się na palce i wyciągnął szyję, mlaskając ze znanstwem, porozumiewawczo:
 — Bezsprzecznie najlepsze ciało męskie w tym ogrodzie.
 HEGEZYNOS *w myślach, jednak nie wówczas, lecz teraz, gdy lektyka przecina ulice Jerozolimy:*
 Kto by powiedział wtedy, że to imię i ciało doń przynależne będą jedyną rzeczą wspólną, jaką posiadam z Piłatem.
Z przestraczem, poprawiając się:
 O nie, nie jedną. Jest druga: ten uśmiech. Ten wstrętny uśmiech, który nagle objawił się, gdy ściągnięto zasłonę z noszy. . .
 Pasożyt ciągnął:
 — W tym ogrodzie możesz poznać wszystko. Dotrzeć do ostatecznych granic przyjemności. Poznać tę nawet, do której namawiał Hegezjasz, ten sam, którego

tak niesłusznie wygnano z Aleksandrii. Szerzyciel epidemii. Człowiek ustawicznej rozterki. Burzyciel uznanych pojęć. Wielki Hegezjasz ze szkoły hedoników cyrenajskich.

Zachichotał i czknał. W jego oczach pojawiła się panika. Przechylił konew. Zadrzała mu dłoń i wino pociekło po policzkach świecących i tłustych jak u eunuha.

Nadawszy się:

— Przeczytałem wiersze wszystkich poetów, jakie można zdobyć w Abderze począwszy od Pindara i subtelnej Korynny, a skończywszy na tych, jakie się pisze na ścianach pisuaru. Byłem w Nubii i w bagnach Germanii tam, gdzie kończy się obręb świata. Czego więczej żądać od jednego życia?

Namiętnie:

— Żebym chociaż wiedział, że istnieje ktoś, komu na mnie naprawdę zależy: człowiek, demon czy bóg — obojętne, czy tu, czy w Hadesie... Albo jeszcze inaczej: gdyby był na świecie — gdzie bądź — ktoś lub cokolwiek, czemu mógłbym dać chociaż szczyptę siebie...

W myślach — według przypuszczeń Hegezynosa, jakie przychodzą mu na myśl teraz, w lektyce:

— Poczekaj, głupcze, dopiero na sam koniec zobaczysz coś specjalnego. Przekonasz się, że wszystko jest takie proste, gdy tylko pozwala się światu robić to, na co ma ochotę, byleby tylko nie ograniczał naszej wolności. Gdzie są granice?

HEGEZYNOS *w myślach z goryczą o Trasyllonie*:

A jednak straciłem go.

Z wściekłością:

Sprzedajna kurewka. Po to zabierałem go z sobą do Palestyny!

Wówczas w ogrodzie:

— Jeśli bogów nic nie obchodzimy lub w ogóle ich nie ma, grzech nie istnieje.

Przechodzili teraz obok altanek o lekkiej konstrukcji wspartych jońskimi kolumnkami, rozrzuconych pomiędzy drzewami. Przypominały świątynki. Minęła ich grupa śmiejących się panów i pań, którzy doszedłszy do muru wrócili i zniknęli w jednej z altanek.

— To pawilon muzyki i tańca — powiedział pasożyt. Prowadził Hegezynosa od altanki do altanki i wyjaśniał mu ich przeznaczenie. Przeszli obok pawilonu wyznawczyń Safony, słysząc śmiech, minęli pawilon wyznawców Diogenesa, który dla zaspokojenia swych pragnień nie potrzebował opuszczać beczki, oraz pawilon czytania dzieł historycznych, pawilon rozmyślań nad szczęściem i ostatecznym celem bytu, pawilony miłośników kobiet, mężczyzn, wreszcie zwierząt, pawilon pijaństwa, stawiania horoskopów i słuchania wróżb, pawilon zadawania cierpień. Wszystkie służyć miały temu, by każdy natychmiast zaspokoić mógł każde pragnienie, nie zmuszając się ani też nie powstrzymując od niczego i posiadając w ten sposób wciąż wrażenie pełni.

Za pawilonem zbiorowych orgii — gdzie można było łączyć wszystkie rodzaje przyjemności — spostrzegli chłopca leżącego na trawie w wystudiowanej pozie, z twarzą opartą na dłoni. Otoczyła go grupa panów i pań podziwiających mięśnie efeba i gładkość jego skóry, która błyszczała od oliwy:

— Sam bóg Dionizos zstąpił do nas i drzemie w gaju epikurejskim! — sły-
szał przesadne, afektowane okrzyki. Jest piękny, a jeśli tak, musi być dobry. Czy
piękno nie jest dobrem?

W myślach, o Piłacie, z nagłym wybuchem goryczy i nienawiści:

Zapłaci mi za to!

Dostrzegł ojca. Starszy pan o rysach regularnych i kiedyś pięknych, teraz już
zwiądłych i zniszczonych, wyciągnął z rękawa zwój i zaczął czytać głosem noso-
wym, z wyraźnym attyckim akcentem, wiersz dowcipny, gładki, starannie opraco-
wany i banalny, umiejętnie imitujący anakreontyk o Erosie, który schwytyany na
udzie chłopca, wrzucony został do wina. Starszy pan wypił wino i Eros drażni go
teraz gdzieś wewnątrz skrzydełkami.

Starszy pan skłonił się głęboko. Zgromadzeni zaczęli bić brawa. Niezbyt gło-
sne, powściągliwe, uprzejme. Zobaczył syna.

— A, to ty! — zawołał. — Szczęśliwy jesteś?

Hegezynos wykonał niezdecydowany ruch ręką. Nie był szczęśliwy. Mdła nu-
da, a wraz z nią smutek owładnęły nim niczym opary, które powstają w wilgotnej
ziemi i przenikają powietrze. W tym ogrodzie wyczuwał coś sztucznego i smut-
nego, co wprowadzane jest w ruch mechanizmem samozłudy, co jednak przestanie
żyć, gdy tylko mechanizm ten wyczerpie się, jak owe zabawki aleksandryjskie
misterne, dowcipne i martwe. Co można jednak wymyślić lepszego? Czyżbyśmy
doszli — pomyślał — do krańców naszych możliwości?

Usłyszał krzyk: w rogu ogrodu trzy wielkie, kudłate psy poszczuto na nagie-
go chłopca. Chłopiec był zaledwie kilkunastoletni, podobnie jak tamten leżący
na trawie, również o mięśniach wygimnastykowanego efeba, także natarty oliwą.
Odpędzał od siebie bestie, które skakały mu na piersi i chwyciły go zębami. Był
jak ruchoma rzeźba: w ekstazie strachu czuło się coś zwierzęcego, zarazem coś,
co widzi się na fryzach świątyń w pozycjach ciał umierających gigantów: świa-
domość śmierci, jej wielkość, jej patos. Z panoramy cyprysów i białych domków
Jerozolimy wyrosły na moment usta otwarte w krzyku, naprężone mięśnie i zęby
obnażone w zastygłym już grymasie.

Jak Baruch bar Symeon — przeszło mu przez myśl. Przeniknęło go uczucie
niemiłego chłodu. Wcisnął się głębiej w poduszki lektyki, jak gdyby broniąc się
przed myślami, które go zaczęły osaczać.

Trasyllos, leżący dotąd na trawie, podniósł się i podszedł nagi z bucciną —
pasterską fujarką przy ustach, jaką zwołuje się w górach owce. W krzyk śmierci
wbiegł gwizd łagodny, głęboki o tonacji miodowej, nieco skocznej. Wytwor-
ni panowie i panie stanęli kołem. — Żegnaj, władco, odchodzący niewolnik cię

pozdrawia — usłyszał obok siebie szept pasożyta. W jego zmrużonych oczach zobaczył nienawiść. — Kiedyś byłem też niewolnikiem — syknął.

Towarzystwo biło brawo dyskretnie i powściągliwie, wciąż z tym samym bezbarwnym sceptycznym uśmiechem każącym powątpiewać nawet w to, że szczęście istnieje, a przyjemność nie jest tylko jedną ze złud, kiedy to już nic nie wiadomo i o nie nie warto się troszczyć. Spozrzegł ojca. Demetrios stał teraz tutaj, patrzył na obu chłopców i bił brawo.

— Jak Akteon — zawołał — rozszarpany przez psy Diany!

„Na udzie pięknego chłopca pochwyciłem Erosa. Wrzuciłem go do wina. Wypiłem” — przypomniał sobie początek wiersza. O czym myślał jego ojciec — ten starszy pan o pięknej, kamiennie spokojnej twarzy, jaką posiadać mógł posąg Arystydesa — patrząc na nogi tamtego, który teraz gra na buccinie? O czym myśleli, bijąc wtedy brawa, ci wszyscy tutaj?

Wydało mu się, że patrzy na jego nogi. Ogarnął go naraz lęk. Narastał, a wraz z nim uczucie pustki.

— Jestem wśród przyjaciół — powiedział głośno — to jest ogród Epikura, a ja jestem synem Demetriosa Abderyty. Nic złego nie może mnie spotkać.

Baruch bar Symeon huczał w jego myślach śmiechem jak wielki gong, w który bije się młotem. „Ont” — pomyślał — teraz tamten drugi leży w podziemiach Antonii i wypowiada to niby słowo takie głupie, takie bezsensowne w swym uporze. Wystarczy wrócić do pretorium, zejść w dół i spojrzeć mu w twarz, jak wystarczyło ściągnąć zasłonę z tamtego, by poznać... Co poznać? Swoją sytuację w Judei?

Pasożyt pociągnął go za rękaw. Doszli do świątyni opartej na kolumnach w stylu świątyni egipskich, mających kształt rozszerzających się kwietnych kielichów ozdobionych jednak jońską ślimacznicą oraz korynckim listowiem, co robiło wrażenie obce i, wbrew przepychowi, surowe. Obok kolumn stały dwie kariatydy trzymające w dłoniach gwiazdę i półksiężyc — co znów przypominało sztukę Wschodu, szaty kariatyd jednak były greckie. Zrozumiał, że były to alegoryczne postacie gwiazdy Afrodyty oraz bogini księżycy Selene.

— To już ostatni pawilon.

Pasożyt wbiegł po stopniach i pchnął drzwi. Buchnęło parą. Dopiero po chwili, przebijając wzrokiem biały tuman, Hegezynos dostrzegł basen wypełniony wodą, girlandy kwiatów i winogron zwieszające się pod sufitem, trójnożny, brązowy stół, jakieś amfory i konwie, wreszcie dziewczynę z przepaską na biodrach i harfą, która siedząc na brzegu basenu podniosła ku nim głowę.

Mały, pokraczny człowieczek chwycił Hegezynosa za ramię i wypchnął z wnętrza pawilonu, zatraskując za sobą drzwi. Chłód nocy owiał ich obu. Może dlatego pasożyt dygotał. Znów przechylił konew, w której nie znalazł już ani kropli, więc rzucił ją na ziemię i kopnął.

— To dla mnie — powiedział, znów jak zbolały pies, który szuka wzroku swego pana, aby w nim znaleźć źródło swej odwagi. Decydowałem się na to od trzech dni. Dzisiaj przyszedł dzień rozstrzygający. Hegezjasz Cyrenejczyk zwany Peisithanatos — Namawiacz do Śmierci — który spowodował epidemię śmierci większą niż wojna, zadawał sobie ból twierdząc, że ból i rozkosz są blisko siebie, a nawet ból jest najwyższą, najsubtelniejszą formą rozkoszy, tak jak śmierć — najpełniejszym aktem wyzwalamym z pustki i nudy życia, w którą los, czy przypadek wplątał nas tak beznadziejnie. Chcę zbadać, gdzie są granice rozkoszy.

Wtem patetycznie, wracając do tonu błazna: — Śmierć jest tym, czego jeszcze nie znam. Ten, kto jest w stanie zadać sobie śmierć, jest prawie równy bogom. Wchodzi sam w swoje przeznaczenie. Gdzie są granice wolności?

Upił się — pomyślał Hegezynos — błaznuje. Pasożyt podniósł palec do góry i przybrał ton mentorski; protekcjonalnie ostrzegawczy, klepiąc równocześnie Hegezynosa po ramieniu:

— Tylko nie próbuj czasem, mój pocziwczynie, robić tu jakiegoś alarmu. Ośmieszysz się. Tu nikogo nic nie obchodzi i tylko wydasz się gburem. Poza tym rozmowa o nieobecnych przyjaciółkach jest w złym tonie. Tonem koleżeńskiej perswazji, wzięwszy się pod boki: — Jesteśmy zdani tylko na samych siebie.

Jest trzeźwy — przestraszył się Hegezynos — mówi poważnie.

— Jesteś szalony — słyszy swój głos i pisk tamtego:

— Możliwe. Ale gdzie są granice?

Tonem łagodnego liryzmu, spoglądając w niebo:

— Teraz mogę tylko zniszczyć siebie, a pozostawić świat, ale tu, w umyśle. . .

Uderzenie dłonią w czoło, a równocześnie dygnięcie.

— . . . mogę zniszczyć świat, a pozostawić sam siebie. Z ręką na sercu, tonem tajemnicy:

— Wiesz już teraz, co nas ogranicza?

Rozkładając ręce, tonem objawienia światu wielkiej prawdy, na całe gardło:

— Ciało. Oto grób naszej wolności!

A jednak tylko wygłupia się — pomyślał Hegezynos z ulgą.

Piruet i gwizdanie na melodię graną na buccinie przez efeba, po czym przekornie:

— A ja potwierdzę swoją władzę nad naturą. Niech żyje duch! Duch! Jestem wolny!

Poważnie, patrząc spod oka, jakie wrażenie robi na Hegezynosie:

— Nie mamy przed sobą celu ani żadnej nadziei. Wielki Hegezjasz Cyrenejczyk miał rację. Wystarczy to jedno sobie uświadomić, a reszta powinna przyjść sama, dojrzeć w odpowiednim czasie. Bezsens tego rośnie z każdą minutą.

Ruch dłonią i zamknięcie oczu:

— Tak, mój przyjacielu.

Namiętnie:

— Rzygać się chce.

Niedbale:

— Nasz świat nudzi jak środek na wymioty. Świat ześliznął się w ślepią uliczkę i jest obrzygany. Bez ratunku.

To człowiek chory — uświadomił sobie Hegezynos. Pasożyt szedł po schodkach. Nagle na pół drwiąco:

— Przestraszyłem cię, ptaszku?

Już w drzwiach, przybrawszy szyderczą maskę Sylena:

— A teraz idę wykąpać się. Zegnaj, mój mały. Wystawiając głowę przez drzwi, poufnie:

— Chcę tylko wyciągnąć wnioski do samego końca.

Trzaśnięcie drzwiami.

Nie ma obawy, ani na chwilę nie przestał się zgrywać — pomyślał Hegezynos.

Głosy w ogrodzie cichły. Musiało już być po północy. W pawilonie słyszał chlupot wody i jakieś szepty. Nie zabije się — przeszło mu przez myśl. A jednak nie odchodził. Czekał ukryty za drzewem. Na co właściwie?

Parokrotnie miał zamiar pchnąć drzwi powilonu. Bał się jednak drwin pasożyta na wypadek, gdyby okazać się miało, że od początku zeń zakpił. Przyszło mu do głowy, że to rytuał: tak się wprowadza nowicjuszy do trzody Epikura, a pasożyt jest świetnym aktorem.

— Co za głupiec ze mnie, że tu stoję — powiedział głośno.

Usłyszał krzyk. Z pawilonu wybiegła harfistka. Pobiegnął jej naprzeciw.

— To nie ja! — zawołała — to on sam! Ze strachu.

Pobiegnęła gdzieś dalej. Wszedł do pawilonu. Woda w basenie była czerwona, była krwią. Rozcięta na szyi rana wypluwała ją, bulgocąc jak gejzer.

* * *

Hegezynos leżał na sofie. Nubijski niewolnik chłodził mu twarz wachlarzem. W upale, jaki unosił się nad miastem, czaiła się nieruchomość, w której wyczuwał groźbę: była pozorna, była ukrytym ruchem, podobnie jak beczynność ludzi, z którymi się stykał, była w rzeczywistości tylko powolnym działaniem. Przeglądał raport, przedłożony sobie przez Trasyllosa. Coś się tu działo, coś dojrzewało pod powierzchnią pozornie spokojną jak tafla Morza Martwego — było jak przyczajony wulkan.

To nie klimat — pomyślał — ani nie pora roku, to coś innego. Klasnął w rękę.

— Wprowadzić — rozkazał.

Wszedł legionista, grzmocąc ciężkimi kaligami o posadzkę, półnagi ze śladami batogów na piersiach.

— Tyś odmówił wykonania egzekucji na więźniu?

- To prawda. Odmówiłem, panie.
- Raczysz podać powód tej, jak na rzymskiego żołnierza dziwnej, przyznasz to sam, decyzji?
- Uważałem, że egzekucja jest nieludzka, potworna. Jestem żołnierzem, nie oprawcą.
- Ciekawe. W dzisiejszych czasach byle prostak i cham rozprawia o tym, co jest ludzkie, co nie, jakby był Cynceronem. Jaka to była egzekucja? Ukrzyżowanie? Ścięcie?
- Flagellacja. . .
- Tylko to? Miękkie masz serce, mój chłopcze. Warto by cię samego biczować.
- Panie, przy flagellacji odpada ciało od kości i człowiek wygląda jak żywy szkielet.
- Ale dotychczas biczowałeś, rzekłbym, nawet chętnie.
- Nieprawda, panie. Niechętnie.
- Ale biczowałeś?
- Biczowałem.
- Cóż więc teraz zmiękczyło twoje serce? Więzień?
- On też częściowo. Człowiek pozostaje człowiekiem nawet wtedy, kiedy jest winny. Uważam, panie, że trzeba przerwać koło krzywdy. Ona rośnie jak górską lawina.
- Piękne słowa. Kto cię ich nauczył?
- Sam z siebie, panie.
- Bzdura. Jesteś Żydem?
- Samarytaninem.
- Twoja religia pozwala biczować?
- Tylko trzydzieści dziewięć razy, by jak mówią nasze prawa, nie patrzeć na zniewagę brata swego.
- Brata? To znaczy Samarytanina, czy Żyda?
- Samarytanina, ale już nie ma Samarytan i Żydów. Są tylko ludzie.
- Tak uważasz? Ale przecież nienawidzicie się pomiędzy sobą wy Samarytanie i Żydzi. Uważają was za schizmatyków i nieczystych. Czy wiesz, że plują, gdy przechodzicie, a ten łotrzyk nie jest Samarytaninem? Jest Żydem.
- Żołnierz rozkłada ręce.
- Hegezynos przygląda mu się z ciekawością, jak rzadkiemu egzotycznemu zwierzęciu.
- No pięknie — przeciąga słowa. Skoro tak, batogi, które miałeś wymierzyć tamtemu, przypadną tobie. Chyba żebyś natychmiast tu, w moich oczach odjął mu, jak powiadasz, w paru miejscach ciało od kości. Decyduj się.
- Już się zdecydowałem. Gotów jestem wziąć na siebie jego karę.
- Jesteś szaleńcem? Czy przekupiła cię rodzina tamtego?

— Ani jedno, ani drugie. Chcę zmniejszyć ilość zła, gdy wezmę jego część na siebie.

— Zdarza się, że ludzie nie wstają już po takim biczowaniu. Nie boisz się?

— Nie, panie. Śmierć jest tylko drzwiami, przez które wchodzi się do wieczności przy boku Ojca.

— Kogo?

— Ojca, który jest wiecznym szczęściem.

— Coś mi to przypomina naukę niejakiego Jezusa bar Nash. — Wstaje z sofy i przechadza się po sali.

— Trzydziestu dziewięciu razy nie uważasz za nieludzkie?

— Nie.

— Chodzi o liczbę?

— Chodzi o zasadę odmienną w obu wypadkach.

— Bywałeś w jakichś bitwach?

— W trzydziestu dwóch bitwach, starciach i potyczkach.

Hegezynos przystaje.

— I nie bałeś się?

— Bałem się.

— Teraz — jak mówisz — nie boisz się?

— Mniej.

— Więc jednak?

— Nie, panie. Człowiek jest nieśmiertelny. Zmartwychwstanie.

— To twój Jezus ci to powiedział? Czy nie wiesz, głupcze, że lepiej być parobkiem na ziemi niż w kraju cieni królem? Nigdy nie czytałeś Homera i nie wiesz, kim był Achilles?

Co za łajdak — drwił w myślach — oto jest siła zabobonu — On nie umiera ze strachu na myśl o chorobie czy śmierci. Ma swoją ideę — wybrał ją, a jego ciało zdrowe czy chore, przybrane w jedwabie czy ukrzyżowane, zdaje się, nie bardzo go obchodzi. Ale poczekaj, bratku, jeszcze się załamiesz, jeszcze w celi bez okien pozostawiony sam swoim myślom, porządnie ubiczowany i z perspektywą krzyża, będziesz skomlał o litość.

Wyszedł na taras. Upał spadł na niego. Uświadomił sobie, że zazdrości tamtemu spokoju i to zaczyna doprowadzać go do wściekłości. Co mu może dawać taką pewność? To ten barbarzyńca z Nazaretu, ten ich Mesjasz wybawił go od strachu. Co za sofista! Z taką siłą przekonywania zręczny adwokat zrobiłby w Rzymie karierę większą niż sam Marek Tulliusz.

— Uważasz więc, że człowiek zmartwychwstanie? I to uważasz za sens swojej śmierci? Jakie masz argumenty?

— Mesjasz przyszedł po to, by wybawić świat i pojednać człowieka z Adonai.

— Ile razy słuchałeś tego demagoga?

— Ani razu. Powtarzano mi tylko Jego słowa. To nowe myśli, a jednak wydają się stare jak ziemia. Są w każdym z nas, przyjdzie dzień, kiedy świat przyzna się do nich.

— Powtarzano mu Jego słowa — przedrzeźniał Hegezynos — niewiarygodne! — Czegoś takiego się nie spodziewał. To wymykało się rozsądkowi: gra poszła dalej, niż przewidywał. Wśród Żydów budził się niepokój, co ciekawsze, również wśród nie-Żydów. Ten jawny bunt w wojsku jest odosobniony wprawdzie, przyszłość jednak jest zawsze pytajnikiem. Jeśli teraz jeszcze wśród samych Rzymogreków zacznie szerzyć się myśl o Królestwie po śmierci, na które można zasługiwać na ziemi... Ejże.

Jak błyskawica przeniknęła go myśl, którą chciał rozważyć, a do tego potrzebny był spokój.

— Dostyc tych bzdur — powiedział ostro — poddany zostaniesz biczowaniu za jawne nieposłuszeństwo. W tej chwili jednak masz jeszcze do wyboru: albo weźmiesz udział w następnej flagellacji i przyznasz, że twoje opętanie Jezusem bar Nash, niegodne rzymskiego żołnierza, przeminęło, albo pójdziesz na krzyż.

— Panie... .

— Decyduj. Tak albo nie.

— Panie, jeśli tylko się zechce, sprawiedliwi przemienią ziemię.

— Skończone. Miałeś dobrą okazję. Choćbyś teraz nawet wyraził zgodę, nic ci to nie pomoże. Pójdziesz na krzyż. Domyślam się, że, czekając na śmierć, zacznieś złorzeczyć swojemu Jezusowi.

Klasnął w ręce. Pełniący służbę legionista wyprowadził więźnia. Hegezynos został sam i zaczął chodzić wzdłuż sali w nerwowym podnieceniu. Przypomniawsobnie zwrot, jaki padł w jego rozmowie z obu uczonymi rabbim.

— Miłować nieprzyjaciół — tak właśnie wyraża się, tego żąda ten niebezpieczny wichrzyciel.

Teraz znajdował tego potwierdzenie. Jeżeli już żołnierze w murach Antonii zaczynają mieć myśli takie, jak ten, jutro mogą je mieć żołnierze w Syrii, potem w Egipcie, Dacji, Germanii. Zaczną pękać mury imperium.

JEZUS BAR NASH *w myślach Hegezynosa:*

— Rzymskość wyleje się na Germanię, Persję... .

HEGEZYNOS *gwałtownie, idąc w kierunku tarasu:*

— Chyba odwrotnie. Jesteś jak koń trojański, który chce spalić od wewnątrz cesarstwo. Przejrzałem Cię. Domyślam się nawet jaki to Odyseusz Ciebie popiera, jeśli nie sam wprowadził: Partowie.

JEZUS BAR NASH *w myślach Hegezynosa:*

— Przypomnij sobie, coś sam napisał w pewnym raporcie nie ma pana ani niewolnika, więc może również — ani Rzymianina, ani Parta?

HEGEZYNOS *wracając:*

— Owszem, przypuścmy, że ziści się myśl czy też sen o miłowaniu nieprzyjaciół opowiedziany żołnierzowi, niestety nie tylko rzymskiemu, czy rzymo-greko-syro-gallo-naddunajskiemu — jeśliby już się starać o ściśle oddanie skomplikowanej rzymskości naszej armii, lecz także żołnierzowi armeńskiemu, nubijskiemu, scytyjskiemu, a również germańskiemu, galijskiemu czy brytyjskiemu — jeśli by chcieć przedstawić świat antyrzymski — czyli sen o miłowaniu nieprzyjaciół wyśniony przez każdego żołnierza, w tym również i partyjskiego. . .

Kładąc się na sofie:

— Teraz rozumiem, dlaczego ci z Ekbatany czy Atraksaty nie życzą sobie, aby bunt wybuchł w Judei teraz. Czekają, aż sprawa dojrzeje. Nie przeliczą się, ale, jak widzę, postanowili użyć broni, która obrócić się może przeciwko nim samym, wyraźnie nie biorąc pewnej rzeczy w rachubę. . .

JEZUS BAR NASH *w myślach Hegezynosa, tonem drwiącym:*

— A więc o to ci chodzi, Greku? Nie o Rzym, ale o romanitas, o rzymskość?

DEMETRIOS EPIKUREJCZYK, A RÓWNOCZEŚNIE SAM HEGEZYNOS
rozłożony wygodnie na sofie:

— Zamierzasz coś, co nie będzie greckością ani rzymskością, ani partyjskością czy germańskością wreszcie, w czym jednak — jak przewiduję — zniknie, rozplynie się Imperium Romanum, partyjskie królestwo króla królów i wszelkie imperium, a więc cała moja nabyta wraz z tytułem ekwity i pracowicie wykuwana tutaj w Palestynie rzymskość. . .

Doznał naraz on, nowy Rzymianin uczucia wspólnoty z Poncjuszem i Aspazją tak silnego, jak jeszcze nigdy dotąd. Urzekł go stan, jaki sobie w pełni uświadomił dopiero teraz, gdy wydał mu się on zagrożony: przynależności do zdobywców, nie do zdobytych, do krzywdzących, nie do krzywdzonych, do możnych, nie do ubogich, do rządców świata, do jego panów.

— . . . dlatego — dokończył — będę Cię niszczył, Jezusie bar Nash, gdziekolwiek Cię spotkam. Ja, rzymskość, ja, imperium, wypowiadam Ci wojnę za to, że chcesz pozbawić mnie poczucia władzy.

Oszłołomiła go głębia niebezpieczeństwa, jaką dostrzegł, równocześnie zaś myśl, że ma oto w ręku losy świata i może zgładzić Jezusa bar Nash jednym rozkazem wydanym setnikowi numerowanych. Podniósł ręce, by klasnąć. Powstrzymał się. Jeśli Jezus bar Nash stanowi tak wielkie niebezpieczeństwo dla cesarstwa i dla murów imperium opasujących świat, to on, Hegezynos, je zdławi, ale dopiero wtedy, gdy już je dostrzegą urzędnicy w kancelariach Damaszku i w stolicy świata oraz dworacy na Capri. Nie dostrzega się tego, kto gasi mały ogieniek, tego natomiast, kto w porę stłumi pożar, czyni się bohaterem. Ten zaś, kto tłumi wstrząsy świata, przechodzi do historii. Zobaczył siebie na fotelu prokuratora Judei, w atrium pałacu Heroda, potem w Damaszku na stanowisku legata prowincji, wreszcie w senacie przechadzającego się wzdłuż posągów Sulli, Cezara i Oktawiana Augusta. W dalsze rejony nie śmiał się już zapuszczać.

Wtem zasłona uchyliła się i bez oznajmienia wszedł Trasyllós. Zawsze opanowany i zgodnie z modą sceptyczny, teraz wydawał się poruszony.

— Salve — powiedział — mam rozkaz od Piłata.

Ton jego głosu był szczególny. To wzbudziło w Hegezynosie czujność.

— Bankier Agrykola posiada jakoby dowody, na podstawie których powątpiewa, czy rzeczywiście bar Abba zamordował Barucha. Sztyletnicy zaczęli przeciwdziałać. Równie dobrze jak ja wiesz, co to znaczy, Hegezynosie.

— Jeśli Agrykola ma już w ręku dowody. . .

— Tylko te, powtarzam, które mogą oczyszczać bar Abbę. Innych nie ma lub, powiedzmy, mieć nie chce czy jeszcze nie ma. . . Coś mi przyszło na myśl. Hegezynosie, co kazałeś zrobić z tym uczniem Jezusa bar Nash, Jakubem, zdaje mi się?

— Wypuściłem go nie znalazłszy winy.

— Więc Agrykola ma już dowody na to, kto naprawdę zamordował Barucha. Teraz rozumiem i wydaje mi się, że sugestia Poncjusza była mylna. Nie sztyletnicy chcą obronić bar Abbę postępując się niezłomie prawymi, lecz uczeni peruszim przy pomocy bar Abby chcą zemścić się za tego, kogoś ty, Hegezynosie, wypuścił. Raz w życiu zdobędę się wobec ciebie na szczerość — Nie tę naszą grecką, którą Rzymianie tak złośliwie nazywają graeca fides, ale tę rzymską, więc też w końcu naszą. Chciałeś podrażnić uczonych peruszim i sprawić tym kłopot Poncjuszowi. Udało ci się. Ale zgubiłeś przy tej okazji nas trzech: Piłata, siebie samego i mnie.

— Przesada. Przynajmniej jeszcze teraz, dopóki Agrykola nie wyjechał, a Jakub Boanerges. . .

— Jest już pewnie poza murami Jerozolimy, a raczej wraca do niej razem ze swoim Mistrzem. Wyjdź na taras, Hegezynosie, i spójrz na miasto. Tłumy pędzą w stronę potoku Cedron i ogrodu Getsemani, skąd wchodzi do Jerozolimy Jezus bar Nash. Rzucają kwiaty, obwołują Go Zbawcą. Gdybyś chciał teraz aresztować Jakuba czy któregośkolwiek z Jego uczniów, cały garnizon Antonii nie wystarczyłby do odparcia rozwścieczonego tłumu. To największy triumf Jezusa bar Nash, jaki kiedykolwiek miał miejsce, zarazem jednak — zważ — nasza klęska. Najpóźniej za pół roku okrzyczą nas w Rzymie mordercami Barucha — człowieka sprzymierzonego z Rzymem i za współników tego zdziercy, Piłata, co będzie końcem naszej kariery. Pycha nie zaślepią cię chyba na tyle, byś nie rozumiał, że teraz musimy uchwycić się mocno za ręce wszyscy trzej tworząc koło, którego nie wolno nikomu z nas rozerwać.

HEGEZYNOS:

— Przynosisz rozkaz przyjaciela cesarskiego, czy coś mam powziąć na własną rękę?

TRASYLLOS:

— Rozkaz. Masz zgromadzić najpóźniej w ciągu tygodnia dowody obciążające bar Abbę. Poncjusz daje ci do dyspozycji dowolną ilość numerowanych i całkowicie wolną rękę w podejmowaniu każdej decyzji.

HEGEZYNOS:

— Pamiętasz, kto Barucha, że tak powiem... pośliznął?

TRASYLLOS:

— Zleciłem tę sprawę XLI, a on wyznaczył XIII. Jeśli to on złożył zeznania sztyletnikom lub niezłomnie prawym, sprawa nie wygląda zbyt groźnie. Można oświadczyć w Rzymie, że został przekupiony, a XLI zaprzeczy jego zeznaniom i ostatecznie wyjdzie na to, że niezłomnie prawi wynajęli spośród numerowanych mordercę, by szantażować prokuratora Judei.

HEGEZYNOS:

— To, co mówisz, wygląda rozsądnie, ale jeśli to nie XIII złożył zeznania?

TRASYLLOS:

— Sam XLI sądzisz?

HEGEZYNOS:

— Niewykluczone, a zeznania setnika numerowanych to nie to samo, co zeznania byle wykonawcy. Może jednak jeszcze uda się naprawić ten mój błąd, do którego, owszem, przyznaję się. Wystarczy, czy mam jeszcze podnieść pieniądze?

TRASYLLOS:

— O czym właściwie mówisz?

HEGEZYNOS:

— Drobnostka. Zajmij się wykryciem, czy XIII a zwłaszcza XLI mogli mieć współników, ale nie w pośliznięciu się Barucha, rzecz jasna, czy też mogli działać bezpośrednio? Warto by wiedzieć, czy niezłomnie prawym została sprzedana od razu cała prawda, czy też ów ktoś sprzedaje im ją stopniowo, by wytargować większe wynagrodzenie. Znając jednak spryt niezłomnie prawych, wydaje mi się jednak, że cała.

* * *

W jakiś czas później sala w pretorium z drzwiami wychodzącymi na taras. Hegezynos rozwija w palcach zwój papirusu:

„Szlachetnemu Hegezynosowi XLI, setnik, pozdrowienie. Na podstawie raportu, jaki złożył XXX, wczoraj w nocy Faroras zlikwidował pod willą Kajfasza dwóch ludzi Marcellusa przy pomocy naszego numerowanego CI, który w najoczywistszy sposób przeszedł na służbę u Partów lub zgoła był w niej w momencie, gdy stawał się numerowanym. Proponuję powstrzymać się od przesłuchania CI do czasu, aż stanie się on niepotrzebny. Poleciałem poddać go czujnej opiece ze strony ludzi LXXXI i CXII, którzy mają mi meldować o każdym jego poruszeniu.

Proszę o odkomenderowanie do mojej dyspozycji dziesięciu ludzi w celu poddania czujnej obserwacji osób, z którymi styka się CI, które zaś mogą doprowadzić nas do ośrodka wywiadowczego Partów...”

Hegezynos dopisuje na marginesie:

„W załączeniu przesyłając niniejszy raport jego dostojności, proponuję załatwić odmownie odnośne żądanie z powodu braku ludzi na skutek akcji zbierania dowodów przeciw mordercy Barucha, bar Abbie”.

Dalszy ciąg raportu XLI:

„Sam Faroras spotkał się z arcykapłanem Kajfaszem i pozostaje w Jerozolimie pod nieustanną czujną obserwacją człowieka zwanego trzydziestym”.

Dopisek:

„Z załączonego raportu człowieka zwanego trzydziestym wynika, że CI pozostaje tu również na zlecenie Marcellusa.”

Dopisek drugi:

„Otrzymałem właśnie raport LXXXI. Wynika z niego, że CI jest już w drodze do Damaszku i znajduje się w okolicach Bosry”.

HEGEZYNOS *w myślach*:

Czy sprawa „Apollo” nie jest powodem spotkania Farorasa z Kajfaszem? Jeśli tak, spotkanie to nie może być ostatnie.

Na woskowanej tabliczce stylonem:

„Do XLI. Wydać natychmiast rozkaz XIV, by zwrócił szczególną uwagę na treść rozmów, jakie arcykapłan Kajfasz prowadzi w swoim pałacu.”

* * *

Mniej więcej w godzinę później w atrium pałacu Heroda. Fotel, na którym siedzi Poncjusz Piłat, jest ustawiony na wprost popiersia Tyberiusza. Piłat wpatruje się w nie, podnosząc głowę znad zwitka papirusu. Cesarz ma kostyczny, gorzki wyraz ust Piłata, Piłat zaś wieniec na głowie imitujący diadem.

„Jego dostojności Piłatowi Poncjuszowi, prokuratorowi Judei Trasyllus, urzędnik drugiego stopnia, pozdrowienie.

Wczoraj w nocy wywiad Partów usunął przy pomocy CI dwóch spośród wywiadowców, jakich sam wysłałem na twoje polecenie dla zbadania sprawy "Apollo". Stwierdziłem, że CI, który jak wykrył II zatrudniony w ogrodzie willi Kajfasza i sam biorący udział w likwidowaniu ludzi XLIV i XI, pracuje — równocześnie dla Marcellusa i Farorasa, jest człowiekiem Hegezynosa w świetle przychwyconej notatki sformułowanej w języku greckim o spotkaniu Farorasa z Herodiadą. Notatkę — zapewne zapomnianą — znalazłem podczas tajemnego przeszukiwania szat Hegezynosa. Wnioskuje więc, że spotkanie to musiało się odbyć przed kilkoma dniami, ponieważ togę, w której znalazłem rzeczony zwitek, Hegezynos

nosił na sobie do dnia wczorajszego. Sądząc z faktu, że obok XLI człowiek zwany sto pierwszym jest jedynym spośród numerowanych, jakimi w danej chwili rozporządzamy, względnie nieźle znającym grekę, śmiem przypuszczać, że to on jest autorem notatki. Ponadto zwracam uwagę na fakt, że XLI, setnik numerowanych, przesłał do Hegezynosa list, prawdopodobnie raport, z pominięciem zwykłej drogi służbowej, to znaczy mnie. Z tego wynika, że również setnik numerowanych przeszedł na osobistą służbę sekretarza prokuratora Judei. Treść tego listu nie jest mi jeszcze znana.”

Piłat sięga po woskowaną tabliczkę i kreśli pośpiesznie:

„Odpowiedź Poncjusza Piłata, prokuratora Judei na raport Hegezynosa, urzędnika pierwszego stopnia.

Dziękuję. Życzę sobie jednak na przyszłość, by raporty XLI przedkładane były urzędnikowi drugiego stopnia i aby ten na ich podstawie redagował raporty do ciebie, i tak dalej zwykłą drogą służbową. Brak zaufania z twojej strony do urzędnika drugiego stopnia oraz brak dyscypliny ze strony XLI wydaje mi się niezrozumiałą. P.AM.CAES.”.

Głośno do Gajusza Tyberiusza Poncjusza Piłata Cezara:

— Miałem rację, cesarze? Więc jednak zdradził cię. A jeśli nawet jeszcze nie uprzedził o twoich zamiarach tego Greka, to jest pewne, że nie wykona twojego rozkazu. Jesteś osaczony. Jesteś bezbronny — ale to złudzenie. Jeszcze rozpędzisz tę bandę Sejanów.

GAJUSZ TYBERIUSZ PONCJUSZ PIŁAT CEZAR:

— Uważasz, że zdradził mnie dla Hegezynosa? Jeśli tak to dlaczego ten Grek przesyła nam raport, który był przeznaczony dla niego samego? W tym tkwi sprzeczność.

PONCJUSZ PIŁAT *do Gajusza Tyberiusza Poncjusza Piłata Cezara:*

— Nie ma. A raczej byłaby, gdybyśmy nie polecili — o ile pamiętasz — obaj Trasyllowski tu, w naszym atrium, by uprzedził swojego ziomka, że osoba mordercy Barucha bar Symeona dla niektórych spośród Żydów wydaje się wątpliwa.

GAJUSZ TYBERIUSZ PONCJUSZ PIŁAT CEZAR:

— Sądziś więc? . . .

PONCJUSZ PIŁAT *do Gajusza Tyberiusza Poncjusza Piłata Cezara:*

— Że Hegezynos stał się wobec nas znowu lojalny, a twoim, Sejanem jest teraz XLI.

GAJUSZ TYBERIUSZ PONCJUSZ PIŁAT CEZAR *z ponurym, kostycznym uśmiechem na swej kamiennej, ściślejszej — marmurowej twarzy:*

— Pamiętasz, co zrobiłem z Sejanem? A z przyjaciółmi Sejana?

SOKRATES *w pamięci Poncjusza Piłata, fikając kozła:*

— Amici Caesaris et Seiani. . .

Piłat wstaje z fotela. Podchodzi do popiersia Tyberiusza. Chwilę przygląda mu się. Zdejmuje z głowy diadem i wkłada go z powrotem na łysą głowę cesarza. Klaszcze w ręce. Wchodzi niewolnik i na kolanach uderza czołem o ziemię.

— Posłać po Hegezynosa! — rozkazuje mu Piłat. Przypomniał sobie, jak pieniążek, zataczając spirale, podskakiwał po mozaikowej posadzce, a Hegezynos gonił go na klęczkach.

— Biegnij, Greku — usłyszał swój głos — czy uważasz siebie — jeśli można ci zadać to pytanie — za istotę wielką, czy za nędzną?

Wie, że jego małe brązowe oczka błyszczą złośliwie. Ton głosu jest zgryźliwy, nieprzyjemny, a Hegezynos ma zapewne ochotę chlusnąć w te oczka winem niesionym przez dwóch niewolników w wielkim dzbanie. Wie jednak, że Hegezynos zdobędzie się na spokój. Jego cały los zależy teraz od tego spokoju.

— Czy wiesz — ciągnie — że mógłbym tak uczynić, żebyś nie wyszedł stąd, z fortu Antonia? Udowodnić ci, na przykład, że bierzesz pieniądze od sztyletników?

— Wiem, że mógłbyś to zrobić, przyjacielu cesarski.

— A więc nie jesteś tak podły, jak sądziłem. Nie tylko strach przed wysłaniem penterą z powrotem do Syrakuz każe ci tak miło spędzać ze mną czas. Boisz się o życie, to już bardziej zrozumiałe, właściwie całkiem ludzkie. Są, mój Greczynie, dwa rodzaje bestii. Wyrachowana — wtedy można przewidzieć jej poruszenia, a przewidziawszy je udaremnić lub dojść z nią do porozumienia. Druga, to żywiol, którego niepodobna przeniknąć ani też z nim pertraktować. Pozostaje ulec jej lub ją spętać. Ty którą jesteś?

— Obiema.

— Bardzo zręczna odpowiedź. Boisz się mnie?

Hegezynos na klęczkach potwierdza ruchem głowy. Piłat czuje, że jego wargi układają się w grymas okrucieństwa.

Skąd w nim tyle nienawiści? — myśli zapewne Hegezynos — to człowiek, chory. Wpadłem w ręce szaleńca.

Nikczemnik, pies — myśli on sam, Piłat. Zalewa go, dusi wściekłość. Teraz upokarza się na mój rozkaz bezwstydnie, a potem będzie spiskował, bruździł i kradł jak oni wszyscy, jak Epifanes. Ufać im, rzecz jasna, nie warto, a jednak jest się od tych kreatur uzależnionym. Kto jest w zarządzie kolonii? Same szumowiny, ludzie, którzy chcą jak najszybciej zrobić pieniądze lub karierę.

Te same słowa słyszał w Rzymie. Było to mniej więcej w rok po historii ze złotymi orłami. Ujrzał znowu spiczastą, zwiędłą twarzyczkę podobną do lisiej mordki, nie pozbawioną przy tym pewnego akcentu dumy i uporu. Jest teraz przed nim. Wpatruje się w tę głowę, tak samo zwieńczoną diademem, ta jednak jest nieruchoma, kamienna, podczas gdy tamta żywa, w nerwowych drgawkach i spazmach, o brązowych oczkach zgonionego liska trwoźnych i latających — to znów przez moment wykuta jakby z kamienia, tyle że są to słowa zwrócone tym

razem do niego samego, do Poncjusza Piłata z tytułem przyjaciela cesarskiego, przyjaciela więc lisiej mordki.

Przeniknęła go nagle myśl: czy on w ogóle może mieć przyjaciół? To znaczy tych prawdziwych, nie zaś tytułarnych?

Leży na sofie podparty łokciem i podnosi — tak jak wówczas — kubek do ust. Trzy płaszczyzny czasu nakładają się na siebie.

— Twój przyjaciel, Sejanie — słyszy skrzek, wydaje go zaś lisia mordka w diademie — zniszczył Judeę. Dziwić się potem, że Żydzi skarżą się na zdzierstwa i urządzają terrorystyczne zamachy. Tysiące sestercji. To przecież nie jest sumka, na bogów, jak myślisz, co ten łajdak zrobił z tymi pieniędzmi?

— Uprzedzałem cię, Piłacie — słyszy skrzek z drugiej strony, że już lepiej brać łapówki od Żydów, aniżeli niszczyć cały kraj nadzwyczajnymi cłami, ale ty, zdaje się, czynisz i jedno i drugie?

— Sejanie — mówi on sam, czując zarazem, jak ślina zasycha mu w ustach, a głos zaczyna brzmieć głucho — nie wiem, co się stało z tymi pieniędzmi.

Widzi przed sobą urzędników — tych przebiegłych wypomadowanych Greków i poborców podatkowych — Judejczyków, z których każdy ma udział w zysku, których zaś szczerze nie cierpi, podobnie jak Sejan. Znał ten mechanizm i podziemne kanały prowadzące od jednej grupy do drugiej, omal widział, jak tysiące sestercji rozchodzi się wśród nich i znika. Nie ukrywał przed sobą, że i on przybył tu po to, by zbić majątek. Postanowił, że to zrobi, nie niszcząc jednak kraju, lecz wysysając go łagodnie, planowo, niedostrzegalnie. Miał swoją koncepcję eksploatacji. Była to wprawdzie droga dłuższa, lecz o wiele bardziej bezpieczna. To jednak, co się stało, było już beczelnością, katastrofą. Judea jest zrujnowana. To on, Piłat, zrujnował ją niczym Werres, odcinając sobie źródła dochodów, być może na długie lata. Tamten jednak wyciągał jakieś korzyści ze swoich zdzierstw na Sycylii, podczas gdy z niego zrobiono durnia. Postanowił na przyszłość być sprytniejszy, o ile los mu na to pozwoli.

Tysiące sestercji stopniało w wyniku skomplikowanych operacji w palcach kilkudziesięciu osób korzystających z jego niedoświadczenia, a on, prokurator Judei, nie potrafił temu zapobiec. Nic im nie udowodni. Jak łaszące się koty o fałszywych złodziejskich oczach przywarli na progu jego atrium. Jest ich łupem: wielkim spasionym szcurem, z którym walka będzie trudna i długa, a jednak liczą, że im się ona opłaci. Może ich przepędzić, ale co z tego? Na ich miejsce przyjdą nowi, tacy sami: bezwzględni, czujni, zawistni i sprytni. Rozszarpują wielkie imperium od wewnątrz, ale imperium nie potrafi się bez nich obejść — Są wytworem kolonialnej polityki Rzymu i zginą razem z nią. Nie wcześniej — choćby stu Cynceronów udawniało winę stu Werresom — i Piłat ma dość inteligencji na to, by zrozumieć, że to oni są prawdziwymi dziedzicami Sulli, Cezara, Antoniusza nie zaś on.

— Niepotrzebnie cię polecałem cesarzowi — mówi Sejan. Albo jesteś nieudolny, więc głupi, albo po prostu — jak rzekł Augustus — łajdak.

— Wplączę do kasy chociaż część tych sestercji. Powtarzam ci, Sejanie, że nie wiem w jaki sposób mógł powstać aż tak duży kryzys. Sejanie, uwierz mi, to podstęp i intryga. To Antypas albo kapłani, albo ci przemądrzali peruszim donieśli na mnie Augustusowi, Grecy zaś i celnicy sprzymierzyli się z nimi, by mnie zniszczyć. Oni zawsze korzystają z zamieszania.

— Sestercje z Judei, to dla skarbu cesarstwa stosunkowo nieduża suma. Chodzi o zaufanie, jakie okazał ci Augustus.

Hegezynos, klęcząc, podaje mu znów pieniędzy, który następnie spada z brzękiem. Poniżając tego Greka, Piłat wydaje się sobie jeśli nie ręką — co byłoby bluźnierstwem — to chociaż palcem, paznokciem Nemezis, sprawiedliwości bożej, Jowisza Największego Najlepszego czy żydowskiego Adonai, czy tego jakiegoś nieznanego boga, którego pomnik stoi pod Cheroneą na miejscu pola bitwy. Ten człowiek przyjechał tu rozpychać się łokciami i okraść mnie — myśli Piłat. Jedno i drugie będzie czynił przemyślnie i bezwzględnie. Postanowił osobiście, co dzień, sprawdzać rachunki.

Wtem przyszło mu na myśl, że może jednak źle czyni. Hegezynos nie dopuścił się jeszcze żadnego wykroczenia. Posądzenie lub przewidywanie winy nie jest równoznaczne z jej dowodem. To żelazna zasada prawa rzymskiego. Byłby palcem lub zgoła paznokciem Nemezis, gdyby klęczał tu przed nim Epifanes. Ale Epifanes nigdy już nie uklęknie przed nikim. Ubył jeden ze strasznych wrogów Piłata, na jego miejsce przychodzi drugi. Trzeba się starać, by nie zdobył szybko władzy nad numerowanymi. Piłat ma doświadczenie. Im częściej, im pokorniej schyla się Hegezynos, tym bardziej Piłat zaczyna się go bać.

Właściwie źle zrobił zaczynając tę zabawę i już na samym początku budząc w przeciwniku chęć odwetu. Nie trzeba lekceważyć ludzkich antypatii. Teraz już, niestety, nie można cofnąć tego, co raz zaistniało. Postanawia zakończyć tę zabawę. Jest mniej pijany, niż mogłoby się wydawać. Na moment tylko poniosła go wściekłość.

— Jak myślisz, Piłacie, czym można okupić zaufanie cesarza?

Pytanie to wywołuje w nim śmiertelny strach. Już wie, po co go tu wezwano: Tyberiusz jest mściwy, ale bywa i wielkoduszny, natomiast Sejan to karierowicz. Chyba poświęci przyjaciela, by tylko nie narazić się cesarzowi. Piłat czuje, że jego życie zawisło na włosku, który może przeciąć jedno zmarszczenie brwi cesarza. Jeśli jednak cesarzowi wyda się, że Piłat nie jest winien, każe odwołać go z Judei, ale nie zabić. Wszystko zależy teraz od tego, czy przeważy mściwość, czy wielkoduszność.

Przeklęta Judea — myśli z wściekłością — przekleci krętacze!

— Okażemy raz jeszcze zaufanie Piłatowi Poncjuszowi — słyszy znów skrzek, tym razem jakby z ogromnej odległości. — Piłat Poncjusz może wrócić do Judei.

Ta wielkoduszność zaskakuje. Czyżby Tyberiusz znany z nieoczekiwanych decyzji chciał zrobić to na przekór Sejanowi, który już Piłata poświęcił?

Zastanawia się nad tym przez całą drogę z Syrakuz do Cezarei. To pytanie przechodzi mu przez myśl i teraz. Postanowił nie rzucać już pieniążka, ale śledzić uważnie czyny, a może nawet myśli Hegezynosa, wyrażone choćby najpoufniej. Być może, da mu kiedyś do zrozumienia, że miał rację, każąc mu podnosić pieniążek, a być może nigdy to nie nastąpi.

* * *

Manahen stał wciśnięty w tłum. Oparty o niego prostak o ufnych oczach sprawiał wrażenie, że nigdy nie przestał być dzieckiem i tę swoją dziecięcość narzuca światu żądając, by i świat stał się doń podobny.

Podchodzili do Jakuba Boanerges i składali przed nim to, co każdy z nich przyniósł. Jakiś drobny, szczupły człowiek — zapewne również uczeń Jezusa bar Nash, którego jednak Manahen dotąd nie znał, obchodził zgromadzonych i wyszukiwał nędzarzy, rozdzielając wśród nich jajka, placki i drób, a także opończe, chałaty i pieniądze.

— Masz dwa chałaty? Oddajże jeden temu, który nie ma żadnego — słyszał spokojny głos Jakuba Boanerges i żarliwy głos tego drugiego:

— Masz duży dom, w którym mieszkasz samotnie? Oddaj go tym, którzy mieszkają w ruderach.

— Masz niewolnika? Uwolnij go, bo nie przystoi, by brat twój był w niewoli u ciebie.

Manahen patrzył po twarzach stojących. Nie były to twarze w ekstazie, przynajmniej nie w tej krzykliwej, narzucającej się, jaką widywał w Aleksandrii u fanatyków biegnących za wozem Sabazjosa, i kaleczących sobie nożami piersi, czy wśród rzeszy domagającej się cudu na drodze w Galilei. W większości wydawali się przeniknięci jakimś wewnętrznym spokojem. Niektórzy tylko patrzyli, nie rozumiejąc o co chodzi, nieufni i zaciekawieni lub wreszcie rozbawieni, kpiąc szeptem z Mesjasza dla amhaarecim, który każe uwalniać niewolników i twierdzi, jakoby nie było różnicy pomiędzy Samarytaninem a Żydem.

Znajomy Manahena, bogacz jerozolimski, zaczął przeciskać się w jego kierunku.

— Książę Manahen, widzę! Witaj nassi. Wprawdzie dotychczas widywaliśmy się przelotnie, ale miło mi i ciebie tu spotkać.

Manahena ujęła bezpośredniość, z jaką uczniowie i niektórzy spośród zwolenników Mistrza potrafili zwracać się do obcych sobie ludzi. Wyczuwał w niej

życzliwość i brak uprzedzeń, z którymi mógł zetknąć się zwłaszcza on, sługa mordery Jana Chrzcącego.

— Czyś i ty, mając dwa chałaty, jeden z nich oddał amhaarecim? — spytał, chcąc w odruchu przekory zatrzeć wrażenie, jakie czyniła na nim ta dziwna gromada ludzi uwolnionych z przyziemności i egoizmu i znajdująca cel życia w oddawaniu się innym.

— Kpisz, nassi. Nie tylko chałat. Ilość nas rośnie, a wielu jest takich, którzy nie mają nic oprócz rąk do pracy. Chodzi o to, by stworzyć gminę, w której wszyscy by żyli wspólnie, nic własnego nie posiadając, bo własność i bogactwo rodzą zawiść i poczucie zależności od rzeczy, które są wobec Królestwa nieważne. Skupimy w swoich rękach pola, warsztaty oraz garbarnie. Początek może być trudny. Niezłomnie prawi i kapłani będą chcieli nas zniszczyć. Chodzi o to, by przetrwać pierwszy okres. Mamy wśród braci doskonałych rzemieślników i wytwórców. To idea Jakuba Boanerges, Syna Gromu i Macieja Eseńczyka, szwagra Szymona Garbarza. — Wskazał Manahenowi szczupłego człowieka, który przeciskał się wśród zebranych.

— Mistrz ją popiera?

— Zdaje się, że tak. Jeśli nie jako cel, to przynajmniej jako środek przemiany królestwa. . .

— Ziemskiego Izraela w Królestwo nadziemskie Mesjasza? Słyszałem o tym.

— Rzekłeś. Jako środek, powiedziałem. Powiem więcej: jako sposób zbudowania tegoż Królestwa również w ziemskich umysłach ludzi, lecz sposób nie jedyny, jak nie jedynym sposobem zbudowania Świątyni Salomona było użycie kamieni, lecz także drzewa i zaprawy murarskiej.

— Tę zaś?

Manahen rzucił to pytanie, nie oczekując nawet odpowiedzi, którą tamten począł mu żarliwie wyłuszczać. Odpowiedź tę znał, a raczej domyślał się jej: zaprawą tą miałby być nastrój, jaki wyczuwał tu, w tej dużej, zakurzonej i nędznej, bo odrapanej sali. Wydało mu się, że ci ludzie — w większości przecież nieznanymi sobie i pochodzący z tak różnych środowisk i grup: niewolnicy i bogacze, rzemieślnicy, a wśród nich on, człowiek wykształcony i dworak — są wbrew wszystkim tym różnicom całością, i będzie ona trwała nawet wtedy, gdy się rozejdą. Przestali być sobie obcy. Pośpieszyliby jeden drugiemu natychmiast z pomocą, gdyby któryś z nich znalazł się w kłopotach, ponieważ pośpieszyliby z pomocą każdemu, wyrwani z samotności, jakby z jakiegoś snu, w którym wszystko, co dzieje się między ludźmi, jest fałszem.

Wyobraził sobie, że stojący obok niego, ziejący mu w twarz czosnkiem, amhaarec, to także on sam — Manahen po jakiejś dalekiej podróży zmęczony i zgłodniały. Pomyślał, że jest w każdym z tych amhaarecim i że przedtem, zanim poznał Jezusa bar Nash i Jego haggadę, taka myśl nie przyszłaby mu do głowy.

— Projekt ten jednak — ciągnął były bogacz — napotyka, o ile wiem, na sprzeciw ze strony innych uczniów. Boją się, że niezłomnie prawi znajdą w nim nowy pretekst do prześladowania Mistrza. Pomimo to jednak Jakub Boanerges i Maciej Eseńczyk mają nadzieję, że właśnie w Jerozolimie będzie można wykonać ten zamysł łatwiej niż gdziekolwiek. Duża liczba ludzi skupiona na małej przestrzeni zdaje się temu sprzyjać. Syn Gromu ma nadzieję, że po wjeździe Mistrza do Jerozolimy, gdy Jego wpływy jeszcze bardziej się wzmocnią — tak, iż wrogowie nie będą śmieli Go już zaatakować — będzie mógł uzyskać pełne poparcie dla swego projektu. W tym wypadku wielu Jerozolimian dałoby się do niego nakłonić. Na razie bowiem ci tutaj — zatoczył palcem koło — to przeważnie Galilejczycy przybyli na święto Paschy. Judejczyków i Jordańczyków jest stosunkowo niewiele.

On sam jest zwolennikiem tego pomysłu. Wydaje mu się, że dopiero wówczas zapanowałaby na ziemi sprawiedliwość, zwłaszcza że do wspólnoty przyjmowano by wszystkich — ułomnych i chorych, nie zaś — jak to się dzieje w gminach eseńskich — tylko zdrowych i silnych. Mówi o tym z takim przekonaniem, wręcz zapałem, jakby był jednym z amhaarecim i człowiekiem słabowitym, nie zaś właścicielem niegdyś sporego domu i ogrodów, pełnym energii i niewyczerpanych sił fizycznych.

Naraz rozmowę przerwał gwar. Ludzie rozstępowali się, robiąc wolne przejście. Wchodził Jezus bar Nash w towarzystwie Szymona Kefasa, Szymona Garbaza i Jana — drugiego z Synów Gromu. Ręce poczęły powiewać w geście szalom.

* * *

Arcykapłan Ananiasz skończył. Cały Synhedrion wpatruje się w jego chudą twarz z wydatnym nosem i wargami zaciśniętymi tak mocno, że tworzy się w kątach ust nieprzyjemny, zły grymas. Ananiasz potrafi nienawidzić. Kiedyś potrafił podobno również kochać. Dziś jednak miłość wypaliła się i została zapiekła uraza do każdego, kto ośmielił się nie okazać mu czci. Toteż jego zięć, arcykapłan Kajfasz, na każdym kroku musi podkreślać, że to nie on, lecz ten stary człowiek jest właściwym arcykapłanem Świątyni. W swej pokorze, w swym ustawicznym, przesadnym uniżeniu marzy, by starzec zmarł wreszcie i uwolnił go od śmiesznej roli pozornego arcykapłana — arcykapłana na pokaz, a zarazem w cieniu, ale staruch jest twardy jak kamień, długowieczny jak żółw. Napół oślepy i nieruchawy, ale wciąż władczy tak samo jak dziesięć, jak pięćdziesiąt lat temu.

Odkąd Waleriusz Gratus pozbawił go godności najwyższego kapłana, staruch spiskujący dotąd jawnie stał się przezorny. Jego despotyczne usposobienie stworzyło mu zbyt wielu wrogów, by teraz odsunięty od władzy mógł się z nimi użerać. Pająk Jerozolimy snuje swą sieć potajemnie, szczując jednych wrogów przeciw

drugim. Do spółki z Antypasem udało mu się utracić Waleriusza. Sądzi, że uda mu się utracić jego następcę — Pilata, którego oficjalne pertraktacje z Kajfaszem przeważnie bez zasięgania rady jego, Ananiasza, wzbudziły w nim nienawiść. Teraz poszczuł Synhedrion na niejakiego Jezusa bar Nash, oszusta i mąciciela, który go pozbawił trzydniowego dochodu ze sprzedaży ofiar świątynnych, wyrzucając z dziedzińca pogan wszystkich handlarzy i przedstawicieli giełdy prowadzących w swych kantorach wymianę pieniędzy. Procenty od zysków składają jednak ci wyrzuceni handlarze rodem kapłańskim, a przede wszystkim Ananiaszowi. Następnego dnia Jezus bar Nash powtórzył swoje zuchwalstwo, publicznie wołając o profanacji Świątyni, a teraz motłoch z Galilei okupuje dziedziniec pogan, nie dopuszczając doń handlarzy. Służoła świątynna może wprawdzie w ciągu najbliższych kilku dni opanować sytuację, stworzył się jednak niebezpieczny precedens. Jeśli ten Jezus bar Nash zechce w dalszym ciągu czynić zamieszanie i podburzać motłoch przeciw kapłanom, spadną dochody z dzierżawy miejsc świętych. Trzeba usunąć Jezusa bar Nash — to było treścią przemowy Ananiasza na tajnej naradzie rodzinnej, gdy przedstawiony został niesłuchany wyczyn Jezusa. Jest to też treścią jego obecnej przemowy przed Synhedrionem, Najwyższą Radą Żydowską. Niezłomnie prawi peruszim już od dawna czekają na zgubę Jezusa. Teraz rzekomy Mesjasz naraził się kapłanom. Nie popiera Go nikt oprócz amhaarecim z Galilei, którzy mogą w swej masie być groźni, których jednak w ostateczności można uspokoić. Zguba Cieśli jest sprawą przesądzoną, oto bilans sytuacji dokonany przez Ananiasza.

Wymawiając słowo „uspokoić”, wargi Ananiasza układają się w ledwie dostrzegalny, złośliwy uśmiezek. Arcykapłan jest człowiekiem o wielkim wykształceniu, wykwinnym esteta, który dobrze rozumie łacinę i grekę. Przypomniawszy sobie zwrot łaciński pozornie łagodny, lecz jakże drapieżny, twardy w swym celnym okrucieństwie i ironii. Ci Rzymianie potrafią dobierać słowa. Wszystko jest u nich przemyślane i skuteczne niczym machina, która potrafi, bezbłędnie działając, miażdżyć — tak właśnie, jak miażdży słowo „uspokoić”. Prawdziwie rzymskie słowo.

Przypomniawszy sobie wysiłek, z jakim on, Hebrajczyk, brnąć musiał przez tak klarowne, zarazem tak piekielnie wieloznaczne i trudne w swej logiczności zwroty łacińskie w pismach Juliusza Cezara. Quieta Gallia... — pomyślał: uspokoiwszy wzburzoną rozruchami prowincję, Cezar udał się — dokąd? Tu jednak zawiodła go pamięć.

On, w każdym bądź razie, Ananiasz, po uspokojeniu buntowników i tego zuchwalca Jezusa uda się na dziedziniec pogan, by popatrzeć, jak już bez przeszkód rozwijają się interesy, z każdą godziną przynosząc mu nowe dochody. Wsiądzie z lektyki i słudzy rozwiną przed nim przygotowany zawczasu dywan, by jego dostojna stopa nie pokalała się kurzem. Zmiażdży Jezusa bar Nash, jak siłacz miażdży w pięści orzech.

Rozejrzał się po twarzach słuchaczy. Z nimi poszło mu łatwo. Jeszcze coś znaczy w Judei, skoro na jego wezwanie stawił się cały Synhedrion: siedemdziesięciu mężów Izraela na tajnym posiedzeniu ma obradować teraz nad zagadnieniem, jakie podsunął im Ananiasz. Izrael w niebezpieczeństwie — brzmi to zagadnienie — jakie przedsięwziąć środki, by niebezpieczeństwo zażegnać? Czuje się znów pełen sił, jak zawsze, gdy ma poczucie władzy. Nikt mu go nie odbierze. Jest prawdziwym wodzem duchowym swego narodu: głową głów Izraela.

Podnosi się rabbi Gamaliel. Szmer wywołany słowami Ananiasza cichnie. Człowiek uważany za czołowego mędrca Izraela mówi cichym, zdyszonym głosem. Mała główka opierzona brodą podobna do ptasiej chwieje się na cienkiej szyi ponad zgarbionymi w pałąk plecami. Widać, że człowiek ten jest słaby i sterany. Nie ima w sobie nic z imponującego samą swoją postawą patriarchy, jakim jest Ananiasz przyrównywany przez pochlebców do Mojżesza. Nie ma też nic z jego despotyzmu. A jednak, gdy zabiera głos, zapada cisza tak głęboka, jak gdyby stanęli przed Synhedrionem Eliasza, Ezechiela czy Daniela.

Rabbi Gamaliel zapytuje, czy z formalnego punktu widzenia handlarze i agenci giełdy mają prawo handlować w obrębie Świątyni?

Ananiasz daje znak zięciowi. Wypowiedział już swój pogląd, nie będzie się wdawał w prawnicze spory. Od sporów i wydawania wyroków jest Kajfasz. Duchowy przywódca narodu musi mieć kogoś kto będzie wprowadzał w życie jego plany, biorąc na siebie ciężar niepopularności. Właściwie ten rzymski pies Waleriusz oddał kiedyś Ananiaszowi przystługę.

Kajfasz wstaje. Przedstawia argumenty prawne. Nie jest tak mocny w zawiłościach formalistycznych jak niezłomnie prawi, jednak potrafi udowodnić prawa saduceuszy do utrzymywania handlu przy Świątyni. W przeciwieństwie do wytwornego, powściągliwego Ananiasza, gestykuluje namiętnie, podnosi głos.

Rabbi Gamaliel w świetle tych argumentów rezygnuje z następnego pytania. Jeśli kupczacy mają, w świetle formalnym, prawo dokonywania swoich interesów na terenie Świątyni, Jezus nie miał podstaw do usuwania ich stamtąd. Czy jednak samo prawo pozwalające na owe interesy jest słuszne? Jeśli by podejść do tej sprawy nie z formalnego, lecz z głębszego punktu widzenia, to teren Świątyni, chociażby nawet dziedziniec pogan, nie jest miejscem dla kramarstwa i oszustw. Rozprasza to spokój udających się do domu Pana, czy zresztą jest rzeczą słuszną czerpanie zysku ze służby świątynnej?

Rzuciwszy tę kwestię, rabbi Gamaliel opada na swoje miejsce. Co on zamierza? — zastanawia się Ananiasz. Jeśli Chce odwrócić uwagę Siedemdziesięciu od Jezusa i przez to wybronić Go — to osiągnął swój cel.

Saduceusze i niezłomnie prawi zaczynają teraz sprzeczać się między sobą. Odżywają stare, zadawnione urazy. Zyskuje na tym wspólny wróg — Jezus bar Nash. Za chwilę wymknie się im z rąk pozostawiając za sobą spory formalne

i osobiste docinki, a to będzie klęską Ananiasza. Starzec, tak zawsze opanowany, zaczyna gryźć koniuszek brody.

— Ci helleniści — skrzeczy rabbi Nikodem — już wkrótce całą Świątynię obrócą w dziedziniec pogan, a powiedziane jest: i obalił Mojżesz cielca złotego.

Zarzut jest demagogiczny i rabbi Nikodem wie o tym. Ostatecznie, gdyby tak poszperać w księgach rachunkowych, niektórzy z niezłomnie prawych, a wśród nich — i rabbi Nikodem, też czerpią zyski z handlu na dziedzińcu pogan. Ananiasz przypomni mu to, gdy będą wychodzili z sali. Czyżby jednak Nikodem chciał wybronić Jezusa? Jeśli tak, to Nazareńczyk posiada w Synhedrionie ukrytych sprzymierzeńców. Warto to zbadać — rozważa Ananiasz — sprawa zaczyna stawać się niebezpieczna.

— Co nas obchodzi handel przy Świątyni i sprawy saduceuszy — słyszy pisk. To wychudły asceta, rabbi Joel, znów zapomniał na chwilę o swej nienawiści do Jezusa, dla dawniejszej — do kapłanów.

Ananiasza ogarnia wściekłość. To, co usłyszał, wydało mu się tak głupie, że chętnie wytrzymałby z tego uroczystego osła całą jego nadętą świątobliwość. Czy ten szkielet obciążony skórą nie rozumie, że to właśnie w interesie niezłomnie prawych leży rozdmuchiwanie całego incydentu, by zjednać sobie saduceuszy? Ostatecznie, poza tym jednym wypadkiem, to nie kapłanów atakował publicznie Nazareńczyk, lecz uczonych chawerim. Ananiasz spodziewał się z ich strony, jeśli nie wdzięczności, to chociaż współdziałania. Niestety, ich oschłe uczone mózgi zakute w swej rutynie zdają się nie dostrzegać nawet własnych korzyści. Nie są to jednak politycy — myśli z rozgoryczeniem. Całe życie przyzwyczajony do kompromisów i rozgrywek wyrobił w sobie giętkość i lotność, jak wszyscy ludzie ze sfery kapłańskiej.

Czy w gruncie rzeczy pewny, stały dochód i spokój — rozmyśla Kajfasz — nie są ważniejsze od tego, co niezłomnie prawi określają jako czystość? Kajfasz rozumie ambicje i dążenie do kariery. Rozumie nawet filozofię Epikura. Zakon Mojżesza zaprawiony lekkim — byle nie zbyt wyraźnym — sceptycyzmem czy praktycznym epikurejskim wygodnictwem posiada swój pikantny smak. Czy musi przez to tracić głębię? Inne sprawy wydają mu się niewarte zachodu. Czy Pan zabronił żyć pogodnie i używać darów, jakie niesie życie i władza? Jezus z Nazaretu to oczywiście jeden z takich, którzy gotowi wygodę życia i nieobowiązujący przyjemny oportunizm poświęcić dla swoich zasad. Kajfasz nie zna zbyt dobrze świata poza Judeą — podróżował mało, jednakże orientuje się, że takich ludzi coraz mniej jest w świecie układnych, przebiegłych Greków i nawet Rzymian, natomiast dość sporo trafia się ich jeszcze w Judei.

Czy to dobrze — zapytuje siebie — czy źle? Izrael ma być zbawcą świata, może dobrze więc czasem trzymać się w ogólnych zarysach zasad ojców, ale po co właściwie utrudniać sobie życie? Gdyby mu pozwolił na to jego teść, Ananiasz, zostawiłby Jezusa w spokoju i nic by go On nie obchodził. Niechby wyklócali

się z Nim niezłomnie prawi o jakiś kłós zerwany w szabbat. Jednak czuje, że człowiek zwany Jezusem bar Nash gotów jest zburzyć spokój i wygodę, jaką sobie zbudował on, Kajfasz, wraz z innymi saduceuszami.

Nie uważa siebie za człowieka o dużej inteligencji. Rozumie jednak, że jego teść ma rację twierdząc, iż bogowie tacy, jak Jowisz czy Atena nie wystarczają greckiemu pospólstwu, nie mówiąc o ludziach wykształconych. Ananiasz twierdzi, że ich brak zasad bierze się stąd, iż gotowi są uwierzyć we wszystko, w głębi duszy uważając to za złudzenie. To sprzeczność, to słabość, to wręcz niebezpieczna choroba. Izrael posiada wiarę, i słowo Adonai jest prawdą dla każdego Żyda, to siła Izraela, którą zawsze dotąd zwyciężał pogan. Co będzie jednak — myśli Kajfasz — jeśli amhaarecim ośmielą się osądzać poczynania kapłanów?

Jezus bar Nash jest człowiekiem odważnym. Arcykapłan Ananiasz zna się na ludziach. Wyobrazził już sobie Nazareńczyka. Takim ludziom ulega się lub się ich niszczy, ale z takimi nie sposób pertraktować. Nie idą na kompromisy ani na doraźne taktyczne korzyści. On sam, Ananiasz, nie wierzy w ziemskie królestwo Mesjasza. Rzym jest zbyt silny, by ktokolwiek mógł go obalić. Do tych poglądów nie lubi się głośno przyznawać, niemniej jednak postanowił tak kierować polityką Izraela, by jak najmniej narażać się Rzymowi, wyciągając możliwie jak największe korzyści z jego nad Judeą panowania. Czy Żydzi nareszcie nie mają spokoju ze strony sąsiadów? Czy wreszcie nie zapanował względny dobrobyt — pomimo zdzierstw ze strony rzymskich namiestników — większy niż za czasów Ptolomeuszy i Seleucydów, co wynika z ogólnej stabilizacji świata, z pax romana? Od czasu upadku Sejana nikt nie prowokuje Żydów i nie obraża ich uczuć, od nich samych więc zależy, by spokój był w Judei, a rolnictwo w kraju mogło rozwijać się i kwitnąć. Czy którykolwiek wyznawca Mojżesza służy w rzymskich legionach? Hebrajczycy zwolnieni są od obowiązku służby wojskowej, podobnie jak od składania ofiar cesarzowi jako bogu. To, że bankier Agrykola, rodowity Judejczyk, cieszy się zaufaniem u dworu, jest zasługą polityki saduceuszy, a więc głównie jego własnej. Był głupcem narażając się kiedyś Waleriuszowi. Zapłacił za to — choć w dalszym ciągu uważa, że warto zabezpieczyć się i u Partów, dając im mgliste, wieloznaczne obietnice, z których zawsze można się wycofać.

Nie obawia się zresztą o swoje wpływy. Wszystko to już dawno go znudziło — cała misterna gra polityczna — i gdyby chodziło tylko o niego samego, dawno by się wycofał, pozostawiając sprawy stronnictwa saduceuszy i sprawy Izraela w rękach tego nadętego pyszałka Kajfasza. Jego miernota jednak każe Ananiaszowi w dalszym ciągu trzymać w ręku nici polityki Izraela. Nie chodzi tu o ambicję — jak szepcą jego wrogowie. Jest ambitny, może nawet pyszny, ale jest także zmęczony i stary, a nie widzi wokół siebie następcy. Oddałby mu w ręce swoją wielką sprawę, która zrodziła się w jego mózgu w czasie długich godzin nocnych, gdy odsunięty od władzy przez Waleriusza zastanawiał się nad sensem swego życia

i nad swoją zależnością, zależnością najwyższego kapłana Jehowy, od byle rzymskiego namiestnika!

Właściwie osiągnął już wszystko, czego mógłby pragnąć człowiek jego pokroju. Władza moralna znaczy więcej niż władza jakiegokolwiek innego rodzaju, a autorytet moralny arcykapłan Ananiasz przecież zdobył. Decyzja poprzednika Piłata jeszcze bardziej go wzmocniła, czyniąc z Ananiasza męczennika Izraela. Mógłby w spokoju osiąść w swojej willi i oddawać się ulubionemu zajęciu: przepisywaniu na pergaminie ksiąg Zakonu. Pergamin skrzypiałby przyjemnie, pachniałby tusz.

Wówczas, gdy dowiedział się o decyzji Waleriusza wyszedł przed dom, spojrzął w niebo, jak niegdyś Abraham, podążając wzrokiem za palcem Pana, i liczył gwiazdy. Jak gwiazdy rozsiały Pan lud Izraela po ziemi, a każda gwiazda, każda duchowa monada nosi w sobie wizję królestwa Mesjaszów ego, wiarę w Zakon i proroków. Wydało mu się, że gdyby był Mesjaszem, wykorzystałby tę siłę, obróciłby ją przeciw słabości duchowej Rzymogrecji stwarzając królestwo Mesjaszowe, jednakże nie poparte siłą zbrojną, lecz duchowe, przenoszące stolicę świata z Rzymu do Jerozolimy, czyniąc z niej duchową stolicę, skąd promieniowałaby na świat wiara w jednego Boga Jehowę.

Do Jerozolimy, to znaczy do Świątyni, której ja jestem arcykapłanem — pomyślał. Wizja władania Mesjasza nad światem wydała mu się naraz realna, sam zaś Mesjasz drugim Abrahamem rozmnażającym Izrael nie siłą swoich łądzwi, lecz siłą wiary w Królestwo duchowe, ponadziemskie, na miejsce wiary, czy raczej zwątpienia, w bogów Olimpu i Kapitolu. Przepoić więc najpierw imperium rzymskie duchem Zakonu, a potem rozpocząć podbój świata większy niż jakikolwiek z dotychczasowych, gdzie Mesjasz byłby Aleksandrem duchownym, nie! — kimś większym od Aleksandra, bo ten zatrzymał się w drodze do Indii i jego dzieło się rozpadło, w przeciwieństwie do Mesjasza, którego dzieło byłoby wieczne — sam zaś rzymski Augustus sługą Mesjaszowym, a więc sługą Świątyni Jerozolimskiej, tak długo, aż Mesjasz zechciałby przejąć od niego również i władzę nad kohortami żołnierzy i urzędami, by wprowadzić do świata nowy ład, nowe imperium, w którym nie byłoby już różnicy pomiędzy Żydem a Rzymogrekiem, Egipcjaninem, Syryjczykiem czy Partem. Wszyscy byliby Żydami. Nie podzielał niechęci niezłomnie prawych do cudzoziemców.

Jego umysł skłonny, zgodnie z duchem epoki, do pewnego eklektyzmu gotów był zatrzeć różnice pomiędzy narodowościami. Sam wytworny, subtelny esteta lepiej czuł się w towarzystwie podobnych sobie usposobieniem pogan niż wśród ludzi, wprawdzie tego samego narodu i religii, lecz trywialnych, barbarzyńskich i roznamięnionych fanatyzmem. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby ci wytworni Rzymogrecy znaleźli się w królestwie Mesjaszowym jako ekwici czy patres conscripti zasiadający w Mesjaszowym senacie lub też ściślejsi — jeśli użyć tu

żydowskiego, nie zaś rzymskiego określenia — jako sędziowie w Mesjaszowym Synedrionie.

Wschód podbiłby Rzym. Podbiłby? Przyniósłby mu wyzwolenie i prawdę.

Naraz uświadomił sobie, że ten Człowiek pragnie w gruncie rzeczy czegoś podobnego. Byliby więc sprzymierzeńcami? Jednak nie są. Tamten — przypuśćmy, że Ananiasz rzeczywiście odkrył jego pragnienia — objawia je w dziwny, niepokojący sposób tak, jak gdyby zmieniać chciał Zakon i utarte pojęcia o czystości, miłosierdziu Jehowy i prawie thalionu. Jednak trafnie rozszyfrowałem Go — pomyślał — Nie podporządkuje się niczemu i nikomu. Ogarnęły go wątpliwości, czy Jezus bar Nash mógłby być rzeczywiście sprzymierzeńcem w jego wielkiej grze. Wprawdzie, skutkiem dogmatyzmu niezłomnie prawych, Zakon staje się coraz bardziej zbiorem formalnych przepisów, ten Człowiek jednak jest zbyt gwałtowny. Chciałby osiągnąć wszystko naraz, rozłupując Zakon jak łupinę orzecha. Ale właśnie! Co właściwie chce osiągnąć Jezus bar Nash?

Za dwa lub trzy dni — pomyślał — Faroras zjawi się znów u Kajfasza. Wsunie pewnie jakieś konkretne propozycje, których się oczywiście, nie przyjmie. Źle by było, gdyby policja Hegezynosa zrozumiała znaczenie tych wizyt, toteż się zabezpieczył w sposób — jak wydaje mu się — znakomity. Zmienił taktykę: nie będzie ukrywał najbliższej wizyty Farorasa, tak jak ukrywał pierwszą. Wielką sprawę można realizować tylko przenikając powoli w dusze Rzymian, do tego potrzebne jest ich zaufanie, czy jednak — zanim nadejdzie Królestwo duchowe Mesjasza — należy zapominać o interesach Izraela i Judei? Wstaje kapłan Eleazar. Mówi tonem swobodnym, z lekka drwiącym:

— Jeśli ten Człowiek będzie podburzał gawieź przeciw nam w Świątyni i w synagogach, zostanie zachwiany cały porządek, na którym opiera się nasz spokój i dobrobyt. Znam dokładne liczby. W ciągu trzech lat słyszało Go co najmniej sześć tysięcy, z tego niech tylko dziesiąta część stanie się Jego zwolennikami, to utracimy władzę moralną nad sześcioma setkami ludzi. Głupich kobiet, kalek i prostaków — ktoś powie. Zgoda, ale jeśli sześciuset ludzi przestanie kupować na dziedzińcu pogan, to straty, jakie powstaną w ciągu trzech następnych lat zrównoważą zysk z utargu na Święto Paschy. Z tego zysku można ostatecznie zrezygnować, choć połowa zgromadzonych tu uczonych rabbim będzie się czuła również tą stratą dotknięta. Można również przenieść bazar gdzie indziej, nie w tak bliskie sąsiedztwo Przybytku. Podkreślam jednak wysokość strat moralnych. Byłoby to przyznaniem racji Jezusowi bar Nash, i to nie tylko w tej jednej sprawie. Ten Człowiek podważa publicznie autorytet kapłanów, nauczycieli i króla. Jeśli sześciuset ludzi przestanie naraz szanować kapłanów, rabbim i króla, zwłaszcza takiego, który — mówiąc między nami — w wielu sprawach zachowuje się gorzej niż poganin, i pozwalać isobie na osądzanie nas, to pojęcie władzy moralnej, które jest niewymierne i nieobliczalne, na którym jednak opiera się cała nasza siła, ulegnie, rzecz jasna, uszczupleniu. Autorytety pozwalają z siebie drwić tylko wtedy,

gdy są naprawdę silne. Czy nasza władza moralna jest silna? To kwestia, którą należy rozpatrzyć. Zwracam jednak uwagę, że ten Człowiek postawił w co najmniej wątpliwym świetle nas wszystkich, a my nie potrafiliśmy Go osiągnąć. Stawiam wniosek o przesłuchanie dowódcy straży kapłańskiej na dziedzińcu pogan.

— Sprzeciwiam się — woła rabbi Joel, który nie cierpi kapłana Eleazara. — Czy jesteście naradą, czy sądem?

— Naradzamy się — odpowiada z uśmiechem Eleazar. Po to jednak, by wydać sąd, potrzebna jest znajomość rzeczy.

Po co ta narada — myśli równocześnie. Przecież my wszyscy chcemy tego samego: zguby Jezusa bar Nash pod jakimś przyzwoitym pozorem. Każdy z nas jednak chce podrażnić przeciwnika, by poprzez kłótnię wyzwolić się z nagromadzonych w sobie uraz.

Naraz objawiła mu się prawda, że ascetyczny rabbi Joel ze swym uporem jest jednak dziecinny. Przekorni uczeni w Piśmie przypominają, pomimo swoich bród i zgarbionych pleców, chłopców którzy się drocą z innymi. Dziecinny jest Ananiasz, a nawet on sam, Eleazar. Przecież nie chodzi tu o zysk z utargu ani nawet o wpływ moralny. Wpadliśmy w gniew ponieważ publicznie wykazano nam naszą nieprzydatność. To nas upokorzyło, chcemy się zemścić i to wszystko. Zemścimy się, rzecz jasna, będąc przekonani, że działamy dla dobra Izraela i że to jest właściwy powód naszych czynów. Nie jesteśmy nieuczciwi, o nie!

Wtem przeniknęła go pewna myśl, gotów był nazwać ją olśnieniem. Sięgnął za pasek, wydobywając stamtąd stylon. Szybko nakreślił litery na woskowej tabliczce, którą padał następnie Ananiaszowi.

Ananiasz zaczął czytać i naraz rzucił Eleazarowi zdziwione, lecz zaraz potem kpiące, porozumiewawcze spojrzenie. I on wyjął zza pasa stylon. Dopisał coś pod zdaniem Eleazara i podał tabliczkę Kajfaszowi. Ten przeczytał i patrząc na teścia tak, jakby nic nie rozumiał, wzruszył ramionami bezradnie, lecz przyjrząwszy się gniewnemu grymasowi twarzy starucha, zaczął z wahaniem:

— Przyznajemy wam rację, uczeni rabbim. Zdarzenie nie było warte hałasu, jaki wokół niego uczyniliśmy. Wycofujemy się z propozycji pojmania Jezusa bar Nash. Zmieniliśmy plany. Gotowi jesteśmy nawet uznać, że działał w słusznych intencjach.

Jeszcze nie skończył, gdy z ław niezłomnie prawych podniósł się krzyk:

— Zdrada Izraela!

To rabbi Joel tłukł swą podobną do trupiej czaszki głową o pulpit. Kapłani patrzyli na Kajfasza zaskoczeni. Niezłomnie prawi stracili panowanie nad sobą. Zaczęli uderzać głowami o pulpity, w krzyku i hałasie Ananiasz chwycił słowa: „zakąła Izraela”, „błuźnierca”!

Powstał z miejsca i swym starczym, zduszonym głosem chciał zarządzić przerwę w naradach, ale nikt go nie słuchał. Do Kajfasza podszedł rabbi Joel Postnik i zachrypiał:

— Sami gotowi jesteście Go pojmać!

W jednej chwili sytuacja zmieniła się w sposób zasadniczy. Teraz niezłomie prawi poczeli zabiegać o poparcie u saduceuszy, a Kajfasz, wyczuwszy to, podjął grę, której myśl podsunął Eleazar.

— Nie mamy środków do uwięzienia Go wbrew woli tłumu — powiedział.

— Dostarczymy ich. Jesteśmy na Jego tropie. Jednego kroku nie uczyni bez naszej wiedzy.

Kajfaszowi przyszło na myśl, że dobrze byłoby zapewnić sobie również poparcie Antypasa. Straż kapłańską pobitą i wygwizdaną trudno było wprowadzić do akcji, której wynik mógłby okazać się wątpliwy, gdyby Jezus chciał stawić opór, natomiast słudzy uczonych rabbim mogą nie wystarczyć. Gdyby Antypas, którego poddanym jest Jezus jako Galilejczyk, chciał dać oddział swojej policji, ryzyko możliwego niepowodzenia spadłoby na niego, a także przypuszczalny gniew tłumu, co trzeba było brać pod uwagę.

Zaproponował to. Joel natychmiast przyjął propozycję. Kapłani mogą liczyć na pomoc niezłomie prawych w pertraktacjach z królem. Właściwie na tajnej naradzie faryzeuszy, poprzedzającej tajną naradę Synhedrionu, on sam wysunął ten projekt. Więcej nawet — gotów jest wyznać, że uzyskano już zgodę Herodiady. Policjanci mają być wprawdzie w towarzystwie ludzi ze straży kapłańskiej i sług faryzeuszy, w niczym nie zmienia to jednak sytuacji. Jezusowi trzeba wytoczyć proces. Chodzi o to, by w czasie procesu saduceusze nie sabotowali akcji niezłomie prawych.

Na sali tymczasem zapanował spokój. Przystąpiono do omawiania konkretnych posunięć. Znowu podniósł się rabbi Gamaliel.

— Byłoby hańbą — oświadczył — gdyby czykolwiek proces wytoczony przed Synhedrionem miał odbywać się w sposób stronniczy czy bez dostatecznych dowodów, a także gdyby miały nastąpić nieprawidłowości w procedurze. Do Synhedrionu należy czuwanie nad sprawiedliwością w Izraelu. Jest on wprawdzie nastawiony nieprzyjaźnie do Jezusa bar Nash, tym bardziej przeto należy zachować wszystkie formalności, a ten Człowiek powinien znaleźć tu nie zemstę, lecz sprawiedliwość.

— W sprawie formalnej — zawołał kapłan Eleazar — za jakie przestępstwa mamy sądzić owego Nazarejczyka? Czy za znieważenie Świątyni?

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Chyba nie masz na myśli przepędzenia handlarzy? Łatwo tu można obrócić oskarżenie przeciw oskarżającemu, a tym samym ośmieszyć zarówno jego, jak i znakomity Synhedrion.

ELEAZAR, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Nie, mam na myśli bluźnierstwo o zburzeniu w ciągu trzech dni Świątyni.

JONATAN, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Zwracam uwagę uczonemu rabbi Nachumowi na dobór odpowiednich dowodów. Jeśli świadkami mają być jakieś najemne kreatury, Synhedrion również zostanie ośmieszony.

RABBI JOEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Zwracam się z prośbą do przewodniczącego Synhedrionu o upomnienie kapłana Jonatana. Jego złośliwe i bezpodstawne uwagi obrażają mnie osobiście, a tym samym całe moje stronnictwo.

KAJFASZ:

— Udzielam upomnienia. Powaga rabbim Joela i Nachuma wyklucza wybór nieodpowiednich świadków.

JONATAN STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Poczyniłem tę uwagę nie w celu ośmieszenia rabbi Joela, lecz po to, byśmy nie ośmieszyli się przed samymi sobą. Znając długotrwałe, żarliwe zainteresowanie uczonego Joela Jezusem bar Nash. . .

RABBI JOEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Protestuję!

KAJFASZ JAKO PRZEWODNICZĄCY SYNHEDRIONU, WIĘC PONAD STRONNICTWAMI:

— Ponownie przywołuję do porządku kapłana Jonatana, równocześnie zwracam uwagę, że jakoby ten Człowiek podawał się za Syna Bożego i to nie w symbolicznym sensie, w jakim może nim być każdy, lecz w dosłownym. Chodzi o to, by koniecznie uzyskać odeń przyznanie się do tego.

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Materiał dowodowy, jakim rozporządza nasze stronnictwo, pozwoli Go skazać nawet bez przyznania się do bluźnierstwa.

ANANIASZ:

— Jednak przyznanie się ułatwi sytuację.

KSIAŻĘ SYDKIASZ, REPREZENTANT ARYSTOKRACJI:

— Należy ustalić procedurę, mianowicie fakt, kto ma wnieść oskarżenie. Moim zdaniem niezłomnie prawi jako strażnicy czystości Zakonu.

RABBI NEHEMIASZ, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Względnie Antypas — o ile jest prawdą, że ten Człowiek podaje się za króla Izraela.

ELEAZAR, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Chwileczkę. Więc bluźnierstwo, czy zdrada stanu? To należy ustalić, żeby w trakcie procesu nie było zamieszania.

RABBI NEHEMIASZ, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Oba te przestępstwa, rzecz jasna.

ELEAZAR, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Bzdura! Zbyt wielka ilość win osłabia oskarżenie. Należy wybrać jedną, istotną i poprzeć bezspornymi dowodami.

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Osłabia? Chyba wzmacnia. Gdzie mój przedmówca uczył się zasad prawa?

KSIAŻĘ SYDKIASZ, REPREZENTANT ARYSTOKRACJI:

— Zwracam uwagę dostojnym panom na okoliczność, która tu została przeoczona. Możemy skazać bluźniercę na śmierć, jednak zatwierdzić i wykonać wyrok może tylko prokurator Judei. U Rzymian nazywa się to bodajże *ius gladii*. My możemy najwyżej wymierzyć Nazareńczykowi trzydzieści dziewięć razy, nie więcej. Ponieważ sprawa jest zbyt oczywista, bym potrzebował się nad nią rozwodzić, proponuję wnieść oskarżenie przed Synhedrion o bluźnierstwo, a przed prokuratora Judei o zdradę stanu i podburzanie gawiedzi do anarchii.

RABBI JOEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Moje stronnictwo i zapewne cały Synhedrion dziękuje księciu Sydkiaszowi za jego mądrą radę. Równocześnie chcę wyrazić zgodę na sformułowanie poczynione przez uczonego Gamaliela, odnoszące się do procedury procesu. Tego Człowieka w żadnym wypadku nie należy zmuszać do składania zeznań. Jeżeli posiada On zwolenników, będziemy im mogli pokazać niezawodną sprawiedliwość Synhedrionu.

RABBI NIKODEM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Pozostaje do rozpatrzenia sprawa, co uczynić z uczniami i zwolennikami Nazareńczyka. Ja proponuję zostawić ich w spokoju.

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Ja proponuję powyrzucać ich z synagog i zabronić wstępu na dziedziniec wiernych w Świątyni. Nakazać im nosić specjalne chusty...

RABBI JOEL:

— Tak, chusty, na których wymalowany byłby znak: „bluźnierca”.

DANIEL, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Nienawiść was zaślepia. O ile, moim zdaniem, jest rzeczą celową i słuszną zabicie samego Jezusa, by powstrzymać rozszerzanie się zarazy nazareńskiej, to osiągniemy skutek przeciwny, prześladowając Jego zwolenników. Prześladowani zaczęną trzymać się razem, a nie ma większej więzi niż wspólne niebezpieczeństwo. Popieram wniosek uczonego Nikodema.

KAJFASZ:

— Radzisz więc...?

DANIEL:

— Puścić to w zapomnienie, pod warunkiem dokładnego na przyszłość wypełniania przepisów Zakonu.

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Mówisz jak sam Jezus bar Nash, który kazał siedemdziesiąt razy wybaczać.

JONATAN, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Ktoś tu mówi jak skończony głupiec.

KAJFASZ:

— Ponownie przywołuję do porządku kapłana Jonatana. Sprawę postępowania wobec zwolenników Jezusa bar Nash pozostawiam chwilowo otwartą.

RABBI NEHEMIASZ, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Zapytuję przewodniczącego i cały Synhedrion, czy zgodne z prawdą są pogłoski, jakoby w ogrodzie pałacu Antypasa stał wyrzeźbiony w kamieniu kozioł o ludzkiej twarzy?

ANANIASZ:

— Nawet jeśli jest zgodne z prawdą, to co z tego?

RABBI NEHEMIASZ, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— To że ten półpoganin oddaje pewnie cześć temu pługastwu, niepomny na rozkaz Prawa.

ELEAZAR, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Czy, na czeluści szeolu, zebraliśmy się tu, by radzić, jak rozwiązać sprawę Jezusa, czy sądzić Antypasa?

RABBI NEHEMIASZ, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Stawiam kwestię, czy przystoi, by dostoyny Synhedrion brał na sprzymierzeńca w jakiegokolwiek sprawie człowieka, który tak się splugawił?

JONATAN, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Tu nie portyki przy Świątyni, gdzie się prowadzi dysputy. Jałowe zresztą, chcę dodać.

RABBI JOEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Nadejdzie czas, gdy wszystkie posągi i pogańskie księgi spłoną, jak spłonęły naczynia grzechu: Sodom i Gomora. Spłoną wszystkie w królestwie Mesjaszowym, choćby je zbierać z najdalszych zakątków ziemi!

Zaledwie doszliśmy do porozumienia, a już znów zaczynamy się kłócić — pomyślał Ananiasz. Tak jest zawsze. Niechęć dwóch stronnictw do siebie wynika z pozorów. Żadne nie chce stracić autorytetu. Lecz czym jest dla nas autorytet? Możliwością wykazania drugiej stronie własnej wyższości? Jeśli tak, wykazujemy ją sobie już zbyt długo.

Wizja królestwa Mesjaszowego, jaką mają uczeni peruszim wydawała mu się zawsze obłądana, ciasna i niezgodna z nauką Pisma. Zgodnie z założeniami Zakonu — tak jak on sam je rozumiał — Jehowa był ojcem wszystkich. Niosąc jego naukę do pogan, judaizm byłby latarnią, światłem torującym drogę do Pana. Jak to osiągnąć nie kontaktując się z innymi? Ogromna pycha niezłomnie prawych już dawno go drażniła. Ten człowiek, Joel, chce wznieść mur nienawiści do obcych i swoimi zakazami uczynić z judaizmu małe ciasne podwórko, a życie narodu odmierzyć niezliczoną ilością przepisów. Czy jednak czystość może być sama w sobie celem? Mojżesz nauczał, że jest tylko środkiem. Czy mnożąca się ilość drobiazgowych wymagań, mających uczynić istotę ludzką doskonałą, nie wpędzi jej w rozpacz i zwątpienie w nieskończone miłosierdzie Pana? Wydało mu się, że

oblędna czystość niezłomnie prawych to coś groźnego, co niszczy jak ogień i zżera jak choroba. Jak to się dzieje, że najlepsze dary Pana człowiek może obrócić przeciw sobie? Czy wypełnianie przepisów Zakonu powinno być siłą niszczącą? Czy Pan dał Zakon ludzkości na błogosławieństwo, czy na przekleństwo?

Królestwo duchowe Mesjasza, królestwo judaizmu wydało mu się naraz czymś dalekim. Zakon jest chory — pomyślał — co uczynić, by przywrócić mu zdrowie? Sięgnąć do jego ducha, nie do litery? Zgoda! — Kiedy jednak będzie to możliwe? I co z tego, że swat uwierzy w Jehowę, skoro czymś odmiennym jest uwierzyć i pojednać się?

Jeszcze raz powstał kapłan Eleazar.

— Zadaję pytanie przywódcy stronnictwa niezłomnie prawych. Co się stanie w wypadku, gdyby tłum wziął stronę Mesjasza dla amhaarecim? Jego wjazd do Jerozolimy i entuzjastyczne przyjęcie, jak również ostatecznie wystąpienie w Świątyni budzą tego rodzaju obawy. Wprawdzie nastroje motłochu — tu strzepnął z pogardą palcami — są zmienne, warto by jednak zawczasu ukształtować opinię tych ludzi w pożądanym kierunku. On sam, Eleazar, ani żaden z kapłanów nie będzie się tym zajmował. Stwierdza zresztą, nie bez ubolewania, że saduceusze od dawna już utracili kontakt z amhaarecim. Ma na myśli ten bezpośredni, żywy kontakt, oczywiście, nie zaś profesjonalny podczas odbierania ofiar dla Świątyni. Saduceusze mogliby najwyżej wyrzucić presję na Antypasa i rodową arystokrację, a także prywatną, rzecz jasna, presję na Piłata i jego sekretarza.

Rabbi Joel znów powrócił do swego rzeczowego tonu. Wpływ na tłum posiadają niezłomnie prawi jako jego nauczyciele. Może oświadczyć Eleazarowi, że zwłaszcza tu, w Jerozolimie, z dala od Galilei, siedliska nazareizmu, zostały podjęte w tym kierunku poważne kroki w wyniku tajnych narad, jakie odbyła rada faryzejska. Galilejczyków jest tu stosunkowo niewiele, a Judejczycy nie znają Jezusa bar Nash. On, rabbi Joel, jest przekonany, że nastroje tłumu ulegną zmianie w ciągu kilku dni.

Egzaltowany, z rozwianą brodą i trzęsącymi się dłońmi, zapomniał o wszelkich urazach do pogan i grzeszników z arystokracji skupionej wokół króla i kapłanów. Zapomniał o różnicy poglądów na temat królestwa Mesjaszowego pomiędzy sobą i Ananiaszem. Wiedziony wizją ostatecznego pognębienia bluźniercy z Nazaretu, cały swój zapał, całą swoją namiętność przelewał w mózgi słuchaczy.

— Uda się — chrypiał — musi się udać, ci sami zaś, którzy Go witali kwiatami, będą rzucać w Niego grudami błota!

Krzycząc zaś, czuł że zdobywa salę. On, rabbi Joel Postnik, ma nad nimi władzę, nie zaś Ananiasz. Wyrzucał z siebie słowa, krzyczał, był jak mówca opowiadający haggady, jak prorok, którego słuchają na placach tłumu, poddając się jego wymowie. Jeśli dotąd nie wszyscy saduceusze i niezłomnie prawi byli w głębi serca przekonani o konieczności procesu i śmierci Jezusa, to teraz czuł, że ich przekonał i zdobył siłą swojej nienawiści i energii. Odpokutuje za nią potem osła-

bieniem całego ciała, ale teraz, dopóki ma nad nimi władzę, utrzyma ją i umocni w ich sercach — już nie przekonanie, to mu nie wystarcza: nienawiść! Krzycząc, odgrzebywał w pamięci słowa o pobielanym grobie. Ich zgłoski piekły upokorzeniem, bynajmniej, jak się okazuje, przez czas nie zmniejszonym. To dobrze. Może to ono właśnie daje mu tyle sił. Wyrzucił przed siebie ręce, jakby chciał objąć nimi świat.

„Mesjasz dla amhaarecim” — rozmyślał Ananiasz. Dziwne wyrażenie. A jednak wygrałem. Jezus stanie przed sądem, cały zaś ciężar tej sprawy wezmą na siebie peruszim. Jego chłodny, przenikliwy umysł odczuwał coś w rodzaju zadowolenia. Jeszcze raz wyprowadził w pole przeciwnika. Stary Ananiasz. Stary lis. Nie udawało mu się jednak stłumić niepokoju, jaki go zaczął przejmować. Nie był to lęk. Ananiasz nikogo się nie bał. Miał tylko uczucie, jakby w całej tej sprawie przeoczył coś bardzo istotnego, coś — co może jest najbardziej ważne. Co by to jednak było, nie wiedział. Jezus bar Nash był zagadką, a on, Ananiasz, im bardziej się w nią wgłębiał, tym bardziej wydawał się sobie zagubiony.

* * *

Człowiek zwany drugim szedł dziedzińcem pogan wzdłuż straganów. Handlarze siedzieli na ziemi przy kłatkach z drobiem i w swych budkach, gdzie można było dostać olejki i kadzidło w małych pudełeczkach, w innych budkach chałaty i sandały, filakterie i nawet zwoje Pisma. Ryk bydła mieszał się tu z wrzaskami handlarzy, smród uryny ze smrodem oleju, na którym pieczono placki. Roznosił je człowiek z naroślą obejmującą połowę twarzy, podrygując i uderzając w bębenek. Cały plac podzielony był na prostokąty poprzedzielane uliczkami. Wszedł w uliczkę lichwiarzy, gdzie pożyczano pieniądze pod zastaw. Dwaj ludzie upojeni szakkarem obejmowali się oparci o jeden z kantorów. Sprzedaż szakkaru była wprawdzie surowo zabroniona, podobnie jak fałszerstwo pieniędzy, niemniej jednak widziało się upojonych i spotykano fałszywe monety o złej proporcji dlań tajemnicą. Wychował się od dziecka tu na tym bakruszców wybijane w kantorze lichwiarza Mardocheja. Groziła za to śmierć, jednak Mardochej musiał mieć wysokie poparcie, być może nawet u samego arcykapłana, a być może jeszcze wyżej — u Rzymian.

Znał tu świetnie wszystkie zakamarki i nic nie było żarze w cieniu Świątyni o kilka kroków od domu Pana. Jeśli dziedziniec pogan był labiryntem czy — jak niektórzy go określali — bagniskiem, to nie bał się utonięcia. Znał tu wszystkich i ich tajemnice, ale oni nie znali istoty osobowości jego — złodzieja Jehudy, a równocześnie człowieka zwanego drugim — i to dawało mu poczucie wyższości.

Jego podwójna osobowość fascynowała go. Wydawał się sobie kimś w rodzaju Laji, tylko w ukrytym, duchowym sensie. Laja siedziała w zachodnim rogu dzie-

dzińca na beczce, półnaga: każdy za dwie drachmy mógł ją sobie obejrzeć. Laja, niczym jeden z owych pogańskich demonów o dwóch głowach, które wypluwa z siebie szeol, miała cztery ręce i cztery nogi, dwa tułowia złączone z sobą przy kości miednicowej, co wywoływało rechot i grube, prostoduszne, wciąż te same dowcipy. Pokazywanie Laji było zabronione, jednak Jehuda wiedział, wykorzystawszy w tym celu drugą część swojej osobowości, że sam młodszy lewita Sadok w porozumieniu z naczelnikiem straży kapłańskiej popierają ten proceder, nie obojętnie, rzecz jasna, lecz przy pomocy niejakiego Omri, stręczyciela dla bogatych kapłanów, których nazwisk wolał człowiek zwany drugim nie znać. Wiadomość tę sprzedał potem swojemu dziesiętnikowi i odtąd właśnie cena oglądania Laji wzrosła do dwóch drachm.

Minął człowieka, który zachwalał maść na odciski. Wskazywał na deseczkę, na której skórki od nóg przyklepione rzędem dawały dowód skuteczności leku. Tego człowieka należało się strzec. Labirynt, w jaki wszedł, miał swoje niebezpieczne zakamarki i ukryte doły, gdzie wpadłszy, można było już się nie wydostać. Zręcznie omijał je dotąd, ukazując na przemian to jedną, to drugą stronę swej osobowości, niczym Laja obracająca się w kółko za specjalną — dopłatą trzech drachm. Czuł wzrok sprzedawcy maści na plecach, w tym miejscu, gdzie nóż wbity z góry ukosem najłatwiej zabija, przecinając górną część płuca. Lęk poderwał mu nogi do biegu. Spokojnie! — pomyślał — teraz mi nic nie robi, a jutro, być może, znajdą go pod ścianką któregoś z kantorów, z podkurczonymi nogami, jak wtedy tamtego, tydzień temu. Jego znajdą albo też mnie — to dziś w nocy musi się rozstrzygnąć.

Jego znajdą. Człowiek zwany drugim już wie nawet, jak to się stanie.

Był tamten nie zdążył powiedzieć o nim swoim krewnym, a Jehuda znów wysłiznie się ręką śmierci, które w tym bagnisku nieraz już chwytały go za szyję jak wodorosty. Sam nie miał żadnych krewnych, więc prawo thalionu nakazujące mścić się śmiercią za śmierć krewnego nie ma w stosunku doń zastosowania. Na sprzedawcę maści zwrócił wczoraj uwagę, mając dar wyczuwania ludzkich spojrzeń. Wydawać by się mogło, że jego skóra jest tak delikatna, jak palce. Odwrócił głowę: „oko za oko” — mówił mu wzrok tamtego. Nie mógł się mylić. Czytał w nim zapowiedź nieubłaganej zemsty rodowej. Delikatnie rozpytując, doszedł prawdy: to rodzony brat człowieka, który wraz z bar Abbą i jakimś innym złoczyńcą zawisnie na krzyżu w najbliższym czasie, którego zaś wydał on, człowiek zwany drugim. Był wtedy późny wieczór. Zobaczył dziewczynę zwaną Isabel z kimś — jak ocenił go po ubiorze — z Perei. Był to stary człowiek, nie żaden bogacz, rzecz jasna, zwykły amhaarec, pewnie jeden z tych, którzy przez cały rok ciuflają pieniądze, by zabawić się na święto Paschy. Podpatrywał ich ukryty za jednym z kantorów. Stary człowiek jakoś nie potrafił pojąć Isabel, wreszcie wstał zdyszany i upokorzony. Isabel śmiała się. Jej głośny, bezczelny chichot podrażnił starucha: odwrócił się i odszedł, ale teraz Isabel przestała się śmiać. Chwycała go

za chałat, kłócili się o pieniądze. Perejczyk nie chciał zapłacić, szarpali się coraz gwałtowniej. Naraz wyłonił się skądś tamten i uderzył w plecy Perejczyka, który padł z podkurczonymi nogami tak właśnie, jak go potem znaleziono. Oboje z Isabel pochylili się nad nim i wyciągnęli sakiewkę.

— Do równego działu — powiedział wychodząc zza kantoru Jehuda.

Tamten podbiegł ku niemu z nożem w ręku. Ręka się trzęsła, a nóż zataczał w powietrzu koła. Jehuda rzucił się w labirynt przejść i skrótów. Słyszał za sobą oddech tamtego, aż wreszcie wymknął mu się. Następnego dnia policja miejska wywlokła tamtego z dziedzińca pogan, zapewne zdążył jednak powiedzieć bratu o Jehudzie — on albo też Isabel. Jakoś nie widział jej na dziedzińcu pogan. Może wtrącono ją do więzienia. Warto to sprawdzić. Gdyby się gdzieś ukryła, mogłoby to okazać się niebezpieczne.

Szukał człowieka o twarzy obrośniętej i zniekształconej przez narośl. Szedł za głosem bębena. Słyszał go coraz wyraźniej. Nareszcie dostrzegł V — skakał przed tłumem gapiów. Dał mu znak i już po chwili rozmawiali z sobą dyskretnie, omal szeptem.

— Masz towar? — spytał człowiek zwany piątym.

Jehuda wyciągnął spod chałata pakiecik skóry wytłaczanej w złote palmety. Była jak aksamit. Ukradł ją w domu pewnego bogacza, gdzie miano wybijać nią poduszki.

— Taki towar — powiedział człowiek zwany piątym — należy rozprowadzać ostrożnie. Zwłaszcza teraz odkąd wszyscy mają nas na oku. Po mieście krąży opinia, że przyzwoity Żyd powinien unikać naszego dziedzińca.

— Znów spokój — stwierdził raczej, niż spytał człowiek zwany drugim.

— Nazareńczyk nie przyjdzie — obojętnie odpowiedział V, a Jego uczniowie już odeszli. Z kapłanami nie wygra — rzekł to tonem dobrodusznej perswazji. Gdyby chcieli nas wszystkich wyrzucić z dziedzińca pogan, Kajfasz musiałby sprzedać swoją willę.

Rzeczywiście panował spokój. Ruch może był mniejszy niż zazwyczaj, a ludzie bardziej nerwowi, niespokojni, lecz wszystko zaczynało przybierać codzienny wyraz. Krzykliwi przekupnie zachwalali swoje ptactwo i namawiali pobożnych do ofiar dla Świątyni, poważni lichwiarze wymieniali monety rzymskie, partyjskie, armeńskie, niewolnicy biegali z poleceniami. Odprowadzano baranki dalej, w kierunku dziedzińca wiernych, czyli w obręb właściwej Świątyni, której dziedziniec pogan był tylko obramowaniem zewnętrznym — spokojnym, solidnym bazarem, gdzie jest się dobrze obsłużonym, kupując towar miły Panu. Pan zaś w osobliwy sposób ochrania przekupniów i lichwiarzy. Byłby więc kimś w rodzaju protektora i wspólnika — kimś w rodzaju arcykapłana Ananiasza. Kimś, rzecz jasna, bez porównania większym, jak kimś większym od złodzieja Jehudy jest sam Ananiasz, a od człowieka II, Hegezynos.

Dostrzegł, że przekupnie, wybiegając zza straganów, już chwytają, jak zawsze, klientów za chałaty. Rozwiane brody i gestykulacja mówią o tym, jak namiętnie kłócą się o każdą drachmę. Handel jest nie tylko zawodem, jest namiętnością, pojedynkiem na inteligencję i na wolę. Tak samo było, gdy naraz zjawił się ten Człowiek i, wołając, że Pan został znieważony, zaczął przewracać stoły i rozrzucać pieniądze. Jego uczniowie krzyczeli, że hańbą jest czynić ze służby dla Jehowy rzemiosło, a z dziedzica Świątyni jaskinię wszelkich występków. Kapłani dobrze wiedzą, co się tutaj dzieje, ale dla własnej wygody wołają milczeć. Straż kapłańska została odepchnięta przez grupę chłopów z Galilei i rzemieślników, którzy przyszli z Jezusem bar Nash.

— Pokazałeś, że jesteś człowiekiem sprawiedliwym i nie znasz przed nikim lęku — wołali — teraz już wiemy, że jesteś Mesjaszem!

Człowiek zwany drugim przyglądał się Jezusowi bar Nash. Nie szanował ludzi — poznał, jak wydawało mu się, ich chciwość, obłudę, małostkowość — podobnie jak nie szanował samego siebie, ale ten Człowiek zrobił na nim wrażenie tak wielkie, jak nikt inny. Było w Nim coś imponującego. Nie zewnętrzny splendor jak u arcykapłana przybranego w ciężkie złote ozdoby i idącego hieratycznym krokiem patriarchy. Jezus bar Nash był ubrany biednie i bynajmniej nie posiadał potężnej postawy, która może imponować siłą. A jednak Jehuda wyczuwał w nim siłę. Czy to zdecydowanie i odwaga, z jaką wkroczył pomiędzy kramy? Tak, to było imponujące, to jednak nie było wszystko. To była nawet drobna część tego, co tak bardzo go zafascynowało. Ten Człowiek miał w sobie jakiś wewnętrzny żar, jakiś majestat budzący posłuch. Wydawało mu się, że nawet Go poniżając, nie potrafiłby stracić doń szacunku. Czy to dlatego, że jest mądry? Czy dlatego, że tak zdecydowany i pewien swej słuszności?

Jego twarz miała wyraz gniewu. Ten gniew nie szpecił jej ani nie ośmieszał Jezusa bar Nash. Nadawał Jego twarzy jakby jeszcze większą subtelność. To ktoś silny — pomyślał — kto gniew i łamie, ale kogo nie można ani zgnać, ani złamać. Jest jak młot nadający kształt żelaznej sztabie. Wydało mu się, że tak właśnie wyglądać musiał gniew proroków, Jeremiasza i Samuela, przed którym cofał się tłum. Pan został na dziedzińcu pogan znieważony i ten Człowiek jest młotem w ręku Pana.

Co on powiedział? Świątynia domem Jego Ojca? Dziwne: ten Człowiek mówił o Świątyni tak, jak mówi o swoim pałacu syn właściciela, który przyjeżdża do domu i postrzega, że ten dom chyli się do upadku, a z ojca ośmielają się drwić niewolnicy i słudzy.

Kramarze cofali się, rzucając w stronę uczniów Jezusa bar Nash deski i stoły. Sam Nazareńczyk szedł pierwszy roztrzając kramarzy i strażników. Wydawało się, że porażeni są strachem i niezdolni do stawiania oporu.

Czy się przestyszał? Jednak nie! Słowa „Ojca mego” były wypowiedziane wyraźnie.

— Pers był dziś? — spytał człowieka zwanego piątym. Obaj śledzili pewnego człowieka i wkrótce poznali po twardej, z lekka chropawej wymowie, że był on znad granicy partyjskiej lub zgoła z kraju Partów. Złodziej Jehuda. i sprzedawca placków mogli kręcić się po całym dziedzińcu bez zwracania na siebie uwagi sług partyjskiego króla królów.

— Był — powiedział człowiek zwany piątym. Spotkał się tu z kimś, kto służy w pałacu Kajfasza. Możesz zameldować to dziś dziesiątnikowi.

— Chcesz zarobić? — zapytał po chwili. Robota łatwa i nie narazisz się nikomu. Ludzie niezłomie prawych werbują krzykaczy, którzy mają wejść pomiędzy pielgrzymów i podburzać przeciw Jezusowi bar Nash. Płacą dwadzieścia drachm dziennie. To sporo. Z tego wynika, że im na tym zależy. Jest ponadto zajęcie płatne jakoby bez porównania więcej, którego szczegółów jeszcze nikt nie zna, trzeba tylko stawić się w domu rabbi Nachuma bar Gorja. Mogą je otrzymać tylko szczególnie zaufani i chętni. Jest ponadto okazja porachunku z Jezusem bar Nash. Człowiek zwany drugim znów na moment ujrzał Nazareńczyka. Naprzeciw Niego w znacznej odległości stali lichwiarz Mardochej i Omri, nieco dalej człowiek zwany piątym. Podnieśli pięści. Wokół nich chwiały się pięści przekupniów i odepchniętych sług kapłańskich. Mardochej krzyczał:

— Zapłacisz nam za to, Jezusie bar Nash, fałszywy Mesjaszu

— Chcesz? — ponowił pytanie V.

* * *

W kilka godzin później w pałacu Kajfasza. Arcykapłan Kajfasz stoi przy cedrowym pulpicie. Na wąskim skrawku papirusu kreśli szybko hebrajskie znaki. Potem jeszcze raz odczytuje zdanie: „Faroras dał znać, że dziś wieczorem przybędzie”. Następnie skrawek zwija. Kłaśniecie w ręce. Wchodzi młody lewita.

— Natychmiast wsiądziesz w lektykę i doręczysz to do rąk własnych arcykapłana Ananiasza. Sprawa jest ważna. Gdyby cię napadnięto lub zatarasowano drogę, zwitek połkniesz.

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie w forcie Antonia zwanym też pretorium. Sala o niskim pułapie z podłużnymi okienkami pod sufitem, przez które słońce, padając, krzyżuje smugi na kamiennej posadzce. Dwóch ludzi, obaj Żydzi przybrani w jednakowo przybrudzone, pasiaste chałaty. Jeden z nich zgięty z pokorą.

— Zbadałeś to dokładnie?

— Zbadałem, setniku. Zatrudniłem przy tej pracy całą podległą mi dziesiątkę. Ten człowiek mieszka w willi arcykapłana Kajfasza.

— Wydaję polecenie, by śledzić tak zwanego Persa w dalszym ciągu. Odkomenderowuję do tego zadania ponadto jeszcze XIX oraz IV, by śledził poruszenia ludzi II, V, a także XIX.

Człowiek zwany setnikiem podchodzi następnie do pulpitu stawia powoli greckie litery na papirusie. Klaszcze w ręce. Wchodzi służbowy w pełnym umundurowaniu z nagolennikami i w hełmie, z paskiem na brodzie.

— Szlachetnemu Trasyllosowi — mówi człowiek zwany setnikiem.

* * *

W kilka chwil później i kilka pięter wyżej. Grecka sofa z wygiętymi poręczami, na której półleżąc przegląda zwoje papirusów urzędnik drugiego stopnia i szybko notuje uwagi na marginesach.

Kotara zawieszona nad wejściem uchyla się, wchodzi legionista, saltuje, oddaje zwitek papirusu Trasyllosowi. Saltuje ponownie. Trasyllos daje mu dłonią znak. Żołnierz nie wychodząc czeka.

„Sprawozdanie XLI, setnika, szlachetnemu Trasyllosowi, urzędnikowi drugiego stopnia. Wysłannik Farorasa, którego kazałem śledzić w dalszym ciągu, spotkał się dziś ze sługą Kajfasza na dziedzińcu pogan. Treść rozmowy nieznaną. Osobiście przypuszczam, że chodziło o ustalenie terminu. Faroras powinien spotkać się z arcykapłanem w ciągu najbliższych dni, być może nawet dziś. Zwracam uwagę na brak dotychczas wiadomości ze strony XIV zatrudnionego w pałacu Kajfasza. Zapytuję o polecenia szczególnie co do kwestii, czy dodatkowo obstarwić numerowanymi willę arcykapłana Kajfasza. Zwracam równocześnie uwagę, że poza XIV brak w willi rzeczonoego arcykapłana jakiegokolwiek z numerowanych od czasu, gdy XV został odwołany do pałacu Antypasa, a L zdradził. W wypadku, gdyby XIV nie był zdolny do wykonania zadań lub gdyby jego milczenie miało się przeciągać, bylibyśmy odcięci od informacji, co się dzieje w pałacu arcykapłańskim oraz co jest treścią rozmów samego arcykapłana z Farorasem”.

Trasyllos odkłada papirus, po czym pisze na innym skrawku:

„Dodatkowe obstarwienie willi Kajfasza zbędne, jak również wszelkie oficjalne kroki wobec Farorasa do chwili, kiedy wydane zostaną odpowiednie polecenia. Co się tyczy XIV — czekać. Sytuację uważam za normalną”.

Dopisek:

„Dla zbadania sytuacji w pałacu arcykapłańskim wysyłam XXVIII”.

— Setnikowi numerowanych — mówi do żołnierza. Zgrzyt butów o mozaikę posadzki. Kłaśnięcie w ręce. Wchodzi sekretarz urzędników obu stopni, Aramejczyk — ten sam, który zazwyczaj stenografuje przesłuchania.

Trasyllos dopisując u góry raportu, który przesał mu XLI:

„Szlachetnemu Hegezynosowi, urzędnikowi pierwszego stopnia. Nie uznałem za stosowne zwiększenie liczby śledzących willę K.” — wręcza papirus sekretarzowi, który idzie z nim do sąsiedniej sali.

* * *

Żołnierze schodzący po stopniach na plac przed fortem i wchodzący znów po schodach są w swoich pancerzach z nagolennikami i w hełmach, jak wąż o żelaznych łuskach, w których migoce światło. Wszyscy mają mniej więcej ten sam wzrost i podobny, dość bezmyślny wyraz twarzy. Ich kroki są miarowe, a ruchy znamionują długotrwałą tresurę, w której ludzkie czynności stają się automatyczne. Komuś, kto patrzy na nich z pewnej odległości, przypominają mogliby lalki ze sprężyną wewnątrz poruszające się mechanicznie. Ten ktoś siedzi za filarem portyku i czeka, by żołnierz, który wchodzi teraz schodami i zaraz zejdzie, dał mu znak dla innych niedostrzegalny. Będzie nim nagła nieprawidłowość w działaniu mechanizmu: dotknie podpaski pod brodą. Będzie to znak, że jest jednak istotą żywą o bardziej dowolnych niż u zwykłej zabawki odruchach, zarazem dla tego, co siedzi co dzień pod portykiem znak, że są wiadomości z fortu Antonia.

Wczoraj podpaska była dobrze osadzona na brodzie i żołnierz nie potrzebował jej poprawiać, ale dziś legionista, ani chwilę nie przestając patrzeć przed siebie swoim nieruchomym wzrokiem lalki sięga dłonią do paska. Jest to ruch błyskawiczny, po którym następuje opuszczenie ręki i jej ruch wahadłowy. Zszedł już w dół i znalazł się w miejscu, gdzie w linii prostej jest do portyku najbliższej. W tym momencie, lecz ani chwilę wcześniej lub później, zanim nadejdzie następny wartownik, człowiek pod portykiem trąca psa. Niepozorne, małe stworzenie węsząc po ziemi nie dobiega do węża maszerujących, lecz w podskokach zawraca, jak gdyby się bawiąc.

Żebrak o oczodołach ziejących czerwienią, siedzący pod portykiem, głaszcze psa, wyjmując mu z pyska mały zwitek, potem wkłada swój chałat pod którym leżał, pozornie drzemiąc, i idzie prowadzony przez psinę, niepewnie stukając o kamienie laską, w stronę portyku Salomona i dalej w stronę miasta.

* * *

W kilka chwil później w wąskim, ciemnym przejściu wychodzącym na wewnętrzną stronę murów i niszę, w której leży śpiąc skulony człowiek. Ślepiec wciąż idąc wolnym, niepewnym krokiem, trąca leżącego laską. Tamten podnosi się i obaj wchodzi w niszę, gdzie zasłania ich ciemność. Ślepiec zrzuca chałat, siwą kudłatą brodę i plastry z oczu, które nalepia sobie tamten. Oddaje mu laskę

i psa. Po chwili wychodzi z niszy w samej przepasce na biodrach, idzie pewnym swobodnym krokiem. Znalazłszy się za rogiem muru, wchodzi w przejście tworzące skrót pomiędzy ulicami, w podwórze wąskie, zaśmiecone słomą i odchodami oślimi. Przeskakuje murek i dopiero wtedy zaczyna biec.

* * *

W tym samym czasie willa Kajfasza. Furtka w murze uchyla się i wchodzi ktoś, na kogo już czekają dwaj ludzie z latarniami. Prowadzą go przez ogród. Równocześnie zaś sala, gdzie na poduszce oparty o ścianę siedzi Kajfasz. W świetle płomienia trójnogu z żarzącymi się węglami twarz Kajfasza staje się jeszcze bardziej wyrazista niż zazwyczaj; nos jeszcze bardziej ciężki, usta grubsze. Kajfasz wydaje się własną karykaturą. Niebieskawo wodniste oczy patrzą przed siebie z wyrazem spokojnym, lecz tępawym. Równocześnie płomień trójnoga utrzymuje w głębokim cieniu pozostałą część sali. Gdyby nie to, wchodzący właśnie człowiek mógłby spostrzec, że kotara zawieszona w kącie sali drży jeszcze. Mógłby wysnuć stąd wniosek, że ukrył się za nią ktoś, kto nie chce być widziany, że ten ktoś dopiero co tam wszedł.

Kajfasz wstaje. Ruchy ma powolne, majestatyczne, głos o brzmieniu wystudiowanym, głęboki, miękki. Wyciąga ręce, może zbyt tłuste, w grubych pierścieniach. Jest może zbyt majestatyczny. Wynika to stąd — jak go ocenia wchodzący — że wciąż pamięta o swojej godności arcykapłana i w swoim przekonaniu jest człowiekiem wielkim. Dobrze więc — myśli — postaramy się tę cechę wykorzystać.

— Witaj, Farorasie — mówi Kajfasz, myśląc równocześnie, że już za chwilę powinny paść propozycje.

Ma w pamięci zalecenia Ananiasza. Zapisał je sobie na pergaminowym zwitku, na który spojrzął jeszcze raz przed wejściem Farorasa. Kajfasz myśli równie powoli, jak gruntownie. Chodzi o to, by ukształtować w sobie pogląd czy wytyczną postępowania, której nic już nie będzie w stanie zmącić ani zmienić. Ananiasz wie o tym, toteż zapisał mu na zwitku dwa zdania: „Odrzucić propozycje. Nie zrażać Farorasa”. Wie równocześnie, że Kajfasz pozbawiony szybkiej orientacji może, gdy zakorzenia się w nim te wytyczne, popełnić błąd w jakiejś nagłej, nieprzewidzianej sytuacji. Ananiasz zaaranżował całe to spotkanie i przewiduje kierunek propozycji Farorasa. Co będzie jednak, jeśli ze względów taktycznych padną jakieś inne propozycje — do przyjęcia lub w każdym razie nie do odrzucenia?

Postanowił czuwać za kotarą, by w krytycznej chwili nadać rozmowie pożądany bieg. Wydało mu się, że za plecami Kajfasza i siadającego właśnie Farorasa usłyszał szmer. Doskonale — pomyślał — szczur już zajął swoje miejsce w norze. Wszystko powinno nastąpić tak, jak przewidywał, jeszcze raz zastanowił się,

czy słusznie postąpił, nie wtajemniczając zięcia w istnienie szczura, jak określił w myślach istotę, którą zamierzał posłużyć się wbrew jej wiedzy. Kajfasz z wrodzoną sobie apodyktycznością oraz brakiem umysłowej giętkości mogącej nadać każdemu zdaniu wielorakie znaczenie może po prostu palnąć głupstwo, które — natychmiast zanotowane — zaszkodziłoby tylko im obu, zamiast umocnić ich pozycję w oczach Rzymian. Z drugiej strony jednak Kajfasz wiedząc, że każde jego słowo jest dokładnie notowane, z pewnością speszyłby się, stał by się jeszcze bardziej sztuczny, a bieg jego myśli jeszcze bardziej uległby zwolnieniu. Mogłoby to wówczas sprawić fatalne wrażenie na gościu przeświadczonego, że chce się go niezręcznie, a może nawet świadomie brutalnie odprawić, a wówczas zasada: nie zrażać Partów i trzymać ich w gotowości sojuszu na wypadek, gdyby przyszedł odpowiedni moment, mogłaby zostać zachwiana, co byłoby nieostrożnością.

Ananiasz pamiętał, jak zresztą wszyscy na Wschodzie, o klęsce, jakiej doznały wojska rzymskie Licyniusza Krassusa w Babilonii pod Harranem. Znaki legionów i prawie cała armia wpadła wówczas w ręce wroga oskrzydłona zręcznym manewrem. Znaki te potem odzyskał pierwszy spośród Augustusów — Oktawianus. Ananiasz lubił nawet te strofy Horacjusza, w których jego ulubiony poeta przesadnie chwalił ten wyczyn jako niezwykły sukces Rzymian. W rzeczywistości — przynajmniej w opinii Wschodu — nic dotąd nie zdołało zatrzeć hańby i klęski panów świata. Żyli synowie weteranów spod Harranu i pamiętali opowieści ojców — zbiegów z pola walki lub wykupionych z niewoli — o grozie, jaka przeniknęła ich serca i o okrzyku: „Ależ to drugie Cannae!” — jaki paść miał z ust samego Licyniusza Krassusa, porównującego się przez to do Emiliusza Paulusa z wojny z Hannibalem, najbardziej nieszczęśliwego z wodzów Rzymu.

Po całym Wschodzie wciąż jeszcze krążyły haggady i kuplety układane z okazji tego niezwykłego wydarzenia. Ich bezimienni autorzy brali przeważnie stronę Partów i wyszydzała butnych Rzymian, których pokarała za pychę Hejmarmene, straszliwa bogini Losu, od którego nie ma ucieczki. Los ten przewiduje z dokładnością chronometru wszystkie ludzkie poczynania i myśli eliminując wolną wolę człowieka. Jest ślepy i działa bez celu. Kuplety te niewątpliwie opłacane, przynajmniej częściowo, przez Partów sugerowały niepewność. Rzym panuje — mówiły — tak długo, dopóki Hejmarmene utrzymuje go przy władzy. Jednak wynik bitwy pod Harranem dowiódł, że Hejmarmene nie zawsze sprzyja Rzymowi. Wyrok już zapadł. Sybille odurzone wywarem z ziół i dymem przepowiadały w stanie ekstazy upadek Rzymu. Sami rządcy świata byli pełni złych przeczuć. Ananiasz, czytając strofy Horacjusza przepelnione grozą i nastrojem paniki, myślał: a więc i taki potrafi być Rzym!

Jako Żyd nie wierzył w ślepy bezcelowy Los odbierający wraz z wolą nadzieję. Uważał, że Jehowa — chociaż kieruje losami ludzi, mocarstw i wszechświata — pozostawia człowiekowi wolę, którą ten się powodując może dokonywać wyboru swoich czynów. Choć świadoma wola Jehowy jest zawsze ponad nimi —

dopóki wybór ten nie nastąpi, czyny człowieka są w stanie możliwości. Moc aktu nadaje im dopiero człowiek. Ten pogląd nie przeszkadzał mu jednak na zasadniczą zgodę z politycznymi sądami kuplecistów. Obecnie wprowadzie — i to już od dawna — panuje pomiędzy Rzymem i Partami pokój, nikt nie jest w stanie jednak przewidzieć, jak długo jeszcze się utrzyma. Zwiększona ostatnio aktywność Farorasa może pozostawać w związku z ruchami legionów w Syrii i Babilonii, o jakich donoszą mu tamtejsi jego stronnicy, co poniekąd też — wiążąc się z brakiem jakichkolwiek przesunięć personalnych wśród urzędników rzymskich w prowincjach Syrii i Azji — może świadczyć, że w Rzymie lub analogicznie w Ekbatanie, Suzie czy Persepolis powstają plany dalekosiężnych działań, które gdy dojdą do skutku, uchwycą w swe tryby Judeę. Nie jest powiedziane, że dojsć muszą. Obecne poruszenie może być jednym z fałszywych alarmów przelotnych jak burze piaskowe. Nie jest też jednak powiedziane, że w możliwym przyszłym lub też tylko prawdopodobnym starciu zwyciężyć muszą Rzymianie. Dlatego nie warto zrażać do siebie Farorasa i Partów jako ścisłych i bliskich w niedalekiej, być może, przyszłości partnerów w rozmowach nad losami Wschodu i Izraela.

Jakkolwiek jednak Partowie są jedynym przeciwnikiem Rzymu, który się liczy i nie ustępuje mu siłą, obecnie rządzi w Judei Piłat Poncjusz — i z tym faktem on, Ananiasz, musi się liczyć. Dlatego da Rzymianom dowód lojalności sfery kapłańskiej. Lojalności, która niewiele go kosztuje.

Gdyby miał zresztą wybierać pomiędzy Rzymianami i Partami, osobiście wybrałby Rzymian. Barbarzyństwo z lekka tylko ogładzone i rubasność Partów drażnią go podobnie jak te same cechy u Rzymian. Rzym jednak oznacza stabilizację i pewność, podczas gdy Partowie to wciąż jeszcze wielka niewiadoma, chociaż Żydzi zamieszkali po tamtej stronie granicy raczej chwalą ich rządność i tolerancję. Jednakże Ananiasz nie jest osobą prywatną lub przynajmniej nie chce nią być. Jego osobiste sympatie czy uprzedzenia w danej sytuacji są nieważne. Wierzy w to, że dźwiga na sobie odpowiedzialność za losy Izraela jako ten, kogo nazaczył Pan w chwili dziejowej niewątpliwie trudnej. Stara się więc prowadzić swoją grę spokojnie, rozważnie, beznamiętnie, przewidując każdy krok.

Kajfasz, siadając, powtarzał w myślach: dać odmowną odpowiedź Farorasowi; nie zrażać Partów, i te dwa zdania przepowiedział sobie jeszcze parokrotnie w czasie, gdy Faroras wschodnim, jeszcze perskim zwyczajem dyplomacji Achemenidów, począł rozplýwać się w uprzejmościach. Niech się wygada — pomyślał — to mi da czas do zastanowienia. Miał tremę, jak zawsze wtedy, gdy Ananiasz wysuwał go na pierwszy plan. Wynikała ona z uczucia niepewności, jakiego pomimo wszystko w obecności starucha nie potrafił się pozbyć. Odmówić, ale nie zrazić — powtórzył.

Wciąż jeszcze nie wiedział, jak się do tego zabrać. Na razie milczał, dając tamtemu inicjatywę. W jego naturze leżała obrona, nie atak. Dopiero broniąc się,

czuł się silny. Świadomość, że Ananiasz jest z nim, ukryty za kotarą, dodawała mu odwagi.

Tymczasem stało się to, co przewidywał Ananiasz: Faroras zaproponował stworzenie tajnego stronnictwa partyjskiego, które by miało zbierać informacje o ruchach wojsk rzymskich i przekazywać je Partom, w zamian za co otrzymywałoby broń. W wypadku wojny, sprzymierzywszy się z zelotami, działałoby na tyłach wojsk, wywołując zamieszanie i panikę, a wreszcie otwarte powstanie. Jest upoważniony do obietnicy, że jeśli wojna wybuchnie, Judea, Perea zwana Zajordanią i Galileja, a także szereg miast fenickich, jak Tyr, Sydon i Gaza złączone zostaną w jedno królestwo Izraela większe obszarem niż Salomonowe, którego królem byłby...

— Antypas — wyrwało się Kajfaszowi.

— Rzekłeś! — powiedział Faroras, myśląc równocześnie, że arcykapłan nie jest bynajmniej człowiekiem tak ograniczonym, jak mu się wydało. Przejrzał grę Partów w stosunku do Antypasa. Jak to dobrze jednak, że on, Faroras, nie zdążył rzec, jak zamierzał: „Królem byłby arcykapłan Świątyni Jerozolimskiej”.

Królestwo to pozostawałoby, rzecz jasna, w najściślejszym sojuszu z Partami. Sojuszu — podkreślił to słowo — nie zaś zależności. Kultura Izraela — wywodził — zwłaszcza zaś wiedza o Jedynym Bogu była od dawna przedmiotem podziwu perskich i partyjskich magów. Kult słońca, Mitry czy też Pana Mądrego w tej formie, w jakiej go wyznają prostacy jest, rzecz jasna, tylko spłyceciem nauki o Bogu Jedynym jako absolutnej i ostatecznej przyczynie sprawczej świata, do której świat w każdym ze swych objawów dąży. Nauka ta przejęta została z żydowskiego Zakonu. Z uwagi ma to sojusz z tak wielkim jeśli chodzi o kulturę państwem będzie sojuszem partnerów całkowicie równorzędnych. Kajfaszowi zresztą jako najwyższemu kapłanowi zależy niewątpliwie na tym, by zgodnie z myślą wielkich żydowskich proroków wiedza o Jahwe rozprzestrzeniała się na całą ziemię, któż zaś bardziej jest gotów do jej przyjęcia, jeśli nie zwrócone ku mistycznym spekulacjom myślowym ludy Wschodu, w przeciwieństwie do prymitywnych Rzymian, z ich kultem siły i Greków — tak skłonnych do sofistyki i megalomanii? Któż zaś — pytał patetycznie — jest najbardziej odpowiedni do rozszerzania na cały Wschód kultu Boga Jedynego, jeśli nie mocarstwo Partów?

— Filon z Aleksandrii... — powiedział z namysłem Kajfasz i urwał.

Co on chce przez to powiedzieć? — zastanowił się Faroras. Czy to, że nauka Filona obiegała cały Rzym, budząc wszędzie wielki oddźwięk? Czy że jest ona połączeniem mądrości żydowskiej z grecką? W obu wypadkach ta jego uwaga byłaby polemiką z moimi tezami o państwie Partów jako najdoskonalszym naczyniu wiary w Adonai. Co na to odpowiedzieć? Nie wydaliśmy takiego filozofa jak Filon, a nasi magowie są ciemnymi prostakami pełnymi zabobonów w stosunku do aleksandryjskich i pergameńskich uczonych — to niestety prawda.

Nie doceniałem go dotąd — pomyślał równocześnie o Kajfaszu Ananiasz. Chce sprowadzić rozmowę z konkretów na sprawy ogólne — filozofię i teologię, by potem wykręcić się nic nie znaczącymi zapewnieniami szacunku dla Partów, przy równoczesnym podziwieniu dla swobody rozprzestrzeniania się różnych idei w naszym wielkim cesarstwie. Jest sprytniejszy, niż może się wydawać. Nieźle!

Na chwilę zapadło milczenie. Faroras szukał teraz zręcznego sposobu, by związać Kajfasza obietnicami.

— Filon z Aleksandrii — powtórzył Kajfasz — uczył, że Absolut wyemanował z siebie ogniwo, jak rzekł obrazowo, na podobieństwo tęczy, która spina sobą świat materii z czystym Nieskończonym Rozumem.

W tym momencie uprzytomnił sobie milczenie Farorasa i przeraził się. Czyżbym powiedział coś niepotrzebnego? Z niepokojem spojrzął ponownie na kotarę, która nawet nie drgnęła; Ananiasz jakby skamieniał. Kajfasz wpatrzył się w swego rozmówcę czujnie nieruchomym, szklanym spojrzeniem.

Mózg Farorasa pracował jakby pobudzony winem falerijskim. Jego myśl była chłodna, jasna i przenikliwa. Zdumiewała go zręczność Kajfasza, jednocześnie zaś jego dyplomatyczna giętkość, z jaką powiedział wszystko, nic właściwie nie mówiąc. Nie miał wątpliwości, że pod dwuznacznym, przenośnym sformułowaniem odczytał jego właściwy sens. Mówiąc o słynnym Logosie, Kajfasz miał bez wątpienia na myśli to, o czym mówi się zupełnie serio w Ekbatanie: stworzenie trzeciej siły — państwa, które byłoby czymś w rodzaju języczka u wagi polityki wschodniej rzymskiego Augustusa oraz zachodniej króla królów, będąc jednocześnie ogniwem łączącym dwóch tych wrogich sobie monarchów. Ogniwem, rzecz jasna, powodującym nareszcie stabilizację stosunków na Wschodzie.

Z tego wynika — rozumował — że sam Kajfasz i grupa kapłańska, jeśli nawet przyjmują możliwość bliskiej wojny z Rzymem, nie wierzą, by Rzym został w niej całkowicie pokonany, wykazując tym duży rozsądek i wyczucie sytuacji. Nie wierzą też, by Partowie na trwałe opanowali wschodnie prowincje Rzymu. Gotowi są jednak opowiedzieć się w razie wojny po naszej stronie, czyli więc on, Faroras, ma wyrażoną pośrednio zgodę na swoje propozycje, zarazem też przedstawiono mu warunki arcykapłana i saduceuszy. Nie padło przy tym żadne konkretne zobowiązanie, a jedynie kontrpropozycja, sugestia skierowana ku uwadze Farorasa i Partów.

Pozostawałoby więc tylko, przed wysłaniem do Ekbatany tajnego memoriału w tej sprawie, rozpatrzyć, czy Izrael połączony, nie zaś rozbitý jak teraz, miałby realne szanse stać się owym języczkiem u wagi polityki wzajemnej obu cesarstw? Jaką cenę należałoby w tym wypadku zapłacić za jego sojusz z Partami? Nie ulegało wątpliwości, że pomysł — nazwał go w myślach sugestią Kajfasza — stawiał Izrael w wyjątkowo korzystnej sytuacji.

Arcykapłan czeka na odpowiedź. On, Faroras, musi ją dać, i to natychmiast. Inaczej, okazując wahanie, wzbudzi w rozmówcy nieufność i całą jego misja bę-

dzie stracona. Musi to być jednak odpowiedź przemyślana i taka, która świadczyłaby o rzetelności zamiarów Farorasa i jego mocodawców z Ekbatany wobec Izraela. Już gotów był powiedzieć, że zafascynował go pomysł arcykapłana i jest pewny, że w kancelariach dyplomatycznych króla królów, w Ekbatanie i w Suzie, zostanie on dobrze przyjęty. Zachowałby się jak nowicjusz, skompromitowałby się jako dyplomata.

Gdy po raz pierwszy wyjeżdżał z tajną misją jako kurier do rzymskiej prowincji Azji, powiedział mu w Ekbatanie kapłan, który przygotowywał nowicjuszy do twardej służby w dyplomacji króla królów:

— Farorasie, bywają sytuacje, kiedy najwyższym rodzajem przebiegłości jest uczciwość, i o tym będziesz musiał pamiętać.

Pamiętał o tym. Arcykapłan na pewno przejrzał już jego kompetencje. Są spore, nie tak duże jednak, by na propozycje ze strony sfery kapłańskiej mógł dawać wiążące odpowiedzi.

— Przedstawię — powiedział — przebieg naszej rozmowy w memoriale, jaki wyślę lub sam osobiście przewiozę. Jestem zupełnie pewny, że zostanie ona przyjęta z najwyższym zainteresowaniem i przez najwyższe czynniki państwowe. To wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć.

Wstał i złożył przed arcykapłanem niski, kunsztowny, prawdziwie perski, achemenidzki ukłon, myśląc równocześnie, że w memoriale tym trzeba będzie poddać charakterystyce objawioną mu nagle osobowość Kajfasza. Czy sam Izrael jako Logos pomiędzy Partami i Rzymem wystarczy? Pomimo wszystko może być państwem zbyt słabym. W takim razie — rozważał — w grę wchodziłaby raczej federacja państw z Armenią przypuśćmy, Fenicją, Babilonią i być może nawet z Egiptem. Czy jednak taka federacja nie stanie się siłą, która zamiast ułatwiać, krępować będzie posunięcia polityczne króla królów, wywierając nań presję i umiejętnie kluczując pomiędzy królestwem Partów i Rzymem?

Kajfasz wstał również. Był zdruzgotany i pełen rozpacz. Czyżby po paru zdawkowych jego zdaniach poseł Partów wbrew zaleceniu Ananiasza zraził się? Równocześnie odczuł ulgę, że nie będzie potrzebował dłużej wyteżać uwagi. Rozmowa, chociaż krótka, wyczerpała go. Wyczuwał w pożegnaniu Farorasa szacunek większy niż przy powitaniu. Może to jednak zamaskowane uczucie obrazy?

Przeprowadził gościa aż do ogrodu i wrócił. Ananiasz wyszedł już zza kotary i wybiegł zięciowi naprzeciw.

— Dobrze, mój drogi — szepnął — sam nie potrafiłbym lepiej.

Następnie wziął go pod rękę i wprowadził do sali, gdzie usiedli na poduszkach pod ścianami. Kajfasz chciał zadać staruchowi pytanie, lecz ten dał mu ręką znak milczenia. Kajfaszowi wydało się, że za plecami usłyszał cichy szmer.

— Szczur opuścił kryjówkę — powiedział po chwili Ananiasz.

Kajfasz spojrział na niego zdumiony. Odniósł dziś sukces, jednak pomimo to Ananiasz wciąż nie dowierza zięciowi. Postanowił więc zataić przed Kajfaszem,

że na jego, Ananiasza, zlecenie zbudowano w willi Kajfasza skrytkę w największej tajemnicy przed nim samym, goszczonym w tym czasie w pałacu teścia, i że jej istnienie znane jest komuś, kto projektował jej budowę, kogo zaś Ananiasz nazywał szczurem — a wszystko po to, by usłyszał rozmowę, która wypadła mniej więcej tak, jak sobie Ananiasz wyobrażał. Teraz Part — pomyślał o Farorasie — będzie się zastanawiał, co może oznaczać to powiedzenie o Filonie w odpowiedzi na jego propozycję. Dyplomaci to ludzie szczególnie czujni — i ta cecha weszła im już w krew. Nie mogą obejść się bez szukania podwójnego sensu słów, a co dopiero w powiedzeniach rzeczywiście dwuznacznych. Kajfasz wyczuł to błędnie. Ananiasz zaczyna nabierać doń szacunku. Wybrał go sobie po to, by posługiwać się nim jako narzędziem. Teraz narzędzie zaczyna — jak się okazuje — wykazywać samodzielność myślenia i spryt. Postanowił na przyszłość zwracać baczniejszą uwagę na swego pomocnika.

Szukając ukrytego sensu, Faroras zjawi się tu po raz trzeci. Przedtem jednak on, Ananiasz, postara się, by szczur znalazł jakąś swoją trutkę lub kota jako niepotrzebny już, a wręcz szkodliwy świadek. Zapewne przyjmie wypowiedź o Filonie jako zręczne wyśliznięcie się Kajfasza z sideł, jakie zastawili na niego Partowie — i tak z pewnością przedstawi sprawę Rzymianom, ci zaś nauczą się cenić grupę kapłańską jako swego wiernego sprzymierzeńca. Takiego jednak — trzeba dodać natychmiast — który ceniony byłby przez wroga, odprawionego z niczym wprawdzie, lecz bynajmniej nie zrażonego, gotowego więc zawsze do powrotu. To ułatwi sytuację w rozmowach z Piłatem.

„Szanowna podpora władzy rzymskiej w Judei” — jak gdyby słyszał już ten zgryźliwy, ironiczny głos; a jednak Piłat, wypowiadając te słowa, będzie czuł, że Ananiasz jest najpewniejszą jeszcze podporą jego rządów.

Raport o rozmowie z Farorasem powinien dotrzeć doń najpóźniej jutro w południe. Pojutrze rano ma Ananiasz umówione z prokuratorem spotkanie w atrium pałacu Heroda. Jest z siebie zadowolony. Sądzi, że obmyślił to wszystko zręcznie i precyzyjnie zgrał z sobą w czasie: stworzył mechanizm, którego kółka zazębiają się teraz o siebie dokładnie tak, jak to przewidywał. Podczas tego spotkania poruszy sprawy sporne i wie, że Piłat będzie szczególnie uprzejmy, sprawy ulg podatkowych i wciąż nie ustalonego ostatecznie pierwszeństwa arcykapłana przed królem Galilei i Zajordanii w reprezentowaniu narodu przed Poncjuszem Piłatem, a więc wobec Imperium Romanum. Ponadto już przy wyjściu rzuci mimochodem sprawę zatwierdzenia wyroku śmierci na pewnego Cieślę z Nazaretu, niejakiego Jezusa bar Nash, buntownika i przywódcę tłumu. Ta sprawa również powinna zostać załatwiona bez większych trudności. Rzec można, zjawiała się w samą porę.

* * *

W tym samym czasie w jednym z domów Jerozolimy. Mając przed sobą zwitek papirusu, na którym literki hebrajskiego pisma rzucone zostały drobnym maczkiem, człowiek siedzący w kręgu światła lampki oliwnej kreśli znaki przypominające kliny. To zamarłe pismo Elamu, które zna mała grupka wtajemniczonych kapłanów w świątyniach Pana Mądrego, skuteczniejsze niż szyfr. Ludzie posługujący się nim uważają, że każdy szyfr jako sztuczny język czy pismo łatwiej odcyfrować według pewnych logicznych reguł niż spontanicznie powstały język ludu, którego dawno już nie ma.

„Człowiek zwany Górą do człowieka zwanego Ogniem. Człowiek zwany Wodą donosi z fortu, że w pałacu ludzie zza wielkiego morza, (który to znak klinowy oznacza umownie Rzymian) posiadają wywiadowcę oznaczonego numerem czternaście. Człowiek zwany Wodą postara się w ciągu dwóch dni ustalić, kim może być ów XIV. Przypuszcza, że jest nim niejaki Aod, sługa kapłański, sam lewita i osobisty sekretarz arcykapłana, lub niejaki Chuse z ziemi nadjordańskiej, budowniczy i dekorator wnętrz od niedawna przyjęty na służbę do pałacu. Obu tych ludzi polecam śledzić.

Zwracam uwagę, że dziś wieczorem dostojny poseł króla królów Faroras odbywa tajną naradę z arcykapłanem. W związku z tym nakazuję otoczyć pałac. Oświadczam, że jakikolwiek byłby wynik rozmów z arcykapłanem, jest rzeczą niepożądaną, by dostał się do wiadomości (tu znak oznaczający Rzymian). W związku z tym uważam za dopuszczalne dokładne rewidowanie każdej opuszczającej pałac osoby pod pozorem napadu rabunkowego oraz w wypadku znalezienia przy którejś z nich sprawozdania, względnie w wypadku rozpoznania Aoda lub Chuse — uprowadzenie ich w umowne miejsce (tu znak oznaczający słowo słońce).

Przypuszczalny koniec rozmowy z arcykapłanem nastąpi przed upływem drugiej straży nocnej, a najprawdopodobniej za godzinę. W związku z tym nakazuje najwyższy pośpiech.”

* * *

W pół godziny później. Woskowana tabliczka pierwsza.

„Człowiek zwany Ogniem do człowieka zwanego Górą. Potwierdzam odbiór rozkazu, zarazem donosząc, że jego dostojność Faroras zakończył rozmowę z jego dostojnością arcykapłanem wcześniej, niż było to przewidziane. Mając do dyspozycji tylko godzinę, zarządziłem natychmiast, by otoczono pałac. Jednakże człowiek zwany Rybą, pozostawiony, by strzegł pałacu od strony zachodniej, donosi, że dostrzegł, w krótkiej chwili po jego opuszczeniu przez dostojnego posła, człowieka, który wychodził z pałacu. Nie mając jeszcze rozkazu zatrzymania go lub

śledzenia, człowiek zwany Rybą przepuścił go, nie rewidując ani nie sprawdzając tożsamości. Człowiek zwany Okiem mający za zadanie śledzenie człowieka zwanego Rybą, potwierdza ten fakt. Inni ludzie, śledzący pałac od innych stron, nikogo wchodzącego nie widzieli.”

Woskowana tabliczka druga:

„Donoszę, że od momentu otoczenia pałacu do chwili obecnej wyszło stamtąd trzech ludzi zrewidowanych przez nas zgodnie z rozkazem. Przy żadnym z nich nie znaleziono niczego, toteż odcięliśmy im sakiewki dla upozorowania rabunku. Uciekli z krzykiem i spodziewam się lada chwila straży miejskiej. W tej sytuacji uważam za konieczne zwiniecie alarmu”.

Dopisek:

„Człowiek, który wyszedł z pałacu zaobserwowany przez Rybę i Oko w dalszym ciągu nie został zidentyfikowany”.

Ktoś siedzący w kręgu lampy oliwnej rzuca z wściekłością tabliczki na ziemię. Po chwili jednak podnosi je. Klaszcze w ręce. Wchodzi człowiek o semickich rysach twarzy, do którego jednak ten, zwany Górą, mówi po partyjsku, wręczając mu obie tabliczki:

— Weźmiesz dwóch ludzi z eskorty i pójdziesz z tym do jego dostojności Farorasa. Spiesz się.

* * *

W pół godziny później. Znaki perskie:

„Dostojny Faroras, kapłan piątego stopnia świątyni Pana Mądrego, sługa króla królów, do Chejrisofosa, podkapłana świątyni Mitry Słonecznego w Ekbatanie, zwanego również Górą”.

Znaki pisma Elamu:

„Wiedz, że waga mojej rozmowy z arcykapłanem żydowskim była wielka. Tym większa jest więc twoja wina. Pisząc to, nie mogę ukryć niepokoju, że (znak oznaczający Rzymian) mogą poznać treść tej rozmowy. Zaprawdę, niepokój ten każe mi wątpić w celowość uczynienia z ciebie głównego strażnika (tu znak perski oznaczający oczy i uszy króla królów) na miasto Jerozolimę. Skoro jest, niestety, rzeczą pewną, że sprawozdanie z rozmowy dotarło do (tu znak umowny oznaczający Hegezynos), należy to przyjąć jako prawdziwe nieszczęście. Chcę jednak znać treść tego sprawozdania, by wiedzieć, jakie są wnioski naszych przeciwników z mojej rozmowy z arcykapłanem. Nakazuję dostarczyć mi je w ciągu dwóch dni. Bynajmniej nie ukrywam, że wykonanie tego polecenia wpłynie na bieg moich myśli o twojej przydatności na stanowisku szefa oczu i uszu w Jerozolimie”.

* * *

W tym samym czasie pałac Antypasa. Sypialnia Herodiady. Ładna jeszcze, choć nazbyt już otyła kobieta i równie tęgi mężczyzna. Niegdyś ta para brzuchatych grubasów uchodziła za jedną z najpiękniejszych par w Imperium.

— Jeśli wypuścisz tego Jezusa bar Nash, będziesz głupcem — mówi kobieta — ale jeśli Go zatrzymasz i skążesz na śmierć, będziesz jeszcze większym. Za wszelką cenę musimy zdobyć popularność.

Kilka dni temu Faroras dał jej wyraźnie do zrozumienia, że wobec braku szacunku dla Antypasa wśród Żydów, nie widzi możliwości traktowania go jako przywódcy narodu. Ton jego głosu wyrażał mniejsze niż dotąd poważanie. Czyżby skaptował w Judei kogoś jeszcze poza nami? Ciekawe kogo? Niezłomnie prawych? — rozważała — to możliwe, możliwe także, że saduceuszy. Może zamierza przeciągnąć na stronę Partów wszystkie stronnictwa w Judei, by je potem wygrywać przeciwko sobie? Polityka Farorasa wydała jej się przebiegła i dalekowzrocza, podczas gdy jej własna stała się podobna do śmiesznej płątaniny w labiryncie. Zaczynała żałować, że dała się wciągnąć do współpracy z Partami przeciwko Rzymowi, ale teraz już było za późno. Niepodobna wycofać się. Partowie natychmiast donieśli o tych kontaktach Rzymianom, a Rzym potrafi karać.

Właściwie Antypas jest teraz całkowicie uzależniony od Partów. Żydzi pogardzają nim za przyjaźń — jakże pozorną! — z Piłatem. Piłat nienawidzi go za donosy do cesarza i zapewne czeka tylko na okazję, by go zgubić. Władza Antypasa oparta na dalekim Rzymie, mglistych obietnicach Partów i na policji jest tylko pozorem, który w każdej chwili może się rozwiać. Popularność u Żydów więc, to najważniejsze, co by teraz należało zdobyć. Byliby wówczas prawdziwymi władcami, nie zaś parą wkupujących się w łaski swoich panów donosicieli.

Lekceważący ton tego Parta, który z przesadną uniżonością zawiadamiał ją, że król królów nie widzi już sposobu wypłacania Antypasowi tak znacznych sum, redukując je do połowy, doprowadził ją do bezsilnej furii.

Starła się jej nie okazać, choć ambicja odziedziczona po ojcu, Hasmonejczykowi Arystobulu, konkurencie do władzy samego Heroda Wielkiego, kazałaby wybuchnąć gniewem. Konkurencie nieszczęśliwym wprawdzie — myśli o ojcu — ale bywały momenty, że poważnym. To jej wystarczy i jest z niego dumna. Nie zadowolił się rolą podrzędnego książątka, jaką chcieli mu wyznaczyć Los, Rzymianie i Herod — a w tym ostatnim potrafił wzbudzić strach. Tę samą cechę — ambicję — wyczuła w Antypasie, gdy po raz pierwszy zobaczyła go w Rzymie, i to ją właśnie doń tak bardzo przyciągnęło. Teraz wczuwa się w rytm jego ruchów. Nie osiąga zadowolenia. Antypas również. Jego myśli są dalekie od niej i Herodiada nie ma złudzeń. Wie doskonale, że to tylko znana w całej Judei lubieżność każe mu czasem podniecać się jej ciałem. Tę lubieżność wymawiał mu wobec całego Izraela Jan Chrzczący, ośmieliwszy się nazwać ją, Herodiadę, złym duchem

Antypasa, w którym to określeniu wyczuła określenie inne, wypatrywane bacznie na ustach czy w myślach każdego, z kim się stykała, kto zaś mógł wiedzieć o niej: morderczyni.

Oglądała wprawdzie jego głowę na misie, jednak wciąż nie potrafi mu tamtych słów zapomnieć. Dziwne — rozmyśla — jak człowiek w głębi duszy przywiązuje wagę do swego obrazu, kształtującego się w myślach innych. Jest na swój sposób przywiązana do Antypasa i tego przywiązania nie odbierze jej nikt, nawet Jan Chrzczący — za życia czy po śmierci.

To on, Antypas, jest jej mężem, nie tamten, który kazał jej rozbierać się do naga — córce Hasmonejczyka Arystobula! — przed gromadą pasożytów i próżniaków, by pokazać im jej ciało. Widzi siebie w Rzymie, tańczącą jak niewolnica przed człowiekiem, o którym sądziła, że nie jest jej wart, że jest zbyt mało inteligentny, zbyt gnuśny.

Rozpamiętuje upokorzenia, jakie przeszła i postać mężczyzny, którego czuje teraz w sobie, lecz jakże inną od obecnej — dumną i władczą, i jego słowa, którymi ją zdobył, zgoła nie zamierzając nimi panować nad jej ciałem, lecz wyrazić po prostu swoje przekonania. Były to pierwsze słowa jego pieśni, jaka potem obiegała cały Rzym. Zamyka oczy. Antypas stoi przed cezarem w kręgu sof, gdzie leżą biesiadnicy. Ma ton głosu może zbyt patetyczny, aramejski akcent i zbyt — jak na Rzymianina, czy Greka — wschodnie rysy twarzy, jednak gdy tak stoi wyprostowany z głową uniesioną w górę, jest bezsprzecznie pięknym mężczyzną. Recytuje swoje poezje. Pamięta z nich słowa: „Walka, duma są naszym żywiołem”.

Teraz oboje są starzy i życie zmełło ich pragnienia na pył podobny do szarego popiołu zgliszcz. W tych zgliszczach była jeszcze ich miłość: opalony, kruszący się kadłubek. Pomyślała, że gdyby się jednak rozstali, nie byłoby już nikogo, kto by ją rozumiał. Byłaby sama.

— Co mówisz? — pyta Antypas.

— Nic. Zdawało ci się. Dajesz mi rozkosz.

Kłamstwo. Dał jej rozkosz po raz pierwszy wtedy, w Rzymie, następnej nocy po uczie u Augustusa, i potem jeszcze wielokrotnie. Teraz są parą małych intrygantów, a jej Antypas grubym, rozrzęzionym człowieczkiem, który nie może sypiać w nocy dręczony lękami, że Partowie go zdradzą przed Rzymem, to znów, że Jan Chrzczący chodzi znów po Judei pod postacią Jezusa bar Nash. Jakże ludzie potrafią się zmieniać!

Znów odżywają w jej pamięci zachwycone, natrętne spojrzenia, obleśne mlaśkania, kuplety. O tak, była piękna. Piękna i rozumna. Pan obdarzył ją, jak rzadko którą kobietę. Była grzeszna.

Owszem, jest prawdą, że stosunek morderczyni z kozłem, jak ośmielają się drwić pamfleści, daje fatalny przykład narodowi. Jednak nie żałuje śmierci Jana Chrzczącego, podobnie jak nie budził w niej żalu tamten. Jest nawet teraz tak pełna dlań pogardy, że nie chce go nazywać imieniem. W myślach zawsze nazywa

go „ów”, „tamten” — głupi tyran, który budził w niej bunt — tak jak nazywa się przedmiot zawadzający, nie cierpiany, pokraczny, wreszcie usunięty z drogi. Żyje wprawdzie gdzieś w odosobnieniu ktoś tego samego wzrostu i nawet do „tamtego” podobny, kto używa jego nazwiska i szat, wie jednak, że nie zmyliło to pamflecistów. Nazywają ją Jezabel — imieniem czarownicy i zbrodniarki, której ciało roztrzaskane o ziemię pożarły niegdyś psy. Dobrze więc: ona, Herodiada, jest zarazem Jezabel, morderczynią, kobietą rozpustną i występłą, ale nie boi się ani Jana, ani Losu. Nie boi się nikogo i nie żałuje niczego. Jest twardsza od Antypasa, bardziej bezwzględna, zaciekła. Czy to prawda, że nie Pan człowieka, ale człowiek sam się potępia, czyniąc wybór? Jeśli tak — to ona, Herodiada, ma świadomość, ma chęć potępienia i przejmując ją to posępną radością. Jest coś w magii zła, co ją fascynuje: zemsta, A jednak jest we mnie coś z Jezabel — myśli. Widzi, jak niewolnik wniósł na tacy głowę Jana, i siebie widzi patrzącą w nieruchome, jakby szklane oczy tej głowy. Dosięgnęłam cię — mówiła im w myślach. Takich samych słów użyła — tyle że w czasie nie przeszłym, lecz przyszłym, mówiąc je tej samej głowie, tyle że żywej jeszcze, i mrugającym od światła oczom w podziemiu: dosięgnę cię. Dosięgnęła. Teraz bawił ją widok Antypasa, jak zaczął naraz drzeć, a goście odwrócili głowy. Nie odwróciła oczu również i wtedy, gdy konał „tamten”. Jan obraził ją. Nienawidziła go, ale szanowała. Tamtego nigdy nie potrafiła szanować. Nawet jego śmierć budziła w niej odrazę.

Pamięta, jak stoczył się z sofy i czołgał się z płaczem nagi po sali, wołając na pomoc ją, Herodiadę. Czyżby nawet wtedy nie domyślał się niczego? Jacy ludzie są ślepi! A może chciał do ostatniej chwili jej wierzyć i odejść z tą wiarą, żalony głupiec! A jednak jest we mnie coś z Jezabel — myśli ponownie — i ta myśl sprawia jej osobliwą, przewrotną przyjemność. W taki sposób, w jaki patrzyła na śmierć „tamtego”, przyglądała się kiedyś muchom ugrzęzłym w miodzie, jak próbują wyrwać się ze śliskich objęć pętającej ich ruchy śmierci — beznamiętnie, z ciekawością i wstrętem.

Przejmując ją niechęć na myśl, że ten człowiek mógł ją kiedyś posiadać, i w tym momencie ciało Antypasa wydaje jej się równie wstrętne, jak niegdyś ciało tamtego. On zresztą także ją rozczarował. Stał się kozłem, podczas gdy ona od początku znała swój cel. Góruje nad mężczyzną, którego sobie wybrała. Świadomość tego daje jej poczucie wyższości, zarazem jednak upokarza.

— Źle uczyniliśmy, usuwając tego człowieka — słyszy naraz głos Antypasa — bardzo wielu Żydów go czciło.

A więc to o tym myśli! Wciąż o tym Janie! Owszem, po stokroć ma rację, jednak Herodiada nienawidziła tego człowieka, a jej nienawiść i miłość, wydaje się, nie mają granic.

— Nie zabiłaś go — mówi Antypas — przez miłość do mnie. Zabiłaś go przez pychę.

Przejrzał ją. Może nawet nigdy go nie kochała? Może hasmonejska pycha Herodiady-Jezabel potrafi tylko nienawidzić? A jeśli kochać — to swoją wizję władzy? Może naprawdę widziała w nim tylko narzędzie do osiągnięcia tego, czego nie osiągnął Hasmonejczyk Arystobul?

Jest więc kobietą pyszną. Może nawet pyszną bezgranicznie — jak szatan, który przeciwstawił się Bogu. Gotowa jest także przeciwstawić się Bogu i złożyć ofiarę Jowiszowi czy Minerwie, wyprzeć się Jehowy i żydostwa, jeśliby to miało przynieść jej korzyści. Istnieje tylko ona, nie zaś oderwane pojęcie narodu czy prawdy. Należałoby jednak — rozmyśla — uczynić nasz tryb życia bardziej żydowskim. Na początek usunąć z ogrodu ten posąg Sylena, który tyle wywołuje złośliwych komentarzy. Antypas, ten kozioł, jest tchórzem. I ona go przejrzała. Jan był człowiekiem wielkim, być może nawet jednym z proroków Izraela, ale to nieprawda, że w Antypasie odezwały się skrupuły sumienia, nie żał mu też, rzecz jasna, Jana, prawdopodobnie też nie myśli o Jehowie, któremu starał się służyć ten człowiek. Antypas nigdy nie był człowiekiem religijnym i nigdy — o ile go zna — nie zastanawiał się nad pojęciem sprawiedliwości. Jest zabobonny i wierzy, że śmierć Jana przyniesie mu nieszczęście — jest w głębi duszy poganinem podobnie jak Egipcjanie, którzy boją się zabić żuka czy kota — a może jest nawet jeszcze bardziej od nich pogański. Od tych przynajmniej, którzy pod swoich bogów podkładają — czyniąc ich przez to symbolami — atrybuty Boga Jedynego, jak Sprawiedliwość, Miłosierdzie, Rozum. Antypas wierzy w Hejmarmene i jej atrybut Nemezis — nieodwołalny, ślepy odwet bezosobowego Losu, który niszczy człowieka i łamie, nie zaś karze, ponieważ występuje niezależnie od winy. Wierzy, że Jan był czarownikiem i jako taki ściągać potrafił na swoich wrogów Nemezis. Teraz Jan będzie się mścił. Co noc do późnych godzin rannych w podziemiach pałacu czarni i biali magowie kreślą spirale na posadzkach i mamrocą zaklęcia przeciwko Hejmarmene i przeciw magicznej sile głowy Jana. Wie, że mętna, skłonna do lęków umysłowość Antypasa wytworzyła sobie skomplikowany światopogląd, w którym zewnętrzne elementy żydowskie łączą się w dziwny sposób z magią syryjską i kultem żywej liczby, z chaldejskim kultem gwiazd i ślepego Losu. Wina człowieka czy zasługa, dobro czy zło są nieistotne, ponieważ siła rządząca światem rozdziela ciosy i łaski bez żadnego planu, bez sensu. Świat jest tylko pozornym ładem, jest anarchią: jednym, wielkim, przerażającym przypadkiem, w którym wszystko jest możliwe i wszystko prowadzi donikąd.

Zobaczyła siebie schodzącą po stopniach schodów do podziemi. Wyrastały przed nią — jak wielkie plamy krwi — czerwone płyty muru, wydobywane z mroku przez latarnię, i znów zapadały w ciemność. Przodem szedł strażnik pokraczny, kulawy, który sprawiał wrażenie równie nierzeczywiste jak jego cień skaczący po murze w takt kroków i kołysania się latarni. Mijali drzwi okute i zaryglowane mocnymi, żelaznymi sztabami. Słyszała krzyk, który wraz z hukiem ich kroków objął się po niskim korytarzu. Więźniowie zamknięci za nimi wzywali miłosier-

dzia. W ich krzyku rozróżniała słowa psalmów Dawida i narzekań Hioba, a także klątwy na króla Antypasa i Rzymian. Minęli drzwi, skąd dobiegał śmiech i jakieś monotonne, żalosne skomlenie, potem szereg drzwi głuchych. Wyobraziła sobie, że idzie do szeolu, a stwór przed nią nie jest jej sługą, lecz dręczycielem jej ciała i sumienia. Odrygluje któreś z tych drzwi i wepchnie ją do środka, a tam już czekać będzie „tamten” — i oboje przeżywać zaczną, zamknięci z sobą na zawsze, misterium jego śmierci. Jezabel — przypomniała sobie — rozszarpały psy.

Starła się wyobrazić sobie swoją śmierć. Nie udawało jej się. Zamiast tego przypomniała sobie mit rzymogrecki o Akteonie, którego bogini Diana poszczuła psami. Więc to nie Jezabel — objawiło jej się naraz — rozszarpały psy, ale „tamtego”. Nie jestem Jezabel. Jestem Diana.

Strażnik stanął i zwrócił ku niej kwadratową twarz, która, oświetlona od dołu latarnią, robiła wrażenie beznosej. Zaczął bełkotać. Miał wyrwany język, ale słuch dobry. Zrozumiała, że ostatnią myśl bezwiednie wypowiedziała na głos, i teraz ten złowrogi, pokracczny człowiek nie rozumiawszy jej, prosi o powtórzenie, sądząc, że wydała mu jakiś rozkaz. Nastrój w podziemiu zaczynał stawać się przykry.

Nie zniosę, jeśli będzie to trwać dłużej — przemknęło jej przez myśl. Kopnęła stwora.

— Szybciej! Prowadź mnie szybciej, ty psie!

Tu mury krzyczą — pomyślała, słysząc jak echo odrzuca jej głos niczym piłkę od ścian, podłogi i sufitu.

Biegli. Drzwi od celi Jana Chrzcącego znajdowały się prawie na końcu korytarza. Była zdyszana, w krtani czuła pulsowanie brwi i, gdy stanęli wreszcie przed drzwiami, nie potrafiła odegnąć od siebie niepokoju.

Strażnik w pośpiechu odryglowywał drzwi, potem oświetlił celę. Spotkała wpatrzona w siebie zmrużone od światła oczy Jana. Zobaczyła człowieka z kruczą brodą, chudego ascetę w koźlej skórze. Patrzył jej prosto w oczy bez cienia obawy. To, co mówiono o sile jego wzroku, było prawdą. Doznała szczególnego uczucia zmieszania.

— Tak zawsze wymowny, co mi teraz powiesz, Janie? — spytała zaczepnie, ironicznie, żeby zagłuszyć w sobie to zmieszanie.

Patrzył na nią. Nawet się nie podniósł, nie odpowiedział ani słowem.

Spróbowała spojrzeć mu w oczy. Po chwili znów musiała spuścić wzrok. Wydało się jej, że ten człowiek swoim przenikliwym spojrzeniem przeszywa ją i odkrywa taką, jaką jest naprawdę. Jej żądza władzy wydaje mu się czymś nieistotnym, małosłownym, wobec tajemnicy wielkości władzy nad samym sobą, nad człowiekiem w ogóle, jaką posiadał on sam, Jan.

— Może powtórzysz to, co powiedziałeś? Wiesz, kim jestem?

Wbrew woli głos jej przybrał ton kłótlivy, może nawet wulgarny.

— Cóż to, boisz się?

Milczał. Zrozumiała, że nie jest w stanie go dosięgnąć ani przestraszyć, ani skaptować, ani wprawić z zakłopotanie. Górował nad nią, córką Hasmonejczyka Arystobula, nad nią — prawą ręką, mózgiem Antypasa, jego złym duchem, jak powiedział ten pastuch. Zapragnęła go poniżyć.

— Wstań, rozkazała — królowa do ciebie mówi, żebraku! Wstał, ale nie spuszczał z niej spojrzenia. Wiedziała, że go nie poniżyła. Wiedziała również, że każda następna obelga poniży w jej własnych i w jego oczach ją samą. Była bezradna. Była kapryśna i władcza, ale on nie podlegał jej władzy. To ona musiała mu się poddać. Jeszcze raz spróbowała na niego spojrzeć. Widywała piękniejszych mężczyzn. Ten nie był już taki młody, ale pod koźłą skórą rysowało się ciało wysmukłe, silne, o mięśniach z żelaza.

— Janie — powiedziała z niezwykłą u siebie pokorą, nie zwracając uwagi na strażnika — gdybyś chciał, twoja siła mogłaby zdobyć Izrael. Mnie również.

Zdała sobie sprawę, że w tej chwili zdradziła Antypasa — i to podwójnie. Odrzuciła go jak zużyte narzędzie. Miał zdobyć dla niej Izrael, ale ją zawiódł, chociaż starała się za niego myśleć, pertraktować, nawiązywać intrygi, a wreszcie niszczyć ich wspólnych wrogów. Teraz przychodzi jej na myśl, że niewiele brakowało, a może głowa na misie nie byłaby głową Jana.

Przeciągające się milczenie dowiodło po chwili, jak bardzo się pomyliła.

— Pogardzasz mną? — spytała, głos jej drżał — czy uważasz, że to, co o mnie powiedziałeś, już wystarczy i że teraz nie masz mi już nic do powiedzenia?

Milczał. Przez cały czas milczał. Nie ze strachu. Milczał po to, aby ją upokorzyć. Kłuił milczeniem jej hasmonejską pychę, ale ból, jaki jej teraz zadał, przekraczał wprost jej zdolności pojmwania. Czyżby śniła? Nie, ten człowiek rzeczywiście stał przed nią. Nie miała wątpliwości, że jest kimś wybitnym, nieprzeciętnym, ale tym bardziej postanowiła go zniszczyć. Zniosłaby zniewagę od miernoty lub szaleńca; nie dosięgnęłaby jej po prostu, ale nie zniesie jej od kogoś takiego jak on. Onieśmielał ją, zwłaszcza teraz po swojej milczącej, jakże zuchwałej odmowie. Pomimo to jednak, już odwracając się od drzwi, powiedziała:

— Dosięgnę cię, Janie Chrzczący!

Jeśli tak samo zachowa się Jezus bar Nash, gdy Go schwytawszy tu przyprawdzą, z czym należało się liczyć, a coś jej mówiło, że tak właśnie się zachowa, nie odpowiadając na żadne pytanie — nie należy powtarzać błędu. W żadnym razie nie należy dopuścić, by krew kogokolwiek, kto coś znaczy u Żydów, spadła znów na dom Antypasa, i tak przecież ponad miarę obciążony krwią. Trzeba ogłosić Go — snuje myśli — za szaleńca. Podsunie ten pomysł Antypasowi jeszcze przed rozpoczęciem przesłuchania i tym samym zniszczy może lęk i wstyd, jaki jest w niej od czasu milczenia Jana i jaki odżywa teraz w tę ciągnącą się jakby w nieskończoność jałową noc.

* * *

Następnego dnia po południu w podziemiach twierdzy Antonia, zwanej też pretorium. Sala specjalnych przesłuchań. Z sufitu zwisają haki i wielokrażki. Na środku sali kozioł zбитy z desek. W głębi dwaj ludzie trzymający bicze rzymskie zwane flagella. Na ceglanej posadzce leży na boku z podkurczonymi nogami przesłuchiwany. Na zydlach obok siedzą Hegezynos, Trasyllos oraz XLI — przypominają zawieszono nad ofiarą drapieżne, czujne ptaki. Trasyllos spryskuje twarz leżącego wodą czerpaną z kubka. Leżący na posadzce drży. Jest niski, wątlý. Jest jeszcze młodym chłopcem.

— Wprowadzić żołnierza — mówi łagodnym, spokojnym głosem Hegezynos.

XLI podchodzi do drzwi, otwiera je i rzuca rozkaz. Trzej ludzie wprowadzają do sali tortur nagiego człowieka ze śladami oparzelin i uderzeń na brzuchu oraz piersiach. Człowiek ten słania się, jednak jest jeszcze przytomny.

— Jesteś żołnierzem legionu syryjskiego? — pyta uprzejmie, łagodnym głosem Hegezynos.

Wprowadzony skinieniem potwierdza.

— Syryjczykiem — upewnia się Hegezynos, i nie czekając na odpowiedź:

— Dziś rano pełniłeś wartę na schodach garnizonu, zdaje się?

Żołnierz znów potwierdza skinieniem głowy.

— Szkoda — mówi Hegezynos — że jesteś tak małowówny. A może po prostu osłabiony? Pozwalamy ci usiąść na podłodze. Pogawędka może potrwać długo. Jak dawno służysz w legionach?

— Siedem lat.

— Tak? W takim razie powinieneś względnie biegle rozumieć po łacinie i podążać za tokiem moich pytań, jakie zechcę ci zadać. Siedem lat, mówisz? To wyczerpuje psychicznie. Zapewne widziałeś w ciągu tego czasu wielu umierających?

Żołnierz, nie poruszając się, patrzy tępo przed siebie znużonym wzrokiem zagonionego zwierzęcia.

— Więc sam rozumiesz — ciągnie Hegezynos — że życie ludzkie nie ma wielkiej wartości. Człowiek może — jak uczą hedonicy z Cyreny — zaoszczędzić sobie trochę cierpień, o ile potrafi dostosować się do sytuacji. Wiesz, kim był niejaki Hegezjasz?

Bawi go ta rozmowa i chciałby ją przedłużyć. Upokorzenie i strach żołnierza sprawiają mu przyjemność. Rozkoszuje się władzą nad nim i świadomością, że w każdej chwili może uczynić z nim, co tylko zechce. W tym momencie wydaje mu się, że jest czymś w rodzaju bóstwa czy może nawet samym kapryśnym Trafem kierującym losami ludzi.

— Jak zapewne zdążyłeś się domyślić — ciągnie dalej ze złośliwą uprzejmością — widziano cię, gdy wchodząc po schodach w pewnej chwili poprawiłeś sobie bucik. Upodobniłeś się — jak sędzę — przez to do posągu Nike, z tą różnicą,

że ona była zwycięska, ty przegrałeś. Pomijam kwestię, że tego rodzaju gestów należałoby na służbie unikać, jako niezgodnych z regulaminem, ty jednak, mój przyjacielu, dobrałeś sobie niewygodne części garderoby. Pomijam już ten bucik, lecz i podpaska hełmu cię uwiera, nie mówiąc o tym, że od pewnego czasu masz wciąż kłopoty z jakimiś psami lub z żebrakiem, który stara się dostać — doprawdy nie wiem czemu — do pretorium i chwyta za ręce właśnie siebie. Fakty te niewinne same w sobie, musiały jednak w końcu zwrócić na ciebie uwagę.

— W ciągu ostatnich trzech miesięcy poprawił: w czasie warty podpaskę hełmu pięciokrotnie, but dwa razy, odpędził psa, który nań skoczył, również dwa razy — wtrącił XLI usłudze i rzeczowo.

— O, nie myśl — drwi jadownicie Hegezynos — że kazaliśmy cię śledzić płatnym sykofantom. Zwróciłeś na siebie uwagę swoich własnych kolegów pełniących wraz z tobą wartę, z którymi, jak twierdzisz, siedem lat służysz w legionie syryjskim.

Odczuwa satysfakcję, że może to powiedzieć. Przygląda się żołnierzowi. Widzi prostacką, chytrą, obrzmiałą twarz, której nazajutrz nie będzie zapewne pamiętał, ale twarz ta jest wciąż nieruchoma. Żołnierz sprawia wrażenie, jak gdyby wszystko mu zobojętniało, nawet śmierć, którą uosabia teraz ten człowiek zły i przebiegły jak demon, który tak znakomicie opanował sztukę upokarzania i dręczenia.

— Przyznał się — mówi XLI — że utrzymywał kontakt ze ślepcem spod portyku. Człowieka tego już ujeliśmy i dał nam bardzo cenne wskazówki. Trop prowadzi wprost do Partów. Do kogoś, kogo nazywają Ogniem, i dziś w nocy — najpóźniej jutro rano — rozbijemy całą sieć szpiegów partyjskich w Judei, a kto wie nawet, czy nie w całej prowincji Syrii.

— Czy poznajesz tego człowieka? — zadaje pytanie Trasyllós.

Żołnierz pochyla się i patrzy na leżącego.

— Poznają.

Leżący w tym momencie poruszył się, jak ktoś niespodziewanie dotknięty zimną, moką dłonią. XLI nie spuszczał z niego wzroku.

— Masz głośno i wyraźnie powiedzieć, kim on jest?

— To tłumacz szlachetnego Hegezynosa.

— Dziś rano, obserwując cię bacznie — podjął przesłuchanie swym uprzejmym tonem Hegezynos, patrząc jednak już nie na żołnierza, lecz na leżącego szczupłego Aramejczyka — numerowani wykryli, że po ukończeniu warty wyjąłeś z zapinek kaligi zwitek, następnie z zachowaniem wszelkich środków ostrożności wręczyłeś go... Komu?

— Temu człowiekowi właśnie — mówi zmęczonym głosem żołnierz.

— Cieszy mnie — mówi Hegezynos — że potwierdzasz swoje uprzednio już złożone zeznania. To oznacza, że chęć służenia prawdzie jest u ciebie niemal tak szczerą, jak u gramatyków aleksandryjskich.

Przyglądał się, jak leżący na podłodze drży. Tyle razy zapisywał mu przesłuchania! Miał ochotę omal z przyzwyczajenia dać mu znak głową, by zapisał słowa żołnierza. Niełatwo będzie znaleźć nowego sekretarza tak biegłego w swoim zawodzie. Nie mógł stłumić w sobie podziwu nad mistrzowską techniką wywiadowczą oczu i uszu króla królów. Ten wątlwy zdechłak, ten Aramejczyk, ogarniał sam splot nerwów pokoju rzymskiego w Judei, a poprzez niego panowali nad owym splotem Partowie. Okazuje się, że nic nie mogło opuścić pretorium bez ich niewidocznej kontroli. Przecież ten człowiek — pomyślał ze zgrozą — mając tylko tego żołnierza do pomocy, paraliżował wszystko niczym owad, który kłuje drugiego owada nie w odwłok czy w czułki, lecz w sam rdzeń, i to nie rzucając się przy tym nikomu w oczy — niepozorny i niezauważony.

XLI kłamał. Zebraka ślepcą tak zręczne posługującego się psem, numerowani nie potrafili ująć. Spóźnili się, a właściwie uratował go ten przesłuchiwany żołnierz. Hegezynos przypuszczał, że ślepiec natychmiast pojął, co się stało, zaraz gdy nie dostrzegł wśród wartowników wychodzących na zmianę trzeciej straży dziennej tego, kogo oczekiwał. Ze wściekłością myśli, że gdyby wcześniej zastrzono przesłuchania, jego policja ujęłaby ślepcę — najprawdopodobniej pozorowanego. Zmęczony brutalnością przesłuchań i torturami żołnierz wydał wreszcie współnika, lecz dopiero wtedy, gdy zmiana trzeciej straży, w której miał się znajdować, spacerowała już od dobrych kilku chwil w górę i w dół schodów fortu Antonia. Teraz mowy nie było — rzecz jasna o tym, by rozbić sieć partyjską. Nie miał wiadomości o poruszeniach Farorasa. Pomyślał, że należałoby wycofać XXX w bezpieczne miejsce. Czy jednak nie jest za późno?

Ogarnia go wściekłość na myśl, że może być o krok od sukcesu, który musiałby się odbić echem nawet w Rzymie. Przez chwilę łudził się, że numerowani odnajdą chociaż psa i za nim dotrą do jego pana, który wydawał się ważnym łącznikiem pomiędzy tym zdrajcą z pretorium a Partami. W swej głupiej, śmiesznej rozpaczycy gotów był wydać rozkaz śledzenia wszystkich psów w Jerozolimie. Śmiać mu się chce na myśl o tym, co znaleźli numerowani pod portykami Salomona.

Stał wtedy w tej samej sali — godzinę temu — gdy XLI, ten solidny, stateczny człowiek, wszedł trzymając w dłoni psie truchło.

— Otruł go, spryciarz — westchnął XLI, podczas gdy on. Hegezynos, przypomniał sobie naraz tabliczkę na domach w Rzymie z głupim napisem: „Strzeż się psa”.

— Cave canem! — powiedział i wybuchnął śmiechem. Cała wściekłość i gorczyz wyładowała się.

— Cave canem! — wołał i śmiał się, a człowiek zwany czterdziestym pierwszym patrzył nań, mrugając oczami podejrzliwie, bezradny i ogłupiały — ciężki, poważny kloc. Przy łydce dyndało mu psie ścierwo, którym Partowie wyprowadzili ich w pole. Przesłuchanie Aramejczyka i żołnierza stworzyć może ostatnią

szansę, cień szansy. Hegezynos wątpi w nią, niemniej jednak postanowił doprowadzić przesłuchanie do końca.

— Zwitek natomiast, który znaleźliśmy przy tobie — pyta żołnierza dalej, nadając głosowi ton jeszcze bardziej łagodny — od kogo otrzymałeś?

— Także od niego.

— Zeznałeś w śledztwie, że miałeś go przekazać żebrakowi pod portykiem. Potwierdzasz to?

— Potwierdzam.

— Znasz treść pisma?

Ruch głowy wyrażający przeczenie.

— Ani pisma, jakie doręczyłeś rano temu człowiekowi?

— Również nie.

— Od jak dawna pośredniczyłeś w przekazywaniu zwitków pomiędzy sekretarzem szlachetnego Hegezynosa a żebrakiem spod portyku? — wtrąca pytanie Trasyllos.

— Od dwóch lat.

— To całkiem nieźle — mówi Trasyllos, myśląc równocześnie, jak bardzo dawał się oszukiwać w ciągu tych dwóch lat.

— Czy chciałbyś coś jeszcze powiedzieć, mój kochany? — pyta Hegezynos tonem prawie przymilnym.

Żołnierz nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że zginie śmiercią, której groza przechodziła omal jego wyobrażenie, którą zaś zada mu ten uśmiechnięty, niebezpieczny człowiek. To on kazał go bić tak okropnie, a teraz pastwi się nad swoją ofiarą z zimnym wyrachowaniem, jak kocur. Poczł się śmiertelnie zmęczony. Uśmiechnięta śmierć — pomyślał bez sensu. Naraz spostrzegł, że jego przesładowca ma usta silnie uszminkowane, i to odkrycie wydało mu się komiczne. Równocześnie uprzytomnił sobie, iż za swoją tajemną pracę otrzymywał srebrnego denara dziennie składanego według umowy w banku Agrykoli i że musi być już bogatym człowiekiem.

— Dziękuję — powiedział Hegezynos.

XLI dał znak i trzech ludzie wyprowadzili żołnierza.

— Czy w dalszym ciągu chcesz upierać się, mój poczciwy Jehudo, że z tym zwitkiem nie masz nic wspólnego. Przecież można porównać twoje pismo z tym na zwitku, jeśliby nawet nie brać w rachubę zeznań tego głupca. A może sądzisz, że chcemy wprowadzić cię w błąd? W takim razie gotów jestem odczytać ci treść tego pisma, człowieku zwany Wodą.

Miękkim ruchem zaplótł palce giętkie, jak gdyby pozbawione kości. Wyciągnął dłoń. Wyglądało, że chce pogłaskać po głowie Aramejczyka. Równocześnie dał znak Trasyllosowi, który zaczął czytać treść zwitka w tłumaczeniu greckim, podsuwając pod oczy leżącego oryginał zapisany drobniutkimi, hebrajskimi znakami.

Aramejczyk donosił w nim człowiekowi zwanemu Ogniem, że zgodnie z raportem, jaki numer XIV złożył w pretorium z rozmowy Farorasa z Kajfaszem, ten ostatni w sposób bardzo zręczny dał odpowiedź odmowną na sugestie partyjskiego dyplomaty stworzenia królestwa Izraela czy buntu przeciw Partom. Numer XIV — pisał Aramejczyk — ocenia to jako gest lojalności sfery kapłańskiej wobec Rzymian. Tak też przyjęli to Hegezynos oraz przyjaciel cesarski. On sam, jednak, człowiek zwany Wodą, nie sądzi, by ocena ta była trafna, a sprawa przeciągnięcia Kajfasza na stronę Partów stracona, a to skutkiem idei Mesjasza, którą Kajfasz musi wyznawać w głębi duszy. Mesjasz wprawdzie pochodzić ma z rodu Dawida, może jednak uda się zasiać w duszy arcykapłana nadzieję, iż jest on powołany do przygotowania w Judei królestwa mesjaszowego. Człowiek zwany Wodą sądzi, że można skutecznie przeciwstawić rzymskości czy ściślej — żydogrekorzymskości ideę nacjonalistycznego Mesjasza. W związku z tym poleca uwadze niejakiego Jezusa bar Nash, którego zgodnie z raportami numerowanych niektórzy uważają za Mesjasza i w przyszłości króla Izraela. Sądzi następnie, że gdyby wysunąć Go w rozmowie z Kajfaszem jako przeciwwagę, do pewnego stopnia, tego ostatniego, mogłoby to przeciągnąć arcykapłana na stronę Partów lub przynajmniej skłonić go do szybszego podjęcia decyzji. Człowiek zwany Wodą jest zdania, że teraz dopiero nadeszła odpowiednia po temu chwila. Nie uważa za wykluczone, że dotychczasowe powściągliwe postępowanie Jezusa bar Nash wobec Rzymian i żydowskich stronnictw politycznych wynika z oczekiwania na ofertę ze strony ludzi króla królów. Niewykluczone też, że obaj arcykapłani mogli dojść do podobnych wniosków. Toteż — kończył — warto się pośpieszyć w ewentualnych rokowaniach z Jezusem bar Nash i otoczyć Go dyskretną opieką, ponieważ stronnictwo kapłańskie może próbować Go usunąć, względnie skompromitować w oczach Żydów przez wciągnięcie do współpracy z Rzymianami. Rzymianie — i z tym Hegezynos się zgadzał, myśląc o Piłacie i Trasyllosie — nie orientują się jeszcze zupełnie w roli, jaką mógłby odegrać w Judei Jezus bar Nash.

Trasyllos skończył. Mały Aramejczyk odmawiał szeptem modlitwę. Służył Partom nie dla pieniędzy, jak jego współnik, służył dla wolności, dla Izraela, dla idei nowego Machabeusza, któremu — gdy przyjdzie — on, niepozorny jak cień i słaby swoją znajomością stosunków rzymskich w Judei będzie pomagał burzyć rozpadające się Imperium. Teraz bał się, ale nie żałował niczego. Te dwa lata pełne walki nadawały sens życiu, były piękne. Wymawiał słowa, jakie każdy Żyd wypowiada, oczekując śmierci. Hegezynos odróżniał je: „Szema Israel, Adonai elohenu”. Pewnie chce się oddać w opiekę swemu Bogu, za późno — stwierdził złośliwie. Cała sprawa ostatecznie go zmęczyła, a tymczasem czeka nań jeszcze wiele pracy. Musi napisać sprawozdanie dla Piłata. Zapewne Piłat zlekceważy jego treść. Zrobi też odpis greckiego tłumaczenia raportu Aramejczyka. Zrodziła się w nim myśl, że ten Aramejczyk, ta żmija, ma w swoich uwagach dużo racji. On, Hegezynos, pomylił się, sądząc kiedyś, że to Partowie wysunęli Jezusa bar Nash.

Teraz jednak nie ma to znaczenia. Może nawet sam Jezus nie zdaje sobie sprawy ze swych możliwości w Judei? Może należy Mu to ułatwić? Jeśli ma stać się płomieniem, który zapali Judeę, Hegezynos zaś płomień ów ma zgasić — płomień, nie zaś płomyczek, jak to przewidywał — dostarczy Partom list Aramejczyka z jego rozsądnymi sugestiami. Nie oryginał, oczywiście, lecz kopię. I wówczas, mając w ręku całokształt sprawy oraz będąc lepiej poinformowany o postępach w szerzeniu się pożaru niż ktokolwiek inny, będzie mógł nad nim panować, by w odpowiedniej, najkorzystniejszej chwili go zdławić.

Żeby jednak dostarczyć odpis raportu oczom i uszom króla królów — rozważał — jest tylko jeden sposób: „Faroras spotkał się dziś rano z Herodiadą”. Prawdopodobnie Manahen wie, jak znaleźć drogę do posła partyjskiego. Hegezynos postara się przesłać mu odpis bez jakiegokolwiek wyjaśnienia czy komentarza. Mainahen natychmiast zorientuje się, jakie korzyści płyną dla Jezusa bar Nash z dostarczenia tego listu Partom, już choćby tylko ze względu na Jego bezpieczeństwo w Jerozolimie.

* * *

Człowiek zwany czterdziestym pierwszym od paru dni uważnie obserwował ulicę. Falował paschalny tłum w pasiastych, kolorowych chałatach. Wielki plac przed Świątynią był szczelnie zatłoczony. Ludzie siedzieli w grupkach i pojedynczo, spali, rozmawiali, jedli, a miasto wciąż wchłaniało w siebie nowych pielgrzymów. Zauważył, że od jednej grupki do drugiej wędrują jacyś ludzie, którzy przysiadają się, wtrącają się do rozmów, dowcipkują. Są to przeważnie przekupnie obwarzanków lub świecidełek, roznosi ciele wody, wesołkowie i tacy, których określa się jako ludzi towarzyskich. W ich zachowaniu nie byłoby nic dziwnego. Ludzie zawsze dzielą się plotkami i żartują. Tym razem jednak trudno było nie spostrzec, że tłum jest podenerwowany, a grupki ludzi dyskutują z sobą namiętniej niż zawsze. Ich twarze, gesty wyrażają oburzenie. Tak bywa zazwyczaj — pomyślał XLI — gdy w tłumie kręcą się agitatorzy. W ten sposób, do niedawna jeszcze, działali w tłumie emisariusze sztyletników dopóki on, człowiek XLI, nie oddał Wzgórzu Czaszki Trupiej ich przywódców, ale teraz — XLI był tego całkiem pewny — sztyletnicy przestali być niebezpieczni co najmniej na okres dwóch lub trzech lat.

Tłum jednak z dnia na dzień stawał się coraz bardziej niespokojny. Jego fanatyzm religijny rósł, równocześnie też rosło rozgoryczenie. XLI wiedział, co było tego przyczyną. Od szeregu dni napływały meldunki od numerowanych o dziwnym poruszeniu wśród pielgrzymów: ludzie opłacani przez niezłomnie prawych, niewykluczone też, że przez kapłanów, szczuli tłum na Jezusa bar Nash.

Urzędnik drugiego stopnia Trasylllos, któremu złożył w tej sprawie meldunek, uznał sytuację za korzystną, skoro naturalne w okresie Paschy wzburzenie ludu

zwróci się nie przeciw Rzymianom — jak to bywało czasami — lecz przeciw Komuś, kto, nie mając nic wspólnego z Rzymem, wzburzenie to weźmie niejako na siebie, rozładowując napięcie.

Człowiek zwany czterdziestym pierwszym odbierając rozkaz nieinterweniowania wyrażony szczególną intonacją słów: „wziąć na siebie” pomyślał, że musiało zapewne sporo kosztować kupienie Trasyllosa, to jednak, że niezłomnie prawi zwrócili się właśnie do niego o poparcie swoich zamierzeń, nie zaś do Hegezynosa, świadczyłoby o ich rozsądku: musieliby wydać na ten cel o wiele więcej, osiągając ten sam rezultat. Nie miał wątpliwości, że zamierzeniem tym jest zamordowanie Jezusa bar Nash. Wszystko to, oczywiście, pozostawało w sferze domysłów, był jednak pewny swojej intuicji. Jeśli się nie mylił, wszystko zostało obmyślane bardzo zręcznie i Jezus bar Nash mógł uratować się jedynie ucieczką z Jerozolimy do Galilei, Zajordanii, na pustynię czy gdziekolwiek. Gdzie jednak pewność, czy nawet w tym wypadku nie poszliby Jego śladem, wynajęci mordercy? Było bowiem jasne, że sprawy znalazły się na równi pochyłej i zaczynają toczyć się coraz szybciej.

Minął gestykulującą grupkę mężczyzn i wszedł do piwiarni. Przy stołach i na ławkach pod ścianami pełno już było ludzi. W rogu ktoś próbował opowiadać ze zwyczajowym przyśpiewem o tym, jak Pan uwolnił naród wybrany z przemocy pogan, jak Mojżesz pokazywał cuda królowi pogańskiemu, jak następnie zesłał na jego kraj plagi, aż wreszcie król wypuścił Żydów, jednakże złamał słowo i podążył za nimi z wielką armią, ciągnąc za sobą swoich bożków, koty i byki oraz poczarne demony o ptasich dziobach. Pan jednak zatopił w morzu złego króla Mufru wraz z całą jego armią i demonami, niech imię jego będzie po siedmiokroć przeklęte, a imię Pana po siedmiokroć błogosławione! Druga opowieść wyliczała szczegółowo plagi, jakie Pan zesłał na Egipt i mówiła o baranku, którego krwią mazali Żydzi drzwi domów, by omijał je Anioł Pański z ognistym mieczem kary. To, co opowiadał pieśniarz, znane było wszystkim. Pisały o tym święte księgi Zakonu. Recytacje te cieszyły się niezmiennym powodzeniem, budząc nastroje i tęsknoty wolnościowe. Tak było podczas niewoli babilońskiej, syryjskiej za czasów Seleukosa zwanego Czwartym i Antiocha Epifanasa sprzed dwustu laty, tak samo było i teraz.

W tej chwili jednak wpływ na siedzących zdobył nie opowiadacz, lecz jakiś pielgrzym, który zaczął mówić o fałszywych prorokach i sługach Beliala. Podając się fałszywie za królów Izraela i Mesjaszy, ściągają na naród zło podwójnej natury: gniew Pana poprzez ustawiczne prowokowanie czcigodnych i uczonych w Piśmie rabbim oraz gniew Rzymu jako buntownicy. Fakt, iż nałożono nowe cła i podatki tłumaczył chęcią zemsty Rzymian za buntownicze wystąpienia Jezusa bar Nash.

Siedzący zaszemrali oburzeniem. Ich rozgoryczenie znalazło ujście w przekleństwach. XLI przyglądał się pielgrzymowi nie bez uznania. Ten człowiek znał

swoją robotę. Był zręcznym demagogiem, zapewne jarmarcznym kuglarzem. Wy-
powiadał świadomie twierdzenia przeczące sobie i to go nie peszyło, ponieważ do-
stosowywał je do nastrojów słuchaczy zmiennych jak morze. Byli to ludzie prości.
Przeważnie chłopci z Judei i rzemieślnicy lub niewolnicy z dużych miast: Jerozo-
limy i Cezarei. Przyszli tu znużeni i skłopotani trudnościami, jakich nie szczędzi-
ło im życie. Poza tym podatki i cła rzeczywiście ostatnimi czasy nieco wzrosły.
Objęły produkty rolnicze, a także wyroby rzemiosła. Wartość pieniądza spadła.
To, że ten człowiek chce obarczyć za owe fakty odpowiedzialnością Jezusa bar
Nash, jest bardzo sprytnym posunięciem — akurat na miarę prymitywnych umy-
słów tych ludzi. Mówi im o Mateuszu Lewim, którego fałszywy Mesjasz przyjął
na swego ucznia. Widocznie więc solidaryzuje się z celnikami i Królestwo, jakie
chce wprowadzić, będzie królestwem celników i lichwiarzy.

Biesiadujący siedzą wściekli. Pielgrzym ich przekonał. Rację mieli niezłom-
nie prawi: Jezus bar Nash jest sługą Beliala, oszukał ich, jest fałszywym Mesja-
szem, a kto wie, czy nie prowokatorem i zdrajcą? Teraz widzą to z całą oczywi-
stością.

— Wyrzucił lichwiarzy z dziedzińca pogan — pada nagle czyjaś uwaga, nie
wiadomo, czy obrońcy Jezusa bar Nash, czy po prostu świadka tego wydarzenia.

Nastrój siedzących zmienia się natychmiast. XLI słyszy głosy sławiące Jezusa
bar Nash jako nieustraszonego. Ktoś nawet krzyknął, że to prorok.

Ci biedacy nienawidzili lichwiarzy jeszcze bardziej niż butnych, brutalnych
żołdaków samarytańskich i syryjskich w mundurach rzymskich legionów. Nad
ich życiem zawisły dwie plagi, przed którymi nie potrafili się obronić: żołnierze
i lichwiarze. XLI rozumie ich uczucia. Sam nie podlega tym plagom, a jednak
nie potrafi powściągnąć wewnętrznego odruchu sympatii. To lata nędzy i upo-
korzeń, kiedy sam był małym, bezbronnym człowiekiem takim jak oni, którego
każdy mógł oszukać i znieważyć. Wie, jak trudno znieść kopniak żołdaka i jego
bezczelną, ordynarną poufałość. Zna też satysfakcję z oszukania go przy kupnie
na bazarze, gdy podpity rozrzuca pieniądze. Zna też gorycz pogardy niezłomnie
prawego peruszim i bezsilną złość, gdy ten w swoim bezbrzeżnym egoizmie, pod-
suwając do ucałowania frędzle swojej ciężkiej, pompatycznej szaty, żąda ofiary
w wysokości zabójczej dla kieszeni nędzarza. Tamten jednak — lichwiarz i han-
dlarz, podobnie jak poborca i celnik, jest jak pająk. Nie drażni niczyjej godności
i nikim nie pomiata, ale człowiek staje przed nim bezsilny, jak przed zjawiskiem
przyrody znanym, a jednak niepojętym.

Człowiek zwany czterdziestym pierwszym rozumie lęk przed nieznaną, po-
nurą przyszłością niewoli za długi. Zna uczucie niechęci, z którym siedzący tu
targują się na dziedzińcu pogan z przekupniem, zawzięcie i nieufnie, by potem,
niosąc do Świątyni gołębie ofiarne, czuć się i tak oszukanymi — i oto naresz-
cie przyszedł Ktoś, kto wziął ich w obronę i przepędził te pająki przynajmniej ze
Świątyni Pana.

Pielgrzym natychmiast wyczuł nastroje i ze zręcznością kuglarza skierował myśli słuchaczy od tematu, który zaczął stawać się niebezpieczny, do uzdrowień, o których wieści przedostały się już do Judei. Uzdrawienia te świadczą — wywodził — choćby nawet były prawdziwe, nie rzekome, trwałe, nie zaś po kilku dniach przemijające, jak bardzo zaprzędany Belialowi jest Nazareńczyk. Gdyby był On Mesjaszem, uzdrowiłby natychmiast cały Izrael. Zniknęłyby choroby. Jeśli można uzdrowić jednego, można uzdrowić wszystkich. On jednak nie może tego uczynić, ponieważ za cenę kilku lub kilkunastu przywróconych do zdrowia ma zesłać tysiącrotnie większą ilość chorób na cały naród wybrany.

To również było nieźle pomyślane. Ci ludzie lękliwi i zabobonni bali się wszystkiego, co niezrozumiałe, co niepewne. W każdym z nich odezwał się teraz bunt istot wciąż poddawanych cierpieniom i bezbronnych. Udało mu się wreszcie obudzić ich nienawiść. Z natury podejrzliwi, przyjmowali nieufnie dobro, jakie ich spotykało. Już byli gotowi uwierzyć w dobre intencje Jezusa bar Nash, gdy oto teraz pielgrzym potwierdził ich obawy: za dobrocią tego Człowieka, jak za dobrocią każdego, kto jest mocniejszy od nich, kryje się podstęp. Fałszywy Mesjasz oszukiwał ich, by wydać nieszczęściom i chorobom, których mglista niepewność budziła grozę.

XLI widział z całą jasnością mechanizm tego, co się nieodwołalnie musi stać: nienawiść tych ludzi przekształci się w żądę mordy. Jezus stracił tłum — ostatnie swoje oparcie w Jerozolimie. Żał mu było tych ciemnych, ogłupiałych ludzi. Ogarnęła go wściekłość na tych, którzy sprytnie nadużywali ich prostoduszności. Jeśli jest ktoś — rozmyślał — kto naprawdę chce i może im pomóc, to jest nim właśnie Jezus bar Nash. Ludzie w gospodzie i pielgrzym zaczęli go naraz mierzić. Miał ochotę rozplatać pysk demagogowi, wiedział jednak, że to nie przyda się na nic. Demagog jest tylko płatnym narzędziem wyższych od siebie potęg.

Trzeba raz jeszcze ostrzec Jezusa bar Nash — pomyślał — podobnie jak wtedy, w Betanii. Przyszło mu na myśl, że trzeba się spieszyć. Zbyt często słyszy się na mieście o możliwym aresztowaniu Jezusa, by nie miało ono nastąpić w ciągu najbliższych dni, a może godzin. Po ulicach przelewały się tłumy. Słyszał krzyki i śpiewy. Tłum cieszył się, a jednocześnie był niespokojny, podniecony. Za kilka chwil, gdy słońce dotknie horyzontu, rozpocznie się wieczera.

Faroras starał się ukryć uczucie zawodu. Siedział naprzeciw Jezusa bar Nash, chcąc wyczytać z Jego twarzy ukryte myśli ale twarz ta była nieprzenikniona. Faroras nie potrafił zrozumieć tego Człowieka. Jego sytuacja jest gorzej niż trudna. Beznadziejna. Tłum zebrany na święto Paschy też przestał Go rozumieć. Sytuacja byłaby jasna, gdyby ukoronował się na króla i wzniecił powstanie jako Mesjasz. On jednak, przeciwnie, zdaje się nakłaniać Żydów do umiarkowania. Może więc uznał, że chwila to niestosowna i czeka na odpowiedni moment. W takim razie jednak, po co przybył do Jerozolimy? Czy nie zdaje sobie sprawy, że tu jest osaczony i żadnemu ze stronnictw politycznych nie zależy, by pozostał przy życiu?

Faroras usilnie starał Mu się to wyjaśnić: w układzie sił takim, jaki powstał, przeszkadza wszystkim. Nawet Rzymianie nie będą Go ochraniać, nie widząc w tym żadnego interesu, a sprawiedliwość, pojęcie winy czy zbrodni sądowej? — lekceważąco strzepnął palcami. Nie wspomniał, oczywiście, o raporcie Wody, jaki dostarczył mu Manahen, a raczej Hegezynos. Będąc dobrze poinformowany o stosunkach pomiędzy nim a Piłatem, uznał ten fakt jako jeden z etapów ich tajemnej walki, który może sprawić przyjacielowi cesarskiemu pewien kłopot — jeśliby rzeczywiście udało się przeciągnąć Jezusa bar Nash na stronę Partów. Sam Jezus zresztą zna swoją sytuację, skoro przemyka się do miasta potajemnie, jak ktoś śledzony lub ścigany i nocuje poza jego murami. Najrozsądniejszym wyjściem, ba! — jedynym, jakie można znaleźć w Jego położeniu — jest wykrzyć jakiegoś stronnictwa, które by chciało za Nim stanąć i uczynić Jego interesy swoimi.

Jest takie stronnictwo w Jerozolimie. W jego imieniu on, Faroras, składa Jezusowi bar Nash ofertę współpracy. Może Go zapewnić, że natychmiast po wyrażeniu przezeń zgody, otoczony zostanie dyskretną opieką oczu i uszu króla królów, którzy będą Go chronić przed każdą napaścią, równocześnie jednać Mu zwolenników wśród paschalnego tłumu w Jerozolimie. Może również przyrzec, że wszczęta zostanie delikatna akcja dyplomatyczna, czym zajmie się już osobiście on, Faroras, zmierzająca do stonowania niechęci, jaką wzbudził wśród saduceuszy i wśród niezłomnie prawych. Król królów gotów jest też poprzeć Jego poczynania pieniędzmi. Natychmiast wysłani zostaną do wsi i osiedli Galilei, Judei i Zajordanli emisariusze, którzy zaczną gromadzić i utrwalać w wierze tamtejszych zwolenników Jezusa.

Mówił sugestywnie, używając gładkich zawodowych zwrotów. Nie stawiał żadnych warunków, niczego nie żądał. Składał ofertę tak, jakby chodziło raczej o gest przyjazny lub dobroczynny. Za chwilę Jezus bar Nash wreszcie wyrazi zgodę i wówczas dopiero zaczną omawiać konkretne szczegóły Jego służby dla króla królów czy jak ją Faroras określił — współpracy. Miał dużą praktykę i potrafił siłą argumentów urabiać poglądy swych rozmówców. Jezus bar Nash jednak siedział bez słowa. Palcem kreślił na podłodze spirale. Robił wrażenie pochłoniętego całkowicie własnymi myślami, które — jak to naraz wyczuł intuicją Faroras — niewiele miały wspólnego z tym, o czym przed chwilą Mu mówił.

Gniew Farorasa wzrastał. Zamiast podziękować mu za możliwość ratunku, ten Człowiek wyraźnie ośmiela się myśleć o czymś innym. Czyżby już ktoś zrobił Mu ofertę? Nie! Przeczuwał, że chodzi tu o coś zupełnie innego. Czyżby przez swoje milczenie, w którym zrozumieć można było odmowę, chciał zrazić sobie także Partów? Co w takim razie chce przez to osiągnąć? Każdy inny na miejscu tego Jezusa bar Nash. . . Naraz zdał sobie sprawę, że Ten, który siedzi przed nim, ten rzeczywisty Jezus bar Nash, jest inny niż Ten, którego sobie wyobrażał.

Ten milczący, szczupły Człowiek, miał w sobie majestat i spokój, jakiego Faroras nie widział dotąd u nikogo, choć lubił porównywać sam siebie do Odyse-

usza, co wiele widział i poznał wielu ludzi. Poczuł się naraz nieporadny i mały pod wzrokiem tego Człowieka, który patrzył nań z taką mądrością. Po raz pierwszy w życiu doznał dziwnego uczucia, którego nie potrafiłby sobie wytłumaczyć: wydało mu się, że Jezus bar Nash wie o nim to, czego on sam nawet się nie domyśla. Czy człowieka można aż tak głęboko przeniknąć? Teraz jednak zrozumiał to, co dawniej wydawało mu się wytworem dziwnej plotki, że Żydzi mogą porównywać Jezusa bar Nash do Eliasza — największego proroka Izraela, którego czczą tajemnie magowie Świątyni Pana Mądrego w Ekbatanie. Wyobraził Go sobie oczyszczającego trędowatych i przywracającego władzę w nogach sparaliżowanym. Poczuł lęk. Jezus bar Nash nie wypowiedział jeszcze ani jednego słowa, jednak Faroras czuł, że jest jak gdyby prowadzony przez szczególną siłę czy wolę, której zasięgu i celu nie potrafił odkryć. Wola ta kazała mu pójść do pałacu Kajfasza, kazała mu też przyjść tutaj, choć wydawało mu się dotychczas, że to on sam i tylko on tworzy fakty i przewiduje ich bieg. Teraz wola ta każe mu milczeć. Miał ochotę zerwać się i wybiec. Dopiero gdy Jezus bar Nash w zamyśleniu pochylił głowę i zaczął wodzie palcem po ziemi, Faroras nabrał znów zwykłej pewności siebie.

Jezus bar Nash podniósł głowę i ponownie spojrzął dyplomacie prosto w oczy.

Czy rzeczywiście Człowiek ten działa bez planu — zrodziło się w Farorasie pytanie — czy przeciwnie: On jeden naprawdę wie, czego chce, a ja, pozbawiony będąc tej wiedzy, błędę wciąż w kółko w jakichś labiryntach, które w gruncie rzeczy nie mają znaczenia?

Wydało mu się, że ta myśl nie powstała w nim, lecz przekazał mu ją bezsłownie Jezus bar Nash.

— Gwarantuję — oświadczył — pomoc króla królów w otrzymaniu korony Izraela.

Jezus bar Nash unióśł brwi. Uśmiechnął się. Farorasowi wydało się jednak, że był to uśmiech taki, z jakim dorosły przyjmuje dar dziecka, gdy ofiarowuje mu ono bezwartościowy kamyk. Nie było w nim lekceważenia, raczej uprzejme rozbawienie, po czym nagle uśmiech ten zniknął. Twarz Jezusa stała się surowa.

Wstał i zaczął przechadzać się po salce niskiej o glinianych ścianach, oświetlonej przez dwie lampki oliwne. Faroras spostrzegł naraz stojące pod ścianami misy i dzbany nakryte białymi ręcznikami. Zza zasłony oddzielającej salkę od pomieszczenia, przez które tu wszedł, przypominającego komórkę, dochodziły czyjeś głosy o silnym chłopskim akcencie galilejskim — zapewne uczniów Jezusa bar Nash.

Wstał również. Obaj przypominali teraz rabbim dyskutujących pod portykami, a raczej nauczycielem był tylko Nazareńczyk.

Zacytował prorocstwo Izajasza o jagnięciu, które się pasie obok wilka. Człowiek bez miłości nie potrafi osiągnąć pełni swego duchowego rozwoju, a więc szczęścia. Jednakże ziemskie szczęście jest tylko namiastką prawdziwego Króle-

stwa Mesjaszowego. Jeśli Faroras interesował się Jego działalnością w Galilei powinien znać naukę o odkupieniu człowieka przed Ojcem. Opowiedział następnie historię ofiarowania przez Abrahama syna Izaaka. Pan zażądał dla siebie symbolicznej ofiary, którą złoży w rzeczywistości sam Jehowa pod postacią Syna Ludzi, Syna Człowieczego. Gdy wymawiał słowa „bar Nash”, Faroras doznał dziwnego uczucia. Może to intonacja głosu Rozmówcy, może znajome, tak często używane określenia sprawiły, że naraz poczuł się świadkiem jakiegoś tajemnego, osobliwego misterium. Jego istoty nie uświadamiał sobie, a jednak był nim wstrząśnięty.

Jehowa pod postacią Jezusa bar Nash — powtórzył w myślach to, co usłyszał. Przejął go lęk na myśl, co mogą te słowa oznaczać, tym bardziej, że Jezus mówiąc, że teraz zamierza zjeść wieczerze z uczniami, jeśli wnosić z ostrzeżeń Farorasa ostatnią, dodał do poprzednich nowe, zagadkowe słowa: za chwilę da im siebie, a oni nigdy nie zrozumieją do jakich głębin oddania sięga to Jego z nimi przymierze.

— Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić! — zawołał.

Jezus bar Nash wykonał dłonią nieokreślony gest. Poseł Partów zrozumiał, że rozmowa z Nim się skończyła.

* * *

Siedzieli w domu Szymona Garbarza wpatrzeni w płomyki lampek migotliwe i chwiejne. Łamali praśny chleb. W tej chwili czynili to wszyscy Żydzi w całej Jerozolimie, w Antiochii, w Cezarei i w Rzymie, w Damaszku, w Nazaret i w Betfage, wszędzie gdzie tylko w ów dzień czternastego Nisan, w dzień największego święta narodu, Żydzi spożywali wieczerzę. Maciej zwany Eseńczykiem, najmłodszy z nich, zadał rytualne pytanie:

— Czym różni się ta noc od wszystkich innych nocy?

Odpowiedzieli mu zgodnie z rytuałem formułą o wyzwoleniu, myśląc jednak, że dzieje się coś niezrozumiałego. Miasto, które tak niedawno witało Jezusa bar Nash, teraz odwracało się od Niego. Pobito Szymona, gdy wracał do domu, ponieważ ktoś krzyknął na ulicy, że jest zwolennikiem fałszywego Mesjasza. Szymon nie spostrzegł nawet twarzy tego człowieka, gdy wyrósł nagle przed nim rząd pięści tłukących po twarzy, po plecach i w brzuch. Maciej i Gedeon, którzy szli razem z nim, zdołali wyciągnąć go nieprzytomnego spod nóg napastników.

Teraz wszyscy ponownie roztrząsali całe zajście. Napastników było zaledwie kilku, reszta — tłum stłoczony na ulicy — patrzył w spokoju, nie usiłując napastować Szymona ani także odciągać bijących. W spokoju tym jednak wyczuwało się wrogość. Maciej słyszał szepty i okrzyki wrogie Jezusowi bar Nash. Dlaczego go nie zaatakowano ich obu, gdy odciągali nieprzytomnego Szymona i nieśli go, przepychając się przez tłum, który rozstępował się niechętnie? Wciąż napotykali wpatrzona w siebie twarde, zaczepne spojrzenia.

Gedeon sądził, że napastnicy byli poszczuci przez kogoś, kto nie chciał dopuścić do zabójstwa Szymona, a tylko wzbudzić niechętnie nastroje przeciw nareńczykom — jak naraz zaczęto ich nazywać. Przyglądał się Szymonowi. Jego twarz była zbita do kości. Ta krew zaschła na brodzie, zlepiając włosy w sople. Nie mógł pojąć tego, co się stało, i że spotkało to właśnie Szymona — jednego z najbardziej szanowanych mieszkańców dzielnicy. Może dlatego napastnicy wybrali właśnie jego?

Niezrozumiałe było i to, że nikt nie stanął w obronie.

Gedeon widział w tłumie znajome twarze ludzi, którzy zawsze odnosili się do Szymona przyjaźnie. Stał rymarz Ahab i Aser — także garbarz — sąsiedzi Szymona, ludzie poważni i rozumni, którym nieraz Szymon wyświadczał różne sąsiedzkie przysługi, doznając od nich w zamian życzliwości. Stał wytwórca sandałów Elifas, człowiek wprawdzie chorowity i zgryźliwy, w gruncie rzeczy jednak całkiem przyzwoity i uczynny. Stał jego brat, człowiek bogobojny, który nigdy nie zaniedbywał jałmużny przepisanej przez Prawo i starał się wypełniać wszystkie przepisy. Wszyscy od dziecka wyrosli w tej samej dzielnicy miasta, kłócili się i przyjaźnili, rzucali na siebie klątwy i błogosławieństwa z okazji świąt czy wesela. Jeszcze wczoraj ci ludzie pozdrawiali Szymona uprzejmie. Jakiegokolwiek byłyby ich uczucia, żywione w ciągu wielu lat, nie byli to z pewnością ludzie źli. Trudno byłoby ich też nazwać obcymi. A jednak patrzyli na Szymona, jak na obcego. Wrażenie Gedeona pokrywało się z wrażeniem Macieja: w spojrzeniach ludzkich widziało się niechęć, nie! — coś więcej: nienawiść — i to tym bardziej niepokojącą, że tak nagłą. Co się stało z tymi ludźmi jeszcze tak niedawno wołającymi: „Witaj Mesjaszu, witaj Królu Żydowski”?

Staliśmy się tu obcy — pomyślał — i otoczeni wrogami. W świecie wrogów zapadły postanowienia przeciw nam, na które nie mamy wpływu, co więcej — nawet dokładnie ich nie znamy. Z przerażeniem uprzytomnił sobie, że przyszłość staje się czymś niewiadomym i groźnym. Słowa „jutro” czy „za dziesięć lat”, których sens polegał na poczuciu bezpieczeństwa, przestały naraz istnieć. Przypomniał sobie Szymona i jego brodę zlepioną od krwi. Czy jutro on sam nie zostanie tak zbity, jak Szymon? Pomyślał, że warto by się wycofać i przyglądać wypadkom z oddalenia. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Pomimo wszystko trudno mu było opuścić Jezusa bar Nash, skoro był z Nim w chwilach Jego triumfu, choć triumf wydawał mu się teraz snem. Zbyt wielu chyba to uczyni. Poza tym nie mógłby odejść w takiej chwili od Szymona, Macieja i Racheli. Zbyt wiele ich łączyło. Postanowił zostać i razem z nimi oczekiwać dalszych wydarzeń.

— Jeśli ten Człowiek jest Synem Bożym. . . — powiedziała Rachela. Wszyscy jednak pomyśleli w tym momencie to samo.

Maciej siedział dotychczas zamyślony jak zawsze i milczący. Ten nieśmiały człowiek przełamywał jednak swoje skrepowanie ilekroć chodziło o Jezusa bar

Nash i Jego naukę. Mówiąc o niej stawiał się pewny siebie, wymowny. Był w nim niepokój poznania i głoszenia prawdy i to wyczuwało się w jego słowach.

Niewiele wiedzieli o jego przeszłości. Był dla nich zagadką. W dzielnicy wyrobników mówiono, że został usunięty z Chiribet Qumran pod Jerycho za bunt w osadzie Ain Feszha. Musiało być w tym coś z prawdy, skoro było powszechnie znanym faktem, że sprowadził kilkunastu braci eseńskich do rzeszy Jezusa bar Nash. On sam, zapytywany, nie zaprzeczał temu. Ludzie mijani na ulicach Jerozolimy, o których wiedziano, że są eseńczykami wysłanymi przez osadę dla załatwienia tu jakichś tajemnych spraw — być może starych sporów prawnych ze Świątynią — odwracali na jego widok głowę lub pluli. Inni — nie eseńczycy patrzyli nań z ciekawością nie pozbawioną lęku. Był zagadkowy, skazany na samotność, wyklęty.

Zdaniem Macieja Mesjasz musi zwyciężyć, ponieważ Jego nauka ujmuje w słowo tęsknotę ludzką do sprawiedliwości. Ludzie z natury są dobrzy. Nawet ci, którzy występują przeciw Niemu, ponieważ przeważnie czynią to w dobrej wierze. Świat potrzebuje dobra, w które mógłby uwierzyć, a uwierzywszy wyzwolić się. Jezus bar Nash przynosi światu to dobro.

Zobaczył siebie u stóp wzgórza, na którym siedział Jezus bar Nash.

— Błogosławieni, którzy pragną sprawiedliwości — słyszał Jego daleki głos.

Stał w tłumie ludzi w pasiastych chałatach. Słyszał za sobą drwiący chichot dwóch studentów Talmudu natrzęsających się głośno, w uczonej hebrajszczyźnie z chederu, nad nauką Nauczyciela dla hołoty i kalek. Ich bezczelne kpiny zagłuszały syki i przekleństwa. Amhaarecim, upokorzeni i wściekli, w tonie ich głosu wyczuwali pogardę — tę odwieczną, nienawistną pychę uczonego wobec nich, „ludzi ziemi”. Jednak równie odwieczna pokora amhaarecim wobec niezłomnie prawych peruszim powstrzymywała ich od przepędzeniauczonych mężów. Byli nią spletni. Byli bezradni.

Jezus bar Nash przywracał im godność wskazując, że prawdziwa wielkość polega na pokorze. Kto jest najmniejszy pośród was wszystkich — mówił — ten jest prawdziwie wielki. Mówił ich aramejszczyzną, którą rozumieli wszyscy, językiem prostym, w haggadach, które tak bardzo lubili, które zaś dawały im tyle do myślenia. Czuli, że w morzu intryg, poniżeń i krzywdy, jaka przenika świat, jest to nauka czysta i przeznaczona dla każdego, a więc i dla nich, nie czyniąca różnicy pomiędzy ułomnym i zdrowym, uczonym i prostym, doktorem Tory, biedakiem i księciem. Dlatego tylu ich przyszło znad jeziora i wisi okolicznych. Czasami nie rozumieli Go, z reguły złorzeczyli Mu i odchodzili idąc za głosemuczonych peruszim, czujnie czekających na każdy postępek Jezusa bar Nash, by głośno wyrażać zgorszenie. Wracali jednak znowu. Fascynował ich. Byli trochę jak żywioł lub jak dzieci: kapryśni, zmienni, poddani nastrojom. Nieobliczalni.

Niektórzy z nich leżeli teraz na noszach pokryci strupami, pokręceni, wspierali się o kule. Szli tu sami i z rodzinami, rozkładając się obozem u stóp góry

ruchliwą, kolorową cizbą wierząc, że Nazareńczyk pomoże im znaleźć prawdę, której szukali żarliwie, na oślep i nigdzie dotąd nie potrafili znaleźć — odtrącani z pogardą od eseńczyków, uczonych peruszim i kapłanów — prawdę o sensie ich żałostnego życia. Dla wielu z nich ten sens wydawał się ważniejszy niż samo wyzdrowienie. Nieszczęśliwi i mali — pomyślał — ułomni i poniewierani znaleźli swojego Mesjasza.

Stał mu w pamięci obóz w Chiribet Qumran, który opuścił tak niedawno, a przecież, zdawałoby się, minęła od tego czasu cała wieczność. Znowu wspina się na drzewo, by zebrać daktyle w oazie Ain Feszha, niesie następnie kosz w poblizsze sadzawki, gdzie wysypane owoce tworzą piramidę. Idzie następnie ze współtowarzyszami do obozu przez pustynię.

Gmina jest samowystarczalna. Na małym polu w pobliżu Chiribet Qumran rośnie wystarczająca ilość zboża, by wyżywić braci. Nie ma potrzeby wchodzenia w stosunki handlowe ze znienawidzonymi synami ciemności. Widzi siebie, jak w ciągu kilku lat przechodzi stopnie wtajemniczenia dostępne dla nowicjuszy. Ogląda pomieszczenia kowali, szewców, garbarzy, kobiet piorących bieliznę i szyjących chałaty, szkołę, skąd dobiega głos mełameda i głosy dzieci powtarzających litery: alef, bet, ghimel. . .

Nie może jeszcze, jako od niedawna ezrach i brat należący do najniższej spośród czterech grup, zwiedzić pomieszczeń kapłanów, gdzie składano zwoje, filakterie, siedmioramienny, srebrny świecznik, ani pomieszczeń księcia sprawiedliwości oraz rady starszych zarządzającej majątkiem gminy, gdzie mieli wstęp tylko bracia najwyższej grupy, ale idąc do oazy wie, że w obozie od wschodu słońca do zachodu każdy z braci i siostr ma swoje wyznaczone miejsce, którego nie może opuścić. To było imponujące i nadawało sens życiu. Tu liczyła się tylko praca jego rąk. Tu nie składano kosztownych ofiar Świątyni. Tu wszyscy byli synami światła, którzy poznali tajemnicę wolności duchowej i to, że jej niezbędnym warunkiem jest duchowa czystość. Świat natomiast, jaki zostawili za sobą, był światem synów ciemności, zagłady i zła — dalekim od Jehowy i skazanym na potępienie. Przeklęty. Tu przestawał być amhaarecem, nieczystym, pogardzanym. Łączył się z Panem w czasie codziennych wspólnych posiłków, rytualnych obmywań i modlitw, gdy chórem powtarzali wersety psalmów Dawida i Oniasza zwanego Sprawiedliwym, Nauczycielem lub Mistrzem Sprawiedliwości, które ułożył po swym powrocie z Persji — specjalnie dla gminy ubogich, jako jej założyciel. Oniasza ukamienowano na rozkaz rozwścieczonych kapłanów i peruszim.

Nie zaprzyjaźnił się z nikim. Przyjaźń pomiędzy nowicjuszami była zabroniona, by ich nauczyć, że wszyscy są tu przyjaciółmi, toteż przez długi okres czasu czuł się osamotniony. Miał wrażenie, że samotność ciążyła również innym. Z czasem odkrył jej sens. To była samotność pozorna, w której zasmakowawszy można było znaleźć poczucie siły poprzez poczucie wspólnoty. Pracował dla wszystkich i wszyscy pracowali dla niego. Po dwóch latach wydawało mu się, że nie mógłby

istnieć bez tej surowej społeczności, bez poczucia, że wszystko jest własnością gminy, a on sam, nie posiadając niczego, nie jest niewolnikiem żadnej rzeczy ani własnej chciwości w gromadzeniu dóbr doczesnych i przemijających. Ogarnął go spokój i osobliwe poczucie pełni. Gdy powiedział o tym w czasie dorocznego wyznawania publicznie swoich grzechów, wystąpił przeciw Regule, jakie odbywali nowicjusze w namiocie na zewnątrz obozu pod kierownictwem doświadczonego kapłana, ten rzekł:

— Wydaje mi się, że przeszedłeś już dostateczny stopień oczyszczenia, by stać się członkiem gminy. Jak wiesz, naszym celem jest zbawienie duszy w Panu poprzez pracę, rozmyślenia i ubóstwo we wspólnocie. Wiele jest szczerbli doskonałości i tajemnic naszej gminy. Ty jesteś dopiero na najniższym. Czy zdajesz sobie sprawę, że gdy osiągniesz — być może — najwyższy, będziesz starcem?

— To mnie nie odstrasza, ojcze.

— W takim razie powiem o tobie przełożonym i, być może, staniesz niedługo przed Radą i zgromadzeniem wszystkich ezraeh — pełnoprawnych członków naszej gminy.

Widzi siebie, jak ubrany w szary chałat stoi mając przed sobą rzędy twarzy.

— Kim jesteś? — słyszy pytanie. Zadał je siedzący na wysokim podium książę sprawiedliwości, bezpośredni następca Oniasza.

Członkowie Rady siedzą przed nim uroczyści i nieruchomi, podobni w swej hieratyczności do partyjskich magów. Za sobą ma całe zgromadzenie — mężczyzn i kobiety patrzących na niego w milczeniu.

— Jestem geri — słyszy swój głos — a pragnę być ezraeh.

— Jaką ofiarę składasz Panu?

— Siebie — i żadnej innej, żywej ani krwawej.

— Jaki majątek wnosisz?

— Dwadzieścia osiem drachm.

— Czego pragniesz?

— Światła.

— Jakie są dwie siły światła?

— Dobro i zło. Światło i ciemność. Pan Mądry, Sprawiedliwy i Belial.

— Co jest istotą światła?

— Ogień.

— Jakie są dwa losy zesłane przez Boga?

— Los sprawiedliwych i los synów Beliala.

Z nauk Oniasza wyniesionych ze świątyni Pana Mądrego w Persepolis, Suzie i Ekbatanie wynikało, że Bóg wybrał ludzi zanim jeszcze zostali stworzeni, wyznaczył im los sprawiedliwych: reszta zaś — ci wszyscy, którzy znaleźli się poza Jego wyborem, ci więc, jak twierdził Oniasz, którzy nie dotarli do gminy ubogich i nigdy do niej nie dotrą, zgoła nie wiedząc o jej istnieniu, zostali przez Niego skazani na wieczną zagładę jako synowie ciemności — Zła ustawicznie zmagającego

się z Dobrem. Wierzyli więc, że ten, kogo wybrał Pan, sam znajdzie do nich drogę. Nie wolno było pod groźbą najsurowszych kar głosić wśród pozostałych Żydów i pogan ideałów gminy. Odrąceni przez Pana widocznie zasługiwali na wieczną ciemność niezależnie od swoich postępów, woli czy intencji. Wyrok był nieubłagany. Zapadł z góry i pętał czyny człowieka, wyznaczając ich bieg i czyniąc jego wolę czymś pozornym. Toteż mieli nakazane miłować jak samych siebie bliźnich, braci, członków gminy, natomiast nienawidzić każdego, kto był poza ich gronem, stosownie do stopnia jego obcości wobec ideałów tej zamkniętej dla świata sekty. To dawało im poczucie wyższości, zarazem usprawiedliwiało ich pogardę — tak nieskończenie przecież nikłą wobec przerażającej, niepojętej pogardy Boga.

— Co uczyni Sprawiedliwy zobaczywszy Syna Dobra? — usłyszał znów rytualne pytanie.

— Poda mu rękę, pokarm i wodę. Będzie go kochał jak samego siebie, co jest głównym przykazaniem Zakonu.

— Co uczyni Sprawiedliwy wobec Syna Ciemności?

— Odwróci się odeń. Nie poda mu ręki, pokarmu i wody. Nie nawiedzi w chorobie ani w więzieniu. Będzie go nienawidził według jego zła, co jest głównym nakazem Reguły.

— Iloma kręgami posłuszeństwa opasuje swoją duszę Sprawiedliwy?

— Trzema.

— Przyjmujesz je?

— Ja, geri, zobowiązuję się wobec Boga i wobec wszystkich ezrach do posłuszeństwa wobec starszych, Reguły i księcia sprawiedliwości.

— Jesteś więc ezrach. Twoje drachmy zostaną zmieszane z majątkiem sprawiedliwych. Od dziś możesz zamieszkać w obozie.

Książe sprawiedliwości wstał. Za nim powstała z miejsc cała Rada. Zaintonował pieśń. Podjęli ją kapłani, potem lewici — ich pomocnicy, wreszcie cała gmina. Niska, podłużna sala wypełniła się śpiewem dziękczynnym, w którym motyw czystości wiązał się z motywem pracy i szabbatu, wszystkie te motywy zaś dawały, niczym w subtelnej konstrukcji architektonicznej, harmonię i syntezę: światło, którego istota będąca nieskończonym poznawaniem Boga przez wybranych była odbiciem pojęć tworzących się w absolutnym Rozumie.

Zobaczył siebie następnego dnia przed wschodem słońca wychodzącego do oazy Ain Feszha ze zbieraczami daktyli. Ujrzeni naraz wysokiego Człowieka, który szedł od strony pustyni i zatrzymany został przy namiotach niedaleko obozu. Dalej obcemu nie wolno było pójść.

— Kto ty jesteś? — usłyszał pytanie nadzorca robót.

Nieznamy przyjrzał im się przenikliwym, badawczym wzrokiem. Ubrany był w wełniany, szary chałat, jaki noszą rzemieślnicy. Nazywają Go Jezusem, synem Józefa. Przyszedł z miasteczka Nazaret w Galilei. Jest cieślą. Dołączył do zbieraczy daktyli i pomógł Maciejowi.

W czasie przerw w pracy rozmowa schodziła na temat Mesjasza, którego gmina oczekiwała, podobnie jak cały Izrael. Zdaniem Jezusa Mesjasz już przyszedł. Powołując się na wypowiedzi proroków, szczególnie Izajasza, dowodził, że droga do pojednania świata z Bogiem musi prowadzić poprzez Ofiarę. Cytował słowa trudne, wieloznaczne, mówiące o upokorzeniach, trudnościach i bólu. Następnie zaczął mówić o Zmartwychwstaniu. Jego słowa miały dla Macieja moc urzekającą, otworzyły przed nim jakieś dziwne światy. Zdumiony zastanawiał się, kim może być ten Człowiek, tak inny, tak zagadkowy. Dyskutował z Nim żarliwie, czasem podnosząc głos:

— Skąd wiesz — pytał — że Mesjasz już się zjawił i że słowa proroków tłumaczysz sobie trafnie?

Zaciekawieni dyskusją zaczęli schodzić się inni, pracujący przy kilku najbliższych drzewach. Nazareńczyk uśmiechał się z dobroduszną — jak wydało się Maciejowi — kpina, jak ktoś, kto zna tajne znaki pisma innym niedostępne. Skąd można znać — zapytał jeden z robotników — wolę Adonai? Mówi się, że Mesjasz będzie uzdrawiał świat, ale nikogo nie uzdrowi wbrew jego wierze. Nadzorca robót ogłosił koniec południowej przerwy i wszyscy pobiegli do drzew. Był to ostatni dzień przed szabbatem. Spieszyli się, by zdążyć z dziennym zbiorem jeszcze przed zachodem słońca. Tuż przed końcem pracy zdarzył się jednak wypadek.

Teraz — gdy przypomina sobie to wydarzenie i splot następstw jakie wywołało — rodzi się w nim pytanie, czy siedziałby tutaj w domu Szymona Garbarza wśród zwolenników Jezusa bar Nash, gdyby nigdy nie miało ono miejsca? Czy też słowa Nazareńczyka zacierałyby się po Jego odejściu równie nieuchronnym, jak przyjscie? Czy było to przypadkiem? Czy przeciwnie: zrządzeniem Tajemnicy, która sprawiła, że musiało się to zdarzyć i postawić przed Maciejem wybór?

Odżywa w jego pamięci krzyk wyrażający przerażenie i ból. To jeden z robotników, niejaki Judasz z Kariotu, człowiek już niemłody i bez rodziny, pośliznął się przy schodzeniu z drzewa i spadł, a teraz leży wijąc się z bólu.

Robotnicy przybiegli i otoczyli gęstą ciżbą chorego, którego krzyk niósł się daleko w pustynię. — Trzeba go przenieść do obozu.

Kilku natychmiast pobiegło, by zrobić nosze z trzciny. Reszta siedziała bez ruchu, przyglądając się z ciekawością leżącemu.

— Czy nie widzicie — krzyknął, gdy wśród robotników podniosły się szepoty — że słońce już zachodzi? Zaraz zacznie się szabbat, a powiedziane jest: „Nie będziesz podróżował w dzień sobotni”. Jeśli zaczniemy go z sobą taszczyć, szabbat zaskoczy nas w drodze.

— W takim razie — powiedział nadzorca robót — bardzo nam przykro, ale będziemy musieli zostawić cię tutaj, Judaszu, i sami iść stąd szybko, bo już i tak dużo czasu straciliśmy.

— W każdym razie nie można go zostawić samego — powiedział nieśmiało ktoś z ciżby.

Nadzorca spojrział mu w oczy surowo i z ironią.

— Trzeba, żeby ktoś z nim został — poparł tamtego jakiś głos kobiecy.

— Co to ma znaczyć? — wrzasnął nadzorca — już tak dawno przestaliście być gerim, a nie wiecie, że każdy ezrach obowiązany jest do trzech czynności wieczornych: rozmyślań nad Regułą, modlitwy i wspólnej uczty? Kto dziś pobłogosławi twój chleb, gdy tu zostaniesz? — Łagodniej, już odchodząc, dodał — o tobie, Judaszu, będziemy myśleć w czasie modlitw. Idziemy!

Zaczęli zbierać się szybko do odejścia.

— Prędeż! — wrzasnął znów nadzorca — chcecie spędzić ten szabbat w pustyni?

Nagle odezwał się milczący dotąd Nazareńczyk:

— Szabbat jest dla człowieka, a nie człowiek dla szabbatu.

Nadzorca robót w swym zielonym chałacie kapłańskim, niski, rozkraczony podobny był do nadętej zielonej żaby. Wytrzeszczył oczy z wyrazem tak wielkiego zdumienia, że jego twarz przybrała wyraz nieco tępy. Małe pulchne rączki ścisnęły się w pięści i rozkurczały nerwowo. Nie przyzwyczajony do tego, by ktoś ośmielał się kwestionować jego słowa i rozkazy, zagubił się i nie wiedział, co odpowiedzieć. Nagle odzyskał pewność.

— Precz stąd! Ty, synu Beliala, który odciągasz synów światła od szabbatu i buntujesz przeciwko nauce starszych i kapłanów. Już donoszono mi o Tobie. Powiedziane jest w Regule — zwrócił się do robotników, jakby chcąc ich wziąć na rozjemców nagłego sporu — że w sobotę nie wolno ani podróżować, ani wyciągać sznurami lub drabiną tego, kto wpadł do dołu, więc też, rzecz jasna, ciągnąć za sobą noszy w podróży.

Jego tęga twarz, spotniała z wysiłku, drżała. Gestykulował i groził pięściami Nazareńczykowi i słuchającym, wśród których podniósł się pomruk oburzenia na Jezusa bar Nash. Wydawało się jednak, że to Go nie przeraża. Jego zdaniem to samo mówią uczeni peruszim. Czy jednak nie wyciągną w szabbat swojego osła, żeby nie ponieść straty? Po co więc ta obłuda?

— Bądź przeklęty, nieczysty, który nie masz dostępu do synów światła. O jakże słusznie powiedziane zostało w Regule: „Nienawidzić synów ciemności”!

Podniósł się szmer. Stojący przeklinali głośno Jezusa bar Nash i wygrażali Mu pięściami. Ktoś plunął. Nazareńczyk jednak podniósł obie ręce w górę, jak czynią mówcy, chcąc uciszyć tłum: przyszedł do nich, ponieważ słyszał wiele dobrego o tym, co się tu mówi i czyni, ale należy oddzielić ziarno od plewy — i On to zrobi. Ziarno zatrzyma, plewy jednak odrzuci. Oni bowiem, choć nazywają siebie ebionim, ubogimi, w duchu nie przestali być wyniośli.

Przerwał mu wrzask oburzenia, więc tylko wskazał palcem na Kariotczyka. Nadzorca pochylił się i chwycił kamień.

W momencie jednak, gdy uniósł rękę, Maciej podbiegł i wykręcił mu ją do tyłu. Rzucili się na niego i przewrócili na ziemię, ale kamień wypadł z ręki, a nad-

zorca patrzył przerażony to na wiernych sobie esenczyków, to na tych, którzy stanęli na uboczu, jak gdyby biorąc stronę Macieja, to wreszcie na Jezusa bar Nash.

— Jestem kapłanem — powiedział niespodziewanie spokojnie do Macieja. — Dotknąłeś mnie, więc muszę się oczyścić. Czy nie wiesz, że nie wolno tobie, człowiekowi z grupy ezrach dotykać braci z pozostałych grup, wyższych?

Strzepnął palcami. Był to ruch oczyszczenia, jakiego używali zazwyczaj uczeni peruszim. Zrzucił zielony kapłański chałat i w przepasce na biodrach wbiegł do sadzawki.

— Za to, co się stało — zawołał — zapewniam cię, że rada starszych odbierze ci prawa ezrach co najmniej na rok!

Pod wpływem postępu Macieja uspokoił się, jakby się opamiętał. Był w gruncie rzeczy dobrodusznym, nawet jowialnym człowiekiem lubiącym słodczyce, szczególnie prasowane daktyle. Trzymał ich zawsze garść w kieszeni chałatu. Podczas przerw w zbieraniu opowiadał chętnie i z dużą swadą o krajach, jakie zwiedził jako były prasowacz wysoko ceniony na rynkach niewolniczych w Byblos, Damaszku i w Syrakuzach. Teraz niewiele brakowało, by skazał kogoś na śmierć, za to, że Tamten był odmiennego zdania niż on sam. Zastanowiło Macieja, jaki był, jak wyglądał ten człowiek wtedy właśnie, gdy nie miał jeszcze czterdziestu robotników gotowych wykonać każdy jego rozkaz na jedno skinienie.

Maciej dostrzegł w kącikach ust Nazareńczyka przekorny, lekki uśmiech. Nadzorca wyszedł z wody i otrząsał się na brzegu. Wydawał się zmieszany.

Za wiele powiedziałem — mruczał — podczas gdy napisane jest: „Ukrywać Regułę synów światła przed synami ciemności”.

Czym się różnimy — nagle objawiło się Maciejowi — od uczonych chawerim? Oni też nienawidzą wszystkich, którzy są poza ich gronem, uważają natomiast za braci wyłącznie innych peruszim. Przyszło mu na myśl, że zapatrzony w świat, jaki za sobą zostawił, nie dostrzegł, że kapłani, lewici i nadzorcy tu, w Chiribet Qumran, są jeszcze bardziej napuszeni i pewni swej czystości niż obłudni uczeni w Piśmie rabbim. Żaden z owych pysznych doktorów nie obmywałby się po dotknięciu amhaareca czy zgoła nawet poganina tak gruntownie, jak to czynił przed chwilą nadzorca — jego brat, jego współtowarzysz w gminie. Naraz zrozumiał, że nie przestał być amhaarecem, jest nim w dalszym ciągu, może nawet bardziej niż kiedykolwiek przedtem w świecie, który opuścił. Czyżbym się pomylił? — pomyślał. Czy jest możliwe pomylić się, aż tak bardzo? Nazareńczyk mówił, że nikt nie zapala światła i nie przykrywa go garnkiem ani nie stawia go pod łóżem; przeciwnie, stawia je na świeczniku, ale jeśli nasze światło jest złudą — zjawiała się przed Maciejem myśl — podobnie jak złudą ciemność synów ciemności, prawość niezłomnie prawych i nieczystość amhaarecim? A jeśli tak, to czym jest światło?

Wydało mu się, że przepisy Reguły w których słuszność dotychczas wierzył, są jak ziemia usuwająca się mu spod nóg. Czuł z przerażeniem, że otwiera się przed nim próżnia i że spada w nią nie trzymany żadnymi więzami. Zostawił za sobą gminę. Znow był sam.

Nadzorca znow przyjrzał się Nazareńczykowi.

— Odejdź stąd — powiedział. — Przez Ciebie będziemy musieli biec. Patrz, już słońce chowa się za horyzont.

Jezus bar Nash wykonał ruch głowy w stronę Kariotczyka i oświadczył, że zostanie przy nim.

— Możesz zostać — syknął nadzorca — ale po szabbacie, żeby Cię tu nie było — dodał w stronę Macieja: — A jeśli ty także spróbujesz zostać, możesz nie wracać potem do obozu. Nie będzie po co.

Ruszyli biegiem w stronę Chiribet Qumran. Maciej odwrócił głowę i patrzył na malejącą postać Cieśli. Wreszcie zniknęły drzewa oazy Ain Feszha i zostały tylko skały pustyni Judzkiej, czerwone od zachodzącego słońca. Gdy po szabbacie przyszli, by zacząć nowy tydzień, nie było już w oazie Jezusa ani też Kariotczyka.

* * *

Spod przymkniętych oczu patrzył na Jezusa bar Nash. Widział jak pot spływa Mu po twarzy i wsiąka w czarną brodę. Obok siebie słyszał oddechy Jana i Szymona Kefasa i jego samego ogarniała senność: nie spał już drugą noc. Napięcie nerwów, niepokój, lęk i gorycz stępsiały teraz w jedno uczucie: znużenia. Walczył całą siłą woli ze snem, wiedział jednak, że za chwilę mu się podda. Usłyszał szept:

— Abba, Ojcze, wszystko dla Ciebie możliwe; oddal ten kielich ode mnie; lecz nie co ja chcę, ale co Ty.

Spoczywała przed nim uśpiona Jerozolima, nad sobą miał pnie oliwek. O tej porze ustronny sad Getsemani wydawał się oazą spokoju, gdzie znika znużenie, a oddech we śnie staje się równomierny, a jednak jaka to groza spadła na Człowieka, który leży o kilka kroków od niego, od Jakuba Boanerges?

Przed chwilą Człowiek ten wstał i chwiejąc się podszedł. Pochylił się nad Szymonem Kefasem.

— Szymonie, śpisz? — zapytał. — Nawet jednej godziny czuwać nie mogłeś?

— Szymon w półśnie odwrócił się i coś krzyknął. Jan leżał pogrążony we śnie podobnym do śmierci.

— Czuwajcie — powiedział głośno Jezus bar Nash — i módlcie się, abyście nie popadli w pokusę.

Wtem Jakub dojrzał Jego twarz i to na moment wybiło go z półsnu. Omal nie krzyknął. Z porów skóry Jezusa bar Nash wypływały kropelki krwi; drżał na całym ciele. Groza ścisnęła Jakubowi gardło. Chciał zerwać się, biec, wołać

o pomoc. Jezus spojrział mu w oczy. W Jego wzroku było coś niewyobrażalnie smutnego.

Jakub Syn Gromu zaniknął oczy. Czuł nierówne, gwałtowne bicie serca. Jezus odszedł, lecz Jego wzrok wciąż palił, jak gdyby Mistrz stał jeszcze przed nim i sięgał spojrzeniem do samego dna jego duszy, widząc w niej wszystko zło, za które przyszedł zbawić Jakuba przed Panem.

Wtem Jezus krzyknął i zarzucił chustę na głowę. O czym myślał? Czego się lękał? Co się teraz w Nim działo i czemu kazał im czuwać? Był samotny i potrzebował ich? To wydawało się prawdopodobne, a jednak wyglądało zbyt prosto. Co miał na myśli, mówiąc o pokusie? Czy to, że Szymon, Jan i on, Jakub Boanerges mogą stać się bezbronni? A jeśli tak, co to mogła być za pokusa?

Coś działo się, rozgrywało się coś wielkiego tu, w tej ciszy ogrodu Getsemani. Jakub był pewny, że nie pozna tego nigdy, że go to przerasta w sposób, którego nie potrafiłby określić. On jest Mesjaszem — pomyślał — Zbawcą, czy więc ogarnia teraz w jednym ułamku chwili całe zło świata? Zło, jakie było, jest i będzie aż do chwili ostatecznego sądu nad ludzkością, której Pan zostawił prawo wolnego wyboru: bunt każdego Adama i zbrodnię każdego Kaina? — a wobec tego przeżycia wszystkie słowa wydają się miałki, nieporadne, nędzne i niegodne, bo czy jest słowo, którym można by je oddać? Czy jest milczenie, którym można by je wyrazić?

Wydał się sobie bezradny i mały — on, świadek chwili, do której nie dorósł, równocześnie zaś ogarnął go żal, jakiego dotąd nigdy nie doznał. Niósł on w sobie żądzę pokuty i oczyszczenia, lecz nagle zapanował nad nim sen.

Zerwał się półprzytomny. Obudził go hałas. Szymon i Jan obudzili się również. Ujrzał postacie otaczające półkolem miejsce, na którym stali. Rozróżnił wśród nich znajomą twarz Judasza.

— Witaj, Mistrzu.

W nagłej ciszy, jaka zapadła, jego pocałunek był jak pierwszy policzek wymierzony Jezusowi bar Nash.

* * *

Wędrował ulicami miasta, noc była ciepła, duszna. Kozioł ofiarny — pomyślał naraz — na którego składa się wszystkie grzechy, a więc i te popełnione myślą, czyli pragnienia sekretne, wstydlive, przestępcze, paradoksalne, jakie ma cały naród i każda z istot w tym narodzie. Rzymianie uczynili go swoim kozłem, składając nań winę za morderstwo Barucha bar Symeona. Na moment ujrzał jego twarz, tyle że teraz w osobliwy sposób miała ona rysy Jezusa bar Nash, nie! — jego własne rysy. Twarz człowieka zwanego czterdziestym pierwszym!

Uprzytomnił sobie własne położenie i to, że już od dawna musi być śledzony. W chwili, gdy ta trójka: przyjaciel cesarski, Hegezynos i Trasyllós zaczęła zbierać

ponownie dowody przeciw bar Abbie, jako sprawcy pośliznięcia się Barucha bar Symeona, wiedział, że zginie. Przeczuwał to — Judea jest kotłem śmierci i lęk tlił się w nim, jak mały brudny ogieniek. Przyszło mu na myśl, że może warto by się ukryć teraz wśród sztyletników w górach. Odrzucił ją jednak. Było już za późno. Mordercę Barucha usunął on sam, XLI, w swej psiej, wiernej głupocie i teraz jest jedynym świadkiem całej sprawy, żywym jeszcze — dodał w myślach — świadkiem.

Przez pewien czas wydawało mu się, że służąc tym wszystkim Rzymianom i Rzymogrekom i doszedłszy do stanowiska setnika, zbliżył się do nich, a nawet do pewnego stopnia z nimi utożsamił. Teraz rozumie, że był dla nich obcy i nigdy nie przestał być niewolnikiem, tubylcem. Być może, nawet pogardzali nim w głębi duszy za to, że tak gorliwie służy im przeciw swoim. W każdym bądź razie strzegli się przed dopuszczeniem go do swoich spraw. Całkiem jasno uprzytomnił sobie, że musi zginąć. Był świadkiem lub zgoła narzędziem, które wyrzuca się, gdy straci użyteczność.

Zamyślony wyszedł poza miasto i stał teraz na wzniesieniu, skąd miał przed sobą widok trzech dróg schodzących do Cedronu z góry Oliwnej, łączących się zaś przed ogrodem Getsemani. Za potokiem droga szła znów w górę, do Świątyni — rozdzielając się w kierunku bram, wschodniej zwanej Złotą oraz północnej Owczej, wychodzących na portyki Świątyni. Zaczął iść w kierunku ogrodu Getsemani. Patrzył na widok roztaczający się przed nim, chciał go wchłaniać w siebie jak najdłużej, by każdy szczegół utrwalił się w jego mózgu. Zauważył, że już od dłuższej chwili dwaj ludzie, których twarze znał dobrze, zatrzymują się, kiedy przystaje, przyśpieszają kroku, gdy zaczyna iść prędzej. Na górze Oliwnej, gdzieś na wysokości ogrodu Getsemani, wybuchł zgiełk. Ktoś się awanturował. Krzyczano o pomoc. Naraz zapadła cisza.

Uświadomił sobie, że chciałby raz jeszcze zobaczyć Jezusa bar Nash. Dzięki Niemu świat przez moment wydał mu się lepszy. Zaprawdę — pomyślał — On jest Synem Bożym zapowiedzianym przez Izajasza, sprawiającym, że człowiek staje się oker harim: przenosicielem gór. Zaśmiał się przekornym, mądrym śmiechem. Spostrzegł, że dwaj ludzie, którzy w mroku stali się już smugami cienia, nieco zbliżyli się. Podobnie zresztą, jak zgiełk i wrzaski zstępujących z góry Oliwnej, a potem wchodzących pod górę w kierunku bramy Złotej, drogą równoległą do tej, którą szedł.

Naraz zobaczył przed sobą człowieka, biegnącego z wysiłkiem pod górę. Ku zdumieniu czterdziestego pierwszego był całkiem nagi. Gdy zbliżył się, XLI rozpoznał, że był to całkiem jeszcze młody chłopiec. Strugi potu spływały mu po twarzy. Naraz XLI uświadomił sobie, że to już nastąpiło.

Położył rękę na ramieniu chłopca, który chwiał się ze zmęczenia. Ścigają go — pomyślał — a on zostawił w ich ręku płaszcz.

— Jak masz na imię? — spytał.

— Czego chcesz?

— Jesteś uczniem Jezusa bar Nash? Tamten strząsnął z siebie rękę.

— Puść mnie!

XLI ściągnął chałat i owinął nim chłopca.

— Kim jesteś — zdziwił się tamten, że mi pomagasz?

— To nieistotne. Czy to prowadzą Jezusa bar Nash? Tamten nie odpowiedział, a może tylko XLI nie zwrócił uwagi na odpowiedź, która mogła być tylko jedna. Przeszedł przez kładkę i krocząc z wysiłkiem pod górę, dotarł do ogrodu Getsemani. W ciemnościach pnie oliwek i gałęzie były jak ręce wzniesione do nieba w milczącym patosie rozpacz i lęku.

Teraz było tu pusto. Dwaj ludzie w tyle, dwie smugi cieni zbliżyły się i wiedziały, co to znaczy.

* * *

Eleazara opanowało zniecierpliwienie, równocześnie zaś rodzaj satysfakcji, przypuszczał, że tak będzie: obaj wielce czcigodni rabbim Joel oraz Nachum popkpią sprawę, sprowadzając przed grono najpoważniejszych ludzi Izraela te kreatury, z których już trzecia wezwana do składania zeznań, przeczy pozostałym. Teraz po krótkiej przerwie, w której nikomu z Siedemdziesięciu jakoś nie chciało się zabierać głosu, wchodzi czwarta: człowiek niepozorny, bezbarwny z olbrzymią naroślą na policzku, ubrany zbyt schludnie, by ubiór ten mógł być jego codziennym strojem, a nie przywdzianym na tę szczególną okazję.

KAJFASZ:

— Słyszałeś o tym, co mówił ten Człowiek o zburzeniu Świątyni?

ŚWIADEK CZWARTY *głosem zachrypłym, spryciarskim dialektem przedmieść:*

— Słyszałem. Podobno powiedział, że kamień na kamieniu nie zostanie, a potem własnoręcznie zbierze te kamienie.

RABBI JÓZEF Z ARYMATEI, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Czy słyszałeś to na własne uszy?

ŚWIADEK CZWARTY *pewny siebie, wrzaskliwie:*

— Stałem tuż obok Jezusa bar Nash. Chwytałem w locie Jego słowa.

RABBI JÓZEF Z ARYMATEI:

— Czemu w takim razie użyłeś słowa: podobno?

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Upraszam czcigodnego rabbi Józefa o nie peszenie świadka, którego oczywisty brak wykształcenia nie pozwala mu wysłowić się w sposób właściwy.

ELEAZAR, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— A ja sędzę, że otrzymał już pewne wykształcenie wszelako nie gruntowne. Protokolant notujący przebieg przesłuchania zapisuje w tym momencie: „śmiechy”.

Po co to powiedziałem? — myśli Eleazar — zrobiłem sobie wroga w Joelu, a co gorsza w tym zawsze pełnym tupetu, przebiegłym Nachumie. Zresztą może niepotrzebnie utrudniam mu rolę, skoro zostało postanowione, że ten Jezus bar Nash musi zostać skazany. Czy to ma znaczyć jednak, że wolno już robić z Synhedrionu grono mrugających porozumiewawczo spiskowców? Jakiegokolwiek by były nasze poglądy na temat tego Człowieka, prawo powinno być respektowane.

Równocześnie zaś nie wydało mu się prawdopodobne, by sam Joel Postnik zorganizował to żalosne widowisko. To człowiek bez wątpienia chory z nienawiści, jednak aż do tego by się nie posunął. To Nachum, ten świętoszek, i jego pomocnicy ściągnęli tu tych ludzi — z wyglądu sądząc, męty.

RABBI GAMALIEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Stawiam wniosek, by prześwietny Synhedrion nie dawał wiary wywodom świadka.

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Pomimo całego szacunku dla rabbi Gamaliela protestuję. Świadek się przejęzyczył.

ELEAZAR, STRONNICTWO KAPŁANÓW:

— Przy podobnych przejęzyczeniach wyrywano niegdyś świadkowi język.

W myślach:

Znowu to samo! Niepotrzebnie mu się narażam. Zapamiętał już sobie Józefa z Arymatei, teraz zanotował w pamięci mnie. Widziałem jego spojrzenie. Rabbi Gamaliel jest dlań niedosiężny ale na mnie może zechce się mścić.

Było w nim jednak coś, co kazało mu zaprotestować. Wyrywano język u pogan za krzywoprzysięstwo. Aluzja jest aż nazbyt przejrzysta. To jednak swoją drogą bezczelność — pomyślał — sprowadzać przed Synhedrion takie typy. Jeśli prześwietne Zgromadzenie da wiarę ich świadectwom, okaże się gorsze od sądu pogan. Czy to chciałem powiedzieć?

KAJFASZ:

— Przychylam się do zdania dostojnego rabbi Gamaliela. Zarządzam wprowadzenie następnego świadka.

Protokolant notujący przebieg przesłuchania zapisuje w tym momencie: „Wprowadzono człowieka zwanego Hiobem. Trudni się sprzedażą wody”.

KAJFASZ:

— Czy na własne uszy słyszałeś, co powiedział Jezus nazywający siebie Synem Człowieczym o Świątyni?

ŚWIADEK PIĄTY: CZŁOWIEK RÓWNIE JAK POPRZEDNI NIEPOZORNY, O BIEGAJĄCYCH, PODEJRZLIWYCH OCZACH:

— Słyszałem. Powiedział, że w ciągu trzech dni ją zburzą, a w ciągu następnych trzech dni odbudują.

RABBI GAMALIEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Padło tu słowo „zburzą”. Kto mianowicie?

ŚWIADEK PIĄTY *pocierając nerwowo dłonie*:

— Rzymianie.

RABBI JÓZEF Z ARYMATEI, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Zwracam uwagę na ponowną niezgodność zeznań świadka z zeznaniami świadków poprzednich. Stawiam wniosek o odczytanie odnośnych partii zeznań świadków pierwszego i trzeciego.

RABBI NATANAEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Proszę prześwietnego arcykapłana Świątyni o uchylene tego wniosku. Dostojny rabbi Józef wyraźnie chwyta świadka za słowa.

ELEAZAR *w myślach*:

To chyba jednak zła taktyka. Poza nimi dwoma, Nachumem i Natanaelem, nikt nie ma odwagi występować w obronie tych świadków. Nawet rabbi Joel pomimo swojej nienawiści opuścił głowę i jest wyraźnie zdenerwowany. Widocznie nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy.

KSIĄŻĘ SYDKIASZ, REPREZENTANT ARYSTOKRACJI:

— Jestem również zdania, że ponowne powtarzanie tych zeznań — o ile je tak można nazwać — mija się z sensem.

RABBI GAMALIEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Pomimo to przychyliam się do wniosku rabbi Józefa.

KAJFASZ:

— Polecam odczytać te partie zeznań świadków pierwszego i trzeciego, które odnoszą się do słów Jezusa o zburzeniu Świątyni.

ELEAZAR *w myślach*:

Nie, Synhedrion jeszcze nie stracił szacunku do siebie! Trudno jednak nie zauważyć, że gdyby nie Gamaliel, przyjęlibyśmy może brednie tych figur za dowód obciążający Oskarżonego my, najwyższy sąd Izraela!

Liczył rozglądając się po sali: Gamaliel, Józef z Arymatei, powiedzmy ja sam, w pewnym sensie także Nikodem — czterech, którzy zdobyli się na odwagę, by zatrzymać tę lawinę niesmacznych kłamstw i grubego krętactwa w jej biegu. Jakże gruboskórnie zostało to wszystko urządzone! Dlaczego jednak odważyło się zabrać głos tylko nas czterech? Reszta milczy, chociaż wszyscy czujemy się jednakowo upokorzeni. Jesteśmy sędziami Izraela, czego się boimy? A może to nie strach? Może nienawiść?

Słownie:

— Zgłaszam poprawkę. Proponuję nie odczytywać zeznań, lecz wymienić, kto według świadków miał zburzyć Świątynię i kto ją odbudować. Sam termin trzech dni nie budzi, zdaje się, wątpliwości?

KAJFASZ:

— Przyjmuję poprawkę kapłana Eleazara.

PROTOKOLANT:

— Według pierwszego świadka zburzyć mieli Świątynię Partowie, natomiast odbudować miał fałszywy Mesjasz, czyli On, Jezus. Według drugiego — zburzyć Świątynię miał Jezus bar Nash i po trzech dniach, również On, odbudować.

ŚWIADEK PIĄTY *dezorientowany, patrząc na rabbi Nachuma, który odwraca wzrok:*

— Już teraz przypominam sobie! Zburzyć mieli Świątynię Partowie, a odbudować Rzymianie.

KAJFASZ:

— Polecam wyprowadzić świadka. Przeczy sam sobie.

ELEAZAR *w myślach:*

Jeśli jednak Gamaliel, co stać się może, już niedługo umrze. . .

RABBI NIKODEM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Bardzo żałuję, ale ci świadkowie robią na mnie wrażenie. . .

RABBI JÓZEF Z ARYMATEI:

— Ludzi podstawionych, chciałeś powiedzieć? O, tak! Zgadzam się z toą.

ELEAZAR *w myślach:*

Nie, Nikodem zapewne nie chciał tego powiedzieć aż tak ostro. To człowiek raczej ostrożny, a jednak nareszcie zostało ujęte w słowa to, o czym wszyscy wiemy. Nie wystarczyło odesłać tych świadków, należało jeszcze powiedzieć głośno: to oszuści!

RABBI JONATAN, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH *do swego szwagra, księcia Sydkiasza, szeptem:*

— Ciekaw jestem, co teraz uczyni rabbi Joel? Nie możemy przecież tak po prostu zabrać się stąd i pójść.

KSIAŻĘ SYDKIASZ *również szeptem:*

— Wypuścić, myślisz, Jezusa bar Nash?

RABBI JONATAN:

— Co za bzdura! W jaki sposób jednakże Go skazać?

KSIAŻĘ SYDKIASZ:

— Świadkowie wprawdzie niewiele mieli czasu. . .

ANANIASZ *również szeptem:*

— Lepiej go nie broń. On miał czas.

KSIAŻĘ SYDKIASZ:

— O Joelu myślisz? To człowiek chory.

ANANIASZ:

— O Natanie.

ELEAZAR *w myślach*:

Nachum i Natanael, to hieny, to ludzie, którzy pójdą prosto do celu jakąkolwiek drogą. Czy nikogo to już nie obchodzi spośród tych wszystkich, którzy tu milczą, wymieniając swoje myśli tylko szeptem? Czyżby Synhedrion upadł już tak nisko?

KSIAŻĘ SYDKIASZ *głośno*:

— Prawnie rzecz biorąc, nie ma podstaw do wydania wyroku.

RABBI NACHUM, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— Jeśli jednak zbrodniarz jest tak przebiegły, że potrafi nie naruszać wprost prawa, czy nie należy właśnie postąpić wbrew prawu, by je zachować?

RABBI GAMALIEL, STRONNICTWO NIEZŁOMNIE PRAWYCH:

— To niebezpieczna zasada, czcigodny, i zbyt ogólnie sformułowana. Chcesz powiedzieć, że ceną ochrony prawa może być bezprawie?

RABBI JÓZEF Z ARYMATEI *do sąsiada, tak głośno jednak, że słyszy to cały Synhedrion*:

— A ściślej, że można uczynić je prawem.

KAJFASZ *do Jezusa bar Nash*:

— Nie odpowiadasz? Co znaczą te zarzuty, jakie ci czynią?

KSIAŻĘ SYDKIASZ *szeptem do Ananiasza*:

— Niemądre pytanie. Co On może na coś takiego odpowiedzieć?

RABBI JOEL *szeptem do rabbi Nachuma*:

— Wciąż odnoszę dziwne wrażenie, że to ten zuchwalec nas sądzi. Jego uparte milczenie nie wygląda na strach.

Głośno:

— Nie chce się bronić przed zarzutami, bo lekceważy świadków i nas, sędziów!

KAJFASZ *do Jezusa bar Nash stojącego dotąd w milczeniu z chustą nasuniętą na głowę*:

— Poprzysięgam Cię na Boga żywego: powiedz nam, jesteś Ty Chrystusem Synem Bożym?

JEZUS BAR NASH *oparty dotąd o ścianę, teraz odrywając się od niej i zsuwając przy tym chustę z głowy*:

— Tak, jestem nim. Ale powiadam wam: odtąd oglądać będziecie Syna Człowieczego siedzącego po prawicy Wszechmocnego i przychodzącego na obłokach niebieskich.

Dalszy ciąg słów utonął w ryku. To Kajfasz, naraz z pianą na ustach, tocząc oczami i rozrywając na sobie biało-złotą szatę najwyższego kapłana:

— Zbluźnił. Na cóż nam teraz jeszcze świadkowie?

ELEAZAR *w myślach*:

To przynajmniej zostało nieźle odegrane. Czuje się rękę starego Ananiasza. Teraz więc nareszcie możemy rozejść się do domów. Jakże jestem załgany! W gruncie rzeczy przecież chodziło mi o pozór, byle tylko w miarę przyzwoity!

A więc teraz — rozważał — nie będziemy już zabójcami. Ten człowiek oddał się w nasze ręce, a jednak to Kajfasz sprowokował bluźnierstwo, a my wszyscy czekaliśmy na nie.

Postanowił jeszcze przed snem wziąć ciepły natrysk.

Rozmyślanie przerwał mu ostry, zaczepny głos:

— Ty nie rozdierasz szat, kapłanie Eleazarze? Rabbi Nachum bar Goria stał przed nim rozkraczony, opasły, mrużąc oczy, co nadawało jego twarzy wyraz złośliwy i arogancki. Przyglądał mu się wyzywająco, kołysząc się na piętach. Spod rozdartego chałata wyglądała owłosiona, tłusta pierś.

— Jadłeś coś wczoraj, czy z głodu puchniesz tak, rabbi? Nachum bar Goria odwrócił się i odszedł. Znowu błąd — pomyślał Eleazar — nie dość, że okazałem się w jego oczach stronnikiem Jezusa bar Nash, to jeszcze teraz zdrwiłem z jego zakłamania, a jednak nie potrafiłem i od tego się powstrzymać. Zbyt wiele już narosło hipokryzji, by można było zawsze milczeć. Jeśli umrą Gamaliel, Ananiasz i Joel, taki Nachum może zostać głową Synhedrionu, a Natanael jego prawą ręką.

Znów uprzytomnił sobie tę możliwość, po raz czwarty żałując, że stawił się dzisiejszej nocy na posiedzenie Sądu.

Chciał odsunąć od siebie tę myśl, jednak uparcie powracała: tego typu ludzie miewają na ogół niezłą pamięć, a ponoszone klęski — takie choćby, jak dzisiejsza — nie łagodzą ich serc, a przeciwnie, czynią je jeszcze bardziej twardymi. Nachum jest ambitny i prymitywny, i bynajmniej nie tak miękki, jak Kajfasz.

Rozdarł szatę. Był to gest spóźniony. Wyglądało tak, jak gdyby dotąd się wahał, czy uznać słowa Jezusa bar Nash za bluźnierstwo. Słyszał trzask rozdieranych chałatów i stukot głów uderzających o pulpity. Skąd on bierze tyle pewności siebie? — rozmyślał. Dlaczego nawet ci nędzni świadkowie nie zdołają zachwiać jego powodzeniem, skoro nawet Jezus bar Nash przychodzi mu w pomoc, sam wydając się w ręce Synhedrionu? Ja, Eleazar, znam tragedie Eurypidesa i pieśni Horacjusza, mówię po persku, armeńsku, po łacinie i po grecku, a jednak ten niedouczony obłudnik, o horyzontach nie wychodzących poza Judeę budzi we mnie strach, a nie odwrotnie.

Przyszło mu na myśl, że pomimo swego lenistwa i sceptycyzmu nie zdobyłby się na to, by postawić fałszywych świadków, zapewne kryminalistów, przed Najwyższym Trybunałem sądzącym bluźniercę wprawdzie, lecz Człowieka — o ile się można zorientować — uczciwego, który bezsprzecznie wierzy w swoje słowa.

Drzwi się otworzyły i wpadli woźni Synhedrionu oraz policjanci Antypasa. Zapewne Nachum już wydał odpowiednie instrukcje, bowiem ludzie ci nieśli z sobą batogi i drągi, wyraźnie przygotowane uprzednio. Rzucili się na Jezusa bar Nash;

Eleazar patrzył, jak pod ciosami ich pięści i batów twarz Skazanego zaczyna krwawić.

Ale co to znaczy być leniwym? — rozmyślał. — Uważać coś za niewarte zachodu? Może potrafiłbym się bronić sceptyczną ironią, która z kolei byłaby niedostępna dla człowieka pokroju Nachuma, sam żart jednak jest żalosną bronią. Kto się będzie śmiał z Nachuma, gdy ten będzie miał siłę? Ci, którzy mają siłę nie są śmieszni. Śmieszni są ci, których oni skazują z zemsty na śmierć. Nie, łajdactwu trzeba przeciwstawić ideę, wiarę! Skąd jednak ma ją w sobie wziąć on, Eleazar, dla którego każda prawda jest względna i w gruncie rzeczy nie warto o nic walczyć?

Naraz przyszedł mu na myśl Szaweł. Mówią o nim, że jest nadzieją Synhedrionu. Równie energiczny jak Nachum, ale uczciwy, czysty. Gdyby tu był on, który tak przecież nienawidzi Jezusa bar Nash, nie dopuściłby do farsy ze świadkami i jawnej kpiny z Najwyższego Trybunału. Szaweł to jasny żarliwy płomień wystrzelający w górę — to Abel. Nachum — to brudny dym snujący się po ziemi: Kain. Jeśli Szaweł wejdzie kiedyś do Synhedrionu, będzie krzyczał głośniejszy niż Gamaliel, głośniejszy niż Józef z Arymatei i głośniejszy niż on sam, Eleazar. Tym swoim krzykiem może poruszy Najwyższą Radę i uratuje nas wszystkich przed milczeniem, a niektórych przed gniewem Nachuma. Czy to jednak nie Kain zabił Abła? Z drugiej strony — czy zbrodnia musi się powtarzać?

Patrzył, jak rabbi Nachum podszedł do Jezusa i trzykrotnie plunął Mu w twarz, a potem głośno roześmiał się brutalnym, obraźliwym śmiechem. Zawtórowali mu woźni i policjanci Antypasa. Po chwili zaczęli uśmiechać się dostojni członkowie Wielkiego Trybunału. Cała sala huczała śmiechem i w tym śmiechu stał Jezus bar Nash.

Podeszli rabbi Jonatan wraz z saduceuszem Saddkiem i obaj za przykładem Nachuma, wciąż śmiejąc się z oburzeniem i pogardliwie, plunęli na Nazareńczyka.

— Zabierzcie Go stąd — rozkazał Kajfasz. I po chwili:

— Czy jest tu ktoś — zapytał — kto wobec tego bluźnierstwa, jakie usłyszeliśmy, byłby innego zdania niż to, że Człowiek ten winien jest śmierci?

Eleazarowi wydało się, że na moment cały Synhedrion, Jezus bar Nash i pacholcy stali się figurami gigantycznej rzeźby: czcigodni mężowie w grupkach przy pulpitych, Jezus bar Nash trzymany pod ręce przez dwóch woźnych, rabbi Natanael zamierzający się pięścią do ciosu. Dopiero w następnej chwili ta zakłęta w bezruchu grupa ożyła: pięść spadła na twarz, pacholcy szarpnęli Jezusa do tyłu, czcigodni mężowie, stojąc, podnieśli dłonie do góry. Krzyk wypełnił salę posiedzeń Trybunału. Eleazar spostrzegł, że i on krzyczy wraz z innymi. Krzyk ten skazywał Jezusa bar Nash na śmierć.

* * *

Rabbi Joel opuszczał gmach posiedzeń Najwyższej Rady mniej znużony, niż przychodząc tu przewidywał. Ten proces i wreszcie wyrok skazujący wyraźnie dodały mu sił. Jezus przesłuchiwany uprzednio przez obu najwyższych kapłanów potwierdził publicznie to, czego się spodziewano. Rabbi Joel przypomniał sobie pytanie Gamaliela, na które Nachum nie zdążył już odpowiedzieć. Teraz nawet ten mięczak zrozumiał, jak niebezpiecznym odstępca jest Jezus. Rabbi Joel patrzył uważnie, czy Gamaliel domaga się krzykiem Jego śmierci. Równocześnie patrzył na twarze Józefa z Arymatei, Eleazara, Nikodema — tych gagatków z opozycji, którzy by chcieli wyrwać z jego rąk Jezusa bar Nash.

Wodząc wzrokiem po twarzach przeciwników odkrył, że również Nachum czyni to samo. Na moment oczy ich się spotkały. Już nie odczuwał złości do Nachuma za to, że tak niezręcznie rozegrał sprawę ze świadkami. Musi przyznać, że wstyd mu było tego prostactwa. Jednak Nachum — człowiek względnie młody i w tych sprawach niedoświadczony — powinien na przyszłość udoskonalić metody. Może czcigodni mężowie Synhedrionu będą mieli przez pewien czas pretensję do niego, do Joela, duchowego mistrza Nachuma i właściwego organizatora procesu. Na pewno jednak nie odważą się tych pretensji głośno wypowiedzieć. Już od dawna prześwietny Synhedrion wydawał mu się zbiorowiskiem ludzi chwiejnych i słabych, ceniących nade wszystko spokój. Był przekonany, że Jezus bar Nash długo jeszcze pozostawałby na wolności, gdyby nie on, Joel, i gdyby nie stary arcykapłan — jedyny człowiek, do którego czuł szacunek zaprawiony zgryźliwą zawiścią. Tamci — myślał z pogardą o członkach Trybunału — nie zdobyliby się na tyle energii, by Go pochwycić i bez skrupułów zniszczyć.

To umocniło go w przekonaniu, że zasada, na trop której wpadł podczas bezsennych nocy, była słuszna. Wypowiedział ją słowami Nachuma: prawo może być narzędziem mniej lub bardziej przydatnym, a liczy się tylko własny głos wewnętrzny. Głos ten czuł w sobie.

Byłbym więc ja, rabbi Joel — zapytywał siebie — miarą postępowania dla całego Izraela? To wydało mu się prawdopodobne: jego genialna intuicja nie zawodziła go przecież nigdy.

Szedł potykając się, wleczony przez dwóch chłopców, na wpół oślepy. Ludzie wychodzący ze swych domów z brzaskiem dnia usuwali się z drogi świętemu mężowi, całując jego szatę. Nie widział ich. Uprzytomnił sobie, że Synhedrion wcale nie jest konieczny, skoro istnieje on, mędrzec Izraela, Joel. Może przyjdzie dzień, gdy przy pomocy Nachuma i Natanaela rozpędzi Trybunał, a równocześnie utrzyma posłuch wśród amhaarecim.

Jego głos wewnętrzny był teraz jak lawina wciąż nowych pomysłów. Gotów jest przyznać mu rację nawet kosztem zbrodni i udowodnić ją wobec całego świata. Czy zresztą świat nie przyznaje racji silnym? Słabi nie mają racji. Rację dyk-

tuje zwycięzca. Czy zresztą sędzia Synhedrionu musi być sprawiedliwy? Sprawiedliwość należy do Boga, a jemu, Joelowi, wystarczy nienawiść do Jezusa bar Nash. Głupiec ten Gamaliel! Co warte są jego skrupuły prawne wobec jednego słowa, które tnie jak miecz, zabija i pozostaje bezkarne.

Jak Jehowa — szepnął mu jego głos.

Wprowadzi posty i pokutę, jak niegdyś Jonasz w Niniwie, tyle że pokuta, jego, Joela, będzie krzykiem grozy uderzającym o niebo. W ogniu strachu oczyści się Izrael, a wtedy Pan tchnie swego ducha w Mesjasza, którego na ziemi poprzedzi prorok Eliasz.

Eliasz, pomyślał — uprzytomnił sobie, że to największy prorok przed Mesjaszem. Przyszło mu na myśl, że ziemskie powtórne wcielenie Eliasza może nawet nie zdawać sobie sprawy o wyniku wszechmocnych planów Jehowy i ze swojej roli tak długo, dopóki mu się ona nie objawi. A jeśli tak, mógłby mieć swoje ukryte, tajemne znaczenie sen jego, Joela, unoszonego w niebo na wozie ognistym, jego zaś niezastąpiona intuicja — swoistą, tajemniczą moc.

Naraz wydało mu się, że słyszy jakiś głos, i że głos ten woła go tym jego nowym, tajemnym imieniem.

Zatrzymał się.

— Czy ktoś mnie wołał?

— Nie, nikt nie wołał, rabbi.

— Nikt nie wołał „Eliaszu”? — dopytywał się niecierpliwie rabbi Joel.

Chłopcy prowadzący go rozejrzeli się po pustej ulicy zdziwieni.

Nogi zaczęły mu drzeć tak, że musiał, by nie upaść, otoczyć ramieniem szyję ucznia. Podniósł w górę obie pięści i sycząc zaczął grozić pustej ulicy, zappełniającej się z wolna, i domom.

* * *

Wiadomość o aresztowaniu Jezusa bar Nash zastała Hegezynosa przy śniadaniu. Otrzymał ją — wbrew przyjętej w takich wypadkach procedurze — wprost od Piłata, do którego już wczesnym rankiem zgłosiła się delegacja stronnictwa niezłomnie prawych w Synhedrionie: rabbi Joel w asyście dwóch uczonych charwerim. Piłat był wściekły, że sprawę tak ważną, jak wywiad Partów na Judeę, w której szczegóły wgłębiał się, studiując raporty Hegezynosa, musi przerwać dla Jezusa bar Nash. Ponadto sprawa gorączkowego szukania dowodów przeciwko bar Abbie jako sprawcy pośliznięcia się Barucha bar Symeona postępową, zdaniem przyjaciela cesarskiego, zbyt powoli.

Hegezynos rozumiał świetnie nastroje zwierzchnika i odczytując pośpieszne, nerwowe pismo Piłata, do którego wciąż nie potrafił się przyzwyczaić, zastanawiał się — żując równocześnie małą, pszenną bułkę wykąpaną w wonnym sosie — czy w rozmowie tej padło nazwisko bankiera Agrykoli, czy też niezłomnie

prawi dali w inny jakiś sposób do zrozumienia Piłatowi, że wszelkie zebrane dowody przeciw bar Abbie mogą okazać się niewystarczające w świetle posiadania innych, bardziej wiarygodnych, przynajmniej w oczach cesarskich samego Gajusza Tyberiusza Augustusa, dowodów, jakie przedstawi majestatowi ktoś (a więc zapewne jego dostawca na Capri), kto mógłby wykazać niezbicie, że mordercą Barueha bar Symeona jest nie kto inny, lecz właśnie. . .

Tu by nastąpić musiała — rozważał Hegezynos — przerwa w rodzaju określanych jako wieloznaczne. Gdyby zaś w tym momencie podrażniony, a równocześnie zastraszony Piłat odważył się warknąć zuchwale i z gniewem, jakby rzucając niezłomnie prawym wyzwaniem:

— Kto mianowicie?

Rabbi Joel odpowiedziałby mu tym swoim znękanym głosem, jakby z grobu:

— Przecież ty sam wiesz, panie.

Odpowiedź ta byłaby wodą przelewającą się pomiędzy palcami: zaciskasz pięść i chwytasz powietrze. Nie ma w niej oskarżenia wprost, nie zostało powiedziane: „ty właśnie”, nie padło również niczyje nazwisko, a jednak wyczuwa się w niej groźbę niedwuznaczną — sam wiesz, to znaczy ukrywasz mordercę, jeśli nim zgoła nie jesteś, co w świetle niełaski Augustusa w następstwie spisku Sejana nie będzie sprawą tak znów pewną w Rzymie czy też na Capri.

Pismo Piłata — przeszło mu w tym momencie przez myśl — przypomina źle przycięty żywopłot, gdzie gałązki wiją się na wszystkie strony w osobliwych meandrach i zakrętach, dziwaczne pismo nie do podrobienia, które rozpoznałby natychmiast, jedyne w swoim rodzaju. Chciałby znać myśli tego człowieka o twarzy pomarszczonej, nieruchomej, którego nigdy całkowicie nie potrafił przeniknąć. Nie znał go — a jeśli nawet, to gdzie gwarancja, czy nie wymyka mu się rzecz najważniejsza i każdy sąd Hegezynosa o Poncjuszu Piłacie, podobnie jak sąd o każdym człowieku i o sobie samym, skazany będzie na niepełność, na pozorność, na dwuznaczność?

— Nie wiem — mógłby odpowiedzieć Poncjusz Piłat. — Pojęcia nie mam, kogo wy uważacie za mordercę Barucha.

Na to jednakże Joel, składając ręce na piersi z tym swoim fałszywym uśmiechem kota, który już chwycił mysz i teraz ją podrzuca w miękkich opuszkach odrzekłby:

— Kancelaria Augustusa powiadomi cię o tym, panie.

Lub też byłoby inaczej:

Poncjusz wciąż tak samo podrażnionym tonem opryskliwie i prowokująco:

— Wiem, rzecz jasna. Bar Abba.

Wówczas powinno zapaść milczenie wymowniejsze od wszystkich protestów i sporów. Milczenie, w którym uśmiezek rabbi Joela i dwóch asystujących doktorów rozszerzały się w miarę, jak ich postacie gięłyby się w ukłonie. W tym milczeniu czyhałoby na Piłata śmiertelne niebezpieczeństwo czegoś przesądzone-

go, przeciwko czemu nie można się bronić: trzej niezłomnie prawi rozprostowują się: ich twarze są teraz jedną twarzą Barucha bar Symeona, który uśmiecha się rzędem wszystkich obnażonych zębów i patrzy Poncjuszowi prosto w oczy...

A jednak Piłat oddalił czcigodnych mężów, wystosowując do Hegezynosa list z poleceniem, by bliżej zbadał sprawę, która wydaje mu się wątpliwa, sam Cieśla z Nazaretu zaś niewinny. On, Poncjusz, ma poczucie sprawiedliwości podwójne: wrodzone jako Rzymianin i nabyte w rzymskich uczelniach prawniczych. Tego, rzecz jasna, nie omieszkął podkreślić, pisząc do mnie, do Rzymogreka — pomyślał Hegezynos — a więc do kogoś, kto pojęcie sprawiedliwości może wyrobić sobie w sposób niejako wtórny, jedynie na rzymskich uczelniach, nie posiadając go natomiast we krwi tak, jakby to nie do nas, właśnie do Greków rządzących się prawami Solona, przybyli z Italii barbarzyńcy, by szukać wzoru dla swych Dwunastu Tablic.

Znów podrażniła go ta pycha prostacka i natrętna, ta pewność siebie mająca wszystko, co obce, co nie rzymskie, nie żołądackie, nie walące żelazną pięścią pomiędzy oczy, w pogardzie. Naraz wydało mu się, że istota wrogości pomiędzy nim a Piłatem sięga głębiej niż osobiste niechęci czy świadome upokorzenia. Zobaczył rząd postaci ubranych w śmieszne, białe togi, kanciastych i gburowatych, o głosach chropawych, silnych, a naprzeciwko nich Greków subtelnych wytworzonych, wykrzywających usta w pobłażliwym uśmiechu: oto jeszcze jeden dziki szczep przybył do nas, by uczyć się prawa, urządzeń państwowych i tego w ogóle, co nazywa się grecką kulturą. Trudno nie dostrzec w tym uśmiechu wyższości i poczucia własnej przewagi. Wyobrażali sobie — rozmyślał — że te pieńki, jak pewnie nazywali ich w myślach, będą żywili dla nich wdzięczność przez wieki i że wzbudzili w nich podziw. Nie znali Rzymian, jakżeby zresztą mogli znać.

Dwa światy — niczym dwie osobowości — pozornie bliskie, lecz w istocie jakże głęboko przeciwne, niezbędne sobie, przenikające się, nienawistne.

„Podnieś pieniądze” — usłyszał i znów, jak tyle razy, wzburzyła się w nim krew. Postanowił, że dziś jeszcze, a najpóźniej w ciągu kilku dni, napisze do Abdery, do Demetriosa, być może cały list z opisem stosunków w Palestynie, a może tylko jedno zdanie.

Piłat pisał następnie, że chodzi tu tylko o kogoś, kto nie jest nawet obywatelem rzymskim. Słowo „nawet” znów ukłuło Hegezynosa. Niewątpliwie był przewrażliwiony na skutek prostackich złośliwości Piłata, a jednak czytał w tym słowie ukrytą nową złośliwą intencję. Trzeba jednak — pisał dalej prokurator — pokazać tym Azjatom rzymskie prawo i zasadę prawdziwej rzymskiej sprawiedliwości. Quid est iustitia? — zapytywał wprawdzie, używając zwrotu łacińskiego w swym pisanim chropawą greczyzną liście — czym jest sprawiedliwość? — dając przez to do zrozumienia, że być może i sprawiedliwość jest względna. Hegezynos jednakże nie rozumiał, czy miało to stanowić dlań wytyczną otwierającą przed nim

pełną swobodę działania na własną, oczywiście, odpowiedzialność, czy refleksją osobistą Piłata, który pomyślał, pisząc to, o losie przyjaciół Sejana?

W następnym zdaniu Piłat domagał się opinii o Jezusie bar Nash, najwyraźniej nie przypominając sobie treści uprzednich raportów Hegezynosa o Nim.

Napiszę jedno zdanie, nie list — postanowił Hegezynos — tak będzie bezpieczniej na wypadek, gdyby ludzie Marcellusa kontrolowali korespondencję urzędników Piłata. Miał już je w myślach sformułowane: „Nareszcie objawił mi się pełny, choć przenośny sens ostatniego, pożegnalnego zdania, jakie usłyszałem od ciebie, opuszczając Abderę”. Ten właśnie sens, a nie żaden inny musiał mieć bowiem na myśli Demetrios Epikurejczyk, archont Abdery zarazem *eivis et eques romanus* z kupionym wprawdzie, lecz niewątpliwym prawem do złotego pierścienia — dwa bliźniacze, przeciwne bieguny magnesu ciągnące ku sobie władzę nad światem.

Postanowił dać opinię, że Jezus bar Nash jest nieszkodliwy jako jeden z lokalnych żydowskich reformatorów.

To powinno Piłata nastawić obojętnie wobec Nazareńczyka, natomiast negatywnie do porannych żądań trzech czcigodnych mężów, pod warunkiem, że nie wyłoniła się w rozmowie możliwość wykorzystania bankiera Agrykoli jako oskarżyciela Piłata w tamtej sprawie o pośliznięcie się Barucha bar Symeona. Sądząc jednak z faktu, że Piłat domagał się opinii o Jezusie bar Nash, nie wyłoniła się.

Stawiając szybko litery w odpowiedzi na list zwierzchnika rozmyślał, że ludzie dostrzegają na ogół wielkie wydarzenia w dziejach dopiero wtedy, gdy stają się one faktem, choć można je było przewidzieć na wiele lat przedtem i wyciągnąć stąd dla siebie korzyści. Zobaczył siebie pochylonego nad zwojem — małego chłopca otoczonego popiersiami bogów Olimpu i wielkiego Demokryta z Abdery — obok zaś stał niewolnik wystukujący mu na plecach trzcina rytmem melickiej frazy. Przypomniał sobie, że czytając mit o Deukalionie, zadał pytanie, czemu ludzie nie przewidzieli potopu, skoro gromadzić się musiały chmury wyjątkowej wprost wielkości i koloru? Otrzymał wtedy odpowiedź, że z woli bogów byli nieświadomi. Teraz zaś przyszło mu na myśl, że nikt nie przeczuwał nic nadzwyczajnego dlatego właśnie, że zaczęło się wszystko tak zwyczajnie. A przecież już pierwsze krople deszczu były początkiem katastrofy? Krople — rozważał — nie różniące się pozornie od innych, a równocześnie jedyne w dziejach świata. Może więc było wolą bogów, by on, Hegezynos, wyczuł w buncie żołnierza grzmot burzy i pierwsze krople potopu?

„Któż to tam idzie ulicą, na Zeusa?”

By zatrzymać ten potop, raz już rozpętany, nie wystarczy szyk zwarty, manewr oskrzydłający czy testudo. Potrzebny jest grecki spryt. Wiem, Demetriosie, tu chodzi o zasadę: kto okaże się siłą, która kształtuje oblicze świata?

„Menechmos, pan mój?” Poncjusz, Tyberiusz, rzymska pięść? „Czy zgoła kto inny?” Ja, Hegezynos, wyrafinowana inteligencja, przebiegłość?

* * *

Jezus milczał, milczenie to stawało się obraźliwe. Antypas wyczuwał w nim brak szacunku. Obrócił się w fotelu ku Herodiadzie.

— To przecież wariat — powiedział tonem sztucznie drwiącym.

Herodiada, wpatrywała się w przestrzeń.

— To tylko wariat — powtórzył z większą pewnością, omal już z przekonaniem Antypas.

Był wdzięczny Piłatowi, że przysłał mu tu tego Galilejczyka, widocznie jednak uważał go jeszcze za władcę. Ponadto przedłożone mu tajne horoskopy astrologów wskazywały jasno, że jego władzy nad Żydami nie zagraża niebezpieczeństwo na okres najbliższych czterech lat.

— Uważasz się za Mesjasza? — podjął znów wątek pytań kierowanych do tego Człowieka, patrzącego nań spokojnie, prześwietlającego go spojrzeniem, jak gdyby on, król Galilei i Zajordanii, władca czwartej części Izraela, był pomimo swojej władzy i wpływów słupem dymu, który rozwiewał się przed Jego wzrokiem.

— Jeszcze nigdy tylu ludzi nie oczekiwało tak wiele od nikogo. To prawo naszych czasów spodziewających się Mesjasza — powiedział, zwracając się do dworzan chylących się z uszanowaniem.

Po czym znów do Jezusa bar Nash:

— Ciekaw jestem, jak zamierzasz zaspokoić te oczekiwania? W jaki sposób chcesz stworzyć imperium i nie zdeptać nikogo, Mesjaszu?

Jezus milczał w dalszym ciągu wpatrzony przed siebie swoim nieobecny spojrzeniem tak, jakby nie było w ogóle Antypasa.

— To przecież szaleniec — powiedział po raz trzeci Antypas. Tym razem jednak z trwogą. Zobaczył na misie głowę Jana Chrzcącego. Jej milczenie ciążyło nad nim, gdziekolwiek się znajdował, ciążyło nad Jerozolimą, nad Galileją, nad krajem. Ciążyło nad rozmową z Jezusem bar Nash, którego milczenie było jakby dalszym ciągiem tamtego milczenia. Wydał się sobie kimś zbrodniczym i małym, zamkniętym w skorupie swoich ambicji, które rozwiewały się jak dym, pozostawiając brudny osad, W osadzie tym tkwił on sam — morderca człowieka, który powiedział mu prawdę. Dlaczego tak bardzo boimy się prawdy?

Myśl ta była tylko chwilą. Postanowił, że za żadną cenę nie pozwoli jej umocnić się w sobie i wypuścić czułek: nowe myśli, które by weszły jak korzenie drzewa w jego umysł i w jego sumienie. Świat, w którym żył i do którego przywykł, ciągnął go ku sobie; wszystkie pojęcia, ambicje i pragnienia, którym się oddawał, brały go w swoje posiadanie.

Jeśli zabiłem Jana Chrzcącego — przeszło mu przez myśl — to po to, by okazać swą siłę. Teraz ten milczący Człowiek ją podważa. Nie podważaj jej. Przez

chwile on, Antypas, dokonywał wyboru. Wybór nastąpił i teraz dalsze wypadki muszą być jego konsekwencją.

— Oni wszyscy są tacy, ci rzekomi prorocy, wieszczkowie i znachorzy! — zawołał z nutą triumfu, wskazując na Jezusa bar Nash. — A ja sądziłem, że coś ciekawego usłyszę!

Po czym do zgromadzonych urzędników dworskich:

— Jego dostojność prokurator Judei zasięga mojej rady co do tego Człowieka: Wyrobiłem sobie o Nim opinię: jest nieszkodliwy, chyba nawet łagodny. Rozkazuje owinąć Go w biały, płócienny worek szaleńca i zaprowadzić ulicami Jerozolimy do pretorium. Najlepiej uczynić to w biały dzień, ostatecznie niech i motłoch ma zabawę!

Wstając z fotela:

— Podyktuję zaraz list do przyjaciela cesarskiego.

Skinął ręką zgromadzonym i zszedłszy z podium, zniknął za kotarą oddzielającą salę tronową od dalszych pomieszczeń.

* * *

Pod portykiem Salomona przy Świątyni przechadzają się rozmawiając szepem dwaj faryzeusze: sędziwy, pochylony rabbi Gamaliel i rabbi Józef z Arymatei oraz kapłan Eleazar. Dwaj ostatni trzymają pod rękę rabbi Gamaliela. Wokół nich przechodzi tłum: faryzeusze i kapłani, sprzedawcy wody i ryb. Pozdrawiają rabbi Gamaliela z roztargnieniem. Po całym mieście rozeszła się już pogłoska o aresztowaniu buntownika i bluźniercy Jezusa bar Nash. Agenci rabbi Joela kręcą się już wśród tłumu. Okrzyki i przekleństwa zagłuszają szept trzech członków Najwyższego Trybunału.

ELEAZAR:

— Jeśli w porę nie zaczniemy mówić, ogarnie nas obojętność. Ona jest siostrą zbrodni. Z nienawiści chcieliśmy skazać tego Cieślę, wykorzystując fałszywych świadków. Synhedrion milczał, to nie daje mi spokoju. Jestem jednym z sędziów Izraela. Nie chcę być mordercą.

JÓZEF Z ARYMATEI:

— Mnie chodzi o to, że wczoraj wysłuchaliśmy fałszywych świadków. Dzisiaj może damy im wiarę, a jutro nie będą nam może potrzebni żadni świadkowie. Nasza nienawiść do Oskarżonego...

GAMALIEL:

— Do przestępstwa.

ELEAZAR:

— Chociażby nawet. Nasza nienawiść będzie świadczyła i wydawała wyroki, a wówczas...

GAMALIEL:
— Co wówczas? Dlaczego przerwałeś?
ELEAZAR:
— Przechodził właśnie ktoś, kogo podejrzewam o służbę u Nachuma.
GAMALIEL:
— Powiedziałeś: „wówczas”.
ELEAZAR:
— Powiedziałem. Wówczas nie będzie już potrzebne żadne prawo. Przyznamy rację Nachumowi.
JÓZEF Z ARYMATEI:
— Wierzmy, że człowiek nie potrafi znieść wzroku Boga, toteż Pan objawia się jedynie w zdarzeniach dostępnych nam, w małych symbolach. Trzeba je umieć dostrzec. Gdy pojawili się przed nami ci świadkowie, powinniśmy byli natychmiast przerwać przewód sądowy.
GAMALIEL:
— Zmówiliście się, by na mnie wpłynąć?
JÓZEF Z ARYMATEI:
— To prawda, jest bowiem kilku, którym sumienie nie daje spokoju. Chodzi o to, by zdobyć także ciebie. Światem rządzi prawo, nie zbrodnia i kiedyś wreszcie trzeba to udowodnić.
GAMALIEL:
— Z prawnego punktu widzenia przewód był prawomocny, a świadkom można udowodnić brak pamięci, nie złą wolę, niezależnie od tego, co by kto o tym sądził.
ELEAZAR:
— To może niewiarygodne, ale niestety jest prawdą: ten Człowiek nas łączy. Nas, strażników prawa chroni przed bezprawiem Cieśła i jego amhaarecim!
GAMALIEL:
— Gdybym się nie obawiał, że cię urażę, kapłanie, rzekłbym, że słońce o tej porze dnia już silne...
ELEAZAR:
— Bynajmniej. Dopóki żyje Jezus bar Nash, dopóty tamtym potrzebny jest Synhedrion.
GAMALIEL:
— By jeszcze raz wydać wyrok?
ELEAZAR:
— Nie drwij. Ten, kto wyrzuca lichwiarzy ze Świątyni, nie zawaha się również publicznie powiedzieć przed ludem Izraela, że Synhedrion jest ciałem martwym i bezwładnym, gdyby naprawdę ktoś chciał uczynić z Najwyższego Sądu zawisłego od Boga, który patrzy w ludzkie sumienia, narzędzie posłuszne i nie-

me. Widziałem wzrok Nachuma wpatrzony w siebie. Widziałem w nim nienawiść omal taką, jak do Jezusa bar Nash.

Zwracając się do człowieka, który składa pokłon, unosi ręce z gestem błogosławieństwa:

— Bądź pozdrowiony i ty!

Do swoich rozmówców:

— Takiego tłoku w Jerozolimie dawno już nie pamiętam.

GAMALIEL:

— Przypuśćmy, że przekonałeś mnie. Czego ode mnie chcecie?

JÓZEF Z ARYMATEI:

— Ty jeden możesz ułatwić ucieczkę Jezusowi bar Nash. Dopóki ten Człowiek żyje, tamci są jak psy, którym nałożono kaganiec. Spójrz oto, rabbi! Ci tutaj, ten tłum: dziś są wzburzeni, ale może jutro inaczej spojrzą na tę sprawę. Jezus bar Nash jest nam potrzebny. Nam wszystkim, żeby ocalić godność Synhedrionu i Izraela.

PRZECHODZIEN do *Gamaliela*:

— Rabbi, co mam zrobić? W szabbat goniłem złodzieja.

GAMALIEL:

— Pokutę.

PRZECHODZIEN:

— Rabbi, złodziej ukradł mi osła. Nie mogłem ścierpieć tego. Osioł pracuje dla całej rodziny.

GAMALIEL:

— Tym bardziej jesteś winien! W szabbat zakazuje się żywić uczucie gniewu. Zresztą wobec Pana wszyscy jesteśmy winni. Wina jest, można tak powiedzieć, naszym stanem naturalnym.

PRZECHODZIEN:

— Czy na pewno nie miałem racji, rabbi?

GAMALIEL:

— Przecież tłumaczę ci, odejdz w pokoju. Wykonuje gest błogosławieństwa.

PRZECHODZIEN:

— Rabbi. . .

GAMALIEL:

Powiedziałem; odejdz w pokoju.

Do Eleazara:

— On jednak zbluźnił, podając się za Syna Bożego i Jego słów nic nie może już cofnąć. On musi zginąć, nie dlatego, że uratować to ma lub zgubić Synhedrion. Powód jest ponad nami i jesteśmy wobec niego bezsilni. Prawo jest jak lawina, która porywa sobą wydarzenia.

JÓZEF Z ARYMATEI:

— Uważasz więc, rabbi, że warto poświęcić Synhedrion. . .

GAMALIEL:

— Nie, ale uważam, że prawo należy wypełnić do końca,

JÓZEF z ARYMATEI *szeptem jeszcze cichszym*:

— Pamiętasz, rabbi, lepiej ode mnie, czy w którejś z ksiąg proroków został nazwany Mesjasz Synem Bożym?

GAMALIEL *naraz podejrzliwie, pochylając się całym ciałem ku rozmówcy*:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

JÓZEF Z ARYMATEI:

— Gdyby ten Jezus bar Nash był rzeczywiście Mesjaszem, pytanie, czy bluźnierstwo nie byłoby rzekome.

GAMALIEL:

— Nie zrozumiałem, co masz na myśli, rabbi, bo gdybym zrozumiał, musiałbym natychmiast zaprowadzić cię przed Synhedrion i dziś jeszcze odbyłby się drugi proces o bluźnierstwo, którego świadkiem byłbym ja sam.

ELEAZAR:

— Odmawiasz więc, rabbi?

GAMALIEL:

— Odmawiam. Stanowczo i ostatecznie. Poza tym nie rozumiem was, czy jeszcze nie wiecie, że Jezus bar Nash został już przekazany Rzymianom?

Trzej rozmawiający kłaniają się sobie, składając ręce na piersiach, i teraz każdy z nich odchodzi w inną stronę.

* * *

Tego dnia prokurator cesarski, Poncjusz Piłat, otrzymał poufne ostrzeżenie. Był to sen. Nie jego własny, lecz opowiedziany przez kogoś, kogo Piłat w żadnym wypadku posądzić by nie mógł zarówno o przyjazne dla siebie uczucia, jak i o brak wpływów. Sen Agrykoli. List miał nagłówek w stylu rzymskim. „Poncjuszowi Piłatowi Juliusz Agrykola pozdrowienie”, jego treść jednak była wschodnia, owinięta w misterne, czołobitne frazesy. Poncjusz krzywił się, brnąc przez fatalną łącinę. Agrykola, zasłyszawszy o posiadanej przez szlachetną Aspazję umiejętności wykładania snów, prosi, by ta zechciała wytłumaczyć mu jego sen, który nawiedza go już od trzech nocy. Śle zarazem pokorny podarunek: maele, złote wprawdzie i znalezione w starych grobach etruskich, więc o magicznej sile przynoszącej szczęście, lecz jakże ubogie wobec blasku, jaki roztacza sobą prawdziwa Rzymianka i znakomita dama.

Piłat w trakcie czytania z coraz większą pewnością uświadamiał sobie: to jest szantaż. Równocześnie zaś odkrywał swoją nieudolność w poznawaniu tego, co określał w raportach do Rzymu jako duszę Wschodu. Oczekiwał, że padną jakieś groźby z ust owych trzech uroczystych osłów, którzy zbudzili go ze snu z samego

rana w sprawie Jezusa Nazareńczyka rzekomego Króla Żydowskiego. Zależało im na Jego śmierci — to było oczywiste. W innej sprawie — o wadze daleko mniejszej — uwięzienia jakiegoś chłopca, ucznia jakoby tegoż Jezusa, ci fanatycy — tak bowiem nie bez niechęci i lęku nazywał w myślach Żydów — posunęli się nawet do tego, by mu grozić sprawą Barucha, co do której mieli rzekomo dowody. Ostrzegli go ci głupcy, co mu dało czas na zbieranie dowodów przeciwnych. Teraz żaden z nich nie wspominał o tej sprawie albo więc — rozważał w czasie posłuchania, jakiego im udzielił — ich dowody są tak nikłe, że nie ośmielają się ponownie wspomnieć o nich, albo sprawa wydaje im się przegrana wobec przeciwdowodów, jakie ich zdaniem zebrał już on, Piłat, niedwuznacznie wskazujących jako mordercę sztyletnika bar Abbę. Nie wiedzą, rzecz jasna, że przeciwdowodów tych w istocie w ogóle nie ma. Świadomość tej niewiedzy wprawiła go w doskonały nastrój. Słuchał wiernopoddańczych frazesów o Królu Żydowskim siejącym zamieszanie w państwie, jakże fałszywie brzmiących w ustach tych zaprzysięgłych wrogów Rzymian, coraz bardziej, w miarę jak wzrastał zapał retoryczny trzech rabbim, zdecydowany wypuścić Jezusa bar Nash.

Okazuje się jednak, że ich powściągliwość była zwykłą grą taktyczną, wynikłą ze znajomości duszy Piłata — znajomości tak głębokiej, jakiej on sam — widocznie nie posiadał, skoro przeraziła go treść listu, i to o wiele bardziej, niż uczynić by to zdołały groźby faryzeuszy, na które już uprzednio się nastawił.

List wywierał tym silniejsze wrażenie, że bynajmniej nie wypowiadał swojej pogroźki wprost, a jedynie kazał się jej domyślać, pozostawiając Poncjuszowi niepewność, czy rzeczywiście trafnie odszyfrował jego treść, a ściślej — czy zawierał ów list rzeczywiście treść podwójną? Równie dobrze bowiem sen Agrykoli mógł być snem jego rzeczywistym, nie zaś obliczonym na wywołanie w Piłacie strachu. Wywoływał jednak. I to tym większy, im bardziej Piłat zastanawiał się nad intencjami nadawcy.

Agrykoli śniły się szczury. W męczącym półśnie liczył je biegające na wszystkie strony. Czterdzieści jeden szczurów. Ostatni był większy od innych i — w przeciwieństwie do tamtych szarych — biały białością omal śnieżną. Na tym kończył się sen pierwszej nocy. Drugiej nocy śnił się Agrykoli wilk. Przebiegał zając. Wilk skoczył, chwycił zająca i pożarł. Nagle znów pokazały się szczury. Objadły resztki zająca: skórę, kości i jelita. Pierwszy skoczył biały szczur. Potem wszystkie zaczęły biegać wokół wilka. Gdy stały się w swym biegu jak szarobiały pas, sen Agrykoli urwał się. Trzeciej nocy wilk spał znużony, może chory. Nagle Agrykola we śnie ujrzał białego szczura, który krążąc wokół wilka, odgryzł mu tylną łapę, potem drugą, następnie obie przednie. Wilk poruszył się, ale był zbyt słaby, by walczyć. Skądś wysypało się mnóstwo szarych szczurów, które wczepiły się wilkowi w gardło. . . Bankier Agrykola zapytywał, czy ten sen może mieć jakiś wpływ na jego interesy w Rzymie. W szczególności obawiał się o swoje dostawy dla domu cesarskiego na Capri.

Piłata ogarnęło przerażenie. Jeżeli sen Agrykoli był pogroźką, oznaczał jedno.

Sen Agrykoli musiał być pogroźką, do tego stopnia przejrzyste były aluzje. Wilczyca, wilk, to symbol Rzymu, to — rzecz jasna — on, Piłat, rozszarpany przez szczury, gdy tylko Agrykola przedstawi na Capri posiadane dowody. Sejan, gdyby żył, może zatuszowałby sprawę, ale Sejan. . .

Poncjusz wstał z fotela, podszedł do fontanny chłodzącej powietrze atrium. Zwilżył chustkę i otarł nią czoło. Zachować spokój! — rozkazał sobie, spostrzegłszy, że drżą mu palce.

Agrykola chciał mu zapewne tym listem dowieść nie tyle, że posiada jakieś dowody przeciw niemu, lecz że są to dowody poważne, toteż każdy szczegół służy ma znaczenie. Szczur czterdziesty pierwszy i biały. Ponadto szczur przywódca. Ten szczegół — rozważał — powtarza się we wszystkich trzech snach. Byłby więc najważniejszy? Czy może cały sen został wymyślony po to, by stworzyć czterdziestego pierwszego szczura? Czterdziesty pierwszy szczur ma więc wskazywać, wręcz nawet przekonać nieodparcie adresata, że dowody Agrykoli należy traktować śmiertelnie serio.

Nieruchoma twarz Gajusza Tyberiusza Cezara Augustusa patrzyła nań ironicznie, rozciągając marmurowe policzki w uśmiechu, który wydawał się jeszcze bardziej niż zazwyczaj posępny.

Stało się więc to, czego się najbardziej obawiał. Przywódca biały szczur, to XLI. Dlaczego biały? To proste. Agrykola i ci, z którymi się sprzymierzył, wiedzą już o jego śmierci. Przypomniał sobie teraz dokładnie, że w niektórych rejonach Wschodu biały kolor jest kolorem żałoby, podobnie jak liczba trzy oznacza śmierć. Są w niej — w tej śmierci — zorientowani tak dobrze, jak w roli, którą odegrał przy potknięciu się lub poślizgnięciu Barucha bar Symeona człowiek zwany czterdziestym pierwszym, setnik numerowanych. Skąd wiedzą? Czy nie od niego samego? Czy to zemsta — przebiegła, dalekowzrocza, wschodnia za śmierć przeczuwaną, jaką w rzeczywistości, już nie we śnie, zadał szczurowi wilk czy też wilcy, o ile za takich można by uznać też i obu Greków — wilk i psy raczej — gryzące się, lecz teraz już zgodne z sobą w obawie przed świadectwem szczura, który wszelako i tak, już pośmiertnie, odgryza swemu chlebo- czy raczej żerodawcy łapy, czyniąc go — jak chce to udowodnić Agrykola — bezbronnym?

Piłat znów wstał i przechadzając się po atrium budził echo drzemiące wśród marmurów. Stał przed głową przybraną w diadem. Wysunął język obłożony, żółty.

— Przegrałeś — syknął Gajusz Tyberiusz Poncjusz Piłat Cezar — potknąłeś się i ty na koniec.

Piłat wybuchnął śmiechem, który niósł się po pustej sali wśród kolumn. Patrzył na łyse czoło i pomarszczone, zwiedłe policzki swego sobowtóra, na bezzębne zapadłe usta nadające twarzy wyraz przebiegły i złośliwy. Obaj, Tyberiusz i on, Piłat, są już starzy i rozczarowani, a to, co mieli dokonać wielkiego, już się

stało. Nie w czynach, niestety. W marzeniach. Teraz nawet marzenia są jałowe. Jego własne życie wydało mu się puste. Plon małych szalbierstw, które w niczym nie zmieniają stanu choćby jednej prowincji Imperium — i to wszystko, co zabierze z sobą — do Hadesu? — w nicość, jak uczy Epikur? — czy w ogień spalający i oczyszczający wszystko, o którym słyszał kiedyś w Atenach od filozofów malowanego portyku? — w każdym bądź razie w niewiadomą, gdzie wtrącić go może rozkaz cesarski, może nawet płynący już na okręcie z Syrakuz?

Gdybym był Augustusem — pomyślał — puściłbym chyba wolno tego Jezusa bar Nash. Wydało mu się, że istota władzy polega na niezależności. Im wyższa władza, tym większa zdolność podporządkowania sobie wypadków i ludzi bez konieczności ulegania ich decyzjom i kaprysom. Był przytłoczony koniecznością liczenia się z innymi, z których każdy, jak podejrzewał, chciał nad nim górować. Teraz byle przetrwać — pomyślał — potem wyjedzie stąd i osiadzie w Kampanii na wsi, w majątku rodzinnym Poncjuszów, gdzie urodził się jeszcze jego dziad, żołnierz Sulli. Przypomniawszy sobie pewną melodię. Słyszał ją ostatnio na przyjęciu u Agrykoli, śpiewaną przez pokracznego błazna po to, by go wykpić. Zagwizdał w roztargnieniu nuty, które chodziły za nim potem przez całą noc natrętnie jak wizja:

Używaj, brachu, życia, bo jutro może zgnijesz.

Krewni podzielą cały twój majątek.

Usłyszał kroki. Do atrium wszedł niewolnik i podając, zwyczajem wschodnim, na twarz oznajmił, iż szlachetny Trasyllus przysłał żołnierza z wiadomością, że tłum Żydów zebrał się znów na placu przed pretorium i niecierpliwie się, oczekując wyroku śmierci na Jezusa bar Nash.

— Wzmocniony oddział straży i lektykę! — rozkazał.

Posłał tego Człowieka Antypasowi, nie zajmując się specjalnie Jego sprawą. Antypas odesłał mu Go z uprzejmym listem. To było, zdaje się, zręczne posunięcie. Tu wszyscy na Wschodzie mają przeczulone poczucie własnej godności. Antypas został najwyraźniej ujęty. Okazuje się jednak, że sprawa Jezusa ma też swoją dobrą, praktyczną stronę. Będzie można rozluźnić sieć numerowanych zarzuconą wokół Antypasa. O ile Piłat znał Wschód, gdzie wszystko dojrzywało powoli, to dopiero za kilka miesięcy należało spodziewać się nowych intryg Antypasa — nie wcześniej.

Niewolnik ułożył mu fałdy togi i klęcząc zapinał sandały. Piłat zdjął ze srebrnej tacy pierścień rycerski kuty w złocie, wsunął go na palec. Równocześnie inni niewolnicy szminkowali mu usta i malowali paznokcie. Dwaj żołnierze w pełnym uzbrojeniu stali już w progu atrium. Czerwona lektyka ze złotymi frędzlami była gotowa do drogi i liktorzy, trzymając w rękach topory otoczone różgami, czekali po obu jej stronach.

Piłat skinął dłonią. Trzasnęły kaligi żołnierzy. Grzmot kroków wypełnił pałac Heroda. Szedł za nimi, cherlawy i upokorzony, na sąd, którego wyrok podyktował

mu swoim snem Agrykola. Nie znosił szantażu zwłaszcza ze strony tych, których nie uważał za równych sobie. Buntowała się jego pycha Rzymianina i despoty i teraz, bardziej może niż dotąd, pogardzał Agrykolą, Kajfaszem i tłumem, który już zebrał się na drodze wiodącej z pałacu Heroda do Antonii, by powitać prokuratora. Ze szmeru Piłat wyłowił krzyk:

— Ukrzyżuj Jezusa bar Nash!

Więc znów groźba? Zmrużył oczy oślepiiony słońcem.

— Przeklęta hołota — syknął. Gdyby zebrać żołnierzy z Antonii i ściągnąć oddziały syryjskie znad Hebronu, można by spróbować rozpędzić ją batami.

Wiedział jednak, że jest to równie nierealne jak marzenie o najwyższej władzy. Ktoś pociągnął go za tokę. Odwrócił się. Stała przed nim niewolnica Aspazji.

— Pani chciałyby mówić z tobą, prześwietny prokuratorze.

Wzruszył ramionami. W ten przeklęty, upokarzający dzień wszystko go denerwowało. Aspazja, rzecz jasna, ta epileptyczka, którą poślubił ze względu na karierę, wystąpi znów z jakimiś skargami. Miał dość tych żalów istoty nie zaspokojonej — jak sądził — w swoich ambicjach ani kobiety, ani żony urzędnika, ani wreszcie matki: bezpłodnej. Budziła w nim niechęć. A jednak zawsze słuchał jej skarg znudzony, obojętny, po czym zawsze, niewytłumaczonym dla Piłata sposobem stawało się tak, jak chciała. Górowała nad nim energią. Godził się z tym. Było mu wszystko jedno.

Zawrócił, słysząc za sobą wycie zawiedzionego tłumu. Szybko przechodził przez korytarze i sale. Aspazja czekała na niego w sypialni.

— Miałam dziś sen — zaczęła w swój zwykły nieśmiały sposób.

— Nie mam czasu. Nie słyszysz, co się dzieje? Już dawno nie byli tak wzburzeni.

Choć od dziedzińca oddzielało ich kilka pokoi — i tu dochodził podobny do szumu morza krzyk tłumu.

Ruchem dłoni nakazała mu milczenie. Jej szczupła, nerwowa, brzydka twarz była chorobliwie blada. Ogromne oczy wpatrywały się w Piłata. Poczul się skrzępowany.

— Miałam sen — powtórzyła. — Wiesz, że posiadam zdolność przeczuwania wydarzeń. Nie czyń nic złego Temu, kogo masz dzisiaj sądzić. Obiecay mi.

— To buntownik.

— Nieprawda. Boję się o ciebie. Boję się o nas wszystkich. .

Przyzwyczajony był do nerwowych wybuchów istoty przewrażliwionej, fanatycznie wierzącej w sny i znaki wróżebne. Teraz jednak w tonie jej głosu wyczuł coś, co wzbudziło w nim niepokój.

— To prawda, że nie wydaje mi się On winny — powiedział. Gdyby jednak samych tylko winnych posyłać nad rzekę Styks, przedsiębiorstwo Charona by upadło.

Tym niezręcznym żartem starał się zagłuszyć w sobie niepokój. Szedł z powrotem przez korytarze i sale, starając się utrzymać krok powołany, niedbały. Szum w jego uszach narastał i, gdy stanął na progu pałacu, był jak grzmot. Widział rzędy otwartych ust i wirujące w rękach chusty. Straż pałacowa napierała na tłum, usiłując go odepchnąć od bramy.

Podczas drogi lektyka mogła być stratowana, a jednak nie to budziło w nim niepokój, to wrzask tłumu budził obawę, że może kiedyś spotka się z tym Człowiekiem, który już czeka na niego w lochach pretorium, któremu spojrzy w oczy — będzie musiał odwrócić dłoń dużym palcem ku dołowi, ten zaś ruch oznaczać będzie wyrok śmierci.

Jednostajne dotąd wycie gawiedzi urwało się. Piłat odnosił wrażenie, że ktoś dyrygował tłumem i stąd jak gdyby na komendę te burze wrzasków i gwizdów przerywane okresami wytchnienia, kiedy tłum stał milczący, jakby zdziwiony własną zapalczywością. Znow wybuchnął rykiem: tym razem rytmicznym skandowaniem, co Piłatowi przypomniało kwestie wypowiedane przez chóry w tragediach. Pośród tłumu ktoś niewidoczny, ukryty w masie pstrokatych chałatów, zalegającej ulice Jerozolimy aż po bramę pretorium i portyki Świątyni, poddał hasło:

— U-krzy-żuj Je-zu-sa!

i natychmiast rozszerzać się ono poczęło, jak ogień pędzony wiatrem, wbiegło na schody portyków, uderzając o ściany pretorium, huczało w wąskich ulicach zapchanych tłumem, otaczając lektykę i Piłata, Który z zaciśniętymi ustami, ze szmaragdem w oku przyglądał się przez otwory w zasłonie roznamiętnionym twarzom i gestom nieruchomy, zgarbiony, zgrzybiały i pełen nienawiści do tego miasta, do tego kraju, do tych ludzi i świata, zarazem pełen buntu wobec nienawiści tamtej, krzyżującej się z jego własną, której ryk, odskakując od ścian lektyki, biegł ku niebu: rozpetane moce wściekłości i zła.

— Ukrzyżuj Go — wył tłum. — Ukrzyżuj!

Piłat uśmiechnął się złośliwie. Ukrzyżuję wam, ale nie tego, kogo chcą wasi — powiedział to słowo po grecku — demagogoi. Poruszony słowami Aspazji i zbuntowany zastanawiał się nad możliwością uwolnienia Jezusa bar Nash. Wydało mu się, że znalazł sposób będący równocześnie próbą sił. Być może, jego sytuacja jest zła, być może, jest fatalna, być może jednak, warto zaryzykować i, jak spłukany do cna gracz, pozwolić sobie na ostatni rzut kości. Na myśl o nim opanowała go gorączka hazardu. Zaprzagnął szybciej znaleźć się w pretorium. List Agrykoli ukazał mu się w nowym świetle. Świadczył o tym, że dowodów, jakie posiada bankier, mógł dostarczyć XLI, nie mówił jednak, jakie to są dowody. Być może, warto posunąć się w grze jeszcze dalej, by przekonać się o tym?

Jego myśl rozwijała się jak rzymski szyk wojenny, sprawny, idący naprzód falangą. Falanga ta miażdżyła przeszkody: gdyby ktoś, komu zależy na życiu bar Abby, zaproponował Piłatowi transakcję: życie przywódcy stronnictwa sztyletni-

ków za to, co przekazał XLI lub ktokolwiek inny Agrykoli, stworzyłoby to natychmiast możliwość dalszej gry.

Skandowanie „ukrzyżuj” przemieniło się teraz w gwizdy. Wskakiwały z tłumu na podobieństwo igieł kłujących uszy Piłata. Podniecony pozwalał biec myślom. Teraz nie czuł się już bezbronny. Miał plan gry, której stawką będą głowy obu więźniów: ten sztyletnik i zapewne sługa niezłomie prawych musiał mieć przyjaciół wśród uczonych peruszim, którym zależeć będzie na jego śmierci co najmniej w równym stopniu, jak na śmierci Jezusa bar Nash.

Oisnił go plan, który objawił mu się — staremu graczowi obeznanemu w palestyńskich intrygach. To nie on uniewinni Jezusa bar Nash, ani też nie skaże na śmierć bar Abby, nie da Agrykoli i jego przyjaciółom powodu do wywlekania przed cesarskich urzędasów w kancelariach departamentu do spraw prowincji Syrii i Azji spraw Piłata tu, w Judei. Bar Abbę skaże, a Jezusa bar Nash uwolni na święto Paschy ten głupi motłoch otwierający paszcze niczym stado przedziwnych ryb, motłoch bezmyślny i podległy nastrojom, który przeciągnie na swoją stronę w odpowiedniej chwili on, Piłat. I dopiero wówczas, gdy bar Abba będzie szedł na Wzgórze Czaszki Trupiej, a rzekomo podający się za Króla Żydowskiego Jezus bar Nash, śledzony czujnie przez numerowanych, będzie opuszczał miasto oczyszczony z zarzutu zbrodni stanu spotka się Piłat z Agrykolą u siebie w atrium pałacu Heroda już nie jako wykładacz snów o podwójnym groźnym znaczeniu, lecz jako partner, a więc jakby współnik w interesie, w którym nie ma już przewagi jednej strony nad drugą.

— Decyduj się — powie — nie jest jeszcze za późno, choć z woli ludu Jerozolimy skazaniec dochodzi do stóp wzgórza.

— Żądam ponadto głowy Jezusa bar Nash — powie Agrykolą.

Wówczas zaś, w zależności od nastroju rozmowy i od wycucia Piłata, jak daleko można się jeszcze posunąć, w wersji pierwszej:

— Nie dostaniesz jej — powie Piłat — ten Nazareńczyk może jeszcze okazać się nam potrzebny.

I to będzie kara za groźbę zawartą w liście Agrykoli, zarazem ostatecznym ukazaniem swojej przewagi. Względnie też w wersji drugiej:

— Zgoda. Ale otrzymasz ją nie ode mnie. Nie chcę nic wiedzieć, jeśli potknie się lub pośliznie tym razem. . .

— A jeśli dowiesz się? — spyta, chcąc się upewnić, w tym momencie rozmowy Agrykolą.

— Wówczas zapewniam cię — szepnie poufnie on, Piłat — że śledztwo Hegezynosa napotka na niespodziewane przeszkody, które, rzecz jasna, znikną — doda natychmiast, zachowując ów poufny ton — gdy tylko w zatęchłych kancelariach departamentu do spraw prowincji Syrii w Rzymie lub w przedpokojach cesarskich na Capri, padnie nazwisko Barucha bar Symeona.

Zatarł ręce, lecz natychmiast schował je pod togę. Zbliźali się do skrzyżowania, gdzie — z dachu któregoś z tych domów — padł kiedyś kamień na lektykę Epifanesa. „Ja, albo on” — rozważał w atrium pałacu Heroda, czekając co dzień na przybycie swojego sekretarza. A jednak on! — pomyślał z nagłą ulgą, gdy któregoś dnia zdyszany żołnierz wpadł z chrzęstem, broni, ocierając twarz mokrą od potu. Za każdym razem jednak, ilekroć mija to miejsce, doznaje niemiłego uczucia jakby lęku przed zemstą za ową chwilę radości, zemstą ze strony bogów, Losu czy tego, który leży w podziemiach pretorium ze swoim wiecznym „ont”, przypominającym westchnienie. Lęk, być może zabobonny, nie mający nic wspólnego z wyrzutami sumienia, a jednak Piłat nie potrafi powstrzymać się, by nie ścisnąć w dłoni amuletu: figurki demona Pazuzu — pokracznego tworu syryjskiej wyobraźni z dwiema parami skrzydeł i lubieżną twarzą kozła. Demon Pazuzu unosi do góry brwi i w dłoni ścisną włócznię — obronę przed śmiercią, co, krążąc wokół człowieka, chce wypełnić tylko odwieczne przeznaczenie jego gatunku i wszystkiego, co żyje, któremu i tak twór śmiertelny nie umknie, pograżając się w otchłań nicości lub straszliwej jakiejś niewiadomej, „toteż nie buntuj się, głupi człowieku” — głosi napis na piersiach demona Pazuzu — „używaj życia i chwytaj każdy dzień, bo nie unikniesz swojego losu”. To kwintesencja Wschodu i tajemnica jego pozornej bierności, z którą on, Piłat, nie potrafił się nigdy pogodzić i pod tym względem podobny był do Żydów, tak innych od wszystkich, z którymi się w tej części świata spotykał. Może dlatego tak ich nienawidzi: przeczuwał, że są nieujarzmieni, choć nie rozumiał Tajemnicy, która ich wyodrębnia, którą zaś ukrywali w swojej Świątyni. Teraz też będzie próbował walczyć: z tłumem jerozolimskim, z Agrykolą, z owym poczuciem bezradności i strachu, jakie wsącza weń pojęcie Hejmarmene i amulet.

W pamięci stanął mu Człowiek, którego sądził i którego teraz ponownie ma zobaczyć. Wysoki, szczupły mężczyzna o zmęczonej twarzy i podkrążonych oczach ścierał wierzchem dłoni ślinę i krew. Rabbi Joel i dwaj inni uczeni chawerim krążyli wokół Niego jak nastroszone, czujne ptaszyska, które zebrawszy się na żer, pilnują łupu.

— Ten Człowiek podburza nasz lud — powiedział rabbi Joel. — Zabrania ściągać podatki dla cesarza i podaje się za Mesjasza, Króla.

Z niezrozumiałych dlań względów nie chcieli wejść do pretorium, toteż Piłat kazał wystawić swój fotel na taras, a tłumacz wrzeszczał z góry, informując czcigodnych mężów i tłum o przebiegu procesu.

— Czy Ty jesteś Królem Żydowskim? — zapytał prokurator.

Trasyllos oparty o jego krzesło lustrował spojrzeniem Przesłuchiwanego, dowcipkując szeptem po grecku, zapewne na Jego temat. Piłata doszły słowa „kosmetore laon”, będące chyba jakąś parodią Homera, po czym stłumiony chichot. Nie, doprawdy — ten znękany, chwiejący się na nogach Żyd nie wyglądał na władcę ludów. Rzymianin jednak nie kpi z pokonanego, nawet z wroga. Ostatecznie,

w sposób równie żalony i nędzny mógł wyglądać nawet Jugurta Numidyjczyk, wielki przeciwnik Rzymu. Piłat uderzył laską w podłogę. Śmiech ucichł natychmiast. Tłumacz przełożył pytanie na aramejski.

Jezus bar Nash podniósł głowę i po raz pierwszy spojrzął na prokuratora.

— Tak, jestem nim — rzekł. Miał twarz opuchniętą, toteż mowa Jego brzmiała niewyraźnie.

— Naród Twój i przedniejsi kapłani wydali Cię w moje ręce. Co uczyniłeś?

W jego pytaniu nie było nuty drwiny, jednak Trasyllus musiał je zrozumieć jako drwiące, ponieważ znowu zachichotał. Tłumacz zaś prawdopodobnie źle przetłumaczył zwrot „co uczyniłeś”, nadając mu znaczenie raczej „jak mogłeś na to pozwolić”, ponieważ Jezus bar Nash spojrzął Piłatowi prosto w oczy i tonem nadspodziewanie silnym odpowiedział, że gdyby Jego Królestwo było z tego świata, Jego słudzy z pewnością stoczyliby walkę.

— Lecz Królestwo moje nie jest stąd. — Ostatnie słowa zaakcentował z naciskiem.

Słowa te zastanowiły Piłata. Kazał je sobie przetłumaczyć dwukrotnie. Szczególny ten Człowiek zaczynał go zaciekawiać. Pomimo Jego stanu wyczuwał w Nim zdecydowanie i siłę.

— Skąd Ty jesteś? — zapytał.

Pytanie to — odwrotnie do poprzednich — zadał specjalnie lekkim tonem, by ukryć zrodzone nagle zmieszanie. Był sceptykiem ponadto, jak wszyscy wykształceni Rzymianie, wierzył wzorem Epikura, że bogowie mieszkają w swych harmonicznym sferach najwyższej obojętności i prostactwem byłaby mniemać, że mieszają się do spraw ludzkich. Jednak stare mity o schodzeniu bogów na ziemię mogły również zawierać w sobie ziarno prawdy. Patrząc na Jezusa, Poncjusz naraz zaniepokoił się. Kim może być ten Człowiek? Pewnego dnia — pomyślał — zjawił się przed Telemachem ktoś, kto podawał się za Mentora. To jednak nie był Mentor. Czy Człowiek ten nie ukrywa też w sobie dajmona lub zgoła boga? Wypuszczę Go — pomyślał — a potem nie pozwolę Mu nic złego zrobić.

Piłat podszedł do tarasu i wychylił się przez balustradę.

— Nie znajduję w Nim winy — zawołał. — Mówi, że Jego Królestwo nie jest stąd.

— To bluźnierca! — krzyknął rabbi Joel. — Powtarza to, co mówił wczoraj w Synhedrionie.

Pod rozdartym chałatem widać było zapadłą, chudą pierś. Bił w nią teraz obiema pięściami. Chciał plunąć, ale zakrztusił się śliną.

— To czarownik! — zaczęli krzyczeć obaj towarzyszący rabbim. — Wypędza demony i leczy chorych mocą Księcia Szatanów.

Trasyllus za jego fotelem przyglądał się ironicznie trójce roznamiętnionych bigotów z rozwianymi połami chałatów, wygrażających Jezusowi pięściami. Krzyczeli coś w chrapliwym narzeczu aramejskim tak szybko, że tłumacz nie mógł za

nimi nadażyć. Ich powolne, pełne godności ruchy stały się podobne do wściekłego tańca, w którym rozgorączkowani tancerze krążyli drobiąc wokół siebie i pryskając śliną. Podnosili pięści do góry i potrzęsali nimi przed murami Antonii. Z tego gestu zrozumiał, że pełni oburzenia biorą swego Boga za świadka jakichś potwornych w ich mniemaniu zbrodni.

Jezus milczał. Piłat wzruszył ramionami.

Naraz usłyszał wrzaski inne niż dotychczas: wycie bólu i krzyki oburzenia. Dowódca straży pochylił się ku niemu:

— Z pretorium wyszedł oddział żołnierzy, którzy biczami rozpędzają motłoch, by dać swobodne przejście waszej dostojności.

Wychylił się z lektyki. Powitały go gwizdy. Za gęstwą głów zobaczył gwałtowne poruszenia, jak gdyby węża ze srebrną łuską, który zwijał się i rozkurczał, prac wciąż naprzód.

Zaledwie stanął w sali przesłuchań w pretorium, kazał wezwać Hegezynosa. Ten stawił się natychmiast z raportami. W mieście panował niepokój, jednak ilość pobitych i stratowanych nie była większa niż zazwyczaj w czasie Świąt. Hegezynos sądził jednak, że dalsze utrzymywanie sprawy Jezusa bar Nash w zawieszeniu może spowodować zamieszki, to zaś zwróci niechybnie uwagę urzędników departamentu prowincji Syrii na Judeę. . .

— Dość! — przerwał Piłat.

Siadł w fotelu i kazał wprowadzić Jezusa. W dole kłębił się tłum. Co chwila podnosił się krzyk: natarczywe, groźne żądanie. Jezus wszedł ubrany w szatę obłąkanego, jaką kazał nałożyć Mu Antypas. Widocznie jeszcze w czasie drogi Go bito, ponieważ Piłat dostrzegł na Jego brodzie świeże skrzepy krwi. Legionista przyprowadził Podosądnego do fotela prokuratora i oparł plecami o ścianę. Oskarżony chwiał się ze zmęczenia.

Wrzask znowu wstrząsnął ścianami pretorium.

— Słyszysz? — zapytał Piłat. — Chcą Twojej śmierci. Ciekaw jestem, z jakiego powodu. Raporty, jakie otrzymuję o Tobie. . .

Urwał. Jezus milczał wpatrzony gdzieś ponad głowę Piłata we wzgórze Jerozolimy i białe pudełka domów. Nie otrzymując odpowiedzi, Piłat ciągnął dalej:

— Uważasz się za ich Zbawcę? Kazałem sobie przedstawić Twoją naukę, nie widzę w niej nic zdrożnego, przeciwnie — pewne jej akcenty przypominają mi wywody Zenona. Czy nie zastanawia Cię jednak to, co się tu dzieje?

Wstał i wyszedł z tłumaczem na taras. Tłumacz przyłożył dłonie do ust:

— Jego dostojność przyjacieli cesarski nie widzi winy w tym Człowieku, ale żeby udowodnić wam swoją przychylność, wypuści jednego więźnia, a tym samym uczi wasze Święto. Kogo chcecie uwolnić: Jezusa bar Nash czy bar Abbe?

Powiedziane krótko, jasno i po rzymsku, bez wschodnich wykrętów i niedomówień.

Piłat oparł się o balustradę i patrzył w setki czarnych kółek otwierających się przed nim. Widział setki falujących dłoni i wzniesionych pięści. Tłum coś wrzeszczał. Piłat zrozumiał tylko imię: „bar Abba”. — Chcą uwolnić bar Abbę — szepnął tłumacz.

— Co takiego? — Piłat drgnął. Czyżby się przesłyszał? A może źle ocenił sytuację? Wydało mu się, że ten krwiożerczy motłoch żąda ofiary — niczym tłum w amfiteatrze domagający się śmierci gladiatora. Gotów jest sprawić im to widowisko. On, Piłat, bynajmniej nie uchyla się od zasady — jakże skutecznie wypróbowanej w Rzymie dla utrzymania hołoty w karności i spokoju — chleba mianowicie i igrzysk, najlepiej zresztą krwawych. Czyżby jednak tej masie zalegającej ulice i dachy domów nie było obojętne, kogo będą oglądać na krzyżu? A jeśli tak — to znów zaczyna Piłata nurtować pytanie, czemu właśnie Jezusa bar Nash?

— Powiedz im — wrzasnął do tłumacza, starając się przekrzyczeć ryk i gwizdy — że ja nie chcę mieć nic wspólnego ze śmiercią tego Człowieka!

Widział, jak w dole ktoś zamachnął się, by rzucić w niego kamieniem. Kamień nie doleciał do wysokości tarasu, wyrznął w ścianę i odbił się od niej.

— Nic z tego, wasza dostojność — powiedział tłumacz — oni chcą naprawdę skazać Jezusa bar Nash. Krzyczą, że wyłamią bramę i sami wymierzą sprawiedliwość.

Czyżbyśmy naprawdę — pomyślał Piłat — my, Rzymianie, byli jedynie dobrymi żołnierzami, a dyplomację i sztukę oddziaływania na tłumy należałoby pozostawić ludziom Wschodu i Grekom? Cofnął się i spojrzał na szefa policji. Hegezynos podniósł brwi i rozłożył bezradnie ręce. Gest ten mówił: „Jeśli chcesz ryzykować...”

— Ilu mamy żołnierzy w pretorium?

— Dwie kohorty — powiedział Grek. — Ledwo starczy do obrony bramy. Jeśli jednak — waszej dostojności tak bardzo zależy na tym Człowieku, można w ostateczności posłać gońców z żądaniem o pomoc do garnizonów syryjskich. To jednak potrwa, podczas gdy ich cierpliwość wyczerpie się, jak przewiduję, za godzinę.

— Przegrałem — pomyślał Piłat — tym razem ostatecznie. Czuł się zwyciężony przez tych śmiesznych, uroczystych Żydów, którzy przyprowadzili mu Nazareńczyka, i przez ich umiejętność grania na nastrojach tłumu, której on, Piłat, nigdy nie posiadzie. Zwyciężony przez Agrykolę. Jego staranny plan ukuty w drodze do pretorium wali się oto w gruzy. Bar Abba nie zostanie ukrzyżowany. Jezus bar Nash nie zostanie uwolniony. To nie Agrykola przyjdzie jutro do pałacu Heroda, ale on, Piłat, będzie odtąd w jego ręku skazany na ustawiczną niepewność, a wszystko przez ten tłum nieobliczalny, burzliwy jak żywioł, który zna jeszcze mniej niż motłoch rzymski — męty z Zatybrza, którego w ogóle, okazuje się, nie zna, jak nie zna wschodnich kolonii Rzymu i tajemnych, podskórnych nurtów burzących ich powierzchnię jak gejzery.

Przyjrzał się Jezusowi bar Nash. W tej chwili szczerze pragnął uwolnić tego Człowieka. Nie budził w nim litości. Jego widok był dlań raczej wyrzutem. Jego sceptycyzm kazał mu wątpić w pojęcia sprawiedliwości i prawa: gwałcił je bez skrpułów, gdy tylko wydało mu się to korzystne, w głębi duszy jednak bez poczucia prawa nie wyobrażał sobie istnienia. Teraz ma wydać wyrok, przeciw któremu buntuje się owo poczucie. Nastrój gracza odszedł od niego całkowicie. Wydawał się sobie teraz znów bezradny i złożony z samych sprzeczności. Być może — rozmyślał — dowody Agrykoli są do odparcia, lecz jeśli nie? Czy warto ryzykować? I to dla kogo? Dla obcego Człowieka, którego nienawidzą Jego własni ziomkowie? Czy więc On ma zginąć, czy ja? Dlaczego On? Hegezynos wyśmiałyby te skrpuły! Dlaczego ja?

Jezus pograżył się w milczeniu. Dwaj legionieści stojący przy Nim gapili się na ścianę bezmyślnie. W nagłej ciszy, jaka zapadła między kolejnymi wybuchami wrzasków, słychać było kroki przechadzającego się nerwowo Piłata.

Ja, czy On? Dopóki tego nie rozwiążę, nie będę miał spokoju. Popełniłem błąd, nawet zbrodnię — to prawda, ale dlaczego właśnie ja mam zginąć? On niech ginie, chociaż nie popełnił nic złego...

PRZYPUSZCZALNY HEGEZYNOS, ROŻNY OD RZECZYWISTEGO, LECZ RÓWNIE JAK I TAMTEN PRZENIKLIWY W ROZSZYFROWYWANIU MYŚLI PIŁATA:

Zważ, tak samo rozumowałeś, każąc zgładzić Barucha, Epifanesa, Sejana, na koniec mnie — Hegezynosa, tego jak najbardziej rzeczywistego, nie zaś tego, który istnieje tylko w twoich myślach. Zawsze zadawałeś sobie to samo pytanie, ale zawsze miałeś na nie tę samą odpowiedź. Wszystko się powtarza. Świat — mówią filozofowie z portyku malowanego — jest mechanizmem z rodzaju tych, jakie wyrabiają w Aleksandrii, wygrywającym cyklicznie wciąż tę samą melodyjkę, a skoro tak...

CZŁOWIEK ZWANY CZTERDZIESTYM PIERWSZYM TOŻSAMY JAKBY Z EPIFANESEM CZY TEŻ Z SEJANEM LEŻĄCYM WŁAŚNIE NA SOFIE NA PRZYJĘCIU U SAMEGO TYBERIUSZA AUGUSTUSA, GDZIE NA WŁOSKU ZAWISŁA GŁOWA PONCJUSZA, PROKURATORA JUDEI:

Skoro tak, mój Poncjuszu Piłacie Hegezynosie, to skąd te skrpuły, że tak powiem, sądowe?

TYBERIUSZ AUGUSTUS *rzucając na ziemię monetę, która padając ukazuje wizerunek cesarski, czyli jakby głowę Poncjusza Piłata przybraną w diadem:*

— Co innego jest, mniemasz, być sędzią, a co innego zawiedzionym współnikiem? Czy też współnikiem nie zawiedzionym, lecz pragnącym się drugiego pozbyć...?

PONCJUSZ PIŁAT NA PÓŁ RZECZYWISTY, BĘDĄCY BOWIEM U SIEBIE W ATRIUM PAŁACU HERODA, PRZEGLĄDAJĄCY RAPORT O JE-

ZUSIE BAR NASH, ZARAZEM JEDNAK PRZECHADZAJĄC SIĘ PO SALI W PRETORIUM:

— Mówi o sprawiedliwości. Gdybym się potrafił na nią zdobyć! Na pewno wówczas bym Go uwolnił, sam równocześnie wyzwając się. . .

TŁUM W DOLE JAK NAJBARDZIEJ RZECZYWISTY:

— Ukrzyżuj Jezusa bar Nash!

AGRYKOŁA, RÓWNOCZEŚNIE JEDNAK ANANIASZ Z TĄ RÓŻNICĄ, ŻE MŁODSZY, PODOBNY DO XLI, LECZ TAKŻE — DZIWNYM ZBIĘGIEM OKOLICZNOŚCI — I DO MARCELLUSA, SEKRETARZA LEGATA SYRII SIEDZĄCEGO PRZY PULPICIE, LECZ CHYBA NIE W DAMASZKU, PRĘDZEJ W RZYMIE, BOWIEM W SALI DOBRZE ZNANEJ PIŁATOWI, CIEMNAWEJ, ZAPEŁNIONEJ SKRYBAMI:

— „Równocześnie” powiedziałaś? Dodaj trzeci człon tej równoczesności: „oddając się w ręce Agrykoli” — powiedz — to znaczy w moje ręce.

ŻOŁNIERZ PRZYPUSZCZALNY, BOWIEM RÓWNOCZEŚNIE I ON SAM, PONCJUSZ PIŁAT TEN SPRZED KILKU GODZIN SIEDZĄCY W FOTELU, A MOŻE NAWET SAM MARMUROWY GAJUSZ TYBERIUSZ PONCJUSZ PIŁAT CEZAR:

— Gdyby Królestwo Jego było z tego świata, sądzisz, że nie potrafiłby się przed tobą obronić?

HEGEZYNOS RZECZYWISTY:

— Kto tam?

POSŁANIEC ASPAZJI, RZECZYWISTY RÓWNIEŻ:

— Pani jest bardzo zdenerwowana. Przysłała mnie, by przypomnieć ci, prześwietny prokuratorze, jej prośbę: „Nie wdawaj się w sprawę przeciwko temu Sprawiedliwemu”.

PIŁAT RZECZYWISTY, TO ZNACZY WCIAŻ PRZECHADZAJĄCY SIĘ PO SALI:

— Wyoś się, pamiętam o niej!

W myślach:

— Gdyby tak kiedyś wyzwolić się z tej pustki, w której wędruję w dręczącym śnie swojego życia jak we mgle o której śnię co noc, która nigdy się nie skończy! Życie bez miłości to Hades, skąd Odyseusz wywoływał mdłe cienie, a człowiek bez miłości to demon. Kto to napisał?

PIŁAT POZORNY, BOWIEM WPATRUJĄCY SIĘ W ATRIUM W ROZCIĄGAJĄCĄ BEZZĘBNE WARGI MARMUROWĄ MASKĘ, KTÓRA Z TYM UŚMIECHEM SKAZAŁA NA ŚMIERĆ SEJANA:

— Miłość? Ten, kto kocha, idzie na dno jak stary worek podziurawiony przez gorycz.

TŁUM NIERZECZYWISTY:

— Uwolnij Jezusa bar Nash i uwolnij bar Abbę!

TŁUM RZECZYWISTY:

— Ukrzyżuj Jezusa bar Nash!

PIŁAT z *nagłym niepokojem*:

— Skąd jesteś? Mnie nie dajesz odpowiedzi? Czy Ty wiesz, że mam władzę przywrócić Ci wolność i mam władzę ukrzyżować Cię?

JEZUS BAR NASH *poruszając wargami z wysiłkiem, podtrzymywany przez żołnierza*:

— Nie miałbyś nade mną żadnej władzy, gdyby ci nie dano z wysoka; dlatego też ten, który wydał mnie w twoje ręce, ponosi dużo większą winę.

Piłat wpatrzył się w swego Więźnia zdziwiony.

Dlaczego właściwie nie broni się i nie stara się mnie przekonać o swojej niewinności? Czy to znaczy, że ustępuje przed nimi dobrowolnie?

Jezus bar Nash uniósł głowę i oparł ją o ścianę tak, że broda sterczała prostopadle. Jego twarz odcinała się od purpurowego płaszcza, w który owinęli Go żołnierze. Skrzepy na brodzie otworzyły się i krew spływała dwoma strumykami po szyi.

Naraz Piłat pomyślał, że Tamten dokonał wyboru i to wywołało w nim złość. Potem jednak pojawiły się wątpliwości. Jeżeli Tamten oddawał się śmierci po to, aby jego, Piłata, ocalić — przynajmniej od zwątpienia, chcąc ukazać mu swoją prawdę, to istnieją tylko dwie możliwości: albo jest On rzeczywiście szaleńcem, albo Jego wielkość jest wprost wyjątkowa i oto on, Piłat, prokurator Judei poczuł się naraz mały wobec wielkości promieniującej z tego Żyda.

Nazywają Go Mesjaszem, Zbawcą — od czego jednak? Wydało mu się, że uchwycił istotny sens tego słowa. Zbawcą mianowicie od pytania: „Ja, Piłat, mam pójść na dno, czy ktokolwiek — Antypas, Sejan, Epifanes?” Teraz powinien dokonać wyboru on sam. Przekonanie o niewinności tego Człowieka powinno mu wystarczyć, podobnie jak wiedza o tym, kto zabił Barucha bar Symeona.

Dokonać wyboru — powtórzył w myślach — i dać świadectwo prawdzie. To by znaczyło pójść w Jego ślady: „ja czy On” — to już nie było ważne, skoro kogoś nazywanego „on” ceniłoby się tak, jak samego siebie. Wówczas ból, strach i los „tamtego” odczuwałoby się jako własny, a on, Piłat, człowiek posiadający tylu wrogów, czułby się wreszcie oczyszczony z ich nienawiści i z nienawiści do nich. Co znaczy kochać — przeszło mu przez myśl — jeśli nie powiedzieć każdemu, kogo przeciwstawiamy sobie: „Jesteś mną samym, a ja jestem tobą”?

Dokonać więc wyboru! A jednak nie potrafił. Szanował teraz tego znękanego Człowieka, jak nikogo dotąd, a przecież jego wahanie i odwlekana z minuty na minutę decyzja — którą już znał zanim ją wypowiedział — była także wyborem. Nie tym, którego chciał, ale tym, którego dokonywał — i ten właśnie się liczył. Czuł wstręt do siebie. Owszem, był tchórzem. Ujrzał przed sobą rząd wąskich klitek zastawionych pulpitemi — i on wśród nich — zagubiona, mała figurka odsuwana wciąż do coraz nowych, prowadzących śledztwo urzędników — i wiedział

już z całą pewnością, że nie starczy mu siły, by uwolnić Jezusa bar Nash, a cała ta przeciągająca się komedia była tylko pozorem sądu zakrywającym morderstwo najbardziej jawne z tych, jakie popełnił i jakie chciał popełnić. Mógł przeciągać ją — ale wiedział, że z każdą minutą będzie rosło jego upokorzenie. Czuł wstręt do tłumów wyjących przed pretorium, do Hegezynosa, który przejrzał go i uśmiecha się bezczelnie, a przede wszystkim jakiś nieokreślony wstręt do atmosfery świata, w którym żył tu, w Judei i w Rzymie, w której zaś wydał się sobie naraz kimś obcym. Obcość runęła na niego. Było w niej coś z poczucia winy, zarazem poczucie niewoli. Wiedział, że skaże Jezusa bar Nash, ale to tylko wepchnie go w niewolę jeszcze głębiej. Gdybym chciał, przebiegło mu przez myśl, gdybym miał dosyć odwagi, by przyjąć Go jako Mesjasza, może zginąłbym, ale chyba byłbym wyzwolony...

Kotara poruszyła się. Wszedł Trasyllus.

— Rabbi Joel polecił przesłać waszej dostojności wiadomość, że jego ludzie nie są w stanie już dłużej powstrzymać tłumy. Żołnierze gotowi są do obrony bramy. Trzeba szybko z tym skończyć, prześwietny prokuratorze.

Piłat odwrócił się i powoli skierował kroki w stronę tarasu wciąż jak gdyby niepewny tego, co ma za chwilę powiedzieć i uczynić.

* * *

Pochód zamykali żołnierze z obnażonymi mieczami i zaraz dostrzegł Miriam, podtrzymywaną przez Jana zwanego Synem Gromu, opanowaną, na pozór chłodną. Szła wyprostowana i surowa, wręcz dostojna w swoim bólu, ci więc, którzy oczekiwali, że Jej cierpienie sprawi im dodatkowe widowisko, musieli doznawać w tej chwili zawodu. W tłumie podniosły się wrzaski oburzenia. Wiedziano, że jest Matką Skazańca i miano Jej za złe, że nie okazywała rozpacz, rwąc włosy i drapiąc twarz, jak to zazwyczaj czyniły matki idących na śmierć.

Przeniósł się myślą kilka godzin wstecz do domu Szymona Garbarza: głęboka noc spadła na miasto, a wraz z nią cisza. Znużeni ludzie spali. Na całej ulicy garbarzy tylko w domu Szymona paliło się światło. Zrezygnowani patrzyli w płomień, który się wgryzał coraz głębiej w tłuszcz lampki. Naraz Gedeon uderzył ręką w stół. Następnie wstał i wyszedł bez słowa. Wiedzieli, co to znaczy. Nikt z nich nie miał mu tego za złe. Inni — nawet najbliżsi uczniowie Jezusa bar Nash — też odeszli, tocząc w swoich prostych umysłach walkę zakończoną gwałtowną, pozornie nagłą decyzją. Pozostali patrzyli na siebie. Mają tu zostać, czy pójść? Jeżeli zostaną, to jaki to ma sens, skoro wszystko już jutro się skończy?

— Czy jednak skończy się na pewno? — powiedział nagle Maciej. — Tego, co On powiedział, nie da się przecież już cofnąć. Czy nie wierzymy już, że przyjdzie znów? Tyle razy przecież to mówił.

Jego słów nie da się ukrzyżować — pomyślał. To co mówił Jezus bar Nash, słyszało wielu ludzi, ale choćby słyszał tylko jeden człowiek można to powtarzać, idąc od miasta do miasta.

Słowa te wlały w ich żyły żar. Znali to uczucie. Było podobne jak wtedy, gdy przemawiał Jezus bar Nash, a rzesze ludzi słuchały Go z zapartym tchem. Żar ten nadawał sens ich życiu, pchał ich do wędrówki z Mistrzem po wsiach, drogach i małych miasteczkach. Przerażeni Jego pojmaniem pragnęli wrócić do swoich domów, odkrywając jednak, że nie wystarczy im już egzystencja, którą dotąd pędzili. Teraz wydawała im się ona szara, a-to, co najpiękniejsze i najbardziej barwne, było już poza nimi i odeszło razem z Jezusem bar Nash. Może jednak wielki cel ich życia był jeszcze przed nimi? — i to było właśnie tym, czego pragnęli. Walka znów zaczęła ich wciągać.

— Trzeba odnaleźć Szymona Kefasa. On jest najstarszy spośród nas — powiedział siedzący obok Jana Jakub — drugi spośród Synów Gromu — myśląc równocześnie, że i Szymon jest teraz tak samo, jak on, bez domu i bez rodziny, a jeśli przez kogoś szukany, to przez szpicli niezłomnie prawych, nie związany z żadnym miejscem od chwili, którą pamiętać będzie zawsze, gdy zarzucali w jeziorze sieci i naraz podszedł do nich wysoki, szczupły Człowiek. Od tej pory nawet Szymon Kefas i Jan Syn Gromu są mu przyjaciółmi i krewnymi poprzez Niego i siedzących tu w kręgu mdłej lampki, ludźmi, którzy są teraz jego domem. Co z Nim teraz robią? — pomyślał w głuchym, milczącym gniewie. Dziwiła go pawność, jaką znów w sobie odkrywał. W rozproszeniu można każdego zastraszyć i pokonać, razem stanowią jednak siłę. Będą pomagać sobie żywnością i pieniędzmi, gdy tylko ktoś znajdzie się w potrzebie, byleby przetrwać okres najtrudniejszy. Chodzi jednak i o to — rozmyślał, by każdy dzielił się z innymi swoją radością, zwątpieniem, nieszczęściem, wiedzą czy wiarą. Gmina nie może być gromadą ludzi obcych sobie i w gruncie rzeczy osamotnionych i to będzie jej siłą, która przyciągnie do niej pogan. To już jutro nastąpi — uprzytomnił sobie nagle. Już jutro?

Stał wciśnięty w tłum obok Macieja, Szymona Garbarza, Aarona i Racheli, walcząc łokciami o miejsce.

— Wczoraj o tej porze był jeszcze z nami Gedeon — szepnął mu do ucha Szymon lub może on sam, Jakub, wypowiedział nieświadomie to, o czym myśleli wszyscy: było ich coraz mniej. Ci, którzy pozostaną, będą garstką.

Znikała mu z oczu postać Jezusa bar Nash. Nie rozumiał, jak ktoś tak zmasakrowany może poruszać się o własnych siłach, ponadto dźwigać ciężką belkę. Nazareńczyk musiał posiadać wyjątkową wprost siłę woli, skoro starał się, co było widoczne, iść krokiem możliwie równym i nie dać poznać po sobie wyczerpania, całkowicie pochłonięty drogą, której każdy odcinek zdobywali trzej skazańcy powoli i z wysiłkiem jak trzy ogromne żółwie. Jezus bar Nash szedł ramię w ramię raz z pierwszym, raz z trzecim ze Skazańców.

— Widzisz — szepnął do ucha Macieja — z jakim trudem On stara się nie pozostawać w tyle?

Przyszło mu na myśl, że jego wiara jest silniejsza niż wiara Szymona Kefasa, który gdzieś zniknął — może w ogóle Uciekł z Jerozolimy. Usiłował jednak odrzucić tę myśl: czy Jezus bar Nash nie zabronił czynienia takich porównań? Godność — pomyślał. — Za wszelką cenę zachować teraz godności

Człowiek zwany złoczyńcą szedł obok Człowieka zwanego Królem Żydowskim i obok trzeciego skazańca. Chociaż sam słańał się na nogach, nie mogąc przyjść do siebie po flagellacji, spostrzegł, że Człowiek zwany Królem Żydowskim jest jeszcze bardziej słaby i zbity. Spośród ich trzech On był w najgorszym położeniu: cała wściekłość tłumu kierowała się przeciwko Niemu. Również człowiek zwany złoczyńcą przeklinał Go, ciągnąc po ziemi kloc, który wydawał się tym cięższy, im bardziej droga szła pod górę. Najlepiej trzymał się ten trzeci: chociaż więzienie osłabiło w pewnym stopniu i jego. Nie przeklinał go nikt i właściwie nie zwracano na niego uwagi. Przypuszczalnie ci, którzy stali wzdłuż ulicy i na tarasach oraz dachach domów, nie mieli nawet pojęcia, oo uczynił ten skazaniec o bezbarwnej, pospolitej twarzy, który nagle przystanął i również pogroził pięścią Człowiekowi zwanemu Królem Żydowskim, czyniąc Go jak gdyby współwinnym za swoje nieudane życie, które za chwilę skończy się tak nędznie, za swoje nie spełnione nigdy pragnienia — któż może wiedzieć — wzniosłe, niskie czy pospolite?

Gest ten wzbudził sympatię tłumu. Ktoś podał mu wino. Ten trzeci przechylił kubek i wypił do dna, nie patrząc na ofiarodawcę i nie dziękując.

— Pokaż, co umiesz! — ryknął ktoś z tłumu. Ty, co obiecujesz zmartwychwstanie i życie dla tych, co w Ciebie uwierzą, sam spróbuj teraz się ocalić!

Człowiek zwany złoczyńcą zwrócił wzrok w tę stronę. Zobaczył twarz czerwoną z wysiłku i upału, a nad nią pięść wygrażającą ponad ruchliwym mrowiem głów. Twarz ta na chwilę zatrzymała się w polu jego wzroku: jedyny wyrazisty szczegół w zlewającym się paśmie twarzy i rąk. Wydało mu się, że to nie on idzie, lecz ów pas przesuwaa się przed jego oczami. Przyjął uderzenie obojętnie. Więzienie stępiło jego nerwy. W następnej chwili poczuł na twarzy ślinę. To również nie zrobiło na nim wrażenia. Wiedział, że była przeznaczona dla Człowieka zwanego Królem Żydowskim. Na niego nikt z tych, którzy przyglądali się pochodowi, nie miał powodu pluć. Nie znano go, zwykłego mordercy, który zakłuł nożem jakiegoś Perejczyka przy pomocy dziewczki Isabel. Leżący na ceglanej podłodze mężczyźni opisywali jej kształty, rysując palcem w powietrzu szczegóły i wyuzdane pozy jej ciała. Jednak w ich opowieściach obraz Isabel zamiast się przybliżać, stawał się coraz mniej ostry: stawał się wizją, marzeniem, jakie stwarzał każdy z tych ludzi podczas bezsennych nocy, niedoścignionym, jak życie na wolności, jego symbolem.

— Mesjasz! — chichotał tłum.

Droga skręcała prawie pod kątem prostym. To było trudne, ponieważ kloc zawadził o występ muru. Człowiek zwany złoczyńcą szedł teraz jak gdyby w transie. Ożył w nim obraz słupa i stojących w pewnej odległości żołnierzy. Jeden z nich nie chciał go biczować. Dlaczego? Obraz ten jest na pół rzeczywisty. Wszystko, co zostawił za sobą, odchodzi od niego, zamazuje się i traci realność. Wydaje mu się, że kroczy we śnie jak lunatyk.

Potyka się naraz i omal nie traci równowagi. Ryk tłumu jest teraz jak burza. Zobaczył, że Jezus bar Nash upadł i wstaje, a żołnierze popędzają Go batami.

— Bądź przeklęty, fałszywy proroku! — chrypi człowiek zwany złoczyńcą i pluje pod nogi Człowiekowi zwanemu Królem Żydowskim.

Słyszysz za sobą śmiech. To ten trzeci zataczając się rechocze i skrzeczy przez opuchłe wargi:

— Bądź pozdrowiony, Człowieku sprawiedliwy! Zamierza ukłonić się Jezusowi bar Nash, ale zgięty pod klocem wykonuje tylko nieokreślony ruch ręką.

Strażnik smagnął go batem, lecz tłum rozśmieszony zaczął lżyć strażnika za okrucieństwo. Skądś z dachu śmignął mały kamyczek i trafił w plecy Jezusa bar Nash.

— Po raz trzeci upadł! — krzyknięto w tłumie.

— Trzeba znaleźć Mu kogoś do pomocy!... Spójrz, na Molocha, i ten drugi słabnie!

— To już niedaleko — mówi. Zaraz dojdziemy do Wzgórza.

Czuje w ustach smak wina i to go orzeźwia. Żołnierz podtrzymuje go.

Jezus bar Nash wstaje z trudem. Jego twarz jest nieruchoma jak maska.

Wybacz mi — myśli człowiek zwany złoczyńcą — Ty, który twierdzisz, że sprawiedliwość nie rodzi się z lęku i bólu, lecz jest wynikiem miłosierdzia. O Tobie mówią, że jesteś Mesjaszem, a więc tym, Kto przynosi światu Łaskę i sprawia, że człowiek może wyzwolić się od siebie samego czy może właśnie znajdować samego siebie potwierdzenie?

Dwaj żołnierze trzymają pod pachy Człowieka zwanego Królem Żydowskim. Jacyś dwaj ludzie próbują ruszyć z ziemi belkę, ale człowiek zwany złoczyńcą już tego nie widzi. Świat przesłania mu żółty tuman kurzu, w którym dostrzega tylko swoje stopy wrzynające się w kamienie drogi krok za krokiem. :

Hegezynos oparty o balustradę patrzył na mrowie, które kłębiło się w uliczkach spływając w jednym kierunku: ku Wzgórzom niewidocznym z tego punktu fortu. Gdzieś w tym mrowiu ludzkim tkwi zawieszony Ten, z którego Osobą wiązano nadzieje i obawy, dziś jeszcze żywe, jutro zapewne już wraz z Nim umarłe. Wszystko zaczyna wracać do normy. Jerozolima pod jego stopami leżała znów taka sama, jak zawsze ruchliwa, a jednak jakby senna: z wysokości tarasu poruszenia ludzi wydawały się powolne, nie dobiegał tu już gwar, a na dziedzińcu przed pretorium, jeszcze niedawno tak pełnym, nie było już nikogo. Pod portykami Świątyni Salomona chodziło z wolna zaledwie kilku uczonych w Piśmie

starych rabbim, dyskutując, jak co dzień nad istotą prawa i miłosierdzia, Oganiając się od much, leżało kilku żebraków zbyt leniwych widocznie, by rozpychać się w tłumie okalającym w tej chwili Wzgórze Czaszki Trupiej — i teraz stolica Judei robiła wrażenie całkiem prowincjonalnego miasta, gdzie stateczna senność wafęsa się wśród ścian domów.

Naraz przyszło mu na myśl, że tragedia, której finał rozgrywa się teraz, wymknęła się przewidywaniom. Wszystko odbyło się tak, jakby wypadki biegły pchnięte czyjąś świadomością, czyjąś dłonią po zaplanowanych już uprzednio drogach, całkiem odmiennych od tych, na jakie zamierzał skierować je on, Hegezynos, a być może również i Piłat. Czy były to więc drogi, jakie wyznaczili ci fanatyczni trzej Żydzi lub tłum? Mogło tak wyglądać, a jednak w to wątpił. Wyczuwał, że coś tu wymyka mu się — jego planom i jego poznaniu. Historia i bieg wypadków miały swój sens głęboki, ukryty, przechodzący jakby obok, jakby ponad nim. Nie mógł uwolnić się od myśli, że wszystko to miało jakiś swój cel i do tego celu biegło, ale on owego celu nie zna, toteż jest zaledwie jak kamyk lawiny, nie zaś siłą, która nadaje jej bieg — jak to podszeptowała mu jego pewność siebie. Tajemnica otwarła się, a on patrzy w jej czarne dno jak w studnię.

Zrobiło się ciemno i zerwał się wiatr. Szła pewnie burza piaskowa, ponieważ słońce ściemniało. Wydało mu się, że wyczuł pod stopami drżenie, a równocześnie, że mrowie, wypełniające hen, daleko zakamarki miasta, stało się niespokojne. Wytężając wzrok, mógł dostrzec, że od dalekiej ruchliwej masy ludzkiej odrywają się pojedyncze figurki i jest ich coraz więcej.

Wracają, — pomyślał. Z tego wynika, że skazańcy, a przynajmniej Ten Główny, już nie żyją.

Wrócił do sali. Położył się na sofie i rozwinął zwoje poezji Horacjusza i Kattulla. Kazał zapalić ogień w trójnogu, ponieważ zrobiło się całkiem ciemno. Nie wolnicy krzatali się szybko, jak gdyby wystraszeni. Nie zwrócił na to uwagi pochłonięty wierszami listu do Pizonów. Po wszystkich meczących myślach w ciągu ostatnich dni potrzebował odpoczynku. Z rozkoszą zanurzył się w klarowne, rytmiczne strofy traktatu o poezji.

Oderwał się od nich dopiero wtedy, gdy Trasyllus stanął przed nim i położył mu rękę na ramieniu.

— Masz tu do zatwierdzenia akt zgonu Jezusa bar Nash spisany przez setnika oddziału konwojującego. Poza tym w mieście dzieją się dziwne rzeczy. Zaczynasz się, jak widzę, Horacym, a tymczasem szaleje panika. Ludzie tłoczą się w wąskich uliczkach, uciekając ze Wzgórza Czaszki Trupiej. Kazałem setnikowi numerowanych i setnikowi konwoju patrolować wyloty ulic. Na wszelki wypadek chcę ściągnąć kawalerię numidyjską z Jerycho zanim nadejdzie legion syryjski z Damaszku.

Hegezynos sięgnął ręką po raport. Setnik konwoju urzędowo stwierdzał, że Jezus bar Nash skonał na krzyżu. Spojrzał następnie na dwie woskowe tablicz-

ki, które położył mu na kolanach Trasyllus. Były to krótkie raporty setnika numerowanych. W pierwszym donosił, że mniej więcej do chwili śmierci głównego Skazańca panował wśród tłumu względny spokój. Dopiero potem nastroje się zmieniły w związku z ciemnościami i drżeniem ziemi, które tłum wiąże ze śmiercią Jezusa bar Nash. W związku z tym setnik numerowanych zwraca uwagę na osobliwe zachowanie się setnika konwoju Korneliusza. Setnik konwoju, mianowicie, głośno uznał Jezusa Cieślę za Syna Bożego, co wprowadziło nastrój grozy i wzburzenia wśród żołnierzy. Setnik numerowanych uważa w związku z tym postępowanie swego kolegi za karygodne. Drugi raport przynosił opis objawów paniki ludności Jerozolimy, zwracając uwagę na fakt lojalności uczonych peruszim oraz ludzi ze sfer kapłańskich, którzy choć sami również wyraźnie zaniepokojeni, próbują tłum uspokoić.

— Jest jeszcze jedna wiadomość, której nie ma w raportach — rzekł Trasyllus — którą zaś podano mi ustnie: w Świątyni rozedrzeć się miała zasłona oddzielająca tajemniczy Przybytek Żydów. Wiadomość o tym przedostała się na zewnątrz. . .

Urwał, po czym z nagłym niepokojem, patrząc natarczywie Hegezynosowi w oczy, dodał:

— Jak sądzisz, czy dobrze zrobiliśmy, skazując na śmierć tego Człowieka?

Hegezynos wzruszył ramionami i zmierzył swego pomocnika ironicznym spojrzeniem.

Ja nie chciałem jego śmierci — pomyślał. Teraz niech ten zausznik Piłata martwi się o swojego szefa, o swoją skórę i o wszystkie znaki na niebie i ziemi. Jednak i jego przejął niepokój — dobrze znane tu, w Judei, uczucie: strach przed nieznanym. Tym, które jest tuż, pod bokiem w Świątyni — niepojętą, bezcielesną Tajemnicą i tym, co czai się na każdej ulicy w myślach, w nastrojach przechodniów. Śmierć Jezusa bar Nash mogła być w zagadkowy sposób związana z obiema tymi odmianami nieznanego.

Za kotarą usłyszał łomot kroków. Wszedł legionista, oficer straży pałacowej Piłata.

— Szlachetny Hegezynos, urzędnik pierwszego stopnia jest wzywany natychmiast do jego dostojności.

Po czym tonem już mniej służbowym:

— U przyjaciela cesarskiego są przywódcy niezłomnie prawych i stronnictwa kapłanów. Chodzi im o to, by obsadzić strażą grobowiec Józefa z Arymatei, gdzie mają być złożone zwłoki Jezusa Nazareńczyka, o czym dowiedzieli się już przez swoich szpiegów. Boją się jednak, by zwłoki nie zostały wykradzione.

Tonem poufnym:

— Wśród tłumu słyszy się, jakoby Jezus bar Nash przed śmiercią rozpuścił pogłoskę o swoim Zmartwychwstaniu.

W zamyśleniu:

— Należy wszystko przewidzieć i zabezpieczyć się.
Hegezynos i Trasyllós porozumieli się wzrokiem.
— Zajmę się tym i wyznaczę dowódcę straży — powiedział Hegezynos — jeśli przyjaciel cesarski wyrazi zgodę na żądanie tych fanatyków.
— To ja właśnie zostałem wyznaczony dowódcą straży. Mam rozkaz objąć służbę natychmiast, gdy tylko ciało Skazanego zostanie złożone do grobowca.
Ledwie dostrzegalny uśmiezek oficera wydał im się obu arogancki.

* * *

W dzień później w sali przesłuchań fortu Antonia. W fotelu Piłata siedzi setnik, dowódca konwoju, który osłaniał pochód skazańców na Wzgórze Czaszki Trupiej. Z tyłu oparty o fotel stoi Trasyllós. Na sofie z łokciem na poduszce leży Hegezynos. W kącie sali, w trójnogu zakończonym u dołu postaciami lwów o kobiecych twarzach przybranych w ciężkie, zdobne we frędzle zawoje, i ze skrzydłami, płonie ogień. Rozjaśnia salę w taki sposób, że światło pada na twarz setnika, zasłaniając twarz Hegezynosa. Widać natomiast dokładnie skrzydlate lwy. Ich szklane oczy o kolorze jasnyniebieskim, wprawione w słoniową kość twarzy, wpatrują się w widza nieruchomo, z osobliwie przejmującym wyrazem. Jest regułą, że przesłuchiwanie narodowości armeńskiej tracą w ich obecności pewność siebie. Dlatego też ich przesłuchiwanie odbywają się zazwyczaj w godzinach wieczornych. Jest wieczór. W forcie Antonia trąbią właśnie pierwszą straż nocną.

HEGEZYNOS:

— O ile nam wiadomo, setniku, przeżyłeś wtedy kilka gorących godzin?

SETNIK:

— Dwóch żołnierzy niezdolnych do służby na przeciąg co najmniej dni pięciu. O innych, lżej rannych, nawet nie wspomniam. Tłum rzucał kamieniami z dachów, a nam trudno było tych ludzi rozpędzać ze względu na ich liczebną przewagę.

TRASYLLOS:

— Oczywiście, jednakże żołnierz, zwłaszcza zaś na służbie, obowiązany jest do posłuszeństwa, zgodzisz się ze mną, setniku?

Setnik chce coś powiedzieć, ale Hegezynos przerywa mu:

— Lojalność wymaga w twoim wypadku zgadzania się z postanowieniami prokuratora Judei, a przynajmniej nieokazywania sprzeciwu, i to wobec podwładnych i Żydów. — Setnik znów chce coś powiedzieć, ale tym razem wpada mu w słowo Trasyllós:

— Gdybym cię nie znał tak dobrze, setniku, posądziłbym cię nawet o świadomą niesubordynację, wręcz bunt.

SETNIK:

— Tak to wyglądało?

TBASYLLOS:

— Niestety. A co gorsza, słyszało to zbyt wielu. Jestem pewny, że twoje odezwanie, podważając słuszność wyroku przyjaciela cesarskiego, wzbudziło rozgoryczenie w tłumie. Mówi się teraz, że skazaliśmy Niewinnego.

HEGEZYNOS:

— Został skazany jako Król Żydowski, nie jako Syn Boży. Co właściwie miałeś na myśli tak Go określając?

SETNIK *dość hardo*:

— Czy to przesłuchanie?

HEGEZYNOS *bardzo spokojnie*:

— Rozmowa.

SETNIK *podrażniony*:

— Z rodzaju tych jednak, które wpływają na karierę i to niekiedy w sposób bardziej decydujący niż lata służby w garnizonach i wygrywane bitwy?

Trasyllós za jego plecami robi nieokreślony ruch rąk.

HEGEZYNOS:

— Wydaje mi się, że robi się tu ciemniej. Ten trójnóg . . .

Setnik spogląda na trójnóg. Spozstrzega lwy i mówi, udając, że nie zrobiły one na nim wrażenia:

— Widywałem takie trójnogi w świątyniach w okolicy jezior Wan i Urmia. To moja ojczyzna. Płonęły przed posągami naszych bóstw, broniąc do nich dostępu.

HEGEZYNOS *jowialnie*:

— Teraz są łupem Rzymu. Jesteś Armeńczykiem?

SETNIK *wpatrzony w niebieskie oczy sfinksów*:

— Tak. Wyzwoleńcem Korneliuszów Scypionów. Nie byłem w mojej ojczyźnie przeszło trzydzieści lat.

HEGEZYNOS *udając, że dopiero teraz o tym się dowiaduje, zarazem z satysfakcją obserwując nagle onieśmielenie Armeńczyka*:

— Czyżby?

Do Trasyllosa po łacinie tak, by setnik zrozumiał:

— Wszystkie meldunki numerowanych są zgodne co do tego, że w mieście panuje niepokój. Ludzie boją się wychodzić na ulice, by nie spotkało ich coś złego. To ma zresztą swoją dobrą stronę, ponieważ złorzecząc nam po domach, nie ośmielają się tworzyć grup, z wyjątkiem pielgrzymów, którzy nie mają gdzie się podziać. Dziwne święta.

Do setnika:

— I ty naprawdę uważasz Go za Syna Bożego?

SETNIK *zamyślony, z dziwnym żarem*:

— Widziałem, jak umierał.

HEGEZYNOS *po grecku tak, by nie zrozumiał tego setnik*:

— Warto otoczyć go dwoma numerowanymi spośród żołnierzy garnizonu. To wysoki oficer. Sprawa może być niewyraźna i w razie czego warto zapobiec jej w porę. Słyszałeś, co powiedział, patrząc na te sfinksy? To w gruncie rzeczy człowiek z zasadami. Ponadto nie jestem pewny, czy, będąc Rzymianinem, nie przestał być Armeńczykiem, a ludzie bez ojczyzny ... Rozumiesz?

TRASYLLOS:

— Nie.

HEGEZYNOS:

— Szukają jej.

SETNIK *ponownie nieufny*:

— Czy mogę odejść, szlachetny Hegezynosie? Jest pora zmiany warty przy bramie garnizonu.

TRASYLLOS:

— I ja cię pożegnam, Hegezynosie. Już późno.

HEGEZYNOS *do setnika z uśmiechem malowanych warg*:

— Dziękuję.

Trasyllos i setnik wychodzą, pozostawiając Hegezynosa samego. Idą obaj w dół schodami oświetlonymi przez służbowego żołnierza. Trasyllos skręca w jedną z sal. Setnik idzie dalej. Stuk jego kaligów cichnie.

TRASYLLOS *do dyżurnego żołnierza*:

— Chcę widzieć dziesiątnika odpowiedzialnego za straż grobu Jezusa Cieśli w ciągu najbliższych trzech nocy.

Za kilka minut wchodzi dziesiątnik w pełnym umundurowaniu, człowiek o żołdackiej, brutalnej twarzy i głosie krzykliwym. Służbiście pręży się, ilekroć zwraca się doń Trasyllos. Grek układny, przypoehlebny, jak kocur.

TRASYLLOS:

— Jak oceniasz ludzi, którzy służą pod tobą?

DZIESIĘTNIK:

— To ludzie karni. Wykonują skrupulatnie każdy rozkaz. Dokładni.

TRASYLLOS:

— To dzielne zuchy?

Z uśmiechem:

— Tacy, jak ty?

DZIESIĘTNIK *uśmiechając się również*:

— Rzekłeś.

TRASYLLOS, *wciąż uśmiechając się*:

— Ubiegałeś się o przeniesienie gdzieś do Italii?

DZIESIĘTNIK:

— Do Rzymu.

TRASYLLOS *dwornie*:

— Miło mi będzie załatwić to przy okazji skoro, jak twierdzisz, twój oddział jest tak wzorowy. Czy znasz treść nauk Jezusa bar Nash?

DZIESIĘTNIK *podrywając się*:

— Dziękuję pokornie!

Lekceważąco:

Nie mam czasu na filozofów, panie. Cały dzień zajmuje mi służba, a po służbie wychodne.

Ruch dłonią i porozumiewawczy, oblesny uśmiezek.

TRASYLLOS *podstępnie*:

— Co sądzisz o setniku Korneliuszu?

DZIESIĘTNIK:

— To dobry oficer.

Nieśmiało:

— Tylko, jakby to powiedzieć . . .

TRASYLLOS *zachęcająco*:

— Mów dalej.

DZIESIĘTNIK *z nagłą determinacją*:

— Za bardzo lubi rozmyślać. W kohorcie nazywaliśmy go Platonem.

TRASYLLOS:

— Możesz odejść.

Dziesiętnik wykonuje w tył zwrot i wychodzi.

Trasyllus zostaje sam. Patrzy za oddalającym się dziesiętnikiem i zaczyna chichotać dyskretnie, drwiąco, zacierając perfumowane dłonie. — No, zdaje mi się — szepcze — że ten kloc potrafi dobrze dopilnować grobu. Dzwonią na przegubach rąk bransolety cyzelowane kunsztownie w złocie, które wyrafinowany, zniewieściały ten człowiek dostał w podarku od arcykapłana Ananiasza, znawcy ludzkich zwyczajów i dusz, a zwłaszcza dusz i zwyczajów rzymogreckich w Judei.

* * *

Wczesnym rankiem jakaś dziewczyna biegła ulicami miasta, szukając skrótów przez wąskie przejścia w domach i podwórzach. Miasto było jeszcze pustawe. Ulicami przemykali się nieliczni przechodnie: niewolnicy i drobni sprzedawcy, patrząc na biegnącą ze zdziwieniem.

Wpadła zdyszana w dzielnicę wyrobników. Za ścianami małych domków glinianych podnosił się szmer. Ludzie wstawali, rozpoczynając dzień. Dziewczyna zatrzymała się przed jednym z domków i uderzyła w drzwi szybkim, umownym stuknięciem. W domku było cicho. Dziewczyna zastukała po raz drugi, przykładając ucho do drzwi.

Podpełzły ostrożne, ciche stapania. Ktoś z drugiej strony czatował zapewne, tak jak ona trzymając ucho przy drzwiach.

— To ja — powiedziała dziewczyna — Miriam z Magdali.

Za drzwiami usłyszała szepty i szmery. Ktoś odsunął drewniany rygiel, uwalniając drzwi od podpierających je drągów.

Weszła do środka. Na matach i wprost na glinianej podłodze leżała gromada ludzi. Wydawało się dziwne, że może się tylu ich zmieścić na tak małej przestrzeni. Rozróżniała w półmroku szeroką twarz Szymona Kefasa i ascetyczną, subtelną twarz Macieja.

— Widziałam Mistrza — powiedziała. — Rozmawiał ze mną! Grób rabbi Józefa jest pusty.

— Zabrali Go — powiedział Szymon Kefas. — Wiedziałem, że tak będzie.

— Widziałam Go — powtórzyła z przekonaniem. Czuła na sobie spojrzenia obecnych. Patrzyli na nią tak, jakby była szalona lub pozwoliła sobie na żart niesmaczny i niemądry. Wydało jej się, że jeśli powie na ten temat jeszcze jedno słowo, gwałtowny, czasem nawet brutalny Szymon Kefas zwymyśla ją twardo, po galilejsku, nie dobierając słów.

— To, co mówisz, dziewczyno, jest tak nie do wiary. . . — usłyszała głos Macieja. — Nie chcemy obrażać cię otwartym posądzeniem o nieprawdę. Po prostu chyba uległaś złudzeniu.

Może miał rację? Rzeczywiście może jej się to wydało? Była wtedy omal jeszcze noc, a jej umysł zmęczony przejściami ostatnich dni. Zaoszczędzi im opisu swojego widzenia czy też złudy. A jednak nie! Ten, kto z nią rozmawiał, był rzeczywiście Jezusem bar Nash!

Wyczuła wśród nich nastrój lęku, a jej słowa jeszcze ten lęk pogłębiły, wprowadzając element czegoś niezwykłego, podczas gdy to, co ich otaczało i co widzieli na własne oczy, dostatecznie było niepokojące. Zapadła znów cisza. Wyczuwało się w niej pytanie, jakie każdy z nich sobie zadawał, przemykając się tutaj chyłkiem: Co jeszcze przyjdzie im znieść i jak długo będzie tak, jak teraz?

— Czy wiesz o tym — spytał ją ktoś z gromady szeptem, jak gdyby bojąc się, że jego słowa przebijają się przez cienką ścianę glinianej rudery, dotrą do uszu tych, których głosy słyszeli dobiegające z ulicy, i ściągną na nich uwagę prześladowców — czy wiesz, że tłum splądrował domy Gedeona i Szymona Garbarza?

Nieszczęście przyszło nieoczekiwanie. Przybliżyło się wraz z kurzem ulicy podnoszonym przez dziesiątki stóp i wraz z krzykiem: — Wygnać nazareńczyków! — podstępnie kierowane przez czyjaś inteligencję i wolę, dokładnie przewidziane w każdym niemal szczególe, i teraz wśród podartych mat, porozbijanych dzbanów i gratów snuli się rabusie. Wszystkie cenniejsze sprzęty, lampy i zasłony zniknęły z domu, na ulicy zaś unosił się podnoszony nogami przechodniów tuman pierza wyprutego z poduszek w bezmyślnym, brutalnym akcie zemsty.

— Ludzie, o co wam chodzi? — krzyknął Szymon, zasłaniając sobą Rachełę i małego synka Aarona.

— Twój Mistrz i ty zamierzacie spuścić na Izrael choroby! — odpowiedział mu czyjś ordynarny głos i głupawy chichot ludzi podnieconych gwałtem i wywarem zbożowym, szakkarem.

Teraz znaleźli się w miejscu, gdzie Mistrz jadł kiedyś ze swoimi uczniami wieczerzę, która okazała się ostatnią, pełni — pomimo lęku — jakiejś naiwnej, żarliwej nadziei, że znów kiedyś będzie spokój, a oni sami znajdują się wśród ludzi bezpieczni jak niegdyś, poważani, a nie zaszczuci, zagonieni, wyklęci.

Patrzyli na Szymona Garbarza, który siedział z małym synkiem na ręku. Nikt go nie uderzył, był tylko śmiertelnie wystraszony. Nerwowo trząśł się na całym ciele i Szymon kołysał go w ramionach. Szeptali między sobą, że pomimo wszystko ludzie nie są źli, judzi się ich tylko, a oni są prostoduszni i podlegli wpływow. Byle odczekać kilka tygodni, byle przeżyć, byle przetrwać te najgorsze dni od czasu uwężenia i śmierci Jezusa bar Nash, a potem musi być wszystko dobrze!

Za ścianą usłyszeli nagły łoskot. Przelatywał patrol jazdy numidyjskiej. Jeźdźcy zmiatali każdego z drogi swymi długimi, rzemiennymi batami. Grzmot kopyt nikt nie uczynił ciszę jakby jeszcze głębszą.

— Ktoś musi pójść do Betfage, by zebrać żywność wśród tamtejszych braci. Jedzenie już nam się kończy — powiedział Szymon Kefas — a kto wie, jak długo będzie istniał ten stan niepewności?

Właściwie najrozsądniej byłaby jak najszybciej opuścić teraz Jerozolimę i przenieść się do Galilei, co mają jednak zrobić ci, którzy mieszkali dotąd w mieście na stałe? Dobrze by było dowiedzieć się, czy po wsiach nie znajdzie się dla nich miejsce i praca.

— Ja pójdę — odezwał się Maciej.

— Dobrze, ale bądź ostrożny, by szpicle niezłomnie prawych nie rozpoznali w tobie nazareńczyka. Patrzą pewnie przy bramach każdemu prosto w twarz. Ja natomiast — tu się zawahał — pójdę jednak do grobu Pana.

Maciej wysliznął się na ulicę. Drzwi zamknęły się za nim, a wraz z nimi złudne poczucie bezpieczeństwa. Kluczył ostrożnie po uliczkach w kierunku Bramy Gnojnej. Legioniści w pełnym uzbrojeniu patrolujący główne punkty miasta, jeźdźcy numidyjscy, nieruchomi jak posągi lub przelatujący jak podmuch huraganu w swych rozwiewających się płaszczach podobnych do skrzydeł, jeźdźcy o czujnych, posępnych oczach synów pustyni przynosili miastu zapowiedź czegoś niezwykłego, co już się dokonało, czy może ma się dopiero dokonać? Rzesze pielgrzymów biwakowały nieruchome, milczące, gotowe rozejść się do domów, podnieść bunt lub wreszcie rzucić się w uliczki w nastroju paniki nieprzewidzianej, bezsensownej, ślepej jak odruchy oddania czy gniewu. Minął bramę i wzmocnioną potrójnie straż rzymską. Trzech ludzi stojących w odstępach kilku kroków od siebie spojrzęło mu uważnie w oczy: policjanci Antypasa i szpicle niezłom-

nie prawych, słudzy arcykapłańscy oraz straż miejska pilnowali, by z miasta nie wymknęli się uczniowie Jezusa bar Nash. Nie rozpoznano go. Wydostał się poza bramę i szedł zapyłoną kamienistą drogą w tłumie ludzi, którzy opuszczali już Jerozolimę.

Obok niego szedł jakiś Judejczyk — jak wydawało mu się — dość młody, któremu szczególnie bacznie przyglądano się w bramie. Nie był to jednak z pewnością żaden z uczniów Jezusa bar Nash. Twarzy tej Maciej nie znał a raczej — jak spostrzegł ze zdumieniem — znał ją w pewien specjalny sposób: z pewnością nigdy dotąd jej nie widział, przypominała mu jednak twarze ludzi, których znał dobrze. Rozpoznawał w niej wystające kości policzkowe Szymona Kefasa, subtelny profil Szymona Garbarza, stanowczość w wyrazie ust Jakuba Boanerges i wyraz zamyślenia podobny do tego, jaki odkrywał nieraz w twarzy uczonego Aarona — i to właśnie go zaciekało. Przyłączył się do Judejczyka i zaczęli rozmowę dość zdawkową, jak zazwyczaj czynią ludzie w podróży, wkrótce jednak zeszli na temat, który fascynował wszystkich: na ostatnie wydarzenia w Jerozolimie i na Mesjasza. Nieznajomy — dotychczas dość powściągliwy — ożywił się. Zaczął cytować wypowiedzi Mojżesza, Izajasza i innych wielkich proroków Izraela o śmierci Mesjasza i ponownym Jego przybyciu. Zastanowiła Macieja dziwna, jak na prostego człowieka, którym wydawał się Judejczyk, znajomość Pisma i biegłość w cytowaniu całych jego partii. Już zetknąłem się z czymś podobnym — pomyślał. — Gdzie i kiedy? I oto nagle olśniło go poznanie. Wpatrzył się w Judejczyka zbyt zdumiony, by uświadomić sobie całe nieprawdopodobieństwo sytuacji. Ten sam głos. Tak dobrze znany, ten sam sposób wywodów, argumentacja i błyskotliwa znajomość Pisma! — to było niepojęte, jednak nie mógł się mylić: szedł z nim Jezus bar Nash i rozmawiał tak jak wtedy w oazie Air Feszha! Usłyszał krzyki i mimowolnie odwrócił głowę. Pośrodku drogi poganiacz zmagął się z osłem, który przytłoczony ciężarem położył się i mimo przekleństw swego pana nie wstawał. Gdy zaś chciał ponownie przyjrzeć się Judejczykowi, Ten już zmieszał się z tłumem i zniknął w rzece chałatów i płaszczy, która płynęła drogą.

Maciej był teraz sam wobec zjawiska, w którym podejrzewał największą z tajemnic Mesjasza. Stało się coś, czego jednak wciąż nie potrafił sobie wyobrazić i co go przerażało. Nie było ono złudą, był tego pewny. A więc rzeczywistością? Najbardziej dziwną spośród tych, jakie dane było mu poznać?

Wstał z kamienia i zaczął iść pod prąd ludzi i jucnych zwierząt z powrotem do Jerozolimy. Szedł coraz szybciej, potem już prawie biegł.